

RICK SHELLEY

KND

KADET

**KOSMICZNA REBELIA TRWA,
GALAKTYKA STAJE W OGNIU**



SHELLEY RICK

Dirigent Mercenary Corps #1

Kadet

RICK SHELLEY

(Officer – Cadet)

(Przełożyła: Maja Brzozowska)



Jest rok 2803. Międzygwiazdna emigracja z Ziemi trwa już prawie od siedmiu

stuleci. Statystyki nie są jednoznaczne, ale zasiedlono dotychczas co najmniej pięćset, a

być może grubo ponad tysiąc planet. Całkowita ludzka populacja Galaktyki oscyluje pewnie koło biliona. Na Ziemi nominalną kontrolę nad wszystkimi koloniami sprawuje

Konfederacja Ludzkich Światów, w praktyce jednak jej rozporządzenia spotykają się z

posłuchem jedynie w granicach wyznaczonych przez najdalej położoną stałą bazę systemu ziemskiego na Tytanie. Poza orbitą Saturna funkcjonują dwa podstawowe

ugrupowania polityczne: Konfederacja Ludzkich Światów (która jest odłamem ziemskiej

organizacji i założyła swoją stolicę w świecie znanym jako Unia) oraz Druga Federacja, z

centrum na Buckingham. Obydwa związki dopiero w ciągu kolejnych dwóch stuleci staną się naprawdę popularne i wpływowe, a wtedy diametralna różnica poglądów doprowadzi je do stanu wojny. Do tego czasu ludziom, którzy potrzebują pomocy militarnej, a którym nie uśmiecha się ani dominacja Konfederacji, ani też Federacji, pozostaje ledwie kilka możliwości do wyboru. Ci, którzy mogą sobie na to pozwolić, zwracają się do najemników. Ich największa baza ulokowana jest na planecie Dirigent...

PROLOG

Serie fal uderzeniowych nie były żadnym zaskoczeniem. Porucznikowi Arlanowi

Taitersowi ledwie drgnęła powieka. W myślach odliczał ogłuszające ryki podchodzących

do lądowania wahadłowców szturmowych. Sześć: przyleciały naraz trzy kompanie. Jeden

z ładowników zjawiał się trochę wcześniej, usiadł spokojniej. Miał na pokładzie poległych

i rannych – jednych i drugich było zbyt wielu. Zawsze było ich zbyt wielu, ale mogło być

jeszcze gorzej. Kontrakt Belatrong należał do krótkich, a okazał się krwawszy, niż

przewidywano. W takim przynajmniej tonie utrzymywały się wczesne osądy w bazie.

Między pułkami plotka poniosła się zaraz, jak tylko nadeszły pierwsze wiadomości ze

statku, który przebił się trzy dni wcześniej przez przestrzeń Q i wchodził właśnie w system Dirigentu.

Arlan wyglądał przez jedyne okno w swoim ciasnym gabinecie. Stał tak blisko

szyby, że jego cień pograżył w mroku cały pokój. Podświadomie przyjął postawę

swobodną – nogi lekko rozstawione, dłonie założone za plecami. Pozycja równie

wygodna jak każda inna. Poruszały się jedynie jego zielone oczy. Kiedy dobiegł go

łoskot nadlatujących wahadłowców, przeniósł wzrok na niebo, choć i tak wiedział, że

niczego nie dojrzy. Chwilę potem wrócił do pobieżnego przeglądu jednostki. Cienie na

zewnątrz zaczęły podpełzać pod plac apelowy.

Cienie wewnątrz gabinetu – Taiters rzadko kiedy włączał w ciągu dnia sztuczne

światło – nadawały pokojowi jeszcze bardziej surowy wygląd. Nie było w nim nic, co sugerowałoby, że przez ostatnie trzy lata – odkąd został tu oddelegowany – Taiters zajmował to pomieszczenie. W ogóle mało co sugerowało, że ktokolwiek z niego korzystał. Małe biurko i proste krzesło zyskały rangę zabytków samym faktem przetrwania na posterunku. Były niedrogie, za to funkcjonalne, a z wiekiem nie zyskały

na wartości. Dziesiątki lat po zakupie nadal nadawały się do użytku. Complink był pewnie równie stary. W pokoju nie znajdowały się poza tym inne meble czy drobiazgi.

Arlan nie był częstym gościem w swoim biurze. Stanowiło dla niego po prostu miejsce,

gdzie wypełniał cotygodniowe raporty i gdzie mógł na osobności porozmawiać ze swoimi podkomendnymi. Poza tym pełniło rolę skromnego dodatku do jego kwatery –

sąsiadującego z biurem pomieszczenia niewiele odeń większego.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Arlan obrócił się na pięcie w ich stronę.

–Wejść – rzucił.

Żołnierz wszedł, zamknął za sobą drzwi i stanął na baczność.

–Kadet Lon Nolan melduje się zgodnie z rozkazem, sir.

Arlan przyjął postawę zasadniczą i odsalutował. Mimo że Taiters większość dnia spędził na ćwiczeniach z dwoma podlegającymi mu plutonami, jego mundur połowy w

kolorach maskujących ciągle wyglądał świeżo.

–Spocznijcie, kadecie – rzucił. Obydwaj nieznacznie rozluźnili się. – Nie mamy do dyspozycji aż tyle czasu, ile sobie bym tego życzył – odezwał się Taiters. –
Odprawa

pułków rozpocznie się za niespełna dziesięć minut.

Przyglądał się kadetowi taksującym wzrokiem. Lon Nolan przewyższał porucznika o dwa cale, wagowo byli sobie mniej więcej równi. Nolan wyglądał na znacznie młodszego, niżby wskazywały dwadzieścia dwa lata w jego dossier. Robił wrażenie człowieka fizycznie nie w pełni jeszcze dojrzałego.

„Iluzja” – uprzytomnił sobie w myślach Taiters. „Zawsze, do cholery, wyglądają zbyt młodo”.

– Tymczasem chcę jedynie uzyskać zupełną pewność co do tego, że znacie swoje miejsce w strukturze, kadecie. I nie znajdziecie go w dowództwie. Nad nikim tutaj nie

górujecie stopniem. Jesteście na samym dole hierarchii. Żaden żołnierz w korpusie nie

może wydawać polecenia innym, dopóki sam nie wziął udziału w boju. Nie ma znaczenia,

jak wiele wymyślnych akademii wojskowych ów ktoś prawie że ukończył ani jak długo

nosi na grzbiecie mundur Korpusu Najemników Dirigentu. – Porucznik podstawił Lonowi

pod nos mały metalowy znaczek, porucznikowskie insygnia – romboidalną, złotą odznakę

z czerwonym emaliowanym rombem w centrum. – Na to trzeba sobie zasłużyć.

Wyrażam

się jasno?

– Tak jest, sir – padła lakoniczna odpowiedź Lona. Nawet nie mrugnął okiem. Tę

samą mowę wbijano mu do głowy raz za razem, odkąd tylko przyleciał na Dirigent.

Uznał, że to niegłupia taktyka – choć na Ziemi nigdy by się nie sprawdziła w praktyce.

–Jakieś pytania, kadecie?

–Tylko jedno, sir. – „Jak na razie” – przemknęło Lonowi przez głowę. – Jak prędko mogę się spodziewać walki?

Arlan pozwolił sobie wolno zamrużyć powiekami. Pytanie było... tym, którego oczekiwał.

–Nie zasiadam w Radzie Pułków, kadecie. Wątpię jednak, żebyście musieli zbyt długo czekać. Już spory kawałek czasu ślęczymy tu bez płatnego kontraktu.

Nie zgłębiał dalej tematu, nie napomknął o oczekiwaniach korpusu, nie wspomniał, że ideałem, do którego usilnie dążyło dowództwo, było wysyłanie na płatne kontrakty

ośmiu z czternastu pułków; w tym czasie trzy miały zbierać siły i trenować, a trzy pozostałe przejmowały obowiązek planetarnej obrony Dirigentu. Realizacja ideału należała do rzadkości. W chwili obecnej mniej niż połowa członków korpusu była na kontrakcie.

–Dziękuję panu, sir – odparł Lon.

–Administracyjnie zostaliście przydzieleni do drużyny drugiej w plutonie trzecim – poinformował go Taiters. Nie zawracał sobie głowy resztą: kompania A, drugi batalion,

siódmy pułk, albo – zgodnie z powszechniej używanym wojskowym skrótem – A-2-7.

–
To drużyna kaprała Girany. Lepiej pofatygujcie się ze swoim workiem do koszar, znajdźcie Giranę i uwińcie się z tym prędko, kadecie. Do parady zostało wam mniej niż

pięć minut.

–Tak jest, sir. – Lon ponownie stanął na baczność i wyszedł zaraz, jak tylko porucznik oddał mu salut.

–Zbyt, do cholery, młodzi – mruknął do siebie Arlan, kiedy już obute stopy Lona

**Nolana w pośpiechu oddaliły się w stronę schodów, które prowadziły do
położonego**

**wyżej skrzydła kwater drużyn trzeciego plutonu. Wrócił pod okno i jeszcze raz
wyjrzał**

**na zewnątrz. „Zbyt młodzi i zbyt gorliwi”. Taiters był o dekadę starszy od kadeta. W
siódmym pułku Korpusu Najemników Dirigentu – KND – służył przez całe te dziesięć
lat**

**i jeszcze dłużej. Był rdzennym Dirigentyjczykiem. Jego ojciec i obydwaj dziadkowie
– w**

**ogóle większość mężczyzn w jego rodzinie od ostatnich pięciu pokoleń – należeli do
korpusu, z czego prawie wszyscy służyli właśnie w siódmym pułku. Nikt nigdy nie
wątpił, że Arlan zaciągnie się, jak tylko stuknie mu osiemnastka. Miał to we krwi,
wpajano mu to od dziecka. Kiedy otrzymał propozycję obecnego przydziału, obyło
się**

bez zdziwienia.

**Głośniki rozbrzmiały dwutonowym sygnałem do apelu, który poniósł się po placu
manewrowym. „Do odprawy pułków! – Przystąp” – rozległo się chwilę potem. Arlan**

**zaciągnął się głęboko powietrzem i odwrócił od okna. Nie rzucił się do wyjścia.
Zamiast**

**tego przeszedł niemal swobodnym krokiem do pokoju obok, aby łyknąć wody.
Następnie**

**wziął furazerkę i nasadził ją starannie na głowę, przyglądając się jednocześnie
swojemu**

**odbiciu w lustrze. Zanim wyszedł na zewnątrz, większość ludzi z jego dwóch
plutonów**

zdążyła już stawić się na placu – albo właśnie tam biegła – gotowa na komendę

„Baczność!”

To był pradawny ceremoniał, wiekowy, o ile nie tysiącletni, jedynie w szczegółach różniący się między armiami czy pokoleniami. Żołnierze wraz z oficerami spieszyli zająć miejsca w szeregach. Kaprale i sierżanci sprawdzili, czy ludzie są obecni, a formacja – do przyjęcia. Kiedy już wszystko będzie w należyтым porządku, dowódcy plutonów i dowódcy kompanii wystąpią przed swoje jednostki, gotowi przyjąć raporty o stanie liczebnym podkomendnych, po czym sami zrobią w tył zwrot i złożą meldunek swoim przełożonym. Arlanowi z rzadka tylko udawało się uniknąć przy tej okazji wspomnienia swojego ojca, który wiele lat wcześniej zauważył: „To taki wojskowy balet, chłopcze”.

Arlan nigdy nie widział baletu (podobnie zresztą jak jego ojciec – rozrywki na Dirigencie nieczęsto bywały tak wysublimowane). Metafora jednak zrobiła na nim wrażenie. Taiters zajął swoje zwyczajowe miejsce naprzeciw trzeciego i czwartego plutonu z A-2-7. Sierżant Ivar Dendrow wykonał właśnie w tył zwrot, zasalutował i zameldował: –Trzeci pluton, wszyscy obecni, sir.

Arlan oddał salut. Sierżant Weil Jorgen stanął na baczność i zdał swój raport: –Czwarty pluton, wszyscy obecni lub usprawiedliwieni, sir. Jeden chłopak z czwartego był w szpitalu.

Arlan, podobnie jak poprzednio, oddał salut i sam wykonał w tył zwrot. Po jego lewej porucznik Carl Hoper zgłaszał plutony pierwszy i drugi. Jak tylko Hoper skończył,

Taiters zasalutował i wyskandował swój meldunek:

–Trzeci i czwarty pluton, wszyscy obecni lub usprawiedliwieni, sir.

Kapitan Mart Orlicz oddał Arlanowi salut i odwrócił się, żeby zdać raport dowódcy batalionu, który zameldował się u dowódcy pułku, a ten z kolei przekazał meldunek generałowi – przewodniczącemu Rady Pułków. Na całym rozległym placu apelowym podobne formacje tworzył każdy pułk, który miał ludzi w bazie.

Korpus przyjął postawę swobodną defiladową. Minęło dziesięć minut, nim oddziałom ukazały się furgonetki wiozące powracających żołnierzy. Korpus został ponownie przywołany na baczność. Kiedy furgonetki przejeżdżały przez środek placu

między szpalerami oczekujących pułków, każdy z nich po kolei oddawał honory, opuszczając swoje barwy. Oficerowie salutowali wyciągniętymi rękami. Ludzie w szeregach stali sztywno na baczność.

Furgonetki ustawiły się we własnym szyku. Pierwszy pojazd jechał daleko na przodzie przed pozostałymi, zupełnie sam, w tempie siedmiu mil na godzinę. Na obydwu

zderzakach łopotały barwy pułku. Do boków samochodu przyczepiono skrzyżowane białe i czarne proporczyki. Każdy z przyglądających się im mężczyzn – poza tymi, którzy

zbyt krótko służyli w korpusie, żeby wiedzieć, co znaczą – wbijał w nie wzrok, myśląc

przy tym: „Tak będzie wyglądała moja ostatnia droga do domu, jeśli zginę na polu bitwy”. Polegli KND zawsze pojawiali się pierwsi – jeśli w ogóle udawało się ich przetransportować.

Kiedy jadący na czele pochodu samochód opuścił już plac, przyspieszył. Pozostałe również zwiększyły tempo po zakończeniu defilady. Gdy ostatni zniknął z pola widzenia,

pułki otrzymały komendę rozejścia się. Powracający żołnierze zostali odpowiednio

nagrodzeni za zwycięstwo – wypełnili kontrakt.

–Hola! Nolan! A ty gdzie się niby wybierasz? – zawołał kapral Tebba Girana, widząc, że Lon oddala się od swojej formacji.

–Do koszar, panie kapralu. Nie starczyło mi czasu, żeby rozpakować swoje rzeczy.

–Odpuść sobie na chwilę. To może poczekać. Do stołówki, tamtędy – wskazał Tebba.

Girana plasował się nieco poniżej średniej wzrostu na Dirigencie (pięć stóp i jedenaście

cali dla mężczyzn), cechował się za to kręłą budową ciała. Porządnie umięśniony, służył

w korpusie już ponad piętnaście lat; weteran. Sam był dla siebie bardziej surowy niż dla

swoich ludzi i utrzymywał sprawność fizyczną, jaką mógł się poszczycić po ukończeniu

w wieku osiemnastu lat treningu dla rekrutów. W KND nie było miejsca dla słabeuszy –

dotyczyło to nawet oficerów, o podoficerach nie wspominając. Jeśli komuś nie starczało

sił, żeby przejść musztrę, już było po nim. Nawet dowódcy pułków musieli co roku podchodzić do testów sprawnościowych.

–Nie miałbym nic przeciwko opuszczeniu posiłku, panie kapralu – odparł Lon. – Nie jestem znowu aż taki głodny.

–A ja mam coś przeciwko. Porucznik mówił, że trza cię ekspresowo podkręcić. W każdej chwili możemy dostać kontrakt. A opuszczanie posiłków, kiedy nie ma takiej potrzeby, to zły nawyk. Podczas walk nie raz i nie dwa zdarzy się, że ciężko będzie z racjami. Ciało musowo powinno mieć paliwo, żeby dobrze wykonywało swoją robotę.

Nolan miał za sobą zbyt długie doświadczenie z wojskowym drylem zarówno na Ziemi, jak i na Dirigencie, żeby dalej się upierać. Skinął głową i ruszył z Giraną w stronę

stołówki. Lon automatycznie zrównał krok z kapralem. Po ponad trzech latach w akademii wojskowej Unii Północnoamerykańskiej w Springs i dwóch miesiącach treningu dla rekrutów na Dirigencie mało kiedy udawało się iść gdziekolwiek z kimkolwiek, nieświadomie nie równając przy tym kroku.

„Ponad trzy lata, prawie cztery” – przemknęło chłopakowi przez głowę. Ciągle jeszcze z trudem przychodziło mu zaakceptowanie tej nagłej i nieoczekiwanej zmiany w

jego życiu. Brakowało mu tylko ośmiu miesięcy do ukończenia Springs i objęcia stanowiska w armii UP. Na początku ostatniego roku był trzeci w rankingu, rejestr dyscyplinarny miał czysty jak łza, z niecierpliwością czekał na błyskawiczny awans i świetną karierę. A wtedy wszystko poleciało na łeb, na szyję.

–Życie tutaj zazwyczaj jest bez zarzutu – powiedział Girana, a Lon zorientował się, że umknęła mu pierwsza część wywodu kaprała. – Takie życie to zaszczyt dla mężczyzny.

–Nigdy nie myślałem o sobie inaczej, jak o żołnierzu – odparł Lon w nadziei, że będzie to brzmiało tak, jakby cały czas słuchał Girany. „Nigdy nie myślałem o sobie inaczej, jak o żołnierzu”. I tu był pies pogrzebany. To dlatego wszystko się rozsypało,

zupełnie jakby w Springs ktoś wykopał mu stółek spod tyłka.

–Nie podejrzewam, żebyś miał już do czynienia z działaniami, jakie tu przeprowadzamy – zgadywał Girana. – Ziemia to diabelnie zatłoczone miejsce. Gdyby tak

dodać wszystkich ludzi ze wszystkich światów, na których byłem, wątpię, żeby

uzbierała

się jedna trzecia populacji Ziemi. Nie przeczę przy tym, że odwiedziłem tylko znikomy

ułamek zamieszkanym światów.

–Czy ktoś w ogóle orientuje się, ile planet zostało już zasiedlonych? – spytał Lon. –

W domu – to znaczy na Ziemi – gdziekolwiek człowiek spojrzał, tam mu pokazywano inne statystyki.

Girana odsłonił zęby w szerokim uśmiechu.

–Wydaje mi się, że wywiad korpusu dysponuje dość dokładnymi danymi, jeśli chodzi o liczbę światów. Było nie było, to ich działka. Nigdy nie wiadomo, gdzie się może trafić kontrakt. Zamieszkanym światów jest pewno więcej niż tysiąc. A habitatów

kosmicznych może i połowa z tego. Te są dopiero dla piechura wrzodem na dupie.

–Wyobrażam sobie – zgodził się Lon. Nigdy się nad tym w sumie nie zastanawiał.

Już zaczął rozważać ewentualne konsekwencje, ale Girana mówił dalej.

–To tak, jak walczyć ze związanymi rękoma. Połowy broni nie użyjesz, bo może to naruszyć integralność kadłuba statku. Grawitacja jest zerowa – albo, w najlepszym wypadku, częściowa, wytwarzana przez korkociąg – nie wydaje mi się, żeby któryś z nautów zawracał sobie głowę wartościami zbliżonymi do normalnego przyciągania. Z

całą pewnością nie w tych niewielu habitatach, jakie widziałem.

–Zdaje się, że Nad-Galapagos utrzymuje wartości zewnętrzne na poziomie siedemdziesięciu procent, ale wiem, co ma pan na myśli – odparł Lon. – Przypuszczam, że

gdyby chcieli całkowitego ciężenia, trzymaliby się ziemi tak jak my.

–No, coś w tym stylu – przytaknął Girana. – Dziwni ci nauci, a już przynajmniej ta

gromadka, którą miałem okazję poznać.

–W drodze tutaj miałem jedenastodniowy postój na Nad-Galapagos. To pierwsza, rezydualna, nautyczna baza nad Ziemią. Powiedziano mi, że na stałe zamieszkuje ją około

dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, a oprócz tego pojawia się zawsze kilka setek przejezdnych. Musiałem czekać na jakiś transport, żeby się dostać tutaj. Grafiki zajęć

wypełnia jedzenie, spanie i ćwiczenia, aby człowiekowi nie zmiękł szkielet; tego typu rzeczy. Większość ludzi nie mieszka poza miejscem pracy, gdzie panuje

siedemdziesięcioprocentowe przyciąganie. Nie mają zbyt wiele czasu na inne zajęcia. Nie

mam pojęcia, jak udaje im się cokolwiek zrobić.

–I nie udaje się, przynajmniej nie za wiele – zawyrokował Girana z niepodważalną pewnością człowieka, który wie o sprawie tyle, co nic. – Nauci to ślepa uliczka.

Dziwolągi. Jeszcze pięćdziesiąt lat, a większość habów opustoszeje. To zwyczajnie nienaturalne, żeby ludzie żyli sobie gdzieś w przestrzeni kosmicznej.

„Może i tak, ale śmiem wątpić” – pomyślał Lon. Nie będzie otwarcie spierał się z

kapralem, nie w ciągu pierwszej półgodziny po wstąpieniu do jego drużyny. W

habitatach kosmicznych mieszkały miliony ludzi. Niektóre z habów funkcjonowały bez

przerw już prawie od pięciu stuleci. Trudno było zatem przykleić ich mieszkańcom etykietkę dziwolągów w ślepej uliczce.

Bataliony pierwszy i drugi siódmego pułku dzieliły z sobą stołówkę, przy czym

każda kompania miała własną jadalnię. Sale mieściły się na dwóch piętrach i skupiały

wokół rdzenia, poprzez który służby żywnościowe miały dostęp do każdej z nich.
Girana

zaprowadził Lona na drugie piętro, pod drzwi oznakowane A-2-7.

–W jednostce dbają o nasze żołądki – powiedział Girana, gdy obydwaj przesuwali się

wzdłuż lady, jaką spotyka się w barach samoobsługowych. – Kucharzy mamy cywilów,

paszę dobrą i w słusznej ilości. To rekompensuje chude lata.

–Mówi pan tak, jakby podczas kampanii nikt nigdy nie jadł – zauważył Lon.

–Kontraktu, nie kampanii – poprawił go bezwiednie Tebba. – Nie, to nie do końca prawda. Po prostu, no, w terenie czasem bywa trudno napełnić żołądek. Racje wojenne

może i dostarczają wszystkich tych rzeczy, które są niezbędne dla funkcjonowania organizmu, ale nie zawsze się tym najesz. A zdarza się i tak, że RW nie przychodzą na czas.

Tace były pokaźnych rozmiarów, Girana sunąc wzdłuż lady, dokładał sobie solidne porcje wszystkiego po kolei – a wybór był duży. Nolan nałożył sobie mniej, choć i tak

więcej, niż się po sobie spodziewał. Zapachy drażniły jego nozdrza dość silnie, aż pociekła mu ślinka. „Chyba jestem bardziej głodny, niż mi się wydawało” – pomyślał,

uśmiechając się z lekka. Na taśmie z napojami było wszystko oprócz alkoholu.

Prawie połowa kompanii siedziała już w jadalni, do której zmierzali właśnie Girana i Nolan. Rozmowy, towarzyszące usadawiającym się i zabierającym za jedzenie mężczyznom, niosły się dość daleko. W żadnym jednak momencie hałas nie stawał się

nieznośnym zgiełkiem. Dźwiękochłonne panele, którymi wyłożony był sufit,

utrzymywały go na jako takim poziomie. W stołówce w Springs nigdy nie panowała tak

luźna atmosfera. Tam siedziało się na baczność na brzeżku krzesła. Nie zabierało się

głosu, dopóki nie odezwał się wyższy stopniem, a jeśli już trzeba było coś powiedzieć,

odpowiedź należało zredukować do jak najmniejszej liczby sylab – faworytami były:

„Tak, sir” i „Nie, sir”. Jadło się na akord. Skończyć i zniknąć. Jadalnia batalionu

szkoleniowego na Dirigencie kierowała się mniej sztywnymi regułami, samo jednak

szkolenie było tak długie i tak żmudne, że mało który rekrut miał dość energii, aby po

całym dniu spędzonym na poligonie wdawać się jeszcze w pogawędki z towarzyszami.

Bywało i tak, że powstrzymanie się od zaśnięcia podczas posiłku okazywało się niemalże

tytanicznym wysiłkiem.

„Podoba mi się tutaj” – powiedział do siebie w myślach Lon, zanim jeszcze siadł przy

stole i przeżuł pierwszy kęs kolacji. Ciepłe kolory, przyjazna atmosfera. W drodze na

miejsce Girana z pół tuzina razy zatrzymywał się, żeby wymienić pozdrowienia albo

rzucić słówko komuś to przy jednym, to przy innym stole. Lon uświadomił sobie, że już

całe wieki nie czuł się tak odprężony. I było mu z tym dobrze.

Żołnierze z drugiej drużyny mniej więcej jednocześnie zawinęli do swojego stołu.

Włączywszy Giranę, drużyna liczyła sobie jedenastu członków. Do pełnej liczby

brakowało im jednego człowieka. Nim Lon dostanie swój przydział, miał zająć jego

miejsce. Girana posadził kadeta obok siebie na końcu długiej ławy i przedstawił nowego

reszcie drużyny. Lon skupił się na nazwiskach i twarzach, które im towarzyszyły.

Zapamiętywanie nazwisk nigdy nie było jego mocną stroną. Z tymi mężczyznami ruszy

razem na bitwę, przynajmniej raz. O ile sprawy nie potoczą się naprawdę fatalnym torem,

kto wie, czy pewnego dnia nie przejmie nad nimi dowodzenia. Musiał ich poznać.

Janno Belzer miał smoliste kędziory, czarne oczy i oliwkową cerę. Mężczyzna słusznego wzrostu, szczupły. Dean Ericks był blondynem, z jasnobrązowymi oczyma i

bladą karnacją charakterystyczną dla ludzi, którzy nigdy nie wychodzą na słońce.

Wzrostem i budową ciała, na oko, prawie dorównywał Lonowi. Phip Steesen był niższy,

łysiał od czoła, włosy, które mu jeszcze zostały, miały nieokreślony brązowy kolor. Gen

Radnor mógł się pochwalić potężną, muskularną sylwetką; jego głowę porastała ciemna

czupryna, nad głęboko osadzonymi, ciemnymi oczyma wyrastały krzaczaste brwi.

Wyglądało na to, że jest najbardziej małomównym członkiem grupy. Starszy szeregowiec

Dav Grott był prawą ręką dowódcy drużyny. Wyglądał starzej niż na swoje trzydzieści

dwa lata, zupełnie jakby miał za sobą wyjątkowo ciężkie życie. Frank Raiz, lat

dwadzieścia trzy, był – wyłączając Lona – najmłodszy w drużynie. Głowę golił na gładko,

co nadawało mu złowrogi wygląd. Raphael Macken należał do tego typu ludzi, którzy

potrafią ujść uwadze już w trzyosobowej grupie. Toda Schpelta wyróżniał akcent,

mimo

iż jego rodzina mieszkała na Dirigencie od trzech pokoleń – ciągle był dzieckiem imigrantów. Harvey Fehr skupił się na posiłku. Lon nie słyszał, żeby przez całą kolację

odezwał się choć słowem. Balt Hoper był dalekim kuzynem porucznika Carla Hopera,

dowódcy pierwszego i drugiego plutonu.

Pierwsze prawdziwe pytanie, które padło po wymianie pozdrowień i nazwisk, brzmiało: „Skąd jesteś?”. Akcent Lona zdradzał, że nie jest tubylcem.

–Ziemia – rzucił bez zastanowienia. Rozprawiał się właśnie z pieczenią.

Nagła cisza, która zapadła po jego odpowiedzi, kazała mu podnieść głowę znad talerza. Przebiegł wzrokiem po wpatrujących się w niego twarzach – wpatrywali się wszyscy oprócz Girany i Fehra.

–Czy powiedziałem coś nie tak? – spytał.

Kilka osób pokręciło głowami. Dało się słyszeć parę wymamrotanych pod nosem zaprzeczeń.

–No to nas zagiąłeś – odezwał się Janno Belzer. – Nie przypominam sobie żebym kiedykolwiek spotkał kogoś prosto z Ziemi.

–Wystrychnąłeś nas na dudka, Tebba – rzucił oskarżycielskim tonem Dean Ericks. – Można było nas wcześniej uprzedzić.

Girana obnażył dziąsła w uśmiechu.

–I po co? Żeby popsuć całą zabawę? Możecie się ze mną założyć, że spotkaliście wcześniej chłopaków z Ziemi. W korpusie jest ich z sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu, może więcej. Zawsze ktoś jest.

–Ej, co roku Ziemię opuszcza kilka milionów ludzi. Muszą gdzieś być – wtrącił Lon.

–Chyba że zatają swoje pochodzenie – podsunął Phip Steesen. Swoją uwagą wywołał salwy śmiechu wśród większości kolegów.

–Może być – zgodził się Lon, przyłączając się do ogólnych żartów znacznie szybciej,

niż mógłby podejrzewać. – Prawdopodobnie nie chcą ranić uczuć osadników.

–Słyszałem, że na Ziemi jest tyle luda, że muszą spać na zmiany, bo nie starcza miejsca, żeby się wszyscy naraz położyli – dorzucił Dean.

–Gadasz, chodzi o to, że oni w tych betach spędzają taką masę czasu, że mają potem

nadprodukcję i nie wiedzą, co zrobić z nadwyżkami – orzekł Phip, zanim Lon zdążył odpowiedzieć.

Kolacja trwała. Raz po raz ktoś wstawał i robił kolejną rundkę wzdłuż lady. Ktoś

inny szedł z tacą do taśmy z napojami po dokładki dla chętnych. Lon więcej słuchał, niż

mówił, ale na zadawane pytania odpowiadał. Wśród weteranów drużyny najbardziej rozgadali się Janno, Dean i Phip. Największy wkład Lona w rozmowę miał miejsce, kiedy jeden z nich spytał go o powód przybycia na Dirigent.

–Żeby było jasne, nie musisz odpowiadać na takie pytania – rzucił Girana, karcącym spojrzeniem mierząc przez stół tego, kto je zadał. – Przeszłość to nasza prywatna sprawa.

–Nic się nie stało. – Kadet wzruszył ramionami. – Myślę, że lepiej będzie, jak o tym opowiem. Nie dano mi zbyt wielkiego wyboru. Czasami nie jestem pewien, czy aby na

pewno... obejmuję to wszystko umysłem. – Jego ostatnie zdanie zaintrygowało

wszystkich przy stole. Nawet Fehr podniósł wzrok znad pieczeni. – Już jako szczeniak

bardzo chciałem zostać żołnierzem – zaczął Lon. – I to nigdy nie były tylko chłopięce

zabawy żołnierzami w wojnę. Wiedziałem o tym już, jak miałem, bo ja wiem, może sześć czy siedem lat. Pewność rosła z wiekiem. Chciałem być żołnierzem. Na pierwszym

roku studiów stanąłem do konkursu o przydział do Springs – Północnoamerykańskiej

Akademii Wojskowej – wziąłem udział w rozmowach kwalifikacyjnych, przeszedłem je i

przystąpiłem do drugiej rundy testów. – Zrobił przerwę na tyle długą, żeby przełknąć

ostatni kęs deseru i splukać go długim łykiem kawy. – Dałem radę, wstąpiłem do Springs

i szło mi tam całkiem nieźle. Wraz z rozpoczęciem ostatniego roku byłem... w czołówce

dość ściśle, żeby mieć widoki na świetną karierę w armii UP. – Nie widział potrzeby chwalenia się, że lokował się na trzecim miejscu w Akademii. – I wtedy dowódca wezwał

mnie do swojego biura. – Lon zamilkł na dłuższą chwilę, nikt się jednak nie odezwał.

Odświeżał wspomnienie tamtego poranka, kiedy odebrano mu starannie zaplanowaną

przyszłość. W jego pamięci na nowo rozegrała się rozmowa w gabinecie dowódcy i niemal nie zauważył, że w tym samym czasie opowiadał o wszystkim swoim nowym towarzyszom.

–Kadet Nolan melduje się zgodnie z rozkazem, sir. – Lon z niepokojem stawiał się na wezwanie do gabinetu dowódcy, choć nie przypominał sobie, żeby miał na sumieniu cokolwiek, co mogłoby podpadać pod postępowanie dyscyplinarne, z drugiej jednak

strony nie przypominał sobie również, żeby ktokolwiek był wzywany z innej przyczyny.

W przeciągu tych kilku minut, które dano mu na przygotowanie się, Lon przebiegł w myślach swoje zachowanie w ostatnich dniach i nie udało mu się znaleźć powodu, dla

którego miałby stawać do raportu. Dowódca Banks oddał salut Nolanowi.

–Siadać – rzucił, wskazując na krzesło stojące przy rogu biurka.

Takie powitanie było dla Lona większym szokiem niż sam nakaz stawienia się.

Siedział na brzeжку krzesła, wyprostowany, jak wymagały tego od młodego kadeta przepisy. Dowódca obrócił swój fotel na wprost Lona.

–Spokojnie. Nie jesteście na dywaniku – odezwał się Banks, celnie tłumiąc obawy

Lona. – Wręcz przeciwnie. Wasz rejestr jest jednym z najczystszych, jakie widziałem w

przeciągu wszystkich lat spędzonych w Springs. A to w pewien sposób jeszcze bardziej

utrudnia mi powiedzenie tego, co mam wam do powiedzenia.

–Sir?

–Otrzymałem dyrektywy z Gabinetu Obrony – wyjaśnił Banks. – Program nauczania

dla pierwszorocznych studentów zmieni się drastycznie w semestrze letnim, jego

punktami ciężkości będą: wiedza z zakresu tłumienia rozruchów i zagadnienia prawa

karnego. Stu pięćdziesięciu najlepszych z waszego roku ma zostać przeniesionych do

Departamentu Sprawiedliwości, a następnie oddelegowanych do Policji Federalnej UP.

Nie przewiduje się żadnych wyjątków.

Lon nie spostrzegł, że zamilkł, zatopiony we wspomnieniach.

–I co, zrezygnowałeś? – zapytał Phip.

Chłopak powoli pokręcił głową i rozejrzał się po swoich nowych towarzyszach.

–Nie mogłem. Nie miałem dostatecznie dobrych podstaw. Za to zbyt mało czasu na

obniżenie średniej ocen na tyle, by wypaść z owej stu pięćdziesięcioosobowej czołówki,

chyba żebym zupełnie przestał odrabiać prace domowe i z premedytacją zawałał testy, co

z kolei kwalifikowałoby mnie do postępowania dyscyplinarnego z tytułu rozmyślnego

zaniedbywania obowiązków. Kiedy dowódca oszołomił mnie wiadomością o tym, że

mam zostać federalnym gliną... ech, trudno opisać wszystkie myśli, które galopowały mi

przez głowę, jednocześnie, pogmatwane w jakimś wariackim mętliku. Jedynym wyjściem,

jakie widziałem, było zrobienie czegoś naprawdę desperackiego – i bezdennie głupiego.

Jednak dowódca zdążył mnie ubiec.

–On cię z tego wykaraskał? – spytał Janno.

–Można tak powiedzieć. – Lon kiwnął głową. – Wziął na siebie wielkie ryzyko.

–Popatrz na mnie, Nolan.

Lon zamrugnął i podniósł wzrok. Nawet nie zauważył, że opuścił oczy, że zwiesił głowę. Wieści były po prostu zbyt druzgocące, aby mógł w nie uwierzyć.

–Tak jest, sir.

–Dobrze zdaję sobie sprawę z tego, jaki to dla ciebie cios. Mnie też niełatwo się z

tym pogodzić. Jesteśmy jednak żołnierzami, ty i ja, a żołnierze są posłuszni wobec rozkazów, nawet jeśli im się one nie podobają. – Na twarzy dowódcy zastygł ponury uśmiech. – Moim zadaniem tutaj było zrobienie z was żołnierzy, a nie policjantów w gotowości bojowej. – Zerknął w stronę drzwi, po czym przechylił się w stronę Lona. – To,

co mam ci do powiedzenia, musi zostać między nami. Zabraniam ci powtarzać tego komukolwiek spoza tych czterech ścian. Zrozumiano?

–Tak jest, sir. – Lon po raz drugi miał wrażenie, że nie wszystko jest dla niego jasne,

ale mógł tylko siedzieć i czekać na ciąg dalszy.

–Jak już powiedziałem, cholernie dobrze wiem, jak cię to boli. Głównowałem nad tą dyrektywą, odkąd tylko trafiła w moje ręce cztery dni temu i wyszło mi, że nie należy się

poddawać. Powiem tak: nie ma absolutnie żadnych szans, żebym zdobył dla ciebie przydział do armii UP ani żadnej innej armii... na tej planecie. – Kiedy Banks skończył,

Nolan podniósł głowę o kolejne centymetry. – Wolałbyś być żołnierzem niż gliną, prawda?

–Tak jest, sir. Zawsze chciałem być żołnierzem.

–Tak myślałem. Dostaniesz teraz ode mnie pewne nazwisko i kod complinka.

Zapamiętaj je. Nie zapisuj. Przez jakiś czas możesz mieć tutaj pod górkę, Nolan, ale znieś

to jakoś. Potem, kiedy nadejdzie właściwa chwila – a będziesz wiedział, kiedy nadejdzie –

użyj tego kodu i zabieraj się stąd.

Lon zamrugał parę razy i rozejrzał się wokół.

–Kod complinka był numerem do człowieka z KND, który zajmował się rekrutacją i prowadził nielegalną działalność na Ziemi.

–No, i co dalej? – spytał Phip.

Lon wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale krył się w nim ból.

–Trzydziestu dwóch ze stu pięćdziesięcioosobowej czołówki z mojego roku zostało usuniętych z akademii za „naganne zachowanie”. Dowódca upozorował inspekcję sal i

wszyscy zostaliśmy złapani na przemyście. Każdemu wymierzył maksymalną wysokość

kary – wydalenie z Akademii z wilczym biletem – po czym tego samego dnia złożył rezygnację. I oto jestem.

–I oto jesteś – odezwał się kapral Girana. – Czas wracać do koszar, Nolan. Musimy przydzielić ci ekwipunek i zabrać się za sprawdzenie wszystkiego. Jutro z samego rana

zaczynasz trening z plutonem, więc jeszcze dzisiaj musimy cię do niego przygotować.

–Chciałbym móc powiedzieć, że posiadamy aktualne dane na temat każdej planety, na której może przyjść nam stoczyć bitwę – powiedział Lonowi porucznik Taiters. – Ale

nie mogę. Wywiad korpusu robi, co w jego mocy, światów jest jednak po prostu zbyt

wiele, a warunki zmieniają się w zbyt gwałtownym tempie. Z trudem możemy liczyć na

poznanie nazw wszystkich zasiedlonych do tej pory światów, a każda posiadana przez

nas informacja dotycząca układu sił na planecie czy wielkości jej populacji może okazać

się beznadziejnie przestarzała, kiedy już będziemy jej potrzebowali. Zdarza się, że dysponujemy jedynie wiadomościami, które oficer zajmujący się kontaktem zdołał wyciągnąć od klienta, a te nie zawsze są, rzecz by można, w pełni dokładne.

Ludzie z kompanii Alfa zostali przydzieleni do prac na terenie bazy – co jest jednym ze stałych punktów służby garnizonowej. Lona zwolniono, co prawda, z obowiązku sprzątnięcia rejonu, ale i tak nie miał czasu dla siebie. Zawsze były jakieś lekcje, których

należało się nauczyć, wiedza z zakresu uzbrojenia i procedur, którą należało przyswoić.

Zazwyczaj jego nauczycielem był Arlan Taiters, jednak od czasu do czasu pałeczkę przejmował dowódca kompanii, kapitan Orlis. Tego akurat popołudnia, już prawie w miesiąc po wstąpieniu Nolana do A-2-7, Lon siedział wraz z porucznikiem w jednym z

biur głównej kwatery pułków przed wyposażonym w pokaźny ekran complinkiem.

–Dane aktualizowane są w miarę możliwości – powiedział Taiters. Zdążył już

pokazać Nolanowi, jak się logować i jak korzystać z systemu indeksującego bazę danych.

–Położenie geograficzne jest najmniej podatne na zmiany – przynajmniej wzięwszy pod

uwagę interesującą nas skalę czasu. Dopiero wiarygodne dane fizyczne z rekonesansu

planety pozwalają nam wnioskować cokolwiek o ukształtowaniu terenu i warunkach klimatycznych, na wypadek gdybyśmy musieli się tam wybierać. Ale nic poza tym.

Warunki społeczne i polityczne zmieniają się zbyt szybko. Im mniejsza populacja, tym

silniejsze ma tendencje do przemian. Mimo iż większość kolonii wykazuje

prawidłowości co do podstawowych stadiów transformacji, zawsze znajdują się jakieś

wyjątki, a nawet, jeśli odstępstwa nie są drastyczne, różne kolonie na przejście z jednego

stadium do drugiego potrzebują różnych odcinków czasu.

–Czy sugeruje pan, że całe to przedsięwzięcie jest marnotrawstwem energii? – spytał

Lon.

Arlan potrząsnął głową.

–Nie, oczywiście, że nie. Chodzi o to, że nie należy przyjmować na wiarę wszystkich uwzględnionych tu danych. Ich wiarygodność jest poważnie ograniczona. Zbieramy wszystkie możliwe materiały i wkładamy niemało wysiłku w ich analizę. A kiedy ktoś

zgłasza się do Rady Pułków z zamiarem najęcia oddziałów, zazwyczaj dostajemy sporo

informacji dotyczących strefy operacyjnej. Nie zawsze jednak są to informacje

precyzyjne. Czasami pracodawcy wolą, żeby pewne fakty – takie, które mogłyby zaważyć

na naszej decyzji – pozostały dla nas nieznanne, podobnie jak pewne informacje, które

moglibyśmy uznać za zbyt użyteczne. Baza danych to praktyczne narzędzie, ale nigdy nie

powinna być jedynym narzędziem.

–Czy przed wysłaniem wojsk przeprowadzamy własne rozpoznanie?

–Zawsze, kiedy jest to możliwe. Zbyt często jednak na przeszkodzie stają ograniczenia czasowe. – Arlan wylogował się z bazy danych. – Wystarczy jak na jeden

dzień. Powoli przestają jasno myśleć. – Podniósł się zza biurka. Lon zerwał się na nogi

niemal równocześnie – Chodźmy spalić parę kalorii.

–Tak jest, sir. – Bywały dni, kiedy wolałby towarzyszyć kompanom z drużyny przy pracach fizycznych. Pot spływający po takim wysiłku byłby ulgą dla spoconej od myślenia czaszki.

W podziemiach kwatery głównej pułków znajdowała się przyzwoita, dobrze wyposażona sala gimnastyczna. Przylegające do niej pomieszczenie zajmował basen.

Cały sprzęt był do dyspozycji oficerów i podoficerów, którym specyfika obowiązków poskąpiła wysiłku fizycznego. Lon widział nawet pułkownika Gaffrey'a wyciskającego z

siebie siódme poty na atlasie. Młody kadet został zwolniony z obowiązku prac fizycznych, pozwolono mu – zachęcono wręcz – do korzystania z sali gimnastycznej tak

często, jak tylko miał ochotę.

–Ile mamy czasu? – Lon spytał porucznika, kiedy obydwaj przebierali się w szatni w

spodenki i trampki.

–Ty masz tyle czasu, ile chcesz. Zostaw sobie tylko parę minut na prysznic przed kolacją – odpowiedział Arlan. – Ja muszę wyjść stąd o 1600. Zebranie sztabu.

Rozdzielili się zaraz po przekroczeniu progu. Taiters poszedł prosto do worków treningowych. Swego czasu był mistrzem korpusu w swojej wadze. Lon zaczął od kilku

ćwiczeń rozciągających, po czym ruszył biegiem po bieżni wytyczonej na obwodzie hali.

Biegał na długie dystanse zarówno na studiach, jak i w Springs. Wygrał pokaźną liczbę

biegów; rzadko plasował się poza podium – mimo to nigdy – nieważne, jak bardzo wypruwał sobie żyły – nie udało mu się zbliżyć do rekordowego czasu.

Nadal się forsował, ale czasy jego świetności powoli zaczynały odchodzić w niepamięć. Podczas gdy na Ziemi rekordy były coraz lepsze, on sam zaczął coraz bardziej zostawać w tyle, żeby nie powiedzieć, że zupełnie stanął w miejscu. Nie poddawał się jednak. I nie zamierzał.

„Jeden naprawdę dobry bieg” – pomyślał, włączając stoper na ręcznym zegarku. –

„Nie ma znaczenia, czy ktokolwiek się o nim dowie. Zadowolę się jednym dobrym biegiem”. Mimo że z sali korzystał jeszcze z tuzin mężczyzn, Lon miał tor tylko dla

siebie. Inni ćwiczący czekali, aż przebiegnie, zanim przechodzili przez bieżnię. Biegacz

zawsze miał pierwszeństwo. Lon dobił do swojej najlepszej formy, oddychając głęboko i

skupiając wzrok na możliwie najodleglejszym punkcie przed sobą, zawężając granice

postrzeganego świata. Bieg był wszystkim, co istniało, jedyną rzeczą, jaka się liczyła.

Bieżnia była krótka. Siedem długości równało się jednej mili. Odległości zaznaczono na

ścianie i na podłodze. Lon nieświadomie liczył okrążenia.

Mijając kolejną wymalowaną milę, zerknął na zegarek – zanim zaczął zwalniać.

–Cholera – mruknął. Nie zszedł nawet do czterech minut. – O wiele za wolno. –

Położył dłonie na biodrach, przechodząc w trucht na ostatnie pół okrążenia. Przez pięć

minut ćwiczył na obręczach mięśnie ramion i górnej części ciała, po czym przeszedł na

urządzenie, które pozwalało mu przenosić wagę ciężarków raz na rękę, raz na nogi.

Zanim wstał od sprzętu, trzęsły mu się i górne, i dolne kończyny. Cały spływał potem,

kwalifikował się już do długiego odpoczynku.

A mimo to nie odpuścił sobie. Zmusił się jeszcze do paru chwil lżejszych ćwiczeń,

żeby nieco ochłonąć i ruszył w kierunku pływalni. Zatrzymując się jedynie, żeby

ściągnąć buty i skarpetki, skoczył do basenu, z radością witając szok wywołany chłodem

wody. Przepłynięcie dziesięciu długości, doliczywszy parosekundowy odpoczynek po

każdej, zajęło mu kwadrans; w wodzie nie dawał z siebie wszystkiego. Następnie położył

się na plecach i unosił kilka minut na wodzie, lekko machając nogami i zataczając

szerokie okręgi wokół środka basenu. Moczył się tak długo, aż poczuł się na tyle

zrelaksowany, że był gotów zasnąć na miejscu. Podpłynął leniwie do krawędzi i

podciągnął się. Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina 1630.

–Do kolacji mam jeszcze mnóstwo czasu – powiedział pod nosem Lon. Wszyscy, co

było dla niego niezłą zagadką, zdawali się aż do przesady troszczyć o to, żeby nie

opuszczał posiłków. Nie miał niedowagi, a już na pewno nie wykazywał objawów niedożywienia czy anemii. Zdjął ręcznik z wieszaka, wytarł się, zabrał buty ze skarpetkami i ruszył w stronę szatni. Wziął prysznic, najpierw tak gorący, aż zostawił na

jego ciele różowe pręgi, a następnie lodowato zimny, od którego dostał gęsiej skórki.

Akurat kiedy zbierał się do wyjścia z hali sportowej, był już najwyższy czas, żeby ruszyć

w stronę stołówki.

Dirigent City przylegało do bazy KND. Przez ostatnie pięć stuleci miasto i baza rozwijały się obok siebie. Przez większość tego czasu dowódca Korpusu Najemników

Dirigentu, generał (w KND generał był jeden i przewodniczył Radzie Pułków, która wybierała go spośród swoich członków) stał również – *ex officio* – na czele rządu planetarnego. Baza i miasto stanowiły łącznie dwie trzecie światowej populacji. Większą

część pozostałego ułamka można było znaleźć w promieniu dwustu mil. Jak na świat

zasiedlony od tak dawna – więcej niż od sześciu wieków – koncentracja ludności na

Dirigencie była zjawiskiem niecodziennym; Dirigent był jednak wyjątkowym światem, w

dalszym ciągu niemalże całkowicie uzależnionym od jednej tylko gałęzi przemysłu.

Większość skolonizowanych światów przejawiała tendencję do wyraźniejszego różnicowania się już w trzecim czy czwartym pokoleniu osadników.

Mimo iż Dirigent City było ponad wszelką wątpliwość miastem wojskowym, istniała jedna znacząca różnica między nim a miastami wojskowymi w innych światach.

Strefa

cywilna, która graniczyła bezpośrednio z główną bramą, nie była domeną interesów zakładanych z myślą o usługach dla żołnierzy i upłynianiu ich żołdów.

Zabudowania

stojące najbliżej głównej bramy i ciągnące się wzdłuż drogi prowadzącej od wejścia aż

do portu kosmicznego po drugiej stronie miasta miały za zadanie wywierać dobre wrażenie na gościach spoza świata – w szczególności zaś potencjalnych klientach.

Agencje rządowe i biura urzędników cywilnych skupiały się przy trasie, którą z największym prawdopodobieństwem mogli podróżować dyplomaci. Z trasy tej można

było także dostrzec – w większości oddalone od ciasno zaludnionych osiedli mieszkalnych – fabryki broni i sprzętu wojskowego. Materiały wojenne były na Dirigencie takim samym towarem eksportowym jak żołnierze.

Żołnierskie spelunki mieściły się za publiczną fasadą, na bocznych uliczkach i osiedlach oddalonych od reprezentacyjnej części miasta. Najbliżej położone znajdowały

się dość niedaleko, żeby spragniony żołnierz mógł wpadać do nich, nie nadkładając zbytnio drogi, ale co bardziej wyrafinowane wodopoje wymagały dłuższej pielgrzymki,

podobnie jak i inne instytucje, które specjalizowały się w zaspokajaniu potrzeb i kaprysów służb mundurowych – szczególnie zaś żołnierzy w stanie wolnym, którzy stanowili więcej niż sześćdziesiąt procent składu osobowego KND. Pod bramami prowadzącymi do bazy zawsze czekały taksówki, gotowe zawieźć żołnierzy do dowolnego miejsca, a przy ulicy biegnącej tuż obok głównej bramy stały przystanki dwóch linii autobusowych... to dla oszczędnych.

Po szybkiej kolacji Lon Nolan opuścił bazę. Większość drużyny już ponad godzinę wcześniej ruszyła w stronę miasta do swoich ulubionych miejsc. Ich nikt nie upominał,

żeby nie opuszczali posiłków. Lon miał na sobie cywilne ubranie. Poza terenem bazy

mało który członek KND nosił mundur, chyba że był na służbie albo odbywał patrol – co

stanowiło część kontyngentu obrony planetarnej.

Mimo wcześniejszego wysiłku na sali gimnastycznej Lon wybrał pieszą drogę, minął przystanek autobusowy i postój taksówek, nie obrzucając ich nawet przelotnym spojrzeniem. Nie zamierzał zapuszczać się zbyt daleko. Dzielili go tylko dwie trzecie mili od baru, gdzie spodziewał się spotkać kilku członków drużyny. To było ich zwyczajowe miejsce pobytu – przynajmniej przez pierwszą część wieczornego wypadu na

miasto.

Niewiele zostało do zachodu słońca. Latarnie uliczne już się paliły. Wszędzie było pełno ludzi, bądź to spacerujących, bądź spieszących gdzieś w samochodach. Za trzecim

blokiem od głównej bramy Lon skręcił w boczną uliczkę. Drzwi po obydwu stronach zaułka chętnie otwierały się przed wojskowymi. Bary, restauracje, lombardy, salony gier

i inne miejsca rozrywki kryły się za szacownymi fasadami. Rada miejska czuła się bardzo

zobowiązana wobec swojego kontyngentu wojskowego. Raz, że kreował spory segment

miejscowego rynku zbytu, dwa – nie było wśród członków rady miejskiej nikogo, kto nie

miały w szeregach KND paru krewnych. Do jedynych – jak się zdaje – występków, których nie można było otwarcie praktykować, należało używanie środków odurzających

o działaniu destrukcyjnym i fizyczne uszkodzenia ciała. W Dirigent City odsetek zbrodni

był niski – podobnie zresztą jak na całej planecie. Dyscyplina wojskowa należała do surowych. Wszelkie przejawy niesubordynacji spotykały się z drakońskimi karami.

Im dalej od głównych ulic, tym neony były większe i bardziej ostentacyjne. Muzyka rozbrzmiewała głośniejsze, wylewając się niemal przez każde z otwartych drzwi.

Lon znalazł miejsce, którego szukał – *Purpurową Jędzę*. Pomimo nazwy,

krzykliwego wystroju i dudniącej muzyki *Purpurowa Jędza* była na swój niezwykle

sposób relatywnie spokojnym zakątkiem. Bar znajdował się tam, gdzie panował

największy ruch. Na knajpę składały się jednak jeszcze inne pomieszczenia, wyższe

i niższe kondygnacje, które sprawiały wrażenie bardziej ujarzmionych.

Hałas zawsze działał na Nolana odstręczająco. Jak dla niego, muzyka chrypiała

jazgotliwie, jakby ktoś ucierał coś na tarce. Oświetlenie baru było chyba jednak jeszcze

i gorsze. Fioletowe światła, z czego połowę stanowiły stroboskopy, spływały na fiolet

i czerwień składające się na dominującą kolorystykę baru. Jedyna mała biała lampka

błyskała w nierównych odstępach i Lon musiał mrugać za każdym razem, kiedy obracała

się w jego stronę.

W barze nie udało mu się dostrzec żadnego z kompanów. Nie zdziwił się. Większość

z nich miała już dość lat na karku, żeby gustować w bardziej zrównoważonym otoczeniu.

Kiedy tylko oczy Lona przyzwyczyły się do światła, ruszył w kierunku łuku, który wiodł

do następnej sali oraz w stronę schodów i windy prowadzących na górę. Phip i pozostali

mogli być wszędzie, ale chłopak zgadywał, że skoro wyszli bez kolacji, znajdzie ich w

salonie na drugim piętrze, gdzie mieściła się restauracja.

Lon zaczął wspinać się po schodach. Z każdym krokiem hałas z dołu przycichał wchłaniany przez ściany i sufit, tłumiony przez każdą kolejną serpentynę stopni. Mimo iż

rozmaitych pomieszczeń Purpurowej Jędzy nie oddzielały zamknięte drzwi, każde zdawało się być akustycznie izolowane. Spytał o to po swojej pierwszej wizycie w barze.

Odpowiedzi udzielił mu Tebba Girana.

–To taka sama technologia, jakiej używamy – na inną skalę – żeby ułatwić życie naszym czołgistom i artylerzystom. Tłumienie dźwięków to ważna rzecz, a wojsko nie

jest jedynym miejscem, gdzie się korzysta z tej techniki.

–To nie jest ściśle tajne? – zaciekawiał się Lon.

Girana pokręcił głową.

–Przestało być jakieś pięćdziesiąt lat temu, jak myślę. Fabryki na kilku innych planetach dostały od nas nawet licencję na produkcję i przekazują nam teraz część zysków z tytułu nadania.

Phip, Dean i Janno siedzieli przy stoliku tuż obok kontuaru. Chociaż to pomieszczenie *Purpurowej Jędzy* nazywano restauracją, nie było przeznaczone tylko dla

jedzących, a takie samo menu było dostępne we wszystkich innych salach.

„Restauracja”

znajdowała się po prostu najbliższej kuchni i najprawdopodobniej z racji tego faktu zyskała

swoje miano.

Lon zamówił przy barze piwo i ruszył w kierunku stolika. Phip Steesen przysunął dla niego krzesło.

–Myśleliśmy już, że do nas nie dotrzesz – rzucił Phip. Jego oczy zdradzały, że zdążył

sobie zdrowo chlapanąć. Mówił powoli, z wielką pieczołowitością dbając o dykcję.

–Zjadłem w stołówce. Dzięki temu mam więcej funduszy na to. – Lon podniósł kufel.

Wiedział, że to bezpieczne wytłumaczenie, które zaoszczędzi mu żartów na temat jego

sknerstwa.

–Tebba mówił, że porucznik uwiązał cię przy nodze – wtrącił Dean. – Ten to czasem nie wie, kiedy sobie odpuścić.

Lon wyszczerzył zęby i potrząsnął głową.

–Poszedł na zebranie sztabu o czwartej. – Żołnierze na przepustce mieli zwyczaj nieoperowania wojskowymi jednostkami czasu.

–Może obito ci się o uszy coś użytecznego, na przykład, kiedy możemy liczyć na kontrakt? – spytał Dean.

–Pewnie dowiecie się o tym przede mną, chłopaki. Kwestia była dla ludzi nie bez znaczenia. Żołd kontraktowy był wyższy od tego, jaki dostawali w garnizonie, a większość z nich znała batalion aż nazbyt dobrze.

–Za mojej kadencji w korpusie bywały takie czasy, że musieli rezygnować z

kontraktów, bo wszyscy mieli napięty grafik – powiedział Phip. Pokręcił głową, po czym

pociągnął długi łyk piwa. – A teraz co? Ciszka. Już pół roku temu byliśmy gotowi do

wylotu, odbębniliśmy swoją kolej treningu i regeneracji, dopełniliśmy obowiązku obrony

planetarnej. I znów trenujemy, pałętamy się po bazie, odwalając różne fuchy, nie mamy

nic do roboty, jak tylko czekać.

–Jesteśmy następni w kolejce do każdego kontraktu, czy to będzie batalion, czy

większa jednostka – wtrącił Janno. W porównaniu ze swoimi dwoma towarzyszami

brzmiał pozytywnie trzeźwo. Nie wprowadził się w stan upojenia alkoholowego tak jak

inni, zwłaszcza Phip. – Kolejny rusza pułk siódmy, a w siódmym to nasz batalion ma

pierwszeństwo.

–Z naszym szczęściem, do następnej wiosny nie trafi się nic poza kontraktami dla

kompanii albo i mniejszymi – zawyrokował Phip. – A na liście kompanii jesteśmy na

szarym końcu, czwarci albo jeszcze dalej.

Lon pił piwo małymi łydkami, zarzekając się, że każdy następny to już ostatni.

Sposób, w jaki korpus przydziałał kontrakty, był dość prosty. Tworzono grafiki dla

pułków, batalionów i kompanii. Ruszała odpowiedniej wielkości jednostka, która

najdłużej przebywała w garnizonie. Wybór jednostek w sytuacji, kiedy część ich składu

była ostatnio poza bazą, stawał się bardziej złożoną procedurą, generalnie jednak zamysł

był taki, żeby przydział działań odbywał się jak najbardziej sprawiedliwie. KND

przyjmował kontrakty różnej wagi, włącznie z wysyłaniem na misję tylko jednej

drużyny. Zdarzało się też, choć rzadziej, że pojedynczy oficer zostawał ekspediowany,

aby przeprowadzić oszacowanie zdolności militarnej klienta – albo też problemów w tym

wymiarze – ale takie akcje przeprowadzano zazwyczaj jedynie w nadziei na bardziej lukratywny kontrakt w przyszłości.

–Już niedługo znajdzie się coś dla nas – uspokajał Lon. „Mnie też na tym zależy i to nie tylko ze względu na perspektywę lepszych zarobków” – pomyślał. Potrzebował walki,

żeby dostać rangę oficerską, swoją porucznikowską gwiazdkę.

–W tej chwili zadowolilibym się nawet wyprawą na safari – rzucił Phip.

–Safari? – spytał Lon.

Phip skinął tylko głową, mniej więcej w swój kufel. Janno podjął wątek.

–Raz na jakiś czas na nowo osiedlonej planecie koloniści nie dają sobie rady z rdzennymi drapieżnikami. Albo tracą ludzi, albo przepada im inwentarz. Wzywają wtedy

żołnierzy, którzy mają za zadanie przetrzebić agresywne drapieżniki lub przegnać je z

terenów zamieszkałych.

–Problem w tym – wtrącił Dean, który tak się palił do zabrania głosu, że mało co nie obryzgał się piwem – że nowe kolonie niezbyt często mają gotówkę albo towary do sprzedania, przez co nie mogą sobie pozwolić na wynajęcie tylu żołnierzy, żeby robotą

była wykonana, jak należy. A bywa, że nie wiedzą dość o zwierzakach, które mamy zabijać i zlecenie przestaje być już takie bezpieczne.

–Nawet jeśli uda im się uciuć dość, żeby spłacić taki, powiedzmy, pluton, nie starcza im już na premie – dokończył Dean.

–Jaki był największy kontrakt, w którym braliście udział, chłopaki? – spytał Lon. –

Taki, gdzie było najwięcej ludzi.

Cała trójka spojrzała po sobie.

–Dwa pułki – odezwał się Janno. – To było prawie jak regularna wojna, co to wybuchały swego czasu na Ziemi. Opozycjoniści mieli nawet w zanadrzu parę starych

skyboltów i myśliwców.

–To było dopiero niezłe bagno – dodał Phip. Wychylił duszkiem resztę piwa i podniósł kufel, machając nim w stronę kelnerki. – Niezłe bagno – powtórzył, tym razem

już mrucząc pod nosem. – Straciliśmy wtedy czterech ludzi z plutonu.

Dean i Janno opróżnili na raz swoje kufle. Lon poszedł w ich ślady. Wyglądało na to,

że tak wypada.

Dwie godziny później cała czwórka była z powrotem na ulicy, zmierzając – za namową upierającego się Phipa – w kierunku kolejnego baru, *Smoczycy*. Janno i Lon szli

po zewnętrznej. Ciągłe jeszcze trzymali pion. Dokładali starań, żeby trzymać jakoś w ryzach meandrowanie Phipa i Deana. Ci mieli już mocno w czubie.

–Weekend – zdążył wytłumaczyć się Phip, zanim utracił zbornosć. – Dwa dni bez roboty.

***W Purpurowej Jędzy* Lon wypił cztery piwa. Odnosił wrażenie, że Janno nie wyprzedził go zbyt, mimo iż siedział tam dłużej. Chłopak nie spytał, gdzie mogła się**

podziewać reszta drużyny. Choć nie padło ani jedno słowo na ten temat, miał podejrzenia, że reszta była bardziej... wybredna, jeżeli chodzi o dobór kumpli do

kielicha.

Lon dopiero szkolił się na oficera; pewnego dnia być może będzie im przewodził, może

pośle jednego lub więcej z nich na spotkanie ze śmiercią. W momentach największej

podejrzliwości Lon posądzał całą trójkę o to, że przyjęła go pod swoje skrzydła tylko

dlatego, że kapral Girana albo sierżant Dendrow poprosili ich o opiekę nad nim i

dopilnowanie, żeby nie wpakował się w tarapaty. Póki jednak nie miał co do tego

pewności, postanowił zachowywać się tak, jakby włączyli go do swojego grona z innych

przyczyn.

Phip zaczął podśpiewywać jakąś niemożliwie obsceniczną piosenkę o Harko Bainie

– prawdopodobnie pierwszym najemniku na Dirigencie, jeszcze z czasów przed KND,

kiedy to młodzi Dirigentyjczycy wypuszczali się raz na jakiś czas poza orbitę, żeby

dołączyć do sił najemniczych. Piosenka zdawała się mieć nieskończoną liczbę zwrotek,

niemal po równo rozdzielonych między wojskowe i seksualne wyczyny Baine'a... przy

czym – zgodnie ze słowami piosenki – i jednych, i drugich nie powstydziliby się sam

Herkules. Refren był z tego wszystkiego jeszcze najłagodniejszy.

Stoczył był tysiąc bojów

W pięciuset różnych światach

I dziesięć tysięcy dzieciaków

Zostawił przy chętnych dzierlatach.

Co pewien czas Dean używał Phipowi swoich talentów wokalnych, ale głosy

obydwu śpiewaków jakoś z sobą nie współbrzmiały, a kiedy jeden starał się zagłuszyć

drugiego, Janno uciszył obydwu. Zbyt widowiskowy pokaz upojenia alkoholowego w miejscu publicznym mógłby sprowadzić na nich tylko kłopoty.

Lon nie zwracał większej uwagi na śpiew, ale uśmiechał się przy każdym refrenie. W

bibliotece znalazł informacje o Harko Bainie. O samej postaci historycznej niewiele było

wiadomo poza datami narodzin, śmierci i dirigentyjskich potomkach – dwóch synach i

córcie. Poza tym znajdował się tylko zdawkowy komentarz: „Prawdopodobnie jeden z

pierwszych najemników na Dirigencie”. Za życia Harko liczba zasiedlonych światów w

galaktyce nie sięgała pięciu setek. Ilość ich zbliżała się raczej do dwustu. Zostawił jednak

po sobie porywającą legendę.

Smoczyca wielkością przegrywała z *Purpurową Jędzą*, ale właściciele dołożyli

starań, żeby przy głównym barze zmieściły się możliwie największe tłumy. Między

stolikami ledwo można było się precyzyjnie przemieszczać, a kontuar pojawiał się w polu widzenia, tylko

kiedy się człowiek o niego oparł. Przed ladą stały jakieś trzy czy cztery rzędy klientów.

Lon wraz z kompanami przepchnęli się wzdłuż ściany i skupili na skraju strumienia ruchu.

–Wiem, dlaczego chciałeś, żebyśmy tu przyszli – kadet huknął Phipowi tuż przy

uchu, aby przekrzyczeć przemierzających się ludzi i głośną muzykę. – Jest tutaj tyle

narodu, że nawet gdybyś chciał, nie zwalisz się na podłogę.

Phip odpowiedział Lonowi szerokim, nie rozumiejącym uśmiechem. Usłyszał tylko część z tego, co chłopak powiedział, przy czym nie zrozumiał ani słowa.

Janno zaczepił prawie nagą kelnerkę – nie miała na sobie nic poza opasującym talię cieniutkim fartuszkim z dwiema kieszonkami, jedną na napiwki, drugą na bloczek z zamówieniami – złapał ją za pas i przyciągnął do siebie. Przystawił usta prosto do jej ucha i zamówił cztery piwa dla wszystkich.

Lon uniósł brew. Janno jakoś strasznie długo wyduszał z siebie te „cztery piwa”.

Kelnerka zachichotała, uwolniła się z objęć Janno i ruszyła do części baru

zarezerwowanej dla obsługi. Lon spodziewał się długiego czekania, ale była z powrotem

ledwie po paru chwilach. Kiedy już piwa zostały rozdysponowane i zapłacone – Janno

stawiał, była jego kolej – złapał kelnerkę jeszcze raz i szepnął jej coś do ucha. Zaśmiała

się i skinęła głową, a kiedy odchodziła od stolika, Janno był nadal uczepony jej talii.

–Co tu się... – zaczął Lon, ale zamknął się, kiedy do niego dotarło. W *Smoczycy* na sprzedaż był nie tylko alkohol.

Odprowadził wzrokiem Janno i kelnerkę do wąskiej klatki schodowej na tyłach sali,

gdzie wspięli się na górę. „OK, teraz już wiem, co tu się dzieje” – pomyślał, uśmiechając

się do siebie. Kelnerka była niczego sobie. Podobnie jak inne, które się tu kręciły, wszystkie odziane w ten sam strój.

Kiedy Janno wrócił pół godziny później, zdawało się, że pogwizdywał, ale poza ogólnym zgiełkiem panującym w *Smoczycy*, Lon nie zdołał nic dosłyszeć.

–Ładnie to tak, zostawiać mnie samego na pastwę tych pijaczków i ucinać sobie drzemkę? – rzucił oskarżającym tonem, choć walczył z sobą, żeby nie wybuchnąć

śmiechem.

–No co, kupiłem wam najpierw piwo. Poza tym, jak masz ochotę, twoja kolej – odparował, szczerząc zęby Janno. – To jedyny powód, dla którego dałem się Phipowi

namówić do przyścia tutaj. Najlepsze dziewczyny w mieście.

–Wydawało mi się, że jesteś zaręczony.

–Bo jestem. Z nią.

Lona na sekundę zamurowało. Nie był pewien, czy Janno nie żartuje sobie z niego.

Przyjął jednak, że Belzer grał fair.

–Serio? – spytał Lon.

Janno przytaknął promiennie.

–Ona zarabia pięć razy tyle, co ja, a może i więcej i zna wszystkie możliwe sposoby we wszechświecie, żeby uszczęśliwić mnie w łóżku – i w ogóle. Jak już się pobierzemy,

będziemy mieć kupę czasu tylko dla siebie.

Kiedy już cała czwórka opuściła wreszcie *Smoczycę*, Phip i Dean ruszyli przodem, od

czasu do czasu nakierowywani na właściwe tory przez Lona i Janno.

–Wyglądałeś wtedy na zszokowanego – zagał Janno, kiedy minęli już jakieś sześć bloków. – Kiedy powiedziałem ci o Mary, mojej narzeczonej.

–Być może – odparł Lon. – Wziąłeś mnie przez zaskoczenie.

–Bo mam zamiar poślubić dziwkę?

Lon zawahał się chwilę, zanim przyznał.

–Cóż, tak. Pamiętaj jednak, że wciąż jeszcze nie wiem wielu rzeczy o Dirigencie.

–Tak naprawdę nie ma żadnej różnicy między Mary a nami, Lon – zaczął Janno

bardzo łagodnym tonem. – Zarabiamy na życie, handlując naszymi ciałami. Jej praca jest

tak samo godna szacunku jak nasza.

„Na Ziemi by się z tym nie zgodzili” – przemknęło chłopakowi przez głowę.

–Muszę się jeszcze wiele nauczyć, Janno – powiedział na głos.

–Dlatego ci o tym powiedziałem – odparł. – Oszczędzisz sobie kłopotliwych sytuacji w przyszłości. Chodzi mi o to, że gdybyś poszedł z Mary, a potem dowiedział się, że jest

moją narzeczoną, przejście nad tym do porządku dziennego mogłoby sprawić ci pewne

problemy. A teraz już wiesz i nie przeszkadza mi to. Polecam ją wszystkim swoim przyjaciołom. Jestem z niej dumny. Jest piekielnie dobra w tym, co robi.

Każdy dzień przynosił świeżą porcję plotek. Na horyzoncie pojawiły się kontrakty.

Kiedy żołnierze nie mieli akurat nic ważniejszego do roboty, zaczynały się wyścigi

domysłów. Nie tylko szeregowcy ekscytowali się niesprawdzonymi plotkami. Lon

słyszał je też, rzadziej i w łagodniejszej formie, z ust podoficerów; pojawiły się

nawet w

rozmowie między porucznikiem Taitersem i kapitanem Orlisem. Wszyscy aż palili się

do

wyjazdu na płatny kontrakt. Jedyną regułą w ogólnej wymianie informacji była

chyba

tylko zasada równej rangi plotkujących. Lon natomiast, z racji swojego

szczególnego

statusu kadeta, słyszał je na każdym poziomie.

W ciągu kolejnych trzech tygodni okazało się jednak, że żadna z plotek nie miała

pokrycia w rzeczywistości. Nie podpisano nowych kontraktów, zjawilo się tylko

dwóch

dypłomatów w celu przeprowadzenia wstępnych rozmów na temat możliwości

przyszłego zatrudnienia dla ludzi z KND. A potem...

Starszy sierżant Jim Ziegler, cieszący się największą sympatią członek kompanii

Alfa, zjawił się w stołówce w czasie kolacji.

–Słuchajcie, co mam wam do powiedzenia – odezwał się. – Począwszy od teraz,

kompania A ma wolne. Dwa dni do waszej dyspozycji. Żadnego treningu, żadnych

prac

fizycznych, żadnych wart aż do piątkowej pobudki.

Salwa wiwatów była niemal ogłuszająca. Niektórzy sztucami wystukiwali rytm na

tackach.

–Cały ten cyrk za dwa dni wolnego? – spytał Lon, kiedy wrzawa zaczęła cichnąć.

–Ty nie rozumiesz! – krzyknął podekscytowany Phip. – To znaczy, że ruszamy w drogę. Dostaliśmy kontrakt. I w końcu dostaniemy kontraktowe pensje.

Na te dwa i pół dnia wolności Lonowi oszczędzono nawet kuratelę. Kapitan Orlis i porucznik Taiters przez cały czas byli nieobecni. Kompania przeszła pod dowództwo

porucznika Hopera, a i on pojawiał się z rzadka. Wszyscy żonaci oficerowie również opuścili bazę. A spośród szeregowców wielu zjawiało się tylko na noc i w porze posiłków.

–Nie dowiemy się niczego o kontrakcie? – Lon spytał kaprała Giranę, zanim Tebba wyjechał.

–Wystarczy czasu w piątek albo po drodze – odpowiedział Girana. – O to się nie martw. Dobrze wykorzystaj wolny czas. Nie wiadomo, ile może nam to zająć. Jak się poszczęści, może wrócimy dopiero następnej wiosny.

Lato nie dobiegło jeszcze końca.

Lon był jedynym członkiem drużyny, który został w koszarach pierwszego wieczoru wolności. Phip i Janno przyszli powiedzieć mu, że wychodzą i zaproponowali, żeby zabrał się z nimi.

–Nie, ruszajcie chłopaki – powiedział. – Może później do was dołączę.

–Prędzej czy później trafimy do Smoczycy – dodał Janno, błyskając zębami w uśmiechu. – Wpadnij, jak masz ochotę. Dam ci szansę właściwie zapoznać się z Mary.

–Nie wiem, czy spotkamy się dziś wieczorem – odparł Lon niezbyt pewien, co Janno miał na myśli przez „właściwe zapoznanie się z Mary”. Dirigentyjczycy może i

mieli

inne spojrzenie na te sprawy, ale on nie był chyba jeszcze gotów, żeby pójść do łóżka z

narzeczoną przyjaciela, nawet mając jego pełne błogosławieństwo.

Zjadł w niemal zupełnie wyludnionej stołówce. Z całej kompanii na kolacji zjawilo się mniej niż trzydziestu ludzi – ledwo co połowa plutonu. Lon siedział przy stole sam;

nie spieszył się z posiłkiem, próbował zaplanować sobie jakoś wieczór i cały ten wolny

czas. Po kolacji udał się do swojej kwatery w koszarach.

„Mógłbym przecież gdzieś wyskoczyć” – powiedział w myślach. „Wcale nie muszę iść do *Smoczycy*”. Mimo to i tak istniała szansa, że wpadnie na Janno, Deana i Phipa, a

jeśli już wpadnie, cała trójka będzie nalegać, żeby włączył się z nimi przez resztę wieczoru.

Przez pół godziny ślęczał nad listem do domu. „Wyślę go chyba jeszcze przed odlotem” – zdecydował. Zapisywał dane na tym samym infochipie, odkąd tylko wylądował na Dirigencie. Zostało na nim jeszcze trochę wolnego miejsca, ale... wydawało się, że najlepiej będzie wysłać go przed ruszeniem na akcję. Poczta nie działała szczególnie szybko. Droga radiowa była wykluczona z racji ograniczenia w postaci prędkości światła. Wiadomość z Dirigentu szła do domu całe dekady. Elektroniczne nośniki danych, wysyłane drogą fizyczną, były jedynym praktycznym sposobem prywatnej komunikacji międzygwiazdnej. Nie obywało się bez wysokich kosztów, szczególnie kiedy trzeba je było wysłać okrężną drogą (nie było bezpośrednich połączeń między Ziemią a Dirigentem), co stanowiło powód, dla którego Lon

zdecydował, że będzie wysyłał tylko pełne chipy. Jego rodzice nie mieli od niego żadnych informacji od czasu postoju na Nad-Galapagos. On również pozostawał bez wieści od nich.

Kiedy już zamieścił w liście wszystko, co miał zamiar powiedzieć, poczytał trochę i wcześniej położył się spać. Śnił – o walce i... strachu.

Podobnie jak większość zasiedlonych przez gatunek ludzki światów, również Dirigent operował tradycyjnymi jednostkami czasu. Rok dzielił się na takie same dni, tygodnie, miesiące, z takimi samymi nazwami. Niemniej jednak ani rok, ani dzień nie odwzorowywały dokładnie odpowiednich odcinków czasu na Ziemi. Dzień był dłuższy o siedemnaście minut; żeby skompensować tę różnicę, dirigentyjska „minuta” i „sekunda” były o ułamek dłuższe od swoich ziemskich antenatów. Dirigentyjski rok składał się jedynie z 363 i ułamka dnia, tak więc każdy z jego dwunastu miesięcy miał dni trzydzieści; dla zniwelowania różnicy obchody Nowego Roku trwały trzy dni (cztery w roku przestępnym, który przypadał co sześć lat). Ten kalendarz był – tak czy inaczej – używany jedynie na potrzeby własne Dirigentu. Oprócz niego funkcjonował również „standardowy” i kalendarz wspólny wszystkim ludzkim światom. Żeby uniknąć kompletnego zamieszania, potrzebowały jednolitego systemu.

Ludzie z drugiego batalionu zaczęli napływać późnym czwartkowym wieczorem, splekani, wymęczeni i – w przeważającej części – wyciszeni po skończeniu się ich

nieoczekiwanej laby.

–W okopach pieniędzy raczej nie wydamy – powiedział Phip wcześniej tego samego

dnia, kiedy Lon natknął się w mieście na swoich kumpli. – A kiedy wrócimy do domu,

będzie czekała na nas wypłata, nie widzę więc powodu, żeby nie rozpuścić teraz trochę

waluty.

„Poza tym, istnieje zawsze możliwość, że już tu nie wrócimy” – przemknęło wtedy

Phipowi przez głowę. „Nie chciałbym umierać z myślą, że nie wydałem, ile mogłem i nie

wychyliłem tyłu kufli piwa, na ile tylko było mnie stać”.

Tej nocy nikt nie położył się spać w stanie wskazującym. Ci, którzy przyszli na

rauszu, łyknęli pigułki na wytrzeźwienie i wyeliminowanie objawów kaca. Jeśli stan

zamroczenia alkoholowego zdążył zabić w kimś zdolność myślenia, miał kumpli, którzy

o niego zadbali.

Tamtego ranka Lon wysłał chip do domu. Wieczorem, kiedy w koszarach wszystko

wróciło do normy, zabrał się za kolejny list. Nie wysłał go, zanim nie wróci na Dirigent...

albo zanim nie stanie się jasne, że już nie wróci. Zabierze go z sobą na statek, będzie

uzupełniał w miarę możliwości, kiedy przyjdzie mu do głowy jeszcze coś, co chciałby

powiedzieć rodzicom i garstce ludzi, którzy czekali na wieści od niego.

–Reszta chłopaków w drużynie to stare wygi. Przechodzili już przez to, niektórzy z

tuzin razy albo i więcej. Umawiają się, piją, odprężają, a potem wracają tu i kładą się

spać – na pozór tacy spokojni. Ale dla mnie wszystko jest nowe. Jestem trzeźwy i...

nie

do końca pewien, czy w ogóle uda mi się zasnąć dzisiaj albo przez kolejne kilka tygodni,

które zajmie nam podróż na miejsce – mówił przyciszonym głosem do swojego complinka, wiedząc, że urządzenie ściągnie nawet szept. Nie chciał przeszkadzać współmieszkańcom i pragnął nie być podsłuchanym.

W końcu zabrakło mu już słów. Wyłączył complink, ale nie ruszył się z miejsca, tylko siedział i wbijał w niego wzrok, usiłując pozbyć się osaczającego go wrażenia niepewności.

„Za wcześnie, żeby zaczynać się gryźć. Zacznę teraz, a nim dolecimy na planetę, zostanie ze mnie roślinka albo bełkoczący świr” – pomyślał. Podróż miała zająć od czternastu do szesnastu dni. Nawet między sąsiednimi systemami każdy międzygwiazdny

tranzyt zabierał tak dużo czasu. Statek będzie leciał pięć dni w przestrzeni kosmicznej,

nim wykona pierwszy z trzech skoków w przestrzeń Q; każde następne zanurzenie również będą poprzedzały trzy dni w zwykłej przestrzeni kosmicznej, czasem pięć – po ostatnim skoku.

„Nawet nie wiesz jeszcze, co to za kontrakt” – uprzytomnił sobie. „Może wcale nie będzie taki niebezpieczny. Kto wie, czy nie trafi się trening albo safari, albo... cokolwiek

innego”. Zmarszczył brew, wstał. W kabinie, nieco dłuższej niż długość łóżka, wypełniał

sobą całą wolną przestrzeń. „Jeśli to nie będzie walka, nie będzie się liczyć jako przepustka do mojej gwiazdki. Do rangi potrzebna jest walka”.

Ostatecznie zmorzył go sen.

Nikt w batalionie nie opuścił piątkowego apelu porannego. Złożono raporty o stanie liczebnym. Podpułkownik Medwin Flowers, dowódca batalionu, przyjął meldunki, po czym przekazał żołnierzy dowódcom drużyn.

–Rozkazy dzienne – zwrócił się do kompanii kapitan Orlis. – Do południa

konserwacja sprzętu. Przygotowanie do wylotu. Zaraz po lunchu mamy odprawę

kontraktową. – Zanim odwołał kompanię, Orlis rzucił jeszcze: – Nolan, moje biuro, 0800.

Takie wezwanie nie było niczym nadzwyczajnym, Lon podejrzewał jednak, że tym razem chodzi o coś innego. Podobnego zdania była reszta drużyny.

–Założę się, że pierwszy będziesz wiedział coś o kontrakcie – powiedział przy śniadaniu Dean Ericks.

Lon wzruszył ramionami. „Chyba że kapitan będzie mi kazał zostać w bazie, bo się jeszcze nie nadaję do akcji” – pomyślał.

–Może chce się po prostu upewnić, że nie zmarnowałem ostatnich dwóch dni tak, jak

cała wasza banda – powiedział, siląc się na beztroski ton.

–Niczego nie zmarnowaliśmy – odciął się Phip. – Wszystkiego żeśmy spróbowali i wszędzie żeśmy byli.

–Wszystkiego żeśmy spróbowali i splukaliśmy się ze wszystkiego – dodał Janno.

Tamtego ranka w stołówce panowała bardzo lekka atmosfera. Niemal każdy

wyglądał na stuprocentowo podekscytowanego wizją kontraktowej wypłaty. Dla

weteranów było jeszcze za wcześnie, żeby martwić się ewentualnymi konsekwencjami

kontraktu. Kiedy już powiedzą im, co to za robota i kiedy już znajdą się na pokładzie startującego statku, wtedy znajdzie się dość czasu na zmartwienia – o ile będą ku temu

powody. Na razie będą pokrzepiać się perspektywą pokontraktowej premii.

Lon jadł w równym, choć wolnym tempie. Niezbyt dopisywał mu apetyt. Nie spał też zbyt dobrze i nadal się gryzł. „Tak czy inaczej, dobrze będzie mieć ten pierwszy raz już

za sobą” – przekonywał w myślach samego siebie, jednak nerwowe skurcze w żołądku

nie ustąpiły.

Koledzy oszczędzili mu nadmiernej uwagi. W całym swoim podekscytowaniu nawet nie zauważyli, że Lon nie odezwał się ani słowem. Przy pierwszej sposobnej okazji ulotnił się ze stołówki. Do stawienia się u kapitana zostało mu jeszcze mnóstwo czasu,

ale wolał mieć go tylko dla siebie.

Mimo że była dopiero za dziesięć ósma, Lon ruszył w stronę kancelarii batalionu.

Sierżant Jim Ziegler już tam był.

–Kapitan czeka na ciebie – uprzedził Ziegler. – Powiedział, żeby cię wpuścić zaraz, jak tylko się zjawisz.

Po przekroczeniu progu gabinetu dowódcy Lon nie zdążył nawet zaszalutować i zameldować się formalnym zwrotem.

–Daruj sobie te ceremoniały, Nolan. Siadaj tutaj. – Orlis wskazał krzesło obok swojego biurka. Lon usiadł. – Denerwujesz się? – Kapitan odchylił się, wbijając wzrok

prosto w kadeta.

–Tak, sir, można tak powiedzieć – przyznał.

Orlis uśmiechnął się.

–Wiem, że nie zmieni tego nic, co ode mnie usłyszysz, ale powiem ci choć tyle, że nie trzeba się martwić tym zdenerwowaniem. Nikomu nie jest łatwo przed pierwszym razem. Wiesz, że to za chwilę – już nie abstrakcja, lecz najprawdziwsza rzeczywistość –

ale nie jesteś pewien, czego masz oczekiwać, powątpiewasz, czy cały twój trening wytrzyma realny sprawdzian. Coś w tym stylu?

Lon skinął głową.

–Bardziej niepokoi mnie to, że popełnię jakiś głupi błąd, że zrobię coś idiotycznego i będą przeze mnie ranni i zabici. To nie zostawia mi wiele czasu na zamartwianie się o siebie.

–Cóż, przynajmniej martwisz się o właściwe rzeczy. My jednak siedzimy w tym nie od dzisiaj. Nie zamierzamy puszczać cię w teren, żebyś musiał sam się o siebie troszczyć.

Od tego jest program szkoleniowy. Nie lubimy, żeby w korpusie cokolwiek się marnowało, a już w szczególności nasi ludzie. Czeka cię jeszcze długa zaprawa i na Ziemi, i tutaj. Korpus zainwestował w ciebie, niech to będzie długoterminowa inwestycja

kapitałowa. Rób, co ci każą i trzymaj się blisko Girany, czy z którymi tam chłopakami się

zadajesz, a wszystko będzie w porządku.

–Mam nadzieję, sir – odpowiedział Lon.

Orlis przytaknął skinieniem głowy.

–A teraz kazałem ci się zjawić tu nie tylko po to, żeby wlać w ciebie nieco ducha. To

akurat moglibyśmy załatwić kiedykolwiek podczas następnych kilku tygodni – i
pewnie

jeszcze do tego wrócimy. Zawołałem cię dlatego, że zgodnie z wyraźnym życzeniem
pułkownika Flowersa masz stawić się na dzisiejsze zebranie oficerów.

–Odprawa przed kontraktem? – spytał Lon.

Orlis kiwnął głową. Na usta kadeta ostatecznie wypłynął uśmiech. – Jeden z
chłopaków w drużynie domyślał się, że to dlatego kazał mi się pan zameldować,
powiedział, że dowiem się, co w trawie piszczy jeszcze przed nimi.

–I pewnie zaraz, jak tylko wrócisz, będą ci o to wiercić dziurę w brzuchu.

–Tak podejrzewam, sir. To tajne czy będę mógł im powiedzieć?

–Wątpię, żebyś miał okazję. Odprawa potrwa pewnie cały ranek. Pułkownik może

nawet kazać stołówce przysłać nam lunch do sztabu, żebyśmy nie musieli odrywać
się od

pracy. – Uśmiechnął się szeroko – A nawet jeśli to nie zajmie aż tyle czasu, już moja
w

tym głowa, żebyś tak długo, jak tylko się da, nie musiał przejmować się
przesłuchaniami.

Nie, żeby to było tajne – ludzie i tak dowiedzą się wszystkiego zaraz po lunchu albo
po

odprawie – chodzi po prostu o to, że nie lubię, jak mi się psuje zabawę.

–Tak jest, sir. Czy wie pan, jaki jest cel naszej podróży, sir?

–Świat nazywa się Norbank i to wszystko, co wiem, oraz to, że kontrakt obejmuje
jeden batalion. Pułkownik Flowers też lubi trzymać asy w rękawie. Wszystkiego

dowiemy się już wkrótce. – Zerknął na zegarek. – Za minutę zjawią się tu porucznicy

Hoper i Taiters, razem ruszymy do KG batalionu. Zbiórka oficerów przewidziana jest
na

0830.

Mimo iż konferencja miała zgodnie z planem rozpocząć się o 0830, każdy oficer, z wyjątkiem dowódcy batalionu i jego zastępcy, zajął swoje miejsce za stołem w kształcie

litery U w sali konferencyjnej kwatery głównej bazy dziesięć minut przed czasem.

Zadbano o napoje, do wyboru był sok, kawa, herbata i woda. Kapitan Orlis nalał sobie

soku pomarańczowego. Dwóch podległych mu dowódców plutonu wzięło kawę. Lon

poszedł za ich przykładem. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Na stole stało pół tuzina

complinkowych monitorów. Na ścianie powyżej szczytu łuku U czekał w stanie gotowości ekran o rozmiarach sześć na osiem stóp.

Dokładnie o czasie 0830 otworzyły się drzwi obok monitora ściennego. Na salę

weszli podpułkownik Medwin Flowers i major Hiram Black, jego zastępca, a tuż za nimi

sierżant dyżurny batalionu Zal Osier. Nikt nie rzucił komendy „Baczność!” – nie na

oficerskim zebraniu. Flowers ruszył prosto na swoje miejsce, ku mównicy ustawionej z

boku monitora. Major Black usiadł przy jednym z końców U, tuż obok Flowersa.

Sierżant dyżurny Osier przeszedł na drugi koniec pokoju, żeby zająć się programem complinkowym, który był częścią odprawy.

–Jak zapewne wszyscy już wiecie, otrzymaliśmy kontrakt w świecie znanym jako

Norbank – zaczął pułkownik Flowers, dając Osierowi czas na zajęcie miejsca i

wprowadzenie pierwszej komendy dla pliku wideo.

Na wszystkich monitorach pokazał się obraz Norbanku, zdjęcie zrobione z satelity

nad równikiem, ukazujące ruch rotacyjny planety w takim przyspieszeniu, żeby w ciągu

minuty pokazać jej całkowity obrót. Następnie obraz został zwolniony i ostatecznie zatrzymany nad obszarem będącym przedmiotem zainteresowania.

–Kolonia na Norbanku liczy sobie dopiero niecały wiek – kontynuował Flowers. –

Całkowita ludzka populacja wynosi w przybliżeniu dwieście tysięcy. Zgodnie z informacjami, które otrzymaliśmy, statystyki te są zasadniczo zawyżone. Kolonia w dalszym ciągu znajduje się głęboko w fazie podstawowej, minimalnie zahacza o drugi

poziom rozwojowy.

Z grubsza rzecz ujmując, kolonie były opisywane za pomocą kategorii czterech stadiów. Stadium pierwsze było okresem wczesnych, prymitywnych „pierwszych osadników”; wysiłki przybyszów skupiały się na budowie domów i farm dla siebie oraz

na samym przeżyciu, dopiero w późniejszej fazie na tworzeniu podstaw lokalnej infrastruktury. Stadium drugie odnosiło się do etapu rozwoju przemysłu na skalę osady;

koloniści zaczęli odkrywać rzeczy, które mogły stanowić przedmiot handlu z innymi

światami, ciągle jednak ich potrzeby przewyższały to, co udawało im się uzyskać drogą

rynkową. Etap trzeci odznaczał się wzrostem i niezależnością gospodarczą, większymi

fabrykami i bardziej zaawansowanym handlem, wyznaczały go także początki urbanizacji. Czwarty był końcowym, rozwiniętym produktem, dokonywała się w nim również migracja z terenów wiejskich do metropolitarnych centrów. Zasady klasyfikacji

pozostawały jednak niejasne i w znacznym stopniu ulegały subiektywizacji.

–Punktami naszego kontraktu jest stłumienie rebelii i przeszkolenie sił milicyjnych w celu przygotowania ich do utrzymania kontroli nad podobnymi sytuacjami w przyszłości

–ciągnął Flowers. – Rebelianci wywodzą się z drugiej fali osadników, która przybyła pokolenie po pierwszych osadnikach. Obydwie grupy, zgodnie z danymi, które uzyskaliśmy dzięki naszej łączności z rządem planetarnym, pozostawały z sobą w separacji i chodziły oddzielnymi drogami. Grupa dysydentów to prawie trzydzieści procent całkowitej populacji, ale frakcja aktywnie walcząca z rządem jest wielokrotnie

mniejsza. Rebelianci próbują obalić rząd większościowy, żeby narzucić całą populacji

swoje własne idee. – Flowers przerwał i rozejrzał się po swoich oficerach, wiodąc wzrokiem od jednej odnogi U, przez łuk, do drugiego końca stołu. – Nie muszę wam chyba mówić, że wszelkie informacje są dyskusyjne i bazują jedynie na tym, czym strona

umowy zechciała się z nami podzielić. Liczba aktywnych żołnierzy oscyluje prawdopodobnie poniżej pięciu setek po stronie rebeliantów, po stronie rządowej kształtuje się na podobnym poziomie, mimo iż za rządem opowiada się większa część

ludności. Wszyscy żołnierze rządu to ochotnicy. Żaden z nich, podobnie zresztą jak po

drugiej stronie barykady, nie jest zawodowym żołnierzem. Jeśli dane, którymi dysponujemy są w jakimkolwiek stopniu miarodajne, będziemy mieli nad rebeliantami

przewagę w przybliżeniu jak dwa do jednego, nie licząc sił lojalistów i około trzy do jednego, jeśli weźmiemy je pod uwagę. Rebelianci są mimo to uzbrojeni w lepszą

motywację. W takich przypadkach to nic nadzwyczajnego. Gdyby tak nie było, nie stanowiliby realnego zagrożenia. Nawet pomijając fakt, że siły rebeliantów mogą tak naprawdę być mniejsze niż owe pięć setek, z całą pewnością mają tysiące sympatyków,

którzy z ochotą zaoferują im większą czy mniejszą pomoc. A nasz przyłot może tylko

przyspieszyć werbunek.

Rząd obawia się, że nie zdoła stłumić buntu własnymi siłami, inaczej przecież nie podpisywałby umowy na nasze usługi. A, swoją drogą, kontrakt daje nam miesiąc na

stłumienie rebelii i kolejne dwa na przeszkolenie sił rządowych, których kwalifikacje rząd zamierza podnieść, aby zapobiec kolejnym takim sytuacjom. Oprócz naszych usług,

kupują także broń dla stu żołnierzy piechoty. Broń wraz z amunicją zostaną dostarczone

na planetę, dopiero gdy sytuacja militarna unormuje się na tyle, żeby wykluczyć niebezpieczeństwo wpadnięcia broni w niepowołane ręce.

Rzut mapy przesunął się, ukazując, zgodnie z podziałką, obszar o powierzchni około

tysiąca mil kwadratowych. Na dużym ściennym monitorze widać było generalną topografię, obraz jednak nadal nie pokazywał zabudowań.

–Podobnie, jak to zwykle się dzieje, tutaj także pierwsi osadnicy miejsce na swoją bazę wybrali, kierując się klimatem i dostępnymi zasobami naturalnymi – podjął Flowers.

–Mimo iż dane, którymi dysponowali, dotyczyły jedynie trzech miesięcy miejscowego

roku, mieli fart. Klimat oscyluje między umiarkowanym a subtropikalnym, a największe

letnie upały łagodzą dominujące wiatry południowo-zachodnie, które nadpływają z
znad

oceanu i suną bez przeszkód pięć tysięcy pięćset mil przez pokaźne połacie lądu.
Jesień i

zima, co dla nas najważniejsze, są łagodne, a początek pory deszczów przypada na
jakieś

sześć tygodni do dwóch miesięcy po naszym przylocie. A to oznacza – Flowers
podniósł

głowę z nad notatek – że jeśli w terminie zamkniemy pierwszy punkt naszego
kontraktu,

czyli stłumienie rebelii, nie powinniśmy się zbytnio martwić, iż paskudna pogoda
przeszkodzi nam w manewrach. Na etapie treningu deszcz będzie mniejszą
niedogodnością. – Wrócił do zapisków. Sierżant dyżurny Osier ponownie zmniejszył
wartości na rzucie mapy. Zgodnie z odczytami podziałki, obraz przedstawiał teraz
wycinek terenu o wymiarach mniej więcej dwieście na trzysta mil.

– Istnieją dwa główne skupiska mieszkalne, które odpowiadają dwóm falom
osadnictwa – mówił dalej Flowers. – Druga grupa, ta, która wszczęła bunt, wybrała
teren

odległy od pierwszej o około sto czterdzieści mil, dalej w górę rzeki, u brzegów
Pierwszej Wody, jak ją nazywają Norbankijczycy. – Użył wskaźnika, żeby pokazać
rzekę

na małym monitorze complinkowym wbudowanym w mównicę. Skala na mapie
zwiększyła się jeszcze bardziej. – Odnośne miasta leżą tutaj i tutaj. – Wskazał raz
jeszcze

Flowers. – Norbank City i Fremont.

Dookoła miast Lon i zebrani oficerowie mogli już dostrzec szachownicę pól
uprawnych, nadal jednak nie widać było budynków.

–Ziemia pomiędzy tymi dwoma obszarami to teren pagórkowaty i gęsto zalesiony, a do Pierwszej Wody wpada wiele dopływów. Osady leżą zasadniczo na północnym brzegu strugi, choć obydwie rozprzestrzeniły się również na brzeg przeciwległy. Przy

każdym mieście znajduje się pojedynczy most, którego wytrzymałość, jak to się mówi,

pozostawia wiele do życzenia. Zbudowali go niefachowcy z dostępnych w okolicy materiałów.

Flowers miał skupionych słuchaczy. Żaden z oficerów nie robił sobie kłopotu sporządzaniem notatek. Nagrania i kopie tekstów będą mogli odtworzyć na swoich complinkach. Ich jedynym zadaniem było teraz nadstawianie uszu i niczym niezmacona

koncentracja. Flowers przeszedł do pokazania dwóch głównych osiedli, opisał warunki

panujące na kolonii, po czym omówił podstawowe gatunki flory i fauny, na które być

może się natknąć. Mówił bez przerwy przez trzy kolejne godziny, przerywając jedynie od

czasu do czasu, żeby przepłukać usta.

–Zgodnie z najświeższymi doniesieniami, które pochodzą sprzed dwudziestu trzech dni, wygląda na to, że rebelianci szykują się do szturmu na stolicę. Nasz plan, po uwzględnieniu weryfikacji danych, kiedy już sami zobaczymy, jak przedstawia się sytuacja, to lądowanie w stolicy i nawiązanie kontaktu bojowego z rebeliantami po opuszczeniu miasta, najlepiej w pewnym oddaleniu od Norbank City. Ostatnia uwaga na

tę chwilę. Norbank to nazwisko jednej z rodzin założycielskich. Obecny szef rządu planetarnego również nazywa się Norbank i to on jest formalną stroną naszego

kontraktu.

–Flowers rzucił okiem na zegarek. – O godzinie 1300 przedstawicie ludziom streszczenie

treści kontraktu. O 1500 batalion ma się rozejść i przygotować do drogi. Worki i

ekwipunek polowy mają zostać złożone w jednym miejscu, gotowe do transportu jeszcze

przed wyznaczonym czasem. Autobusy i ciężarówki będą czekały, żeby zawieźć nas do

portu. Według rozkładu statek wyrusza poza system o 1815. Pytania?

Nikt się nie odezwał. Pytania przyjdą później, już na pokładzie statku.

„Walka” – to słowo uporczywie dźwięczało w umyśle Lona. Nie potrafił go od siebie odpędzić. Kapitan Orlis zgodnie z obietnicą pilnował Lona przez cały lunch. Zjedli w

kasynie oficerskim, w bezpiecznej odległości od drużyny Lona i najdrobniejszej pokusy

wygadania się na temat umowy. Przy stole siedzieli również obydwaj porucznicy;

rozmowa trójki oficerów skupiła się na kontrakcie. Od czasu do czasu Orlis albo Taiters

zadawali sobie trud wciągnięcia Nolana do konwersacji, Lon jednak odpowiadał zwięźle

i bez zaangażowania. Bardziej zajmowało go owo hasło – werbel dudniący do upadłego

wewnątrz jego czaszki. „Walka”.

„Bo o to właśnie w tym wszystkim chodzi” – powiedział do siebie w myślach Lon.

„Jestem tutaj, bo chciałem zostać żołnierzem”. Nie odniosło to jednak uspokajającego

efektu.

–Nolan.

Lon zamrugał kilka razy i spojrzał w lewo. Kapitan Orlis wlepił w niego wzrok.

–Tak jest, sir.

–Przynajmniej nie pokazuj po sobie, że się boisz – powiedział Orlis. – Wyglądasz, jakbyś miał iść na skazanie. Wiem, że jesteś zdenerwowany. Zostaniesz oficerem, jeśli

zasłużysz na rangę. A częścią bycia oficerem jest utrzymywanie fasady. Pozwolisz podkomendnym zobaczyć strach w twoich oczach, a prędko znajdzie się dla niego powód. Uchwycą się go i połowę efektywności szlag trafi. Nie możemy sobie na to

pozwolić.

–Wiem o tym, sir. – Porucznicy również przypatrywali się bacznie kadetowi. – Może to tylko kwestia posiadania nadmiaru czasu na myślenie. Kiedy jestem z drużyną, wszystko gra. Naprawdę, wszystko. Wtedy nie czuję się jak brzydkie kaczątko, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Surowa mina kapitana ustąpiła miejsca szerokiemu uśmiechowi.

–Nie całkiem przemawia do mnie twój sposób argumentacji, ale, owszem, rozumiem. Niemniej jednak moja przestroga jest nadal aktualna. Dasz sobie radę, Nolan.

Masz talent. Przeszedłeś szkolenie bardziej zaawansowane niż większość kadetów, z

jakimi mamy do czynienia. Ale jeśli mogę pozwolić sobie na jedną uwagę, powiem, że u

ciebie to, co w sercu, od razu widać na twarzy. A ludzie zwracają uwagę na takie rzeczy.

Obserwują nas, uczą się od nas. Jeśli roztaczamy wokół siebie aurę pewności, oni też

będą pewni siebie, dwa razy bardziej pewni. Jeśli zalatuje od nas słabością... – Pokręcił

głową. – To może być jak jątrząca się rana. Chyba powinienem posłać cię do naszej grupy teatralnej, żebyś nabrał nieco doświadczenia w grze aktorskiej.

–Próbowałem, sir, w Springs. Reżyser powiedział, że mam drewnianą twarz, nie potrafię pokazać na niej odpowiedniej emocji, moje kwestie nie wypadają przekonująco. Pracowałem nad tym ciężko i byłem już gotowy do drugiego podejścia,

kiedy... no, sam pan wie, co się wydarzyło.

–Pracuj dalej – odparł Orlis. – Poza tym, nie powinno być wcale aż tak źle. Mamy ludzi, sprzęt, szkolenie. Zawodowcy kontra amatorzy. Nie martwiłbym się zbytnio, nawet gdyby było na odwrót.

–Postaram się o tym pamiętać, sir – obiecał Lon tak gorliwie, aż cała trójka oficerów przy stole wybuchła śmiechem. Pomogło mu to. Sam rozciągnął usta w uśmiechu.

„Po pierwszym razie już będzie OK” – przekonywał sam siebie Lon. „Chrzest ogniowy. Pierwsza przeszkoda. Potem już będę mądrzejszy”.

Kapitan Orlis trzymał Nolana przy sobie aż do zbiórki. Kiedy padła komenda, Lon pobiegł zająć swoje miejsce w szeregu. Wszyscy stali na baczność. Nikomu nie pozwolono zadawać pytań. On nie mógł udzielać odpowiedzi. Nawet kiedy padło „Spocznij!”, w szeregach nikt się nie odezwał. Plutony uformowały półokrąg, ludzie stali jeden obok drugiego.

–Usiądźcie i odprężcie się. A teraz to, na co tak czekaliście – odezwał się kapitan Orlis.

Odprawa trwała jedynie dziesięć minut i odnosiła się tylko do kwestii kluczowych: planety, podstawowych danych o kontrakcie, przewidywanym oporze. Na bardziej szczegółowe informacje przyjdzie czas na pokładzie statku, kiedy już dowódcy plutonów

i dowódcy drużyn zostaną wprowadzeni w tajniki kontraktu. To podoficerowie będą mieli za zadanie zapoznanie ludzi z niezbędnymi danymi.

–Spakujcie sprzęt; worki i ekwipunek polowy. Mają być złożone przed koszarami o 1430 – powiedział później Orlis. – Szykujemy się do wymarszu minutę przed 1500.

Kolacja będzie już na pokładzie statku.

Odprawił kompanię. Starszy sierżant Ziegler wstał i zaczął wykrzykiwać rozkazy.

–Zastępcy dowódców plutonów i dowódcy drużyn, zajmiecie się swoimi ludźmi.

Sprawdźcie, czy każdy zabrał cały ekwipunek. Upewnijcie się, że wszystko jest na czas

gotowe do drogi. Ruszać się, ludzie, raz-dwa. Jesteśmy na kontrakcie!

–Nie przyszedłeś, żeby powiedzieć nam, co jest grane. – Phip zagadnął Lona. – A

dowiedziałeś się dzisiaj rano, nie mam racji?

–Kapitan nie dał mi szansy – odparł Lon. – Powiedział, że nie lubi, jak mu się

wchodzi w paradę.

Każdy pluton miał do dyspozycji jeden autokar. Efektem było stłoczenie plutonów

liniowych i dodatkowe miejsce dla mniejszych sztabów oraz oddziałów regulaminowych.

Pojazdy ruszyły w konwoju, pułkownik Flowers jechał w pierwszym busie.

–Właśnie odstawiamy defiladę dla cywilów. – Janno przechylił się przez przejście w

autokarze i szturchnął Lona w ramię.

–Nie rozumiem.

–Na bazie mamy dobre lądowisko, dość dobre, żeby pomieściło wahadłowce, które

mają zabrać nas na statek, ale tam się akurat nie wybieramy. Przejedziemy przez całe

miasto, sparalizujemy po drodze cały ruch, żeby cywile wiedzieli, że ruszamy na kontrakt

–pospieszył z wyjaśnieniem Janno.

–Trza im pokazać, że kiedy wrócimy, będziemy mieli sporo kapusty – dodał Phip.

Siedział obok Lona, przy oknie. – Zawsze tak jest.

–A co z powrotem do domu? – spytał Lon.

W głosie Janno zabrzmiała teraz fałszywa, a uprzednio żartobliwa nuta.

–Zależy, jak sobie damy radę. Wypełnimy kontrakt, wygrywamy i wracamy do domu tą samą drogą. Spartolimy, przerzucą nas chyłkiem na pas startowy bazy.

–Niezależnie od tego, to jest droga, którą wracają ofiary bitew – powiedział Dean. –

Ranni są wtedy bliżej szpitala. Polegli... – Wzruszył ramionami i odwrócił się. Nie musiał

kończyć.

„Polegli i ranni” – pomyślał Lon. Trudno było się spodziewać, żeby po dwóch

tygodniach wielu rannych wciąż wymagało hospitalizacji. Tuby pourazowe, zaopatrzone

w system regeneracji molekularnej potrafiły w czasie kilku godzin poradzić sobie ze

wszystkimi uszkodzeniami ciała, z wyjątkiem tych najpoważniejszych. Amputacja oraz

obrażenia rdzenia kręgowego w najcięższym stadium stanowiły najczęstsze przyczyny

długotrwałego kalectwa żołnierzy. Proces odtwarzania ręki czy nogi, plus rehabilitacja

rekonwalescenta mógł trwać kilka miesięcy.

–Nie podoba mi się ten pomysł z przemykaniem się chyłkiem w drodze powrotnej. –

Lon zmusił się do uśmiechu, zdecydowany nie dać się posępnym myślom. – Musimy

tylko zadbać o to, żeby dobrze wykonać swoją robotę. Za to nam przecież płacą, no nie? –

Parę minut później, kiedy konwój sunął już przez miasto, naszła go jeszcze inna myśl. –

Gdyby naprawdę chcieli, żeby cała ta szopka z defiladą odniosła zamierzony skutek

–

zaczął, rozglądając się po pozostałych członkach drużyny – pokierowaliby nas obok

Purpurowej Jędry, Smoczycy i tego typu miejsc, daliby nam prawdziwą motywację.

Lepsze to, niż obwożenie nas pod biurami rządowymi i sklepami, co?

Paru mężczyzn przywitało jego uwagę wybuchem śmiechu i to nie tylko tych trzech, którzy zazwyczaj z nim trzymali.

–Zapisz to gdzieś i wrzuć do skrzynki skarg i zażaleń, kiedy wrócimy do domu – zaproponował Phip. – Do diabła, może wszyscy powinniśmy to zapisać.

Lon widział wcześniej trasę, którą jechali, kiedy przyleciał na Dirigent. Wyglądał wtedy przez szybę taksówki, usiłując objąć wzrokiem wszystko naraz. Dirigent był pierwszą kolonią, na jakiej kiedykolwiek stanęła jego noga. Wszystko było wtedy takie

nowe i podniecające. Kiedy oglądał miasto po raz pierwszy, tak go zafascynowało, że

zapomniał o dręczących go wspomnieniach, jak zakończył się w jego życiu rozdział pod

tytułem Springs. Mnóstwo czasu, zarówno podczas podróży, jak i postojów, spędził na

jątrzeniu ran.

„Czeka cię jeszcze sporo takich»pierwszych razów«” – powiedział do siebie Lon z krańcową determinacją. „Ciesz się na nie. Większość będzie udana”.

Kiedy złapał się na nuceniu *Ballady o Harko Bainie*, uśmiechnął się. „Chyba jednak dam sobie radę” – pomyślał.

Transport, który miał zabrać ich na Norbank, był zbyt duży, żeby w ogóle udało mu się wylądować na powierzchni planety. Żołnierze z drugiego batalionu siódemki podlecieli do niego wahadłowcami szturmowymi, których użyją potem do ataku na

rebeliantów. Wężysko dysponowało tyloma lądownikami, żeby zaopatrzyć pełen

kontyngent wojska, jaki mogło zmieścić na pokładzie, co równało się jednemu
pełnemu

batalionowi. Lon przypomniał sobie, jak podczas podchodzenia do lądowania na

Dirigencie zobaczył z daleka jeden z transportów KND. Nawet oglądany w
powiększeniu

na monitorze complinka w kabinie, statek nie przedstawiał się imponująco. Był
jednak

dość duży, żeby unieść tysiąc żołnierzy w pełnym uzbrojeniu wraz ze wszystkim, co

może być im potrzebne w ciągu miesiąca w terenie, włączając w to wahadłowce

szturmowe, transportowce i własną załogę. Drugi statek, mniejszy, również leciał na

Norbank, z dodatkowymi zapasami na pokładzie, a także bronią i amunicją, które
zakupił

rząd norbankijski.

Potrzeba było dwóch wahadłowców, żeby zabrać pełną kompanię KND. Bagaze i

towary dowiozły wcześniej na pokład transportowce.

–Zająć miejsca i zapiąć pasy – rzucił porucznik Taiters, kiedy ludzie z trzeciego i

czwartego plutonu znaleźli się w przydzielonym im wahadłowcu. – Startujemy za
kilka

minut i nie życzę sobie żadnych pływaków. Zabezpieczyć sprzęt.

Podoficerowie przeprowadzili ostatnie inspekcje, po czym sami zajęli swoje miejsca

i zapięli pasy. Wahadłowiec nie był wyposażony w sztuczną grawitację. Generator

Nilssena podwoiłby jedynie rozmiary i więcej niż dwukrotnie zwiększył masę

wahadłowca szturmowego. Tylko statki dysponowały Nilssenami – które
powodowały

również odkształcenia pola, dzięki czemu możliwe były przejścia w przestrzeń Q, a
co za

tym idzie, skoki międzygwiazdne.

–Najpierw nas poganiają, a teraz każą czekać – mruknął pod nosem Phip, kiedy minęło owe kilka minut, a nadal nic nie zapowiadało, że statek lada moment wystartuje.

Silniki nie były nawet włączone. Kiedy już zostaną uruchomione, trzeba pewnie będzie

czekać kolejne pięć minut, nim lądownik zacznie przemieszczać się w stronę pasa startowego, gdzie po krótkim rozpędzie wzbije się w niebo.

–Spiesz ci się gdzieś? – spytał Janno.

–Moglibyśmy już być na pokładzie, jeść i szykować się do długiej drzemki – odparł Phip. – Po co każą nam tu czekać, w tej niewygodzie, poupychanym jak cardule w puszcze?

Na Dirigencie cardule, beznogie gryzonie o pikantnym smaku, były tłustym kąskiem.

Ludzie z trzeciego i czwartego plutonu kompanii A nie zapinali pasów przez kolejne dziesięć minut. Potem wahadłowiec zaczął kołować po pasie. Najpierw ruszyły – w dziesięciosekundowych odstępach czasu – cztery samoloty, po upływie minuty podniosła

się kolejna grupa. Dzięki temu manewrowi ich dokowanie na Wężysku rozłożyło się w

czasie – statek mógł przyjąć jednocześnie tylko cztery lądowniki.

Zaraz, jak tylko podwozie oderwało się od ziemi, wahadłowiec podniósł dziób o jakieś pięćdziesiąt stopni, a manetki wychylono do maksimum, poddając wszystkich na

pokładzie ciążeniu powyżej 4g. Następnie lądownik przechylił się na lewą burtę i poniósł

ich w stronę oceanu, oddalając się od zasiedlonych obszarów Dirigentu.

–To trwa jakieś trzy minuty – wycedził Janno przez zaciśnięte zęby, odwracając się o

ułamek stopnia w stronę Lona. – Kiedy wyłączą silniki, resztę drogi będziemy dryfować,

aż do momentu dokowania. Ja osobiście wolę przyspieszenie od grawitacji zerowej.

Przynajmniej ciągle wiesz, gdzie jest dół.

Lon nie odpowiedział. Nawet rozsunięcie warg było poza zasięgiem możliwości.

„Gówno, nie wybór – pomyślał – ważyć osiemset funtów albo wcale”. W następnej chwili

przeciążenie ustało i poczuł, że obija się o uprzęż. Ręce jednak ani drgnęły. Zbyt mocno

wpił się dłońmi w poręczę.

–Ani mnie to ziębi, ani grzeje – wyrzucił wreszcie.

–To jeszcze nic – podjął Janno. – Poczekaj tylko na pierwsze lądowanie bojowe z prawdziwego zdarzenia, kiedy pilot schodzi na pełnych obrotach.

–O rany, dzięki – odparował Lon, starając się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej sarkastycznie. – Tego mi było trzeba, czegoś, na co mógłbym z utęsknieniem czekać.

Kiedy Janno zaniósł się rechotem, Lon zawtórował mu, choć z niemałym wysiłkiem.

Pierwsze trzy spotkania Lona z grawitacją zerową zaowocowały nudnościami, a raz nawet zwymiotował. Tym razem jednak go nie zemdliło. Lon czekał na atak mdłości, po

czym doszedł do wniosku, że widocznie jego żołądek przywykł już do utraty grawitacji.

Spokojnie wydychał powietrze. To była ulga, miał przynajmniej jedno zmartwienie z głowy.

Wokół kabiny dla żołnierzy podwieszane były monitory wideo. Podczas

podchodzenia do lądowania bojowego będzie na nich wyświetlany widok terenu i wskazówki dotyczące tego, z czym przyjdzie im się zmierzyć. Parę minut po wyjściu wahadłowca z atmosfery i przejściu silników na jałowy bieg monitory ożyły obrazem.

–To pewnie ze względu ciebie – zgadywał Janno, z lekka trącając Lona łokciem. – Myśmy to już widzieli.

–O co ci chodzi?

–Po prostu oglądaj – odparł Janno. – Zobaczysz, jak podchodzimy do dokowania.

Nolan zaczął oglądać. Z początku nic nie wskazywało na to, że ma przed oczyma coś

poza widokiem „pustej” przestrzeni kosmicznej z gwiazdami i planetami w postaci odległych punkcików światła. Po chwili zauważył jeden z pozostałych wahadłowców,

daleko na prawo, niemal poza polem widzenia. Parę minut później dostrzegł, że jeden z

puncików światła w centralnej części ekranu nie przemieszczał się tak jak gwiazda czy

planeta. Wyglądał, jakby pozostawał w bezruchu. I rósł.

„To statek” – dotarło do niego.

Wciąż był na tyle daleko, że stanowił jedynie punkt, prędko jednak zwiększał

rozmiary. Potem Lon zobaczył dwa rodzaje światła. Pominąwszy przyćmione odbicie

światła słonecznego – przyćmione, bo zewnętrzna powłoka statku została zaprojektowana

tak, aby minimalizować każdą aktywność elektromagnetyczną – światła jaśniały również

wewnątrz statku, w otwartych słuzach.

Obraz zaczął nabierać szczegółów. Lon widział teraz połączone z sobą w ciąg trzy

główne moduły kadłubowe w kształcie kapsuł, otoczone siatką wsporników; dwa z trzech

uchwytów przy wysięgnikach podtrzymujących generatory Nilssena zasilające statek

podczas przejść przez przestrzeń Q i zapewniających sztuczną grawitację w normalnej

przestrzeni kosmicznej; stożkowe głowice raket; wypukłości wieżyczek, których

wyrzutnie raketowe i działa laserowe wciąż majaczyły niewyraźne. Początkowo nie było

sposobu, żeby znaleźć jakieś odniesienie do skali. Wężysko stanowiło jedynie obiekt o

nieokreślonym rozmiarze, znajdujący się w nieokreślonej odległości. Ciężko było skupić

wzrok chociażby na zarysie statku. Matowo czarny lakier i układające się pod różnymi

kątami płaskie powierzchnie utrudniały znalezienie krawędzi, chyba że akurat padało na

nie światło częściowo zakrytej gwiazdy.

Lon przypomniał sobie parametry statku, ale bez konkretnego wzrokowego

odniesienia były tylko abstrakcją. Od dzioba do rufy Wężysko mierzyło dwadzieścia

tysięcy stóp. Główne sekcje kadłubowe miały kształt eliptyczny, grubość tysiąca stu stóp

i tysiąc czterysta stóp długości. Powłoka kadłuba oscylowała między trzydziestoma a

czterdziestoma stopami grubości, składała się ze zwartych, piętrowo ułożonych warstw

różnorodnych materiałów, które mogły zapewnić załodze i pasażerom całkowitą ochronę

przed najsilniejszym nawet promieniowaniem kosmicznym – a przy okazji wytrzymywać

poważne uszkodzenia w razie ataku.

Nie był to największy statek w kosmosie. Podczas postoju na Nad-Galapagos Lon miał okazję zobaczyć statki dłuższe od Wężyska o jedną trzecią. Udał się specjalnie na

taras widokowy, żeby je pooglądać, wiszące dwie mile od stacji, a mimo to zasłaniające

spory kawałek znajdującej się poniżej Ziemi.

–Przygotować się do manewru – rzucił pilot wahadłowca.

Wężysko wypełniało teraz większą część ekranu. W polu widzenia pojawiały się coraz to nowe detale. Lon poczuł szarpnięcie, kiedy wahadłowiec dostrajał się do prędkości statku.

–Jeszcze chwilka – powiedział Dean. – Ta część akurat zawsze schodzi szybciej, niż byś myślał.

Lon nie odezwał się. Zafascynowany wgapiał się w monitor. Pilot wahadłowca

pasażerskiego, który zabrał go na Nad-Galapagos, też pozwolił pasażerom obserwować

podchodzenie. Geostacjonarny habitat był jednak o wiele większy od Wężyska, dość

ogromny, by zapewnić komfort swoim dwudziestu pięciu tysiącom rezydentów i zaopatrzyć ich we wszystko, czego mogła potrzebować społeczność tej wielkości – sklepy, szkoły, kościoły, fabryki, magazyny.

Silniki manewrowe wahadłowca odpaliły kilka razy, po czym nastąpiła cisza.

Przyholowali i poruszali się teraz z odpowiednią prędkością. Monitor wypełnił oświetlony dok. Wahadłowiec sunął równolegle do statku i pod lekkim kątem kierował

się do jego wnętrza. W ostatniej chwili silniki manewrowe jeszcze raz miały krótko

szarpnąć, dość silnie, żeby wyhamować pęd pojazdu, akurat kiedy zatrzyma się wewnątrz

hangaru, gdzie zamkną się na nim pokładowe chwytaki wieloszczękowe i zakotwiczą statek.

Lon czekał na jakieś wstrząsy, ale dokowanie przebiegało gładko. Nie czuł nic, dopóki chwytaki nie przywarły do wahadłowca, a nawet wtedy wrażenia fizyczne związane były raczej z szarpnięciem sztucznej grawitacji statku niż z ruchami samego

wahadłowca. Do tego czasu pilot zdążył już wyłączyć silniki.

–No to jesteście – zupełnie niepotrzebnie oznajmił Phip. Zwolnił blokadę na pasach bezpieczeństwa. Nikt nie poszedł za jego przykładem. Nie dostali przecież rozkazu.

–Ile czasu trzeba, aby zamknąć śluzę i uruchomić obieg powietrza w hangarze, żebyśmy mogli wyjść na zewnątrz? – spytał Lon.

–Spieszysz się gdzieś? – odpowiedział pytaniem Phip.

–Po prostu jestem ciekaw. To mój pierwszy raz, zapomniałeś?

–Cały proces zajmuje jakieś trzy minuty – pospieszył z wyjaśnieniem Janno. – Co nie

oznacza, że równie szybko otrzymamy rozkaz do wyjścia. Może przyjdzie nam siedzieć i

czekać, aż dobieje cały batalion, na wypadek gdyby któryś z lecących za nami wahadłowców miał problemy.

–Jakie problemy? – spytał Lon.

–On chciał powiedzieć: na wypadek gdyby pilot pokpił sprawę z dokowaniem i wyrznął w statek z wystarczającym impetem, żebyśmy tu wszyscy obili sobie tyłki – dorzucił swoje Phip.

–Często się to zdarza? – Lon nie potrafił obliczyć w pamięci, ale podejrzewał, że aby

wahadłowiec zdołał w zauważalny sposób wpłynąć na integralność statku rozmiarów

Wężyska, musiałyby się poruszać z niezłą prędkością.

–Zazwyczaj tylko raz – rzucił niemalże wesoło Phip.

Minęło osiem minut, zanim padła komenda rozpięcia pasów i przygotowania się do opuszczenia pokładu. Odpinane zatrzaski szczęknęły unisono. Lon stanął ostrożnie, mimo iż sztuczna grawitacja utrzymywała się na poziomie ponad dziewięćdziesięciu procent wartości przyciągania na Dirigencie.

–Nolan, trzymaj się swojej drużyny jak maminej spódnicy – rzucił kapral Girana, wyłaniając się w przejściu. – Masz mi się nie zgubić po drodze do naszego przedziału.

Lon skinął głową. Planował trzymać się swojej drużyny.

–OK, ludzie – odezwał się porucznik Taiters stojący obok jednego z dwóch wyjść. – Ruszać się, prędko. Im krócej będziemy tamować ruch, tym lepiej.

–Trzydzieści sekund do momentu przejściowego w przestrzeń Q – poniosło się ze wszystkich głośników na Wężysku. W przeciągu ostatnich dwóch godzin z dość dużą

częstotliwością informowano o odliczaniu. Zabezpieczono każdy kawałek luźnego sprzętu. Lon siedział na swojej koi w sekcji koszarowej trzeciego plutonu. Zbadał pasy

krzyżujące się na jego piersiach i opasujące talię, sprawdzając, czy nie poluzowały się od

ostatniej inspekcji przed minutą.

To miało być ostatnie przejście w przestrzeń Q w drodze na Norbank. Batalion był na

trasie już jedenaście i pół dnia. „Rutyna” – powiedział do siebie Lon, odliczając w myślach sekundy. Pomimo swojej mocy, generatory Nilssena na Wężysku nie mogły spełniać jednocześnie obydwu swoich funkcji. Na czas przeskoku przez przestrzeń Q

statek zostawał pozbawiany sztucznego ciężenia.

–Dziesięć sekund do momentu wtrąceniewego w przestrzeń Q – syntetyczny głos

odliczył dziesięć sekund, kończąc komunikatem: – Wtrącenie w przestrzeń Q. – Zarzuciło

statkiem, kiedy Nilsseny przełączyły się na pełną moc, tworząc zniekształcenie pola, które utworzyło wokół statku kosmiczną bańkę.

Wężysko wyraźnie zawibrowało. Lon poczuł tępy ból w skroniach. Zaczęły się nudności. Doznania były normalne i zawsze towarzyszyły pełnym naprężeniom

Nilssenów, wytwarzanym podczas przekraczania przestrzeni Q. Będą utrzymywać się do

czasu zakończenia przejścia, następnie ustąpią w przeciągu dwóch do trzech minut po

przystąpieniu Nilssenów do ponownego wytwarzania sztucznej grawitacji.

Dla drugiego batalionu siódmego pułku nie była to beztraska podróż. Z wyjątkiem luk podczas przekraczania przestrzeni Q, ludzie całe dni trenowali, utrzymywali sprawność fizyczną i studiowali wstępne plany ataku na Norbank. Wiedzieli, gdzie wyląduje każda kompania, jakie zostaną im przydzielone obowiązki podczas pierwszych

minut i godzin po lądowaniu... o ile sytuacja nie ulegnie diametralnej zmianie.

–Nie liczcie zbyttnio, że cokolwiek z tego jeszcze się przyda – starszy sierżant

Dendrow oświadczył plutonowi po pierwszej pełnej odprawie operacyjnej. – Fajnie by

było, ale wszystkie dane, na których opiera się plan, będą liczyły sobie już miesiąc, zanim wylądujemy na miejscu. Dostaniemy nowe informacje, taką mamy nadzieję, kiedy

wyjdziemy z przestrzeni Q po ostatnim skoku. Będziemy się wtedy znajdowali w systemie Norbanku, wystarczająco blisko, żeby nawiązać bezpośredni kontakt z władzami.

Otulone przestrzenią Q Wężysko znowu wyrównało lot, napierając na odpowiedni punkt bańki w odpowiednim czasie, żeby wyskoczyć w odpowiednim miejscu.
Równania

opisujące przestrzeń Q i stojące za mechaniką Nilssenów traktowały „normalną” przestrzeń kosmiczną jako punkt masy. Limit prędkości światła nigdy nie zostawał naruszony. Pobyt w przestrzeni Q trwał prawie cztery minuty, zbliżając się tym samym

do czasu trwania najdłuższego z delikatnych manewrów, jakie w ogóle wchodziły w grę.

W głośnikach znowu rozbrzmiało odliczanie. Statek wyłaniał się z przestrzeni Q.

Wibracje ustały. Nilsseny przełączyły się na wytwarzanie grawitacji, by po czterdziestu

pięciu sekundach doprowadzić ją do poziomu normalnego przyciągania pokładowego.

–OK, możecie się teraz odpiąć – zakomenderował kapral Girana. – Dół jest tam, gdzie

wam ciężą nogi.

–Jak myślicie, kiedy powiedzą nam, czy plany się zmieniają czy nie? – Lon spytał swoich towarzyszy zajętych odpinaniem sprzączek, które przypasywały ich do łóżek.

–Trudno powiedzieć – odparł Janno. – Mamy trzy dni, a może i więcej, w zależności od tego, jak blisko Norbanku się wyłonimy. Myślę, że już kontaktują się z rządem – o ile

został jeszcze jakiś rząd. Jeśli rebelianci go obalili, możemy sobie zgadywać do usranej

śmierci.

–Nawet nie waż się tak myśleć – oburzył się Phip. – Jeśli nie ma rządowej strony kontraktu, to albo zawracamy i jedziemy do domku, albo szukamy lądowiska i ruszamy

sadzać ich ponownie na stołkach. Tak czy inaczej, gówniana sprawa. Powrót do domu

równa się zero kontraktowego żołdu i masa zmarnowanego czasu. Z kolei wejście do

akcji oznacza zaczynanie od niczego, bez grama lokalnego wsparcia.

–A co, jeśli rebelia się skończyła? – spytał Lon. – A co, jeśli rząd uporał się z nią bez naszej pomocy?

–Możemy przynajmniej liczyć na ten cały plan treningowy – odparł Dean. – Na akcję

robienia z Norbankijczyków przyzwoitych żołnierzy.

–Co wcale nie będzie takie proste, o ile zdołali na własną rękę wygrać tę wojnę – zripostował Phip. – To będzie banda nadętych sukinsynów, którym się wydaje, że wszystko mają w jednym palcu. Podwójna robota. A nawet potrójna.

Dowiedzieli się czegokolwiek dopiero osiemnaście godzin później. Zegar pokładowy zsynchronizowano z czasem panującym na zasiedlonym obszarze Norbanku.

Batalion

miał krótką „noc”. Bezpośrednio po śniadaniu następnego dnia odbyła się odprawa oficerów. Tym razem Lon też brał udział w zebraniu.

–Plany, nad którymi pracowaliśmy, nadają się do wyrzucenia – tymi słowami podpułkownik Flowres otworzył sesję. Wzruszył ramionami. – Można się było tego spodziewać. Sytuacja tam na dole poważnie się zmieniła. Oddziały rebelianckie zdołały

oblegnąć stolicę. Ich liczbę szacuje się obecnie na zbliżoną do naszej, tak wynika z informacji, jakie otrzymaliśmy z powierzchni. To zaś oznacza, że tak naprawdę przewyższają nas liczebnie, przynajmniej o niewielki ułamek. Renegocjowaliśmy warunki kontraktu, aby uwzględnić zmienione okoliczności i fakt, że zanim przejdziemy

do dalszych punktów operacji, będziemy musieli najpierw złamać oblężenie. Informacją

szczególnej wagi jest fakt, że buntownicy kontrolują jedyny unowocześniony kosmodrom

na Norbanku, a obszar stolicy ciągle należący do sił rządowych nie jest dość duży, żebyśmy mogli spokojnie wylądować w mieście. Będziemy znajdować się w zasięgu rebeliantów, którzy mają w zanadrzu rakiety ziemia-powietrze, a przynajmniej

musimy

zakładać, że tak właśnie jest. Możemy przeprowadzić akcję na dwa sposoby.

Lądowanie

bojowe to jedna możliwość – wyskoczmy dokładnie tam, gdzie musimy wyskoczyć,

żeby zrobić... wrażenie, albo też wylądujemy w pewnym oddaleniu od linii frontu i

pieszo przemieścimy się na pozycje.

Rząd życzy sobie, żebyśmy uderzyli bezpośrednio, już podczas lądowania, bo to jest

najszybszy sposób na wyrządzenie szkody buntownikom i zakończenie oblężenia –

kontynuował Flowers. – Zawetowałem ten projekt. Straty w ludziach mogłyby być zbyt

wysokie. Postaramy się znaleźć strefę lądowania dość blisko epicentrum, żebyśmy mogli

szybko włączyć się do akcji, ale bez ryzyka utraty wahadłowców i ludzi, zanim

znajdziemy się na pozycji umożliwiającej odparcie ataku. – Flowers przerwał i potoczył

wkoło wzrokiem. – Wygląda na to, że będziemy musieli zapracować sobie na wypłatę za

ten kontrakt.

Zebrano szczegółowe mapy, zdjęcia lotnicze i dane kartograficzne. Każdy oficer i

podoficer został wyposażony w elektroniczny mapnik połączony z complinkiem, za

pomocą którego można było generować cyfrowo każdy rodzaj mapy, nanosząc na nią

wybrane elementy rzeźby terenu i wprowadzając najróżniejsze modyfikacje. Sieć

mapników była zasilana z serwera Centrum Informacji Taktycznej Wężyska. Tak długo,

jak statek pozostawał w normalnej przestrzeni nad Norbankiem, z obszarem operacyjnym

w polu widzenia, mapy można było stale aktualizować, żeby pokazać ruchy wojsk, zarówno wrogich, jak i alianckich. Pozycje rebeliantów nanoszono na mapę, w miarę jak

statek zbliżał się do powierzchni globu, a informacje o nich bazowały na bezpośrednich

danych sensorycznych, jak również na przekazach ze stolicy.

–Aż do ostatniej chwili wszelkie szczegóły dotyczące naszego lądowania pozostają nieokreślone – przekazał swoim dwóm plutonom porucznik Taiters na dwadzieścia cztery

godziny przed planowanym lądowaniem. – Jedyne pewnik to fakt, że wchodzimy do akcji. – Wzruszył ramionami. – Lądowanie prawdopodobnie będzie miało miejsce po północnej stronie Pierwszej Rzeki. Tam znajduje się większość sił obydwu armii, a jako

że opozycjoniści zniszczyli jedyny most w stolicy, lądowanie po stronie południowej...

mija się z celem. – Zawahał się. – Nawet jeśli most nie został zniszczony i tak najpewniej

będziemy schodzić nad północnym brzegiem. Wąski drewniany most, to nie brzmi zachęcająco.

KND kierował się zasadą udostępniania możliwie jak największej liczby danych dotyczących operacji wszystkim szczeblom w hierarchii, dostarczania każdemu wszelkiej

informacji, jaka mogłaby umożliwić mu później podjęcie w razie konieczności niezależnej akcji, poza tym zaś dawano ludziom odczuć, że stanowią część zespołu.

Podczas fazy planowania zachęcano żołnierzy do zgłaszania własnych sugestii. Na polu

jednak rozkazy pozostawały rozkazami. Dyscyplina musiała być sztywna.

–Kompania Alfa schodzi pierwsza – ciągnął Taiters. – Naszym bezpośrednim zadaniem będzie zabezpieczenie SL – strefy lądowania – dla reszty batalionu, neutralizacja wszelkich sił rebelianckich, które mogłyby stanowić zagrożenie dla manewru lądowania. Wykonanie zadania nie powinno sprawić trudności, bo zgodnie z

planem mają nas wysadzić dość daleko od jakiegokolwiek skupiska sił oporu, co oznacza, że cały batalion zdąży postawić nogi na ziemi, nim rebelianci dotrą do strefy

lądowania. Stąd też jedyny ewentualny problem może wyłonić się przypadkiem, a mianowicie, gdy siły opozycji znajdą się akurat pod nami, kiedy będziemy podchodzić do

lądowania. – Przeszedł do prezentacji zdjęć i map trzech potencjalnych stref lądowania,

informując jednocześnie o ich lokalizacji i różnicach między nimi. – O ile nam się uda,

lądujemy w jednym z tych miejsc. Zapoznajcie się z wszystkimi trzema.

Taiters przekazał plutony dowódcom plutonów i dowódcom drużyn. Podoficerowie przedstawili swoim ludziom dane kartograficzne, informacje o wszystkich trzech potencjalnych SL, rozciągającym się między nimi terytorium i gniazdach wroga wokół

Norbank City.

–Zgodnie z planem mamy wylądować tuż przed zachodem słońca. To daje nam całą noc na przeprowadzenie operacji – powiedział swojej drużynie kapral Girana.

Dla najemników gęsty mrok wydawał się sporym plusem. Systemy noktowizyjne zapewnią im swobodę ruchu i podejmowania działań. Z dostępnej informacji można było

sądzić, że jedynie niewielki odsetek rebeliantów był w posiadaniu noktowizorów. Poza

tym, zasadą chyba było, że niewykształcony żołnierz marnie sobie radzi w ciemnościach, a

już zwłaszcza w walce ze starym frontowcem w pełnym rynsztunku, z zawodowcem.

Na ostatnie dwadzieścia cztery godziny przed lądowaniem nie przewidziano ani treningu fizycznego, ani musztry, ani żadnych prac. Poza posiłkami i powtarzającymi się

raz po raz odprawami ludzie nie mieli nic do roboty, jak tylko sprawdzić po raz ostatni

broń i sprzęt... i spać ile wlezie – z pomocą pigulek, kiedy nie dało rady bez. Sen, jedzenie i przegląd ekwipunku stały się kluczowymi punktami grafiku. Intensywnym testom podlegał każdy kawałek elektroniki. Jeśli tylko jakaś część wzbudzała wątpliwości, wymieniano ją na nową.

–Nolan, zaraz jak tylko wahadłowiec ucałuje ziemię, chcę cię widzieć przy mnie, cały czas – powiedział Girana, kiedy zwolnił już drużynę, wysyłając ludzi na obiad. – Chyba że porucznik albo kapitan mają inne plany. O ile nie jesteś z nimi albo nie wykonujesz poleceń któregoś z nich, masz być moim cieniem na cały czas trwania operacji na Norbanku. Zrozumiano?

Lon skinął głową.

–Zrozumiałem, panie kapralu – odparł stłumionym głosem. Przestał się już przejmować tym, że pokazuje swoje... podenerwowanie. Odkąd statek znalazł się w systemie Norbanku, większość ludzi w plutonie wyciszyła się, wycofała w głąb siebie.

Przyjacielskie przekomarzania nieczęsto miały miejsce i rzadko też trwały dłuższy czas.

–Człowiek musi sobie pomyśleć – wytłumaczył kiedyś Lonowi Janno. – Wszyscy już przez to przechodziliśmy, więcej niż raz. Ale niezależnie od specyfiki roboty, zawsze jest

ta... szansa. – Nikt otwarcie nie mówił o możliwości pożegnania się z życiem, nie tuż przed rozpoczęciem akcji.

–Nie wiemy jeszcze, jak nam pójdzie ten kontrakt – ciągnął Girana. – Może być gorąco, jak w samym piekle, a może się okazać, że to małe piwko. Rebelianci mogą walczyć do upadłego albo złożyć broń zaraz, jak się pokapują, że mają przed sobą profesjonalną armię gotową dobrać im się do tyłków. Nie wiemy, jak będzie, dopóki nie

będzie. Tak więc trzymaj się blisko mnie, a przejdziemy przez to, możliwie najmniej narażając swoje tyłki.

„Przejdę przez to” – obiecał sobie w duchu Lon. „Nieważne, co mnie tam czeka”.

Cała ta troska o to, jak mu pójdzie, zaczynała go bardziej drażnić, niż uspokajać. „Im się

wszystkim chyba wydaje, że jak mnie ktoś nie będzie trzymał za rączkę i kierował przez

całą drogę, to nie będzie ze mnie pożytku” – pomyślał. „Zupełnie jakbym miał pięć lat i

po raz pierwszy szedł do szkoły”. Z początku podobała mu się ta troskliwość. Prędko

jednak wydorósł.

Po chwili Lon zaśmiał się pod nosem. „A może taki był plan” – przyszło mu na myśl.

„Tak mnie wkurzyć, żebym zapomniał, że się boję”.

Lon miał tysiąc rzeczy do zapamiętania. Nie starczało mu zupełnie czasu na strach czy nerwy. W drodze do hangaru dał się pochłonać analizie planu lądowania i kolejności

działań w przeciągu kilku pierwszych minut po przyziemieniu. Przyjrzał się jeszcze raz w

pamięci SL, przywołując zdjęcia i nakładki topograficzne. Wahadłowce miały wylądować sześć mil na północ od centrum Norbank City i dwie mile od Pierwszej Rzeki, która na wschód od stolicy skręcała w kierunku północno-wschodnim. Strefę lądowania wytyczała polana u podnóża łańcucha wzniesień ciągnącego się w stronę rzeki

i piętrzącego na wschód i północny wschód. Jedyny ważniejszy strumień płynął między

pozycją batalionu najemników i siłami rebelianckimi otaczającymi stolicę. Był dość płytki, żeby można się było przez niego przeprawić.

Teraz, kiedy lądowanie bojowe okazało się manewrem nieuniknionym, w trzecim i czwartym plutonie kompanii A zapadła cisza, ludzie zatopili się we własnych rozmyślaniach. Wielu żołnierzy spuściło ekrany hełmów jeszcze przed wyjściem z magazynu, gdzie kompletowali broń, odgradzając się tym samym od wścibskich spojrzeń. Podoficerów ostudziły otrzymane wytyczne, mówili cicho, używając niewiele

słów, nie pokazując po sobie żadnych emocji. Nawet Phip stracił gdzieś swoją zwyczajną

werwę.

W hangarze przeznaczonym dla wahadłowca trzeciego i czwartego plutonu stanął jeden z członków załogi Wężyska. Pierwszy mechanik liczył głowy wyłaniające się z

korytarza, odprowadzał wzrokiem ludzi znikających na pokładzie wahadłowca, po czym

potwierdził uzyskany stan liczebny z danymi pilotów wahadłowca oraz porucznika Taitersa. Dopiero kiedy upewnił się, że wszyscy, którzy mieli być obecni, byli obecni,

wycofał się do korytarza, uszczelnił zawór powietrza i ruszył w stronę kabiny operatora,

która mieściła się w malutkim pomieszczeniu z pancernymi oknami wyglądającymi na

wnętrze hangaru.

Wewnątrz wahadłowca ludzie zapinali pasy. Zaryglowano luki. Szef załogi

ładownika sprawdził kontrolki zwiększonego ciśnienia, po czym zajął swoje stanowisko

między oddziałami i kokpitem. Zabezpieczono broń, przypasując ją tuż obok właścicieli –

którzy niezależnie od tego i tak trzymali ją kurczowo. Wyregulowano pasy

bezpieczeństwa. Dowódcy drużyn i plutonowi sprawdzili zabezpieczenia swoich ludzi,

zanim sami zapięli szelki. Jedynie porucznik Taiters wciąż jeszcze nie zajął miejsca.

–Kompania Alfa ląduje jako pierwsza – powiedział. – Pułkownik Flowers razem z

dowództwem batalionu będą szli tuż za nami. Nasza działka to zabezpieczenie SL. Reszta

batalionu nadleci w przeciągu dosłownie paru chwil, trzeba więc ostro liczyć się z

czasem. Chcemy wylądować i zająć pozycję, zanim opozycja w ogóle zreflektuje się, że

nadchodzimy. Pozostałe wahadłowce będą lądować jeden za drugim, a my w tym czasie

obstawimy obwód. Macie być czujni i gotowi na wszystko. – Przerwał na chwilę, po

czym zakończył starym militarnym frazesem. – Powodzenia i pomyślnych łowów.

Nolan zrobił długi i powolny wdech, wstrzymał powietrze na trzydzieści sekund, po

czym równie wolno wypuścił je z płuc. W piersiach coś mu podejrzanie trzepotało, coś

między lękiem i podnieceniem. Odwrócił się w stronę fotela kaprała Girany i

przypomniawszy sobie, że ma się trzymać blisko dowódcy drużyny. Girana spojrzał na Lona i

skinął głową, jakby potrafił czytać w myślach kadeta. Żaden mężczyzna nie widział oczu

swoich towarzyszy. Ekrany hełmów były spuszczone, a przyciemnione plastikowe osłony

skrywały znajdujące się pod nimi twarze.

Nie padło ani jedno słowo o pośpiechu i czekaniu. Cały batalion musiał znaleźć się w

swoich wahadłowcach przed rozpoczęciem procesu odpalania silników. Hangary

należało rozhermetyzować; masywne drzwi zewnętrzne musiały stanąć otworem przed

wystrzeleniem lądowców.

Lon uświadomił sobie, że słyszy rytmiczny łomot, który zdawał się przybierać na

sile. Dopiero po pół minucie dotarło do niego, że to kołatało jego serce. Wykonał jeszcze

jedno ćwiczenie oddechowe, żeby zwolnić bicie. Kiedy to nie poskutkowało, spróbował

zanucić cicho *Balladę o Harko Bainie*, nie udało mu się jednak uwolnić od dudniącego

pulsu.

„Będzie łatwiej, jak już wyjdiesz żywy z pierwszego ostrzału” – powiedział sobie w

myślach. „Teraz się tym nie zamartwiaj. Przygotowałeś się najlepiej, jak potrafiłeś”.

Wrócił do przeglądania w myślach SL, przypominania sobie wszystkiego, co

powinien wiedzieć, gdy wahadłowiec dotknie już ziemi i otworzy się właz. Skupił się na

odrysowywaniu w pamięci każdego szczegółu obrazów SL – wzgórz leżących po obydwu

stronach, drzew po jednej z nich, kierunku, w którym miała posuwać się drużyna, żeby

zająć podlegającą jej sekcję obwodu SL.

–Nastąpiło rozhermetyzowanie wnętrza hangaru – poniósł się w głośnikach głos szefa załogi. – Za chwilę rozpocznie się otwieranie zewnętrznej śluzy.

Lon poczuł raczej, niż usłyszał ciężki mechanizm podnoszący wrota. W panującej w hangarze próżni metal lądownika i podłogi hangaru przenosiły wibracje. Podłoga miała

wymiary osiemdziesiąt na sto stóp i była gruba na kolejne siedemnaście.

Chwytnak uniósł wahadłowiec z podłogi hangaru i przetransportował go przez otwartą

śluzę, rozciągając ramię do pełnej długości. Na pożegnanie, kluzy głowicy chwytaka

wypuściły z sykiem skompresowane powietrze, które odepchnęło wahadłowiec od masy

statku, nim jeszcze lądownik włączył własne odrzutowe silniki sterujące. Ruchy były

płynne, łagodne. Załoga hangaru i piloci wahadłowca mieli spore doświadczenie oraz

niemały talent.

„No to jesteśmy w drodze” – pomyślał Lon, kiedy poczuł, że jego ciało napiera na

pasy bezpieczeństwa, gdy tylko wahadłowiec wyszedł poza zasięg sztucznego ciężenia

statku. Od momentu zapięcia szelek minęło już ponad trzydzieści minut. Usiłował nie

myśleć o kolejnym postoju, kiedy w pobliżu Wężyska będzie się formował cały batalion.

To nie powinno trwać aż tak długo. Grupa uderzeniowa składała się tylko z dziewięciu

wahadłowców – dwa na każdą kompanię liniową plus jeden dla pułkownika Flowersa i dowództwa batalionu.

Osiem minut później porucznik Taiters oznajmił na ogólnym kanale radiowym:

–Trzymajcie się, zaraz będzie gorąco.

Po kolejnych dwudziestu sekundach główne silniki wahadłowca odpaliły i statek zaczął przyspieszać w kierunku Norbanku.

Wahadłowiec pasażerski wykorzystując grawitację, opuściłby orbitę i zszedłby na powierzchnię świata, najpewniej okrążając go jakieś pół długości, zanim zszedłby na ziemię. „Gorące” lądowanie wojskowych wahadłowców szturmowych wyglądało inaczej. Te siadały z dziobami skierowanymi w górę, schodząc niemal dokładnie na strefę lądowania pod nimi i za pomocą silników odrzutowych przyspieszały, wygrywając

z siłą przyciągania. Ufano przy tym, że materiały, z jakich zostały wykonane, wytrzymają

niesamowite gorąco i przeciążenia, które towarzyszą wchodzeniu w atmosferę. Opór

powietrza pomagał w pewnym stopniu w wytracaniu prędkości. Następnie statki uruchamiały hamulce aerodynamiczne i raketowe silniki hamujące – tak późno, jak tylko

było możliwe – by spowolnić podchodzenie maszyny do lądowania. Pomysł polegał generalnie na tym, żeby ewentualnym przeciwnikom zostawić możliwie najmniej czasu

na reakcję.

Wahania siły ciężenia były wyliczone do granic ludzkiej wytrzymałości. Dla

oddziałów siedzących bliżej rufy mogło się to równać trzydziestu sekundom częściowego

zamroczenia. Kiedy wahadłowiec nabrał przyspieszenia, Lon poczuł się tak, jakby został

ściśnięty do dwuwymiarowej postaci. Potem szarpnęło w drugą stronę. Zabolało. Krew

napierała na skórę, chcąc wydostać się na zewnątrz. Twarz nieprzyjemnie szczypała,

jakby tajała po odmrożeniu.

A potem wahadłowiec dotknął ziemi. Statek cały czas hamował za pomocą silników.

Lonem szarpnęło do przodu i do tyłu. Po raz pierwszy od jakiejś godziny zdołał bez problemu zaciągnąć się powietrzem.

–Odbezpiecz i ładuj broń! – krzyknął porucznik Taiters na kanale ogólnym.

Odciągnięto zamki karabinów, wprowadzono naboje do komór; odbezpieczono broń.

–Na nogi i wymarsz! – podoficerowie jak echo powtórzyli komendę. Włazy stanęły

otworem. Drużyny zaczęły przemieszczać się w kierunku wyznaczonych wyjść. Każdy

wiedział, którymi drzwiami ma wychodzić.

Lon prawie że deptał po piętach Tebbie Giranie. Kapral wykonał zwrot w lewo i

pobiegł truchtem w kierunku linii drzew oddalonej o jakieś osiem jardów. Lon poruszał

się w doskonałym szyku z karabinem opartym o dołek strzelecki. Z ponad

sześćdziesięciofuntowym obciążeniem żaden z nich nie mógł utrzymać szczególnie

szybkiego tempa.

Przez jedną krótką chwilę Lon miał przyprawiające o zawrót głowy poczucie nierealnego poruszania się. Nachylenie było nieco inne, niemniej jednak to, co znajdowało się w polu widzenia, wystarczyło, żeby odniósł takie wrażenie. Zaciśnął mocno powieki na dłuższą chwilę, po czym rozejrzał się, usiłując przetrwać jakoś ten moment.

Reszta drużyny była tuż obok, przemieszczając się szerokim klinem po obydwu stronach Tebby i Lona. Zanim dotarli do linii drzew i części obwodu, którą mieli obsadzić, usłyszeli jeszcze resztę podchodzących do lądowania wahadłowców. Jedynym

dźwiękiem, który nie dotarł do ich uszu, był odgłos wystrzału.

„Chyba się udało” – pomyślał Lon, przypadając do ziemi. „Zeszliśmy bezpiecznie, z dala od rebeliantów”. Okres szczególnej podatności na atak dobiegał końca. Lądowały

ostatnie wahadłowce. Połowa batalionu kierowała się na stanowiska ogniowe, w tym samym czasie załogi wahadłowców obsadzały działka i wyrzutnie raketowe. Jeśli nieprzyjaciel ruszyłby na nich teraz, miałyby ręce pełne roboty.

Popołudniowe cienie zdążyły już zawłaszczyć większą część polany, choć słońce nadal jasno oświetlało zbocza wzgórz leżących po drugiej stronie strefy lądowania. Nie

było jeszcze ciemno, nawet pod drzewami, ale cienie kładły się gęsto, a światło przybrało

przydymiony, lekko zielonkawy odcień. W powietrzu unosił się duszący ziemisty zapach

gleby i rozkładających się szczątków organicznych. W miejscach, gdzie ciastowata

ziemia została poruszona, zapach przybierał na intensywności. Lon skrzywił nos i zdławił

kichnięcie.

Skupił się na przepatrywaniu rozciągającego się przed nim lasu. Oddział, pełna kompania, znajdował się już w komplecie na ziemi, utrzymując luźną formację dwadzieścia jardów w głębi obszaru zalesionego. Podszycie było dość skąpe. Życie toczyło się na wyższych piętrach lasu, w koronach drzew, dokąd docierało słoneczne

światło, o które toczyła się walka. Większość drzew była pozbawiona gałęzi do wysokości piętnastu stóp, a niektóre wybijały się nawet i na wysokość dwa razy większą.

Przewagę stanowiły drzewa liściaste. Przypominały nieco ziemskie dęby czy klony, choć

Lon doszedł do wniosku, że prawdopodobnie są to rodzime gatunki norbankijskie. Kolonia nie była dość zaawansowana w latach, żeby gatunki importowane zdołały opanować dzikie tereny i osiągnąć takie rozmiary.

„Żadnego ruchu” – zauważył w myślach, spoglądając nad lufą karabinu. Wnioskował

nie tylko na podstawie świadectwa oczu. Sensory umieszczone w jego hełmie, kamery i

mikrofony kierunkowe były o wiele bardziej wrażliwe – zarówno jeżeli chodzi o częstotliwość, jak i o zasięg. W cieniach, których Lon nie mógł spenetrować wzrokiem,

nie wykazały one niczego o rozmiarach człowieka. Poza tym, nikt inny nie wysyłał żadnych sygnałów alarmowych.

–Dobra, ludzie, ruszamy się – odezwał się na kanale trzeciego plutonu starszy sierżant Dendrow. – Azymut równa się 2-6-5 stopni. Plutony pierwszy i drugi,

luźnym

szykiem. Trzeci i czwarty, za nimi, trzydzieści jardów. Wahadłowce są gotowe do startu.

Musimy się upewnić, że nie czekają na nas w pobliżu żadne niebezpieczne niespodzianki.

Wahadłowce były zbyt ważne i zbyt zachęcające jako cele, żeby zostawiać je wolno na ziemi. Miały wrócić na statek, choć – o ile nie pojawią się żadne wrogie jednostki powietrzne – zostawi się pewnie, w celu zapewnienia bezpośredniego wsparcia powietrznego, jeden czy dwa. Będą wykonywały rundy nad okolicą na bezpiecznej wysokości – poza zasięgiem naziemnych pocisków raketowych.

Lon podniósł się na nogi zaraz, jak tylko wstał kapral Girana. Plutony pierwszy i drugi oddaliły się od pierwotnej linii obwodu. Kiedy znalazły się trzydzieści jardów poza

obwodem, porucznik Taiters poprowadził za nimi swoje dwa plutony. Lon sprawdził odczyty kompasu na wskaźniku refleksyjnym hełmu, upewniając się, że zmierzali we właściwym kierunku. Chwilę potem zauważył, że Girana odwraca się, aby sprawdzić, czy kadet zajmował przykazaną mu pozycję. Tebba skinął nieznacznie głową; był usatysfakcjonowany.

–Oczy otwarte, Nolan – odezwał się na kanale prywatnym. – Wszystko wydaje się na

razie proste jak bułka z masłem, ale to może się prędko zmienić.

Chłopak kiwnął głową w odpowiedzi i Girana na powrót utkwiał wzrok przed siebie.

Pierwszy szereg szperaczy oddalił się jedynie o sto jardów, kiedy do uszu Lona dotarł odgłos dysz odrzutowych startujących wahadłowców. Podnosiły się w krótkich

odstępach, następnie kierowały na wschód, zostawiając za sobą Norbank City i

największe skupiska sił opozycji. Kiedy już opuszczą atmosferę i wyjdą poza zasięg

ostrzału rebeliantów, będą mogły latać sobie spokojnie, aż wszystkie dobiją do Wężyska

albo zostaną przydzielone do patrolowania powierzchni i zapewnienia wsparcia naziemnego.

„Przynajmniej zabiorą nas stąd, jak już będzie po wszystkim” – pomyślał Lon, starając się zwalczyć irracjonalne wrażenie, że statki ich porzuciły.

Pułkownik Flowers wstrzymał marsz kompanii A. Cztery plutony zajęły pozycje defensywne, pierwszy i drugi na froncie, trzeci i czwarty na flankach i w ariergardzie.

Ludziom nie kazano się okopywać. „Nie zamierzamy zagrażać tutaj miejsca”.

Czekanie trwało jak dla Lona wystarczająco długo. Leżał na brzuchu, wyglądając zza

pnia. Zaraz obok po drugiej stronie drzewa zajął miejsce kapral Girana z karabinem.

Gdyby atak miał nastąpić teraz, żaden z nich nie byłby dostatecznie kryty.

–Rozstawiają wszystkich, żebyśmy mogli przemieszczać się w kierunku miasta –

Girana wyjaśnił kadetowi po otrzymaniu informacji z obwodu podoficerskiego. –

Kompania Delta wysuwa się najbardziej do przodu. Minie jeszcze dziesięć minut, zanim

dotrze na swoją pozycję. – Kapral przełączył się na kanał drużyny i ciągnął dalej. –

Przeplucście gardła, czy chce wam się pić, czy nie. I oczy otwarte. Na naszej flance

będzie szła kompania Bravo. Żeby nikt mi się za bardzo nie rozochocił i nie zaczął przypadkiem do nich strzelać.

Batalion miał poruszać się w trzech oddzielnych kolumnach, kompaniami: A, B i C.

Kompania D miała stanowić tylną straż i iść w luźnym szyku za wszystkimi trzema kolumnami. Centrum formacji stanowić będzie kompania A, B na lewo od niej, C na

prawej flance. Dwa ostatnie oddziały miały zabezpieczyć flanki. Kompanii A przydzielono zadanie wysłania zwiadowców. W razie konieczności plutony miały na zmianę uzupełniać grupę zwiadowczą. Trzeci pluton miał iść za czwartym. Kapral Girana

został już wcześniej poinformowany, że jego oddział dostanie wezwanie do akcji.

–W tym kontrakcie dostaną się nam same ochłapy – Girana powiedział Lonowi jeszcze na pokładzie statku. – Tak to już jest, jak się ma kadeta do ochrzczenia.

Cienie gęstniały w mrok. Pod leśnym dachem prędko zapanowała szarówka.

Systemy

noktowizyjne uruchomiły się automatycznie, dodając do obrazu jeszcze więcej jaskrawozielonego odcienia. System nie był idealny. Dawał jakieś siedemdziesiąt procent

dziennej widoczności. Kontrasty były zredukowane, a rozdzielczość malała wraz z odległością o wiele gwałtowniej niż w świetle dziennym, ale to wystarczało, żeby żołnierz piechoty mógł swobodnie działać w ciemnościach.

Lon rozejrzał się wokół siebie. Przez maskujące moro i hełmy nie wiadomo było, kto jest kim. Janno i Gen nie stanowili jeszcze problemu. W drużynie byli najwięksi, Janno

do tego chudy, a Gen Randor – zwalistej postury. Phip był z kolei najniższy, choć nie

było drastycznej różnicy wzrostu między nim a resztą; niemniej jednak Lon przyzwyczał

się do jego sposobu chodzenia, postawy. Szedł niedaleko, podobnie jak Janno.

Mężczyzną stojącym zaraz za Jannem był najprawdopodobniej Dean Ericks, ale można

było się tego domyślać tylko dlatego, że zazwyczaj w takim składzie się trzymali.

Wreszcie daleko na lewo dało się zauważyć jakiś ruch. Lon postukał Giranę w ramię

i wskazał w tamtym kierunku. Girana skinął głową.

–To Bravo – powiedział. – Już sprawdziliśmy. „Czyli nie dojrzałem ich dość szybko”

–przemknęło młodemu przez głowę.

Mniej niż minutę później Girana włączył się na kanale drużyny.

–W planach zaszła mała zmiana. Ruszamy na szpicę zamiast czwórki.

„Moja wina” – pomyślał Lon. „Chcą rzucić mnie tam, gdzie pewnie najszybciej będzie się coś działo. Żeby zobaczyć, co zrobię”.

–Wstawać; idziemy – powiedział Girana, zbierając się na nogi. – Dwie kolumny, drużynami ogniowymi. Kolumny w zwartym szyku, dopóki nie minimy jedynki i dwójki. Potem się rozdzielimy, trzydzieści jardów między kolumnami, dziesięć jardów

między ludźmi. – Zmienił kanał i rzucił Lonowi: – Aż tak daleko ode mnie nie odchodź,

Nolan; pięć jardów, zaraz za mną.

Wewnątrz cienkich rękawic maskujących dłonie Lona zawilgotniały od potu.

–Będę tam, Tebba – potwierdził.

Girana był trzeci w kolumnie po lewej. Janno i Deana dał na czoło, jako patrol. Z

całej drużyny najlepiej się do tego nadawali. Będą zamieniać się kolejno pozycjami, w

razie gdyby drużyna miała prowadzić zwiad przez dłuższy czas.

–Musimy ruszać się prędko, dopóki nie dotrzemy na wyznaczone miejsce –

zakomenderował Girana, kiedy drużyna wznowiła marsz. – Potem rozegramy wszystko

powoli i ostrożnie tak, jak należy. Ale batalion ma być gotów do wymarszu za cztery minuty. Każda minuta dłużej, to dla nas zator.

Zwiadowcy wyznaczali prędkość ruchu wojska. Zadaniem drużyny czołowej było

szukanie jakichkolwiek sił nieprzyjaciela, min przeciwpiechotnych czy pułapkowych, uruchamianie zasadzek albo wykrywanie ich przed czasem oraz zapewnienie maksymalnego bezpieczeństwa na trasie.

–Nie wykrywamy żadnej elektroniki nieprzyjaciela – powiedział Girana, kiedy zbliżyli się do linii wyznaczonej przez pierwsze dwa plutony kompanii A. – Ale w walce

przeciwko amatorom nie można na tej podstawie wiele wnioskować. Może być tak, że

większość z nich nie posiada sprzętu elektronicznego.

Przeciwko dobrze wyposażonej armii sprawa przedstawiałaby się zgoła inaczej.

Standardowe hełmy bojowe, naszpikowane radiami, sensorami i komputerami umożliwiały lokalizację i identyfikację żołnierzy, chyba że ich osłona była bardziej zaawansowana niż detektory wroga.

Drużyna Lona minęła odstęp między pierwszym a drugim plutonem, po czym rozproszyła się. Interwały dało się łatwo odmierzyć – sensory w hełmach bojowych potrafiły podać odległość co do cala – ale każdy wiedział, że nie należy przesadzać z

dokładnością. To za bardzo ułatwiłoby nieprzyjacielowi namierzenie ich. Owe „dziesięć

jardów” wahało się między ośmioma a piętnastoma. Kolumny podobnie różnicowały dystanse – raz je zmniejszając, raz zwiększając, co tylko po części wiązało się ze zmianami w ukształtowaniu terenu.

Kiedy tylko zostawili za sobą kordon leżących żołnierzy piechoty, który wyznaczał

czoło kompanii A, Lon poczuł różnicę. Wiedział, że to tylko złudzenie, ale gdy drużyna

wysunęła się przed resztę batalionu i znalazła się sama, na widoku, z zadaniem

nawiązania pierwszego kontaktu bojowego z jakimkolwiek czekającym na nich wrogiem,

las wydał się nagle jakiś inny. Puls Lona przyspieszył. Zmysły jakby mu się wyostrzyły,

zrobił się czujniejszy. Jego wzrok wędrował to w jedną, to w drugą stronę – nie bezładnie,

ale według uważnego wzoru – szukając jakiegokolwiek zwiastuna problemów. Wytężył

słuch, żeby pochwycić choćby najdelikatniejszy odgłos w zielonej ciemności.

Kiedy już drużyna wyprzedziła swoich towarzyszy o spory kawałek, nie parła dalej

naprzód szczególnie szybko. Utrzymywała raczej krok spacerowy, a szpica zatrzymywała

się od czasu do czasu, żeby wysondować okolicę w obrębie kąta stu osiemdziesięciu

stopni przed sobą. Kiedy czoło przystawało, reszta drużyny również robiła postój, czekając, aż zwiadowca da sygnał, że wszystko jest w porządku i można ruszać dalej.

„Nie powinno tu nigdzie być żadnych min” – tłumaczył sobie w myślach Lon.

„Rebelianci nie otrzymali żadnego ostrzeżenia co do miejsca naszego lądowania. Nie

mogli wiedzieć, gdzie podłożyć miny, a poza tym nie mogli ich mieć aż tyle, żeby

umieścić je w okolicy każdego potencjalnego lądowiska”. Argumentacja nie do

podważenia – ale co z tego. Wystarczyłaby przecież tylko jedna. Przełknął głośno ślinę.

Usta miał suche. Reszta ciała spływała potem.

Zerknął ponad ramieniem. Pozostała część kompanii A ruszyła ponad sto jardów za ostatnim członkiem drużyny czołowej. „Inne kolumny pewnie też są już w drodze” – pomyślał Lon, choć nigdzie ich nie widział. Ich pozycje także miały znajdować się

nieco

za kompanią A. Całkowite rozmieszczenie wojsk będzie kształtem przypominało strzałę,

w której rola ostrza grotu przypadnie drużynie czołowej środkowej kolumny.

W ciągu pierwszej półgodziny batalion przemieścił się nieco ponad milę. Kiedy pułkownik Flowers zarządził pięciominutowy postój, drużyna czołowa oddaliła się o kolejne pięćdziesiąt jardów – dając sobie tym samym akurat tyle rezerwy w dystansie,

żeby ludzie zdążyli napić się wody, przykucnięci w półokręgu, z twarzami na zewnątrz,

stale wypatrując wroga.

–Pamiętajcie, nie liczcie na to, że najpierw wykryjecie elektronikę – Girana ostrzegł swoich podkomendnych. – Może ich czekać parę setek i mogą nie mieć niczego, co by ich wydało.

Jednocześnie i bez ostrzeżenia elektroniki hełmów wystrzeliło jakieś pół tuzina karabinów – broń półautomatyczna. Od czasu, kiedy batalion skończył przerwę i wznowił

marsz, minął kwadrans. Drużyna czołowa znajdowała się sto pięćdziesiąt jardów przed

resztą kompanii A. Ogień szedł od ich lewej i daleko z przodu, pod kątem jakichś trzydziestu stopni do kierunku marszu.

Lon usłyszał, jak ktoś nieopodal niego zacharczał z bólu, ale nie rozpoznał, kto to był. Przypadał właśnie do ziemi i przyjmował pozycję strzelecką. Zdążył dojrzeć jaskrawe błyski u wylotów luf.

–Jakieś sto dwadzieścia jardów – poinformował na swoim kanale kaprala Giranę. –

Widziałem, gdzie są.

Girana nie odpowiedział od razu. Na częstotliwości drużyny rzucił komendę.

–Odpowiedzieć ogniem, a potem znaleźć sobie możliwie najlepszą osłonę. – Zrobił pauzę, zanim zapytał. – Ktoś dostał?

–Ja, Raiz – wycedził ktoś przez zaciśnięte, co było słyhać, zęby. – Lewe ramię. Coś zламаłem.

–Jestem z nim, Tebba – odezwał się głos Harvey’a Fehra. – Opatrzę go.

–Dobra – odparł Girana. – Dav, zostaniesz z nimi. Reszta, ruszać się. Musimy dać zajęcie tym pukawkom, dopóki kompania Bravo nie podeśle nam plutonu.

Zaraz, jak tylko wstali i zaczęli przemieszczać się z nosami prawie przy ziemi, drużyna Lona znowu znalazła się pod ostrzałem. Tym razem odezwało się więcej niż sześć rebelianckich karabinów.

Drużyna rozproszyła się natychmiast, gdy ludzie wstali i puścili się pędem przed siebie. Lon trzymał się blisko Tebby, zawsze jakieś pięć czy sześć jardów z boku i zazwyczaj krok czy dwa za nim. Wszyscy biegli od osłony do osłony, otwierając po drodze ogień, kryjąc się za każdym drzewem, żeby oddać celniejszy strzał. Połowa drużyny miała zapewniać ogień osłonowy z karabinów i granatników, podczas gdy zadaniem reszty było przemieszczanie się w stronę następnej kryjówki. Nie kierowali się

bezpośrednio na pozycje nieprzyjaciela, ale pod kątem na prawo. Podchodzili powoli,

uważnie obierając jak najbezpieczniejszą trasę.

Lon z trudem łapał powietrze. „Nie powinienem tak dyszeć” – pomyślał, kucając za drzewem i zaciągając się pełną piersią raz i drugi. „Przecież nie odbiegliśmy aż tak daleko”. Wstrzymał oddech wystarczająco długo, żeby wycelować w płomień wylotowy i

posłać w jego kierunku krótką serię. Powtórzył manewr, zobaczywszy w oddali kolejny

punkcik światła. Zaraz potem trzeba było już wstawać i iść dalej.

Girana nie dawał po sobie poznać, że był świadom obecności Nolana. Kapral miał wystarczająco dużo roboty ze strzelaniem i bieganiem oraz orientowaniem się w położeniu drużyny, wykorzystując dane otrzymywane o ruchach kompanii B. Mimo to

kadet ze wszystkich sił starał się trzymać tam, gdzie mu kazano.

Nieprzyjacielski ogień był okropnie niecelny. Mimo zmniejszania dystansu żaden inny żołnierz w drużynie nie został ranny podczas natarcia. Zdążyli podejść do najbliższych błysków płomieni wylotowych na jakieś osiemdziesiąt jardów, zanim

Girana rzucił swoim ludziom rozkaz znalezienia jak najlepszej osłony i przypadnięcia do

ziemi. Biorąc pod uwagę dystans, było nielichą zagadką, że nie ucierpiał nikt więcej.

–Teraz musimy tylko utrzymywać z nimi kontakt bojowy – powiedział Girana. –

Pluton z Bravo podchodzi od lewej. Wypatrujcie sygnałów ich hełmów. I głowy do ziemi.

Lon już wcześniej zobaczył na swoim wskaźniku refleksyjnym cztery tuziny

jasnozielonych punkcików. Zielony oznaczał swoich. Gdyby sensory wykryły

nieprzyjacielski sprzęt, na ekranie pokazałyby się czerwone punkty. Kilka sekund później

drugi pluton otworzył ogień do wroga. A potem eksplodowała pierwsza salwa granatów

karabinowych. Było ich pół tuzina, a może i więcej, wybuchały w zbyt krótkich

odstępach, żeby Lon mógł mieć pewność co do liczby. Nieprzyjacielska kanonada

szybko i niemal zupełnie zamilkła.

–OK, ruszać się! – krzyknął Tebba, podnosząc się z ziemi. – Ogień tłumiący.

Komenda „ogień tłumiący” oznaczała posłanie w kierunku pozycji wroga ciągłego

ognia z karabinów maszynowych. Chodziło przy tym nie tyle o to, żeby wywołać

dotatkowe straty w siłach nieprzyjaciela, ile żeby powstrzymać ich od odpowiedzi – o ile

jeszcze zostali jacyś strzelcy.

Lon strzelał cały czas krótkimi seriami – w miarę możliwości trzystrzałowymi –

przesuwając lufę z lewa na prawo; reszta drużyny działała według tego samego wzoru.

Początkowo pluton z kompanii B również brał udział w ostrzeliwaniu ostatnich

odkrytych pozycji wroga, ale kiedy tylko drużyna Lona podeszła bliżej, drugi pluton

zaprzeszał ognia, nie chcąc spowodować strat po swojej stronie.

W miejscu, gdzie znajdowały się pozycje norbankijskich rebeliantów, gęste niegdyś poszycie porastało brzeg wąskiego strumyka. Większość flory rozniosły wybuchy granatów. A drzewa i krzaki, które przetrwały, straciły liście tam, gdzie dosięgła eksplozja. Pnie pokrywały bruzdy po szrapnelach. Pozostał zapach prochu. I nic poza tym.

Girana zatrzymał się, dając swoim ludziom znak, żeby otoczyli teren i wystawili czujki w celu sprawdzenia, czy w pobliżu nie znajdowali się inni rebelianci. Lon zobaczył dwa ciała okaleczone wybuchami, z powyrywanyymi kończynami, jedno niemal

przerwane na pół. Zatrzymał się i przełknął ślinę, tłumiąc napływającą mu do ust falę żółci. Dalej było tylko więcej ciał.

–Belzer, Ericks, Steesen, macie zająć pozycje na drugim brzegu strumienia i pilnować, czy nie wracają – rozkazał Girana. – Tylko na paluszkach. Idę o zakład, że nie

załatwiliśmy ich wszystkich. – Tebba przemierzał powoli teren, licząc ciała i sprawdzając, czy między umarłakami nie zostali jacyś żywi. Lon szedł blisko kaprała i za

obydwu czujnie rozglądał się na boki. Załadował nowy magazynek i zarepetował broń,

wprowadzając nabój do komory. – Osiem trupów – odezwał się Girana, skończywszy

liczyć. – A strzelał przynajmniej tuzin karabinów albo jeszcze drugie tyle.

–Nie mogli przecież liczyć na to, że powstrzyma nas taka garstka – głośnie zastanowił

się Lon. – Wpadliśmy na patrol, czy może to była grupa zwiadowcza większego

korpusu?

Girana chrząknął.

–Dobre pytanie, ale nie wiem więcej niż ty. Poczekaj chwilę. – Kadet poczekał, domyślając się, że kapral musiał zmienić kanał, żeby odpowiedzieć na wezwanie. Trwało

to trzydzieści sekund. – Luzują nas z czołowej – powiedział Tebba, kiedy z powrotem

przełączył się na kanał Lona. – Gdy tylko ludzie z Bravo dotrą tutaj, wracamy zebrać naszych, którzy zostali z tyłu i wtedy czwarty pluton wystawi swoją szpicę.

–Wiadomo już, co z Raizem? – spytał Lon.

–Będzie żył. Dav mówi, że to wygląda na pęknięty bark, a może nawet i obojczyk, tak więc Raiz wypada na chwilę z gry.

–Zabiorą go z powrotem na statek?

–Jak się uda. – Tebba wzruszył ramionami. – Myślę, że tymczasem będą musieli wpakować go do przenośnej tuby pourazowej i zostawić przy nim paru ludzi.

–Nas?

–Nie. Zajmą się nim medycy polowi. I jeszcze jednym gościem z kompanii Bravo, który też oberwał.

Lon czuł się dziwnie, idąc w przeciwnym kierunku niż reszta batalionu, cofając się, podczas gdy inni parli naprzód. Żołnierze, których mijala jego drużyna, odwracali się za

nimi. Lon zauważył to, ale nie dał ujścia swojej ciekawości. Czuł swędzenie na plecach.

Odwrót nie podobał mu się z jednego powodu – nie lubił stawać tyłem do źródła zagrożenia. Gdzieś za nimi ciągle czaili się norbankijscy rebelianci. Za nim, a może

wszędzie wokoło.

Frank Raiz został już zabrany przez medyków. Dav Grott i Harvey Fehr dołączyli do drużyny.

–Wylize się – Grott zapewnił pozostałych. – Już go wpakowali do tuby.

Tuba pourazowa była podstawowym narzędziem pomocy medycznej, perłą w koronie nanotechnologii połączonej z najnowszej generacji sprzętem do kompleksowego

podtrzymywania funkcji życiowych. Jeśli ranny człowiek wchodził do tuby wciąż żywy,

miał ponad dziewięćdziesiąt osiem procent szans na wykaraskanie się nawet z

najpoważniejszych obrażeń. Po zaledwie trzech minutach w tubie prawdopodobieństwo

to rosło praktycznie do setki. Podczas gdy aparatura podtrzymująca życie stabilizowała

rannego czy chorego osobnika, jego ciało zalewały organiczne zespoły naprawcze,

fabryki wielkości molekuly, które porównywały to, co znajdowały z tym, co powinny

znaleźć i każde odchylenia od wzorca zostawały w ten sposób korygowane. Cztery do

sześciu godzin wystarczyło, żeby rozwiązać większość problemów, nawet złożonych

złamań i głębokich ran postrzałowych. Jedynie uszkodzenia o charakterze

neurologicznym – w szczególności mózgu i rdzenia kręgowego – mogły wymagać

dłuższych sesji w tubie. I tylko takie sytuacje oraz proces odtwarzania amputowanych

kończyn mogły wykluczyć żołnierza z akcji na dłużej niż osiem godzin. Składane

moduły przenośne, których wojsko mogło używać bezpośrednio na polu, nie były aż tak

rozbudowane – czy wyrafinowane – jak moduły szpitalne, ale mimo to dobrze spełniały

swoje zadanie.

Reszta trzeciego plutonu kompanii A skierowała się na tyły kolumny. Drugi pluton zrobił sobie przerwę i czekał na nich. Phip usiadł obok Lona i podniósł ekran helmu.

–No i? – spytał.

Lon wzruszył ramionami, niezbyt wiedząc, jak słowami przekazać swoje uczucia.

–Teraz mam już to za sobą – odparł bezbarwnym głosem. Nie zaczął jeszcze analizować w pamięci minionego doświadczenia. Na razie nie było co marzyć o

doszukiwaniu się jakiegokolwiek sensu w tym, co odczuwał. Pytanie wyzwoliło galopadę

obrazów i wrażeń, a wszystkim brakowało spójności i żadne nie było jeszcze gotowe, by

stężeć. – Nie wiem, co mam o tym myśleć – dodał po długiej chwili ciszy. „A może tak

będzie najlepiej” – zdecydował w myślach. „Nie analizować do upadłego. Zostawić doświadczenie w spokoju”.

–Jakbyś wyczał, daj znać – powiedział Phip, podnosząc się z kucek. – Brałem udział

w dwudziestu potyczkach, a niektóre były o wiele większe i gorsze niż ta. Mimo to nadal

nie wiem, co o tym myśleć. Po prostu, no, po prostu czasem nachodzi mnie myśl, że to

cholernie pokręcony sposób zarabiania na życie.

„I to z wyboru, kto by pomyślał” – przemknęło Lonowi przez głowę. Trzęsła mu się jedna z dłoni. Złapał ją i świdrował wzrokiem tak długo, aż zapanował nad drżeniem.

„Wcale się nie bałem” – zapewniał się w duchu. „Nie, kiedy to się działo. Wtedy nie było

czasu na strach. I nie ma sensu pozwolić mu wyłazić teraz, kiedy jest już po wszystkim”.

Drżenie ustępowało jednak powoli, a nawet, kiedy już przeszło, Lon nadal czuł pustkę w

żołądku – i nie miało to nic wspólnego z głodem.

–Dobrze się spisałeś – odezwał się kapral Girana tuż za uchem Nolana. Tebba miał podniesioną osłonę. Nie mówił przez radio. Dźwięk jego głosu wystraszył Lona.

–Nie słyszałem, jak pan podchodził – odparł, podnosząc ekran hełmu, odwracając się

równocześnie i spoglądając w górę.

Girana przykucnął obok Nolana.

–W porządku, dzieciaku – powiedział. – Pół życia w tym siedzę i ciągle mnie biorą drgawki po akcji, prawie za każdym razem.

Lon pokręcił głową.

–To nie wydawało się, jak to powiedzieć, prawdziwe, dopóki nie zobaczyłem ciał ludzi, których zabiliśmy. Słyszałem świszczące mi wokół głowy pociski. Wiedziałem, że

Frank dostał, ale...

–Wiem. Nie rwij sobie przez to włosów z głowy. – Przerwał mu Tebba. – Zabijanie to nasz zawód. Albo oni, albo ty.

–No i ufność, że stoimy po właściwej stronie barykady? – spytał Lon.

–Ufność, że stoimy po właściwej stronie barykady – zgodził się Tebba.

–W Springs cały sens działania czerpałem z uczucia patriotyzmu. UP, na dobre i na złe, była moją ojczyzną. Myślałem, że będę bronić swojej ojczyzny. A tymczasem o co

walczyć? O prawo do zarabiania, o najlepszą ofertę wynajmu naszych karabinów?

–Walczymy dla Dirigentu, dla korpusu i dla naszych współtowarzyszy – odparł

Tebba. – Nie przejmuj się zbytnio określeniem „najemnik”, dzieciaku. Walczymy, bo jesteśmy towarem eksportowym Dirigentu, ważnym dla przetrwania naszej planety.

Służymy naszemu światu w taki sam sposób, w jaki ty służyłbyś swojej ojczyźnie,

gdybyś tam u siebie trafił do armii. Walczymy, bo jesteśmy Dirigentyjczykami. Nie ma

znaczenia, czy się tutaj urodziłeś, czy imigrowałeś. Jesteś tak samo Dirigentyjczykiem

jak każdy z nas, nawet ci, których rodziny żyją tutaj, odkąd tylko zasiedlono tę kolonię.

Lon powoli skinął głową.

–A teraz czas ruszać, zanim stratuje nas tylna straż.

Podnieśli się. Reszta drużyny czekała, niektórzy na stojąco, inni ciągle siedząc. Ale

kiedy tylko Girana dał znak pozostałym, każdy skoczył na nogi i był gotowy do

wymarszu. Stanęli w dwóch kolumnach z resztą trzeciego plutonu i pospieszyli wypełnić

lukę, jaka powstała między nimi a resztą kompanii.

Lon znów zajął swoje miejsce u boku Girany. Ze wszystkich sił starał się

koncentrować na otaczającym ich terenie. Usiłował być stale czujny, mimo że –

najprawdopodobniej – zajmowali najbezpieczniejsze miejsce w formacji marszowej, na

tyłach środkowej kolumny, mając za sobą sporych rozmiarów ariergardę. „Oczy i uszy

otwarte” – Lon wydał sobie w myślach komendę. „Masz cały czas mieć się na

baczności”.

Ledwie parę sekund później Tebba powtórzył to samo na kanale drużyny.

–Mieście się na baczności. Rozglądajcie się na boki. Nie myślcie sobie, że skoro jesteśmy, gdzie jesteśmy, ominie nas frajda nawiązania kontaktu bojowego z wrogiem.

Batalion znajdował się w odległości dwóch mil od miejsca, gdzie wywiad zaznaczył pozycje rebeliantów wokół Norbank City, gdy zaczął się kolejny atak. Tym razem szturmujących było więcej, ruszyli na kolumnę po prawej, na kompanię C.
Buntownicy

uderzyli zaraz za pierwszym plutonem, po flance. Patrol flankowy kompanii C jakimś cudem ich nie zauważył. Przeszli tuż obok zasadzki i nic nie rzuciło im się w oczy. Lon nie potrafił zgadnąć, ilu rebeliantów brało udział w tym ataku. Sądząc po odgłosach, zanim kompania C zdołała odpowiedzieć ogniem, wystrzeliły chyba setki karabinów. Lon jednak zauważył coś, co umknęło mu podczas poprzedniej zasadzki.

Karabiny batalionu brzmiały inaczej niż broń nieprzyjaciela. Palba z 7 mm, jakimi posługiwał się korpus, cechowała się wyższym tonem i krótszym trwaniem.

–Ruszamy – starszy sierżant Dendrow odezwał się na kanale plutonu. – Musimy podjąć próbę zaciśnięcia pętli wokół tych buntowników.

Słyszając to nieoczekiwane wezwanie, Lon zadrżał – nieomal z podniecenia. Podniósł się. Wszyscy padli na ziemię po pierwszym huku wystrzału. Teraz przyszła pora, żeby ruszać naprzód.

Biegając truchtem w stronę ogona kompanii C, mógł przekonać się, dlaczego do tej roboty wybrano tylny pluton środkowej kolumny. Atak przyszpilił kompanię Charlie, Bravo musiało osłaniać drugą flankę. Delta utrzymywała tyły, a reszta Alfy obsadziła czoło wzdłuż linii marszu. Być może nie było to jedyne wrogie gniazdo gotowe do ataku.

Tak więc trzeci pluton Alfy był wyborem logicznym.

„Oby” – pomyślał Lon. Odgłos kilku eksplozji skierował jego myśli na bardziej przyziemne tory. Na rebelianckich pozycjach nie wybuchały granaty KND. Dobiegające

go wybuchy były głośniejsze, bliższe i głębsze, gdzieś wzdłuż frontowej linii kompanii

Charlie. Przeciwnik też posiadał granatniki albo wyrzutnie raketowe.

–Obchodzimy Charliego od tyłu, a kiedy oddalimy się na odległość stu jardów, zawracamy – Dendrow odezwał się na obwodzie, który włączył Lona do grupy podoficerów plutonu. – Zachodzimy rebeliantów z flanki i naciskamy.

„Niezły plan” – pomyślał chłopak. „Mam nadzieję, że wypali”. Na sucho plany zawsze przedstawiały się dobrze. Wykreślanie ruchów wojsk i prognozowanie skutków

było takie proste. Zbyt często okazywało się jednak, że powodzenie planu zależało od

kaprysu wroga.

Sierżant Dendrow kierował się ostro na prawo, w lukę między Charliem i Delta, chcąc ominąć pozycje nieprzyjaciela szerokim łukiem. Nie udało się. Gdy tylko pierwsza

drużyna podeszła na skraj obrony kompanii Charlie, cały pluton znalazł się pod ostrzałem. Powstańcy najwyraźniej przewidzieli ten ruch.

Komenda Dendrowa „Kryć się!” nie była potrzebna.

„No i co teraz?” – zaczął się zastanawiać Lon, leżąc na brzuchu z karabinem wycelowanym we właściwym kierunku. Opozycjoniści zaprzestali ognia, gdy tylko pluton zniknął w ukryciu – ci przynajmniej, którzy stali na wprost niego, dalej ostrzeliwali kompanię C. „Jeszcze szerzej rozstawić po obwodzie tylną straż?”. –

Decyzja

nie należała do Lona, ale ledwo potrafił opanować się i nie myśleć, co zrobiłby, gdyby to

on musiał decydować. Szkolił się przecież na oficera. Pewnego dnia może przyjdzie mu

zmierzyć się z podobną sytuacją. „Nie – doszedł do wniosku – ostatecznie nie wybrałbym

takiego rozwiązania. Skoro spodziewali się nas, równie dobrze mogli i to przewidzieć.

Postarałbym się o włączenie do akcji posiłków powietrznych; kazał im przelecieć nad

linią obrony nieprzyjaciela, nad raketnicami i działkami, przerzedzić szeregi wroga i przygwoździć go do ziemi, żeby zmiękł. Potem sam bym ruszył i pozamiatał”.

–Zostać na stanowiskach i odpowiadać ogniem, kiedy namierzycie cel – odezwał się na kanale drużyny Girana. – I nie marnujcie amunicji.

Ludzie znali dryl – to była podstawowa taktyka. Nawet Lon potrafił automatycznie dostosować się do warunków. Pamiętał, że w nocy ogień zazwyczaj idzie wyżej, wziął na

to poprawkę i obniżył lufę. Nawet jeśli pocisk uderzy w ziemię przed nogami wroga, jest

szansa, że wyrządzi jakieś szkody – odbijając się rykoszetem czy odpryskując kawałki

skał lub drzew; ale kiedy polecą nad jego głową, nie odniesie żadnego skutku.

Zanim doszły ich jakieś wieści, minęło kilka minut.

–Leci tu jeden z wahadłowców, żeby zrobić rundkę nad gniazdem nieprzyjaciela – przekazał swojej drużynie Girana. – Jeszcze cztery minuty.

Lon zerknął na licznik czasu na ekranie hełmu. „To mogą być długie cztery minuty”

–pomyślał. Zastanawiał się, ilu ludzi batalion tymczasem straci.

Czuł strach, ale to było nieistotne, bo nie miał czasu, żeby się nim przejmować.

Żołądek zwinął mu się w supeł, dotarło do niego w przeblysku świadomości, że może

umrzeć, nawet o tym nie wiedząc – albo, co gorsza, że przed śmiercią przeżyje chwile

straszliwej męczarni. Mimo to obserwował teren przed sobą, strzelając, kiedy dostrzegał

ogień wylotowy albo cokolwiek, co wyglądało na ruch w oddali, gdzie znajdowały się

pozycje wroga. Ręce mu nie drżały, ramiona trzymał pewnie. Choć nie widział

padających przeciwników, był pewien, że musiał zastrzelić kogoś choćby przypadkiem.

Wahadłowiec szturmowy podchodzący z ponaddzwiękową prędkością zjawił się

przed zapowiadającym go rykiem; przy wychodzeniu z lotu nurkowego zaczął buczeć,

przymykając przepustnice silnika i otwierając klapy, żeby uniknąć przegrzania gruszek

regulacyjnych dyszy wylotowej i silników raketowych oraz aby na dłuższy czas

zawisnąć nad celem. Lon zerknął w górę, ale nie było szans, że dojrzy wahadłowiec.

Nawet jego osłona cieplna była zamaskowana dzielącym ich zielonym sklepieniem.

Do uszu kadeta dotarły pierwsze odpalane przez statek rakiety, a potem seria huków,

kiedy szturmujący wahadłowiec zasypał pozycje rebeliantów gradem pocisków z dwóch

gatlingów. Każde z tych sześciolufowych dział mogło wyrzucić w ciągu minuty tysiąc

osiemset naboju 12 mm. Wybuchły pociski raketowe. Eksplozja wygryzła zięjące tory w

koronach drzew i wszędzie, gdzie tylko dosięgły odłamki. Łoskot sprawiał prawie fizyczny ból, napierając na bębny i mózgi. Gdy już ustał, pozostałe dźwięki, odgłosy

wystrzałów broni, stały się płaskie i – w porównaniu z nim – przytłumione.

A potem w powietrzu dało się słyszeć pisk, kiedy pilot wahadłowca zmusił maszynę do wykonania ostrego zwrotu i ruszenia na drugą rundę, tym razem z przeciwnego kierunku. „Metal jakby się uskarżał, że zbyt wiele od niego wymagają” – przemknęło Lonowi przez głowę. Musiał zwalczyć pokusę zakrycia sobie uszu rękami. Z hełmem na

głowie byłoby to mało skuteczne posunięcie.

Drugie okrążenie wahadłowca było tak samo boleśnie głośnie jak pierwsze. Kiedy statek zrobił już swoje, pluton dostał rozkaz do natarcia. Trzy z czterech plutonów kompanii C również parły naprzód. Atak frontalny nie był najlepszą metodą na radzenie

sobie w takiej akcji, ale dzięki asyście wahadłowca mógł wcale nie pociągnąć za sobą

zbyt wielkich kosztów.

„Ognia i manewr”: tak przedstawiała się jedna z najbardziej podstawowych taktyk, jedna z tych, które w garnizonie żołnierze ćwiczyli co tydzień. Pluton przemieszczał się

drużynami; dwie nacierały, podczas gdy dwie pozostałe zapewniały ogień osłonowy. Z

rebelianckich pozycji ciągle padały strzały, ale znacznie rzadziej niż przedtem i bardziej

beładnie. Atak powietrzny najwyraźniej bardzo ich osłabił.

Tym razem jednak ocaleli buntownicy nie zarządzili odwrotu, nie opuścili pola

walki, jak przy pierwszej zasadzce. Stanęli do walki. Pod koniec doszło do potyczek

jeden na jeden, zarówno z użyciem broni palnej, jak również pięści i noży.

Lon zobaczył podnoszącą się z ziemi tuż przed nim postać. Mężczyzna miał na głowie hełm, ale bez ekranu – nic nie zasłaniało wymalowanej na jego twarzy czystej nienawiści. W lewej dłoni trzymał karabin, jak tarczę. W prawej ścisnął maczetę. Lon nie

zdążył podnieść broni, żeby do niego strzelić. Zamachnął się na rękę trzymającą ostrze i

podszedł bliżej, próbując podnieść karabin, żeby użyć kolby jako obucha. Szczepili się

jednak z sobą i obydwaj polecieeli na ziemię. Chłopak znalazł się bez karabinu pod spodem i trzymał napastnika – który również zgubił albo cisnął gdzieś broń – za nadgarstek. Mężczyzna ciągle miał w ręku nóż i robił, co tylko mógł, żeby użyć go przeciwko Lonowi.

Po chwili szamotaniny, podczas której żaden z nich niczego nie osiągnął, Lon podciągnął nogi, zgiął kolana i przerzucił rebelianta nad swoją głową. Odturlał się w lewo, sięgając jednocześnie po pistolet. Przeciwnik był już na nogach i znowu na niego

napierał z maczetą w ręku, mierząc w kark Nolana. Kadet odepchnął się jeszcze bardziej

na bok, podniósł broń i wystrzelił dwa razy. Pierwsza kula oszołomiła napastnika. Po

drugiej zgiął się wpół i zwałił na ziemię, częściowo przygniatając Lona; ich twarze dzieliła odległość kilku cali.

Przez moment chłopak wpatrywał się w otwarte oczy martwego mężczyzny, wdychał jego pot i zapach śmierci. Choć scena zdawała się rozciągać w nieskończoność, wiedział,

że minęło ledwie parę sekund. Zrzucił z siebie ciało, okręcił się, poszukał karabinu i

podniósł go. Z miejsca zabrał się za oglądanie wylotu lufy, szukając jakiegokolwiek śladu piachu w środku. Nic nie dojrzał, ale bez bardziej dokładnych oględzin nie mógł

być niczego pewien, a używanie broni z zatkaną lufą mogło mieć tragiczne skutki.

Lon rozejrzał się wokoło. Walki ciągle trwały, ale nie w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Powoli podniósł się na nogi. Bolało go prawe kolano – tępy ból, nie dość

silny, żeby nawet na chwilę odstawić go na aut. Nieraz bardziej bolało podczas biegów.

–W porządku? – spytał Phip, podchodząc i chwytając Lona za ramię. – Widziałem, jak poleciałeś z tym rebelem.

–W porządku. – Chłopak skinął głową. – Tylko trochę się poobijałem.

–Rany, cały jesteś we krwi. – Phip cofnął się o pół kroku.

–To nie moja. To jego. – Lon skinął niewyraźnie w kierunku ciała mężczyzny, którego zabił. Pierwszego wroga, którego pokonał. Rozejrzał się. – A gdzie Tebba?

–

spytał.

–Tam. – Tym razem Phip machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Jeden z tych pojebów zdzielił Tebbę od tyłu w nogi, zaraz nad kolanami. Chyba rozplątał mu ścięgna czy mięśnie. Medycy już się nim zajęli.

Lon rozejrzał się jeszcze raz i dostrzegł dwóch ludzi stojących nad kimś leżącym na ziemi. Podeszedł w tamtą stronę. Ekran helmu Tebby był podniesiony. Ale na jego twarzy

nie było widać bólu. Znieczulenie zaczęło już działać.

–W porządku? – spytał Girana, zobaczywszy Nolana. A zauważył go, dopiero kiedy Lon uklęknął przy nim i zbliżył twarz. Bez osłony noktowizyjnej Tebba nie widział w

ciemnościach.

–Miałem przez chwilę trochę na głowie. Zdaje się, że nie tylko mój kumpel był uzbrojony w maczetę.

–Teraz już wiem, co czuje barani udziec – mruknął kapral. Wymuszonemu żartowi nie towarzyszył uśmiech.

Jak na tę chwilę, medycy zrobili wszystko, co mogli. Zatomowali krwawienie i unieruchomili nogi Girany. Teraz musieli czekać na tubę pourazową, żeby zapakować do

niej kaprala. A tych nagle zaczęło brakować. Rannych trzeba było zhierarchizować według stopnia uszczerbku zdrowia, żeby mieć pewność, iż tuby trafią do tych, którzy

bez nich nie zdołają przeżyć.

–Do dupy z takim startem – powiedział Tebba. Zamknął oczy, zacisnął mocno powieki, jakby poczuł nagłe ukłucie bólu.

Żaden dowódca nie lubił, kiedy kontrakt zaczynał się od krwawej bitwy pełną gębą.

To tylko utrudniało całą resztę. I przyczyniało się do strat w ludziach. Otwarta walka była

zawsze tą ewentualnością, do której należało się uciekać jedynie, gdy nie dało się wykonać roboty w mniej... kosztowny sposób, ale żeby od niej zacząć...

–Wygląda na to, że opozycja jest nieco potężniejsza, niż pozwolono nam uwierzyć – zauważył Lon.

Tebba otworzył oczy.

–Chyba można tak powiedzieć – odparł. – A teraz zostaw mnie w spokoju. Znajdź

Dava. Aż do mojego powrotu przejmuje obowiązki dowódcy drużyny. Trzymaj się go.

–Podejrzewam, że teraz dwa razy się zastanowię, zanim znowu wpadną na jakiś idiotyczny pomysł – powiedział porucznik Taiters podczas radiowej rozmowy z podoficerami i Lonem. Trzeci i czwarty pluton znów stanęły razem jako część linii obrony ustanowionej przez batalion, gdy zmuszono do odwrotu ostatnie kilka tuzinów

przeciwników. Po wykopaniu płytkich rowów strzeleckich, szerokich na dwóch ludzi,

wystawiono warty, obowiązki rozdzielając między grupy tak, żeby każdy zdążył się najeść i odpocząć chociaż przez kilka minut. – Wahadłowiec musiał przejść ich najśmielsze oczekiwania – dodał Taiters.

Podczas potyczki śmierć poniosło dwunastu najemników. Znaleziono ciała osiemdziesięciu rebeliantów. Schwymano dwunastu rannych i czterech zdrowych ludzi.

Dwa plutony kompanii D eskortowały rannych i poległych żołnierzy korpusu na polanę,

skąd mogły ewakuować ich dwa wahadłowce. Ranni Norbankijczycy będą musieli zaryzykować opiekę, jaką mogli im zaoferować medycy korpusu – bez pomocy tub pourazowych. Tych nie starczało nawet dla rannych z drugiego batalionu. Nie było powodu, żeby „marnować” je na nieprzyjaciela.

–Jaki jest nasz kolejny ruch, sir? – spytał sierżant Dendrow. – Trzymamy się planu?

–Pułkownik chyba jeszcze nie podjął decyzji w tej sprawie – odparł Taiters. – Nadal zbieramy się i przegrupowujemy. Tak czy inaczej, musimy dostać się do stolicy i nawiązać kontakt z rządem. Ale do tego potrzebujemy też wywiadu. Wziąwszy pod uwagę asy, jakie opozycja wyciągnęła do tej pory z rękawa, musi ich być zdrowo ponad

tysiąc ludzi pod bronią. I mają do dyspozycji coś więcej niż tylko dubeltówki. Udało im

się skądś zdobyć całkiem niezły sprzęt.

–Czy myśli pan, że dostali z zewnątrz coś oprócz sprzętu? – spytał jeden z dowódców

drużyny czwartego plutonu.

–Dzisiaj w nocy nie walczyliśmy z zawodowcami – odpowiedział Taiters, domyślając się, co sugerował kapral. Dirigent nie był jedynym skupiskiem najemników –

a tylko największym i najlepiej zorganizowanym. Przynajmniej trzy inne światy specjalizowały się w usługach najemnych armii, a jeszcze kilka innych maczało palce w tym biznesie.

–Czy jest jakaś szansa, że stary zdecyduje, żeby usiąść mocno w siodle i wezwać posiłki z domu? – spytał dowódca plutonu Weil Jorgen z czwórki.

Taiters zwlekał chwilę z odpowiedzią.

–Nie wydaje mi się, żeby było z nami aż tak źle, Weil. Poza tym, nie podoba mi się pomysł ślęczenia tu przez miesiąc i czekania na pomoc. – Dotarcie na Dirigent zabrałoby

kapsule informacyjnej dwanaście dni, a kolejne dwa tygodnie lub dłużej trwałaby podróż

posiłków, choćby przydzielono je natychmiast. – Nawet jeśli rząd Norbanku byłby gotów

wprowadzić do kontraktu poprawki z tytułu angażowania dodatkowej siły roboczej – rzekł Taiters.

–Myśli pan, że Norbankijczycy wiedzieli, iż rzeczywiste siły opozycji tak bardzo przewyższały dane, które nam przekazali? – spytał Lon. – Czy to może ich wywiad

aż tak

kuleje?

–Nie mam pojęcia, Nolan – odparł Taiters. – Nawet jeśli wiedzieli, nic nie zyskamy, udowadniając im, że dostaliśmy nieprawdziwe dane.

–Do diabła, poruczniku – zdenerwował się Dendrow. – Gdybyśmy kazali im wybulić za dostateczną ilość siły roboczej potrzebną do wykonania roboty i zagrozili wycofaniem

w przypadku odmowy, nie mieliby wielkiego wyboru, myślę się? Podesłali nam lipny cynk, świadomie czy nie. A to daje nam możliwość odwrotu. Wiem, co jest napisane w

paragrafie o odstąpieniu od umowy.

–Wiesz też, co pomyślałoby sobie dowództwo, gdybyśmy się wycofali, nie potrafiąc nawet znaleźć dowodu na to, że zostaliśmy umyślnie wprowadzeni w błąd – upomniał go

Taiters. – Tak czy inaczej, interesom to nie służy.

„Interesom? Straciliśmy dzisiaj ludzi” – pomyślał Lon. „Ich się nie włącza do równania?”.

–Dość już – uciął Taiters. – Dam wam znać, jak tylko się czegoś dowiem. Zróbcie sobie parę minut przerwy, na wypadek gdyby rebelianci nie nabrali jeszcze dość rozumu,

żeby trzymać się od nas z daleka.

Wahadłowce, które odtransportowały poległych i rannych na pokład Wężyska, zabrały w drodze powrotnej amunicję dla walczących. Podpułkownik Flowers spędził

sporo czasu, naradzając się ze swoim sztabem – osobiście, w centrum gniazda

obrony

utworzonego przez batalion, zamiast zwyczajowej łączności radiowej – próbując zdecydować, co dalej. Nie doszło w tym czasie do żadnych dodatkowych ataków ze strony sił opozycji. Narada skończyła się parę minut przed północą.

Kiedy kapitan Orlis wrócił na swoje stanowisko dowodzenia, wezwał porucznika Taitersa, potem przełączył ich na kanał radiowy, który obejmował podoficerów trzeciego

plutonu – oraz Lona Nolana.

–Batalion ma na razie czekać w gotowości – przekazał Orlis. – Umocnimy pozycje i oczyścimy okoliczne strefy ogniowe. Wahadłowce przeprowadzają obecnie rozpoznanie,

a po wschodzie słońca odbędą jeszcze kilka lotów. Wyślemy też szperaczy, żeby podłożyli pluskwy i miny, spróbują zaoszczędzić nieco czasu. Pułkownik chce, żeby jeden pluton podjął się próby infiltracji i przedostał przez linię wroga do stolicy, gdzie

będzie miał za zadanie nawiązać kontakt z rządem.

Lon zgadywał, że taki będzie bieg wydarzeń, zanim jeszcze usłyszał informacje od Orlisa. „Wszyscy siedzą w tym po uszy przeze mnie” – pomyślał.

–Zadanie przydzielono plutonowi trzeciemu – powiedział kapitan. – Taiters, przejmujesz dowodzenie. Zostaw czwarty pluton sierżantowi Jorgenowi, niech staną w

luźnym szyku i obstawią twój odcinek obwodu. Później dostaniesz ode mnie dodatkowe

instrukcje, Arlan. Reszta ma być gotowa do wymarszu za dziesięć minut. Musicie znaleźć drogę do Norbank City przed świtem.

Nikt nie wytknął Lonowi, że to z jego „winy” wypadło na nich. Czekał na to przez te

kilka minut, które mieli na przygotowanie się do drogi. „Przecież muszą wiedzieć” –

pomyślał. Nikt jednak nawet krzywo na niego nie spojrział. Ludzie wykorzystali wolny

czas na posiłek i sprawdzenie stanu amunicji. Z zapasów przywiezionych przez wahadłowiec, który zabrał rannych, pobrali nowe magazynki.

Kiedy z dziesięciu wolnych minut zostały już tylko trzy, porucznik Taiters zwołał zebranie podoficerów plutonu. Lon przyszedł z Tebbą – zwolnionym właśnie przez medyków, jako że jego rany nie były aż tak poważne, aby wymagał pełnowymiarowej sesji w tubie pourazowej – i na mapniku Girany śledził trasę, którą omawiał porucznik.

–Ruszymy stąd i skierujemy się na północ – powiedział Taiters. Na wszystkich mapnikach zajarzył się żółty punkcik, który pokazywał miejsce wskazane przez Taitersa.

–Kiedy przeprawimy się przez strumień, odbijemy na zachód. Dzięki temu powinniśmy

znaleźć się dość daleko, żeby nikt, kto obserwuje pluton, nie zdołał nas zauważyć, o ile

oczywiście nie przydybią nas po drodze. Kiedy znajdziemy się tutaj – wskazał punkt w

odległości niecałej mili od miasta, tuż za ustaloną w wywiadzie linią wroga – znowu

zrobimy pętlę i pójdziemy na północ, po czym postaramy się wejść do Norbank City w

którymś z tych miejsc, w zależności od rozmieszczenia sił nieprzyjaciela. – Przesunął

wskaźnikiem wzdłuż wąskiego odcinka miejskich „murów” – które po części składały się

z palisadowej konstrukcji pochodzącej jeszcze z pierwszych lat kolonii, a po części z

barykad wznoszonych sukcesywnie między budynkami w miarę rozwoju
rebelianckiego

oblężenia. – Rebelianci są teraz bardziej zajęci nami – ciągnął Taiters. – Niemożliwe,
żeby

każdy punkt wokół miasta był strzeżony równie dobrze. Musimy po prostu znaleźć
lukę.

–Sądząc po jego głosie, nie martwił się tym zbytnio. Lon zastanawiał się, czy
porucznik

był naprawdę taki pewny siebie, czy może grał według skryptu, który ktoś mu
wcześniej

podsunął. – Dobra, zbieramy się – powiedział porucznik. – Pierwsza drużyna idzie
na

czoło. Uwaga wszyscy, zachować ciszę. Jeśli nieprzyjaciel nas nie usłyszy, nie ma
powodu, żeby miał nas zobaczyć.

Pluton nie spieszył się z wymarszem, ludzie poruszali się z przesadną ostrożnością,
drużyna po drużynie przekraczając linię obrony. Podczołgali się w kierunku
wąskiego

żlebu, który przecinał pod kątem linię frontu, sunęli nim jakieś pięćdziesiąt jardów,
po

czym weszli w gęste poszycie porastające brzeg pierwszego strumyka. Kiedy już
cały

pluton pokonał ten odcinek – na którym mogli z największym
prawdopodobieństwem

zostać zauważeni – pierwsza drużyna podniosła się na nogi i podjęła marsz.

To właśnie ona narzuciła tempo; szła gęsiego, odstępy między ludźmi wynosiły od

pięciu do ośmiu jardów. Z początku robiono częste przerwy. Gdyby rebelianci
prowadzili

obserwację batalionu – co było prawdopodobne – to właśnie na przestrzeni
pierwszych

kilkuset jardów pluton byłby najbardziej narażony na wypatrzeenie. I atak.

Lon podkręcił mikrofony zewnętrzne w swoim hełmie na maksimum, nasłuchując

jakichkolwiek odgłosów w lesie. Prócz tego rozglądał się uważnie wokoło na zmianę z

obserwowaniem idącego przed nim kaprała. Rozważnie stawiał kroki – każdy ostrożny i

przemyślany, żeby pod stopami nie chrupnął liść czy gałązka. Był zbyt zajęty

konkretami, żeby słuchać dźwięczącego gdzieś w głębi duszy strachu.

Przez większość czasu nie komunikowano się drogą radiową. System, którego

używał KND, transmitowałyby nawet „szepty”, w przeciwieństwie do hełmów, które były

wystarczająco izolowane, ale poza sporadycznym komunikatem drużyny czołowej czy

związłą komendą podoficera i tak panowała cisza.

Starszy sierżant Dendrow zajmował pozycję za pierwszą drużyną, tuż przy czole

drugiej drużyny. Porucznik Taiters szedł bardziej z tyłu, między trójką i czwórką. W

przypadku natknięcia się na rebeliancką zasadzkę eliminowało to ryzyko, że obydwaj

członkowie dowództwa plutonu zostaną trafieni. W drugiej drużynie Janno i Dean szli

przed kapralem Giraną. Phip wraz z resztą składu trzymał się tuż za Lonem. Starszy

szeregowy Dav Grott zamykał grupę, pilnując, żeby drużyna nie szła ani w zbyt wielkim

rozproszeniu, ani w zbyt wielkim ścisku.

Czas utracił swoją zwyczajną spójność. Każdy krok czuło się, jakby był zamrożony

w stopklatce, ograniczony niedookreślonymi odstępami. Nawet oddech wydawał się

odległym bytem, istniejącym w przestrzeni oddzielonej od innych oddechów i

kroków,

serii niezależnych od siebie nawzajem baniek unoszących się nad kleistą mazią. Po pewnym czasie Lon miał wrażenie, jakby brodził w jakimś pęczniejącym bagnie, które chwyciło go za nogi. W kolanach i łydkach odezwał się skurcz, tępy ból, który nie chciał minąć.

Porucznik Taiters zarządził postój, dopiero kiedy dotarli do bliższego brzegu strumienia, gdzie znajdował się punkt docelowy, przy którym pluton miał zmienić kierunek marszu.

–Pięć minut – rzucił Taiters plutonowi, zanim przełączył się na kanał podoficerski. – Wszyscy mają rozkaz obserwacji przeciwległego brzegu – w górę i w dół strumienia – w poszukiwaniu choćby cienia kłopotów – powiedział.

Strumień nie był przesadnie szeroki, liczył sobie dziesięć stóp w miejscu, gdzie miał przeprowić się pluton, a – opierając się na danych ze zdjęć lotniczych – jego głębokość nie

wynosiła więcej niż dwie stopy nad skalistym korytem. Obydwa brzegi porastało gęste

poszycie, pnącza i krzaki korzystające z dobrodziejstw wody i wąskiego przesmyku słonecznego światła.

Na czas postoju trzeci pluton uformował luźny czworokąt, gotów stawić czoło każdemu potencjalnemu zagrożeniu. Jednak nie licząc nawoływań jakiegoś nocnego ptaka, który przeleciał żołnierzom nad głowami, nic nie zakłóciło ich odpoczynku.

Nocny łowca wystraszył Lona. Potem dotarło do niego, że był to pierwszy ptak, w ogóle pierwsze zwierzę, jakie usłyszał, odkąd wylądował na Norbanku. „No, ale

odgłos

siadających lądowików wypłoszyłby każde żywe stworzenie” – konkludował w myślach. „A potem jeszcze strzały. Nie ma co, tysiąc ludzi idących kupą, pewnie też zrobiło swoje”.

Zaczął zastanawiać się nad tym, jak niewiele tak naprawdę wiedział o dzikiej przyrodzie Norbanku, nie mówiąc już o drapieżnikach, które mogłyby stanowić zagrożenie dla człowieka. Zanim jednak zdążył zgłębić tę kwestię, zarządzono koniec postoj. Trzeba było ruszać dalej.

Tym razem na czoło wysunęła się czwarta drużyna, pozostałe szły za nią w takiej samej kolejności co poprzednio, trzecia zamykała grupę marszową. Taiters i Dendrow

zmienili pozycje, żeby zająć podobne, jak ostatnim razem, miejsca w kolumnie.

„Im bardziej oddalamy się od batalionu, tym mniejsza szansa, że natkniemy się na przeczesujące okolice rebelianckie patrole” – pomyślał Lon. Nie uspokoiła go jednak ta

logika. Znajdowali się na terytorium wroga, a wróg mógł mieć swoich ludzi wszędzie i w

każdym celu. Gdyby trzeci pluton został namierzony, nie miałoby znaczenia, czy ludzie,

którzy ich znaleźli, szukali ich wcześniej czy nie. „Jeśli damy się złapać w środku nie-

wiadomo-czego, to możemy już nigdy nie wrócić do bazy” – pomyślał. Dość to przekonujące, żeby mieć się na baczności.

„Spokojnie w kwadrans dobiegłbym w pełnym rynsztunku bojowym do centrum Norbank City” – powiedział sobie w duchu Lon, kiedy minęła już godzina, odkąd patrol

ruszył na rozpoznanie – i jak do tej pory pokonał mniej niż połowę dystansu, który ich

czekał.

Pluton jeszcze raz zmienił azymut marszu, szykując się do wykonania pętli w

kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Pętla miała ich podprowadzić pod północną

część Norbank City. Kiedy dotarli do szczytu wytyczonego łuku, pluton przystanął na

jeszcze jeden krótki odpoczynek, po którym, na ostatni odcinek trasy, czoło kolumny

zajęła trzecia drużyna.

„Przynajmniej raz drużyna nie ma przeze mnie dodatkowej fuchy” – pomyślał Lon.

„Nie chcę, żebym był w szpicy, bo bym pewnie narobił hałasu i sprowadził na wszystkich same kłopoty”. To, że nie musiał stresować się na czole grupy marszowej,

było niejaką ulgą, ale jednocześnie czuł lekką irytację na myśl, że mógł zostać uznany za

zbyt wielkie ryzyko dla powodzenia akcji.

–Tu zaczyna robić się gorąco – szepnął porucznik Taiters na zebraniu podoficerów,

zanim pluton wznowił marsz. – Nie chcemy przecież wpakować się na śpiących

rebeliantów. Sprawa równie beznadziejna, jak ewentualność napatoczenia się na ich

patrole. Jest szansa, że nie postawią więcej niż kilku wartowników, ale nie wiązałbym z

tym specjalnych nadziei. Jak dotychczas przerośli nasze oczekiwania. – Wszyscy zebrani

wyciągnęli mapniki i trzymali je blisko siebie, żeby nie zdradził ich słaby zielonkawy

blask ekranów. – Zatrzymamy się, kiedy dotrzemy do tego miejsca – powiedział Taiters,

zaznaczając pozycję na swoim mapniku. – Potem pierwsza drużyna ruszy przodem i znajdzie doście dla reszty. Gdy natrafią na wyłom w murze, pozostali pójda za nimi. „Znowu nas pominą!” – przemknęło Lonowi przez głowę.

Tuż po wznowieniu marszu pluton natknął się na jedną z niewielu dróg prowadzących do Norbank City. Był to nieco tylko szerszy piaszczysty trakt, ale ponieważ po obu stronach wykarczowano drzewa, mieli przed sobą otwartą przestrzeń o

rozpiętości dwudziestu stóp. Pluton przeciął drogę pod kątem. Przeprawa zajęła prawie

piętnaście minut, jako że formacja przemieszczała się parami lub pojedynczo, a wszyscy

rozglądali się i nasłuchiwali jakichkolwiek odgłosów świadczących o tym, że ich zauważono.

Pluton dotarł do miejsca wyznaczonego przez Taitersa. Tuż przed nimi, w odległości

nie większej niż tysiąc jardów, znajdował się obóz nieprzyjaciela. Z tego, co mogli

dojrzeć z tak daleka, wyglądało, że w obozie stacjonowała ponad setka ludzi, których

pilnowało nie więcej niż sześciu czy siedmiu wartowników – i tak skupionych na dalszym

końcu obozu i zwróconych w stronę Norbank City. Trzy drużyny plutonu, które miały

czekać, przypadły, do ziemi, ustawiając się przodem do pozycji rebeliantów. Lon bał się

nawet oddychać, mimo że z takiej odległości nikt by go nie usłyszał, chyba że rebelianci

dysponowali nowoczesnymi detektorami dźwięku, no i musieliby wiedzieć, jak się nimi

posługiwać.

„Jest jeszcze jeden problem, o którym nie wspomniał porucznik” – pomyślał chłopak

podczas zdającego się nie mieć końca oczekiwania, aż czwarta drużyna znajdzie drogę

przez linię wroga. „Ludzie w Norbank City nie wiedzą, że się zbliżamy”. Między batalionem a lokalnym rządem nie została ustanowiona w pełni bezpieczna komunikacja,

nie mieli żadnych wspólnych kodów. Każdy przekaz radiowy, nawet z anteny kierunkowej, mógł zostać przechwycony przez opozycję. „Gdybyśmy powiedzieli ludziom w mieście, że przechodzimy przez linię bojową, moglibyśmy równie dobrze powiedzieć to od razu rebeliantom”.

Ostrzelanie przez ludzi, którym batalion przybył na pomoc, na pewno bolałoby tak samo, jak ostrzelanie przez powstańców. „Śmierć to śmierć. Musimy przeniknąć przez

dwa szeregi umocnień, z czego drugi może okazać się najcięższym. Ludzie wewnątrz

murów zdążyli już pewno popaść w paranoję. Są w defensywie i każdy fałszywy krok

może się dla nas skończyć katastrofą”.

Minęło powolne trzydzieści minut. Za niecałe dwie godziny na wschodzie pokażą się pierwsze zapowiedzi brzasku. Jeśli pluton nie zdoła dostać się do Norbank City przed

tym czasem, będzie musiał wycofać się do lasu, przeczekać w ukryciu cały dzień i spróbować następnej nocy. „A pułkownik chce, żebyśmy byli w mieście przed świtem” –

przypomniał sobie Lon. „Nie zdążymy – pokpiliśmy sprawę”. Co z kolei oznaczało,

przynajmniej dla niego, że w pewnym sensie to on zawałił, mimo iż – logicznie rzecz biorąc – nie mógł, choćby chciał, zrobić nic, żeby zapewnić sukces akcji plutonu.

–No dobra, mamy naszą ścieżynkę – odezwał się stłumionym głosem Taiters na monitorowanym przez Lona obwodzie podoficerskim. – Może to niewiele, ale pierwsza

drużyna znajduje się już między umocnieniami rebeliantów a miastem i wydaje im się, że

drogę do miasta też znaleźli. Kiedy dotrzemy tak daleko jak oni, spróbujemy skontaktować się z miastowymi.

–Żeby mi nawet woda nie zachlupotała – powiedział Girana swojej drużynie, kiedy już porucznik skończył. – Przelejcie wodę z jednych manierek do drugich, do pełna, resztę wylejcie.

Zajął to tylko minutę i akurat tyle czasu mieli. Drugą drużynę przesunięto w środek trzeciej. Odbili w prawo, na czworakach mijając obozowisko rebeliantów. Potem przykucnęli, trzymając się możliwie najniżej i z jeszcze większą karnością przestrzegając

ciszy.

Przy ich obecnym tempie wcześniejszy wolny krok mógłby spokojnie uchodzić za sprint. Z rzadka któryś żołnierz robił więcej niż trzy-cztery kroki, zanim kucał na moment i czekał. Chwilę później drużyna czołowa przemieszczała się o kolejny kawałek.

Zaprzestano komunikacji ustnej, nie padały nawet komendy szeptem. Łączność utrzymywano za pomocą skąpych gestów. Kiedy zbliżyli się do linii bojowej wroga, znowu padli na czworaki, a później na brzuchy – prześlizgując się przez długi na trzydzieści jardów, najbardziej odsłonięty odcinek trasy.

Porucznik Taiters wysunął się na czoło trzech drużyn, a kiedy ostatecznie zrównali

się z drużyną, która została posłana przodem z zadaniem znalezienia drogi, przyłączył się

do jej dowódcy tuż za czołem. Zarządzono długi odpoczynek, reszta plutonu leżała bez

ruchu, z głowami w dół.

Mierząc przelotnym spojrzeniem przestrzeń przed sobą, Lon dojrzał zarysy budynków i części starego muru, który niegdyś opasywał całe Norbank City. Ścięte drzewa leżały w poprzek jednego z wyłomów, niemal naprzeciw niego, nie dalej jak pięćdziesiąt jardów.

„Wystrzelają nas jak kaczki, jeśli będziemy musieli się po tym wspinać” – pomyślał.

Zamknął na chwilę oczy. Nawet w nocy rebeliancka warta mogłaby ich zauważyć i otworzyć do nich ogień. „Parę sekund i moglibyśmy stracić z połowę plutonu”. Odwrócił

głowę i podniósł ją o jakieś kilka cali. Lewa strona przedstawiała się bardziej obiecująco.

Wyglądało na to, że jest tam wyłom – albo jakaś barykada zbyt niska, żeby zdołał ją dojrzeć ze swojej żabiej perspektywy.

Przybliżył twarz do ziemi, żałując, że nie może się w niej zaryć. Znajdowali się teraz między dwiema wojującymi frakcjami, a jeśli porucznikowi nie udało się utorować im drogi, mogą zostać zaatakowani przez którąkolwiek z nich – albo obydwie naraz.

„Włączy radiostację i będzie próbował wywołać kogoś z wewnątrz?” – zastanawiał się Lon. Musiałby to zrobić na otwartej częstotliwości, która mogła być równie dobrze

monitorowana przez rebeliantów. Co oznaczało, że ustalenie, kto pierwszy powiadomi

najbliżej stojące oddziały, graniczyło z niemożliwością. „Może wyśle kogoś przodem” –

pomyślał potem. „Mam nadzieję, że jeden człowiek zdoła dotrzeć do barykad i zanieść

obrońcom wiadomość. I że oni mu uwierzą”.

Dwadzieścia minut. Dwadzieścia pięć. Lon miał wrażenie, jakby tonął we własnym pocie. Spojrzał na zegarek, kiedy minęło trzydzieści minut – pół godziny czekania bez

wieści. Jeśli zaraz nie ruszą i nie dostaną się do miasta, dzień zostanie ich na otwartej

przestrzeni między wrogimi frontami.

„No dalej, zróbmy coś” – ponaglał w myślach. „Cokolwiek”. Czekanie było prawie nie do wytrzymania. Lon czuł przemożną pokusę poderwania się na nogi i puszczenia

biegiem w stronę miasta, choć wiedział, że nie mógłby tego zrobić – i że nie zrobiłby tego. Pragnienie jednak rosło i absorbowало coraz większą część jego uwagi.

Trzydzieści pięć minut. Trzydzieści sześć.

–OK – w słuchawce Lona odezwał się szeptem Taiters. – Ruszamy. Bardzo powoli. Na końcu przechodzimy pod barykadą. Obrońcy otwarli dla nas wyłom. Ścieśnić szereg.

Wszyscy mają się czołgać jeden za drugim. I nosy przy ziemi.

Zanim przyszła kolej Lona, minęły jeszcze trzy minuty. Sunął za Giraną, z głową oddaloną o parę cali od stóp kaprała, synchronizując swoje ruchy z jego ruchami, szorując ciałem po ziemi, jak wąż, nawet głowę unosząc tylko tyle, żeby widzieć, dokąd

iść.

Pięćdziesiąt jardów to długi odcinek jak na czołganie się z karabinem przez ramię i ekwipunkiem ciągniętym na pasku cal za całem przez całą drogę. Zanim dobił do

półmetka, Lon czuł już ból w rękach i nogach. Miał wrażenie, że zdarł skórę z kolan i

łokci, czuł się, jakby ramiona miał mu za chwilę złapać kurcz. Dopiero kiedy przeczłgał

się kolejne dziesięć jardów, zobaczył barykadę, którą dla nich odsunięto. Girana

nieznacznie przyspieszył. Nolan dostosował się do nowego tempa, choć jego zwiększenie

spotęgowało również ból. Dwadzieścia jardów do azylu. Dziesięć. Lon chciał zamknąć

oczy i pokonać ostatnie jardy galopem albo wziąć nogi za pas. Nie pognął ani nie uciekł.

Dalej czołgał się za Giraną w niezmiennej pozycji, i więcej niż raz na osłonę jego hełmu

poleciały grudy piachu.

Kolumna czołgających się żołnierzy powyrywała kępki darni. Kiedy już nastanie

dzień, rebelianci będą mieli wyraźny ślad trasy plutonu – oskarżający palec wskazujący

prosto na ich pozycje. Gdy Lon znalazł się pod barykadą, na jego ramiona opadły czyjeś

ręce, wyciągnęły go i pchnęły w lewo. Parę stóp dalej kapral Girana zbierał swoją

drużynę, licząc ludzi wyłaniających się spod umocnień. Porucznik Taiters podszedł do

nich i wskazał im miejsca wzdłuż muru, podczas gdy reszta plutonu dalej wyczołgiwała

się spod wyłomu. Minęło kolejne pięć minut, zanim pojawił się ostatni żołnierz i dwójka

miejscowych zatarasowała przesmyk klocami drewna.

„Udało się” – pomyślał Lon. Dłonie znowu zaczęły mu się trząść. Schował je za

plecami, aż w końcu zdołał zapanować nad drżeniem.

„Nie są zbyt zdyscyplinowani” – pomyślał Lon, obserwując obrońców, którzy zebrali się, żeby popatrzeć na najemników. „To we wroga powinni wlepić oczy, a nie w nas”.

Siły rządowe Norbanku wyglądały na lekko podenerwowane. Oblegał ich nieprzyjaciel

pełen determinacji, który w każdej chwili mógł ich pokonać. Ich, znaczy

nieprofesjonalistów. „Rebelianci zresztą też nie grzeszyli nadmiarem dyscypliny” –

musiał przyznać w myślach Lon. „Walczyli twardo, ale bez powodzenia”.

Dirigentyjczycy rozbili formację na drużyny i rozproszyli się – taki był wymóg

bezpieczeństwa. Niemądrze byłoby stać w kupie, gdyby buntownicy zdecydowali się na

atak raketowy czy artyleryjski – o ile oczywiście posiadali artylerię, co nie było

prawdopodobne, ale przecież nie niemożliwe. Porucznik Taiters porozmawiał z dwoma

strażnikami miejskimi. Wyglądało na to, że czekali na kogoś jeszcze.

–Nolan, do mnie – odezwał się Taiters na prywatnej linii. Lon podszedł do

porucznika, który stał z sierżantem Dendrowem i kilkoma Norbankijczykami. –
Czekamy

na dowódcę garnizonu i przedstawiciela rady planetarnej – wyjaśnił Taiters nadal na

kanale radiowym, dość cicho, żeby żaden ze stojących tuż obok miejscowych nie dosłyszał ich rozmowy.

–Tak jest, sir – potwierdził Lon. – Co mam robić?

–Na razie trzymaj się blisko mnie. To jest ta część naszej roboty, której musisz się nauczyć.

Lon skinął głową, po czym przez chwilę poprzyglądał się twarzom stojących

najbliżej Norbankijczyków. Żaden z nich nie miał hełmu ani gogli noktowizyjnych. Nic

nie skrywało ich wychudzonych, pokrytych bruzdami napięcia i strachu obliczy. Ich twarze i ciała były wszystkie jednakowo chude, jak gdyby ich właściciele zaszli zbyt daleko na zbyt ubogiej diecie. „Ciekawe, czy ciągle jeszcze są uzależnieni od własnych

upraw?” – zastanowił się Lon. „Po stu latach powinni już uzyskiwać większość pożywienia z replikatorów”. Na światach zasiedlonych przez ludzi replikatory pożywienia były podstawowym, praktycznym wykorzystaniem nanotechnologii.

Molekularni zbieracze potrafili wykorzystać każdy surowiec – zarówno odpady po recyklingu, jak i każdy dostępny „świeży” materiał organiczny – w celu wyprodukowania

dowolnych znanych ludzkości rodzajów pożywienia, na produkcję których system był

zaprogramowany. Oszczędzało to miesiące koniecznych do wyhodowania specyficznych

gatunków roślin czy żywego inwentarza, który przecież przez cały nieefektywny okres

tuczenia pochłaniał paszę.

Grupka stłoczyła się tuż przy budynku, z dala od najbardziej eksponowanych miejsc,

gdzie ktoś spoza obwodu mógłby ich z łatwością zauważyć. Lon zobaczył, że niebo zaczyna coraz wyraźniej wypełniać się poświatą przedświt. Już niedługo zrobi się jasno.

Norbank City leżało jedynie czterysta mil na północ od równika, ale mimo to klimat zbliżał się raczej do subtropikalnego czy umiarkowanego, a to z racji przeważających

wiatrów znad oceanu i prądu polarnego powietrza, który lokował się wzdłuż linii

brzegowej.

Lon stał przy poruczniku Taitersie już jakieś dziesięć minut, kiedy od strony centrum

stolicy zbliżyło się do nich dwóch mężczyzn. Norbank City było nieszczęśliwie dużym

miastem, a prócz tego w kierunku północ-południe dość wąskim.

–Nazywam się Ian Norbank – przedstawił się jeden z mężczyzn, podchodząc do grupy. – Wiceprzewodniczący rady planetarnej. To mój kuzyn, pułkownik Alfred Norbank, dowódca naszych sił milicyjnych.

Lon naprędce zamaskował szeroki uśmiech. „Co jest takiego magicznego w randze pułkownika?” – zapytał się w duchu.

Taiters uniósł ekran hełmu i podał swoje dane – rangę, nazwisko i jednostkę. Lona przedstawił tylko z nazwiska.

–Dobrze, że mamy was tutaj – powiedział wiceprzewodniczący. – Już zaczęliśmy się obawiać, że nie zdążycie na czas. A gdzie reszta waszego batalionu? Ta garstka, którą

pan przyprowadził, na niewiele się zda.

Taiters wahał się z odpowiedzią. Lonowi wydawało się, że prawie słyszy, jak porucznik odlicza do dziesięciu, zanim zaufa sobie na tyle, żeby się odezwać.

–Reszta batalionu znajduje się niedaleko, sir – powiedział w końcu. – Wygląda na to, że wasi buntownicy są znacznie liczniejsi i lepiej uzbrojeni, niż wskazywałyby na to informacje, które otrzymaliśmy od waszego przedstawiciela.

–Ich szeregi powiększyły się ostatnimi czasy – odparł wiceprzewodniczący. – Jeśli mam być szczery, nie posiadamy już żadnych wiarygodnych danych o tym, jak wielu

opozycjonistów chwyciło za broń przeciwko swojemu prawowitemu rządowi. Nie

jesteśmy w stanie przeprowadzić rzetelnego rozpoznania.

–Nadal pozostaje pytanie, skąd wzięli sprzęt bojowy – powiedział Arlan. –

Powiedziano nam, że mają do dyspozycji jedynie strzelby myśliwskie i broń sportową z

lokalnych fabryk albo pochodzącą z wczesnych lat importu. Niemniej jednak używali

przeciwko nam rakiet, granatów i karabinów. Trudno je zaliczyć do broni myśliwskiej.

–Nie wiem, skąd mogli je mieć, chyba że sami zajęli się produkcją – padła

odpowiedź wiceprzewodniczącego. – Dopiero w zeszłym tygodniu zaczęli sporadycznie

wystrzeliwać w kierunku miasta rakiety – razem może jakiś tuzin.

Taiters postanowił odłożyć na później tę część dyskusji. Zamiast tego zwrócił się w

stronę drugiego Norbanka, pułkownika Alfreda.

–Pułkowniku, ilu podkomendnych ma pan pod bronią?

–Wczoraj o zachodzie słońca było ich trzystu osiemdziesięciu dwóch – odpowiedział

nie od razu.

–Wszyscy są na terenie miasta? – spytał Taiters.

Pułkownik przytaknął.

–Miałem wcześniej ludzi na południe od rzeki, ale nie utrzymujemy z nimi łączności

już od... tygodni. Każdego, kto jeszcze trzymał się na nogach, ściągnęliśmy do obrony

miasta. Z tego, co wiemy, rebelianci nie nękali leżących dalej osiedli. Ale z tamtych

okolic nie udało nam się pozyskać ani ludzi, ani dostaw.

–Jak wygląda stan waszych zapasów?

Zanim wiceprzewodniczący Ian udzielił odpowiedzi, dwaj Norbankowie spojrzeli po

sobie.

–Brakuje nam wszystkiego oprócz wody. Rebeliantom nie udało się odciąć dostaw, mamy pod bokiem Pierwszą Rzekę. Kończy się prowiant, zapasy amunicji również są poważnie ograniczone.

–Jak bardzo ograniczone? – spytał Taiters, ponownie przenosząc wzrok na pułkownika.

Alfred znowu zawahał się z odpowiedzią.

–Średnio to będzie jakieś trzydzieści naboji na żołnierza. Ale z racji, że nie posiadamy unormowanego systemu fasowania, statystyki mogą być bardzo różne. W

przypadku kilku typów karabinów przydział może być mniejszy niż dziesięć naboji.

–Broni myśliwskiej i sportowej? – spytał Arlan.

Pułkownik skinął głową.

–Skala rozciąga się od kalibru dwudziestodwu – do dziewięćmilimetrowych karabinów myśliwskich do polowania na grubą zwierzynę; po drodze jest jeszcze kilka

typów strzelb. Wszystkie, poza drobnymi wyjątkami, to albo półautomatyki, albo jednostrzałówki. Mamy nie więcej, jak dziesięć karabinów automatycznych, i pech chciał, że między innymi akurat do nich jest najmniej amunicji, stare karabiny 7.5 mm,

których było pod dostatkiem, kiedy zakładano tę kolonię.

„Eksponaty” – pomyślał Lon, zamykając na chwilę oczy. Muzeum było jedynym miejscem, w którym kiedykolwiek widział stary europejski karabin 7.5 mm. „Wiek temu,

oprócz tego, że produkowano je w nadmiarze, już były przeżytkiem. Na Ziemi nie można

dostać do nich naboju inaczej, jak tylko na specjalne zamówienie”.

–Bardzo potrzebujemy broni i amunicji, którą dla nas macie – dodał pułkownik.

–To już nie mój resort, pułkowniku – odparł Taiters.

„Nie wolno nam wylądować dostaw, dopóki nie będziemy pewni, że pod żadnym pozorem nie wpadną w łapy rebeliantom” – przypomniał sobie Lon. „Kwestia może stać

się drażliwa”. Nie zdziwiło go, że Taiters wykręcił się od odpowiedzi. Jedynym człowiekiem, który mógł zmienić tę dyrektywę, był pułkownik Flowers, dowódca batalionu i oficer odpowiedzialny za kontrakt.

–Bardziej palącym problemem jest obecnie złamanie oblężenia Norbank City, żebyśmy mogli przystąpić do ofensywy – powiedział Taiters. – Odkąd wylądowaliśmy

tutaj zeszłej nocy, mieliśmy do czynienia z kilkoma atakami ze strony waszych rewolucjonistów, z czego jeden z udziałem pokaźnej liczby żołnierzy.

–Słyszeliśmy o tym – odezwał się Ian Norbank.

–Zostaliśmy tutaj przysłani, żeby skoordynować nasze operacje z działaniami waszej

milicji – kontynuował Arlan. – Wcześniej nie posiadaliśmy żadnych bezpiecznych kanałów radiowych. Teraz, kiedy już tutaj jesteśmy, możemy komunikować się z sobą i

mieć pewność, że rebelianci nie będą w stanie przechwycić naszych komunikatów.

–Czy chce pan, żebyśmy zapewnili ogień osłonowy w celu ułatwienia wam sprowadzenia reszty wojsk do miasta? – spytał Alfred Norbank.

–Nie wiem, jakie plany ma pułkownik Flowers – odparł Taiters, myśląc jednocześnie:

„Cholernie dobrze wiem, że nie ma zamiaru posyłać batalionu do oblężonego miasta. Nic

by nam to nie dało”. – Musi pan przedyskutować to bezpośrednio z nim samym. Po to

właśnie tutaj przyszliśmy, żeby umożliwić tego rodzaju łączność.

–Im szybciej, tym lepiej – odpowiedział pułkownik Norbank.

–Być może powinniśmy najpierw przenieść się w głąb miasta, bliżej centrum –

podsunął wiceprzewodniczący Norbank. – Już prawie świt, a rebelianci lubią korzystać z

usług snajperów.

Taiters kiwnął głową.

–Dobrze więc. Przedtem muszę jednak spotkać się ze swoimi ludźmi i kazać im zająć

pozycje poza bezpośrednią linią ognia.

–Bardzo by nam pomogło, poruczniku – powiedział Alfred – gdybyśmy mogli

rozmieścić waszych ludzi bezpośrednio na obwodzie.

–Proszę mi wybaczyć, pułkowniku. Nie jestem upoważniony, żeby wydać

zezwoleń w tej sprawie. Być może dostaniemy rozkaz dołączenia do batalionu zaraz po

zapadnięciu zmierzchu, a oni mają już za sobą dwanaście ciężkich godzin. Czy jest jakieś

miejsce, gdzie mógłbym ich skierować na krótki odpoczynek, z dala od linii ognia?

–Dowódca sektora zajmie się tym – odparł pułkownik z wyraźną niechęcią. Nie miał

jednak ochoty na spory. Przywołał kogoś do siebie i rzucił rozkaz.

–A teraz, poruczniku, czy mógłbym prosić pana ze mną? – zaproponował

wiceprzewodniczący, wskazawszy dłonią w kierunku południa.

Taiters skinął głową. Opuścił ekran hełmu i odezwał się do Lona.

–Nolan, chcę, żebyś razem z Tebbą pokręcił się trochę po mieście. Potrzebuję

niezależnej oceny sytuacji. Powiesz mi, o co mi chodzi. Ja pójdę z tymi ludźmi.

–Tak jest, sir. – Lon został tam, gdzie stał; reszta zaczęła się oddalać. Pułkownik

Norbank przystanął i odwrócił na chwilę w jego stronę, po czym ruszył dalej ze swoim

kuzynem i porucznikiem Taitersem. Kadet zmienił kanał i połączył się z kapralem

Girana. – Tebba, porucznik ma dla nas robotę – powtórzył, co usłyszał od Taitersa.

–Zaraz do ciebie dołączę, tylko sprawdzę, czy wszyscy są na miejscu –
odpowiedział

Girana. – To będzie jakaś minuta czy dwie. Czas, żeby pozwolić grubym rybom
zniknąć z

pola widzenia.

–Czego niby szukamy? – spytał Lon, gdy tylko Tebba do niego dołączył.

–Czegokolwiek – powiedział Girana. – Jak do tej pory, wszystko, co wiemy, wiemy
od nich. Pora, żeby samemu się czegoś dowiedzieć. Oczy otwarte. Chcemy
zobaczyć, na

czym stoją, znaleźć jakiegokolwiek słabe punkty obrony, wszystko, co może się nam
przydać.

–Na przykład to, że każdy wygląda tutaj na niedożywionego?

–No. Też mi się to rzuciło w oczy – mruknął pod nosem Girana.

Nolan zrelacjonował kapralowi to, co pułkownik Norbank powiedział o amunicji i o
zapotrzebowaniu na broń, którą przywieźli im Dirigentyjczycy.

–Normalne, że mają chrapkę na dobry sprzęt – powiedział Girana. – Żeby było
ciekawiej, chyba nawet potrafimy wyprodukować amunicję do ich karabinów,
zwłaszcza

jeśli zatrzymali łuski. Trzeba by tylko zrobić listę kalibrów, jakie są im potrzebne i

sprawdzić, czy specyfikacje naszych replikatorów pokrywają się z konkretnymi rodzajami broni. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście, jak tylko będziemy mogli odbywać tutaj regularne kursy wahadłowców.

Ruszyli, kierując się na wschód, skąd chcieli zacząć obchód miasta. Generalnie trzymali się z dala od obwodu – utrzymując zazwyczaj dystans przynajmniej szeregu

domów od linii obrony, a na odcinkach między budynkami, gdzie mogły ich namierzyć

rebelianckie karabiny, poruszając się z ostrożnością. Często jednak zbliżali się do barykad, gdzie przyglądali się postawionym przez rząd umocnieniom i obstawiającym je

ludziami. obrońcy zaś przyglądali się Lonowi i Tebbie. Norbankijczycy z rzadka jako pierwsi zagadywali najemników. Girana, owszem, sympatycznie zagajał, pytając ludzi,

jak dawali sobie dotychczas radę, od czasu do czasu wtrącając pytanie, które mogło

zostać później bezpośrednio wykorzystane, choć nieustannie nadawał rozmowie niedbały

ton.

–Z tym akurat trzeba uważać – wyjaśnił Tebba Lonowi. – Będziesz zbyt dociekliwy, to cię, cholera, szybciej zamkną, niż zdążysz splunąć.

Przed powstaniem, a później oblężeniem, większość z mężczyzn, którzy bronili

obecnie Norbank City, mieszkała poza jego murami. Wszystkie domy i gospodarstwa w

pobliżu miasta zostały zajęte przez powstańców albo zburzone. Samo miasto było dość

niewielkie. Większość Norbankijczyków nadal zamieszkiwała obszary wiejskie, w większości na zachód i południowy zachód od miasta, nad Pierwszą Rzeką.

Zazwyczaj

posiadali gospodarstwa lub ogrody. Ogrody, i to pokaźnych rozmiarów, spotykało się

nawet w samym mieście. Ale obrzeża, obszary najluźniej zabudowane, pozostały nietknięte. Mieszkańcy lojalni wobec rządu zostali zmuszeni do opuszczenia przedmieść

i wycofania się do gęściej zabudowanych części Norbank City. Kobiety i dzieci stłoczono

w każdym dostępnym ukryciu, mężczyźni zaś albo bronili obwodu, albo pomagali w inny

sposób – wznosząc wały obronne, przenosząc żywność czy wiadomości. Ludzi było więcej niż dostępnej broni – i była to znaczna różnica.

–Wszystko jest tutaj zbudowane z drewna – zauważył Lon, kiedy mieli już za sobą prawie połowę bronionego obszaru. Znajdowali się niedaleko Pierwszej Rzeki. Dopiero

tutaj, wzdłuż niej stały jedyne, jak się zdaje, konstrukcje z kamienia.

–Zauważyłem – zgodził się Tebba. – Jak na sto lat kolonizacji, nie zaszli zbyt daleko. Trochę kamienia, a budynku z cegły czy betonowych płyt, jak do tej pory, jeszcze nie

widziałem, pomijając już jakikolwiek ślad czegoś bardziej nowoczesnego, jak betoplast.

–Myślisz, że są zacofani z wyboru, czy po prostu zmusiły ich do tego okoliczności?

–Sam chciałbym, cholera, wiedzieć – powiedział Girana. – Mają przecież pieniądze.

Zebrali dość, żeby wynająć batalion żołnierzy i kupić furę amunicji. Aby zaimportować

małe systemy fabryczne, też musieli mieć fundusze.

–A może oszczędzali na wszystkim, żeby sobie na to pozwolić?

–Kto ich tam wie. Bywałem na świątach, które w ledwie dwadzieścia lat po osiedleniu były na o wiele wyższym poziomie zaawansowania. Doliczyłem się jak dotychczas tylko tuzina ślizgaczy – to pojazdy typu poduszkowców. Więcej jest wozów i

fur, pojazdów, które poruszają się dzięki sile mięśni zwierząt lub ludzi.

Na całym obwodzie poważnie brakowało ludzi; przypominał cienką kropkowaną linię. Nie było śladu posterunków rezerw za wałem umocnień, poza kilkoma budynkami,

gdzie około dwunastu ludzi spało, choć Tebba i Lon zaglądali do środka.

–Niecałe cztery setki zbrojnych na całe miasto – mruknął Tebba, kręcąc głową. – Nie

wytrzymałoby w żadnym otwartym starciu. Cały pluton zdążyłby przedrzeć się do miasta,

zanim udałoby im się zebrać dość ludzi, żeby go powstrzymać.

–Czemu więc powstańcy nie skorzystali z okazji? Zeszłej nocy, nie ma co, nieźle nam dokopali. Gdyby uderzyli w miasto z taką samą siłą przed naszym przylotem, nie

mielibyśmy dla kogo pracować.

–Może nie wiedzą, jak słabe są siły rządowe – zgadywał Tebba. – Albo brakowało im pewności. Uderzyli na nas, bo nie mieli innego wyjścia. Wszystko, na co mogli liczyć, to

osłabienie nas, zanim połączymy siły ze zbrojnym ramieniem rządu i przejdziemy do ofensywy. Każdy dzień naszej obecności tutaj będzie przeważał szalę coraz bardziej na

niekorzyść rebeliantów. Nawet jeśli nie mają swoich doradców wojskowych, tyle przynajmniej zdołali wywnioskować.

Przystanęli na kilka minut, żeby przyjrzeć się zniszczonemu mostowi, który spinał

brzegi Pierwszej Rzeki. Był zbudowany z drewna – wąska alejka z desek ułożonych na

drewnianych palach-pniach wbitych w dno rzeki. W zasadzie zniszczeniu uległ jedynie

fragment mostu długi na jakieś dwadzieścia stóp, raczej bliżej południowego niż północnego brzegu rzeki. Reszta konstrukcji ciągle jeszcze się trzymała, choć nie wyglądała na szczególnie trwałą.

–Całe szczęście, że zmieniliśmy plany – powiedział Tebba. – Naprawdę nie chciałbym przelazić przez tę tandetę pod ostrzałem.

–Chyba wiem, co masz na myśli – zgodził się Lon. Rzeka była szeroka na sto jardów.

Głębokość wody nie przekraczała piętnastu stóp w strefie przybrzeżnej, a nurt nie był

zbyt wartki, ale most mógłby okazać się zabójczy dla żołnierzy obciążonych ponad pięćdziesięcioma funtami sprzętu, nawet gdyby nie wystawiał ich na ogień z obu stron

rzeki. – Wyobrażasz sobie, że zostajemy odcięci gdzieś na środku i nie możemy dostać

się ani na jeden, ani na drugi brzeg?

–Wyobrażam sobie, że mnóstwo ludzi potopiłoby się, zanim zrzuciliby dość ciężaru z pleców – odpowiedział bardzo cicho Tebba.

Obwód wzdłuż rzeki był wyjątkowo skąpo obsadzony milicją, ale też nie trzeba było jej wcale więcej. Posterunki wartowników stały co sto jardów. Gdyby rebelianci spróbowali szturmu na miasto przez wodę, czasu byłoby aż nadto, żeby sprowadzić dość

wojska do ich odparcia.

–Wiesz, jedynym śladem sprzętu noktowizyjnego, jaki udało mi się zobaczyć, jest

kilka lunet na karabinach – zauważył Lon, kiedy przebyli już prawie połowę linii obrony

przy rzece. – Zdaję sobie sprawę, że świtało, kiedy przekraczaliśmy obwód, ale gdyby ci

ludzie w ogóle mieli noktowizory, to chyba raczej na nosach.

–Wydaje mi się, że mają ich kilka – powiedział Tebba. – Choć masz rację, najpewniej nie jest tego zbyt wiele.

–Rebeliantom najwyraźniej nie przeszkadzała walka w ciemnościach. Myślisz, że oni mieli ich więcej niż kilka?

–Przy trupach niczego nie znaleźliśmy. Jeśli mają sprzęt, to wygląda na to, że bardziej im na nim zależy, niż na poległych i rannych towarzyszach. – Tebba zatrzymał

się. – A skoro o tym mowa, nie znaleźliśmy też zbyt wiele amunicji czy broni.

Wniosek z tego taki, że opozycja robi, co może, żeby oszczędzać sprzęt. – Rozejrzał się wokoło. – Odpocznijmy parę minut. Zjedzmy lunch tutaj, gdzie nikt nas na pewno nie

zobaczy i gdzie istnieje najmniejsze niebezpieczeństwo spotkania ze snajperami. Przez

całe rano słyszeli kilka sporadycznych strzałów, zawsze gdzieś w oddali, nigdy dość blisko, żeby cokolwiek ryzykowali.

Cztery godziny spędzili na okrążaniu obwodu. Ani razu nie natrafili na jakikolwiek dowód zmiany wart. Jedni ludzie spali na swoich posterunkach, podczas gdy ich sąsiedzi

dalej stali na straży. Nie wyglądało również na to, że żołnierze otrzymali posiłek. Jedynie

wody było pod dostatkiem i pito ją w dużych ilościach. Dzień okazał się

wystarczająco

upalny, żeby się temu nie dziwić.

Na całym obwodzie miasta nieuzbrojeni mężczyźni pracowali nad umacnianiem zabezpieczeń. W celu pozyskania materiałów na budowę wałów obronnych zaczęto powoli rozbierać budynki znajdujące się dalej od linii umocnień. Za tym kordonem ludzie pracowali nad drugą linią obrony, kopiąc rowy i usypując przed nimi piach, napełniając ziemią i piaskiem worki na reduty, wznosząc nowe barykady, łącząc pozostałe budynki i omurowując ściany.

–Wykreślanie krótszego obwodu to dobry pomysł – powiedział Lonowi Tebba. –

Zwłaszcza kiedy jest ich tak niewielu. Ale jeśli nie mają ładunków wybuchowych, żeby

wysadzić zewnętrzną linię umocnień, kiedy będą się cofać, nie będą mieli z niego wiele

pożytku.

–A nawet jeśli mają, czy taka akcja nie byłaby jedynie chwilowym odroczeniem

nieuniknionego? – spytał Lon. – O ile nie mają w zanadrzu jakiegoś większego

kontyngentu do złamania oblężenia, to my jesteśmy tutaj najważniejsi. Jeśli się okaże, że

to za dużo dla naszej grupy i ich ludzi.

–Pułkownik nigdy się nie zgodzi, żeby batalion miał się tutaj kisić – odparł Girana,

mając nadzieję, że się nie myli. – Tak długo, jak pozostaje na zewnątrz i posiada swobodę

ruchów, rebeliantom nie uda się zbyt mocno dać miastu we znaki. Jak już przyjdzie

najgorsze, możemy wstrzymać się na miesiąc, bo akurat tyle czasu zajmie podróż kapsuły

informacyjnej na Dirigent i ściągnięcie tutaj naszych posiłków. – Zamilkł, po czy

dodał. –

Jak rany, to będzie dopiero jedno wielkie, cholerne bagno.

Porucznik Taiters wysłuchał raportu Girany wzbogaconego o kilka uwag Nolana.

Zadawał pytania. Kiedy uznał, że dowiedział się już wszystkiego, co miało znaczenie, wywołał na linii pułkownika Flowersa. Tebba i Lon czekali; porucznik nie kazał im się oddalić.

–Mamy tutaj parę problemów – oznajmił im Arlan, kiedy skończył konferować z pułkownikiem. – Część z nich widzieliście sami. Rząd dysponuje mniejszą liczbą ludzi,

niż mogliśmy przypuszczać. Cały knyf polega bardziej na braku broni i amunicji, niż ciepłych i pełnych zapachu ciał. Gdyby ludzie mieli sprzęt, gotowych do walki byłoby pewno więcej. Żywność też stanowi problem. Ludzie, którzy są zamknięci w mieście od

trzech tygodni, żyją na połówce zwykłej racji, a dalej może być tylko gorzej. Nie mają

dość zbrojnych, żeby obsadzić linię umocnień, a więc nie możemy dokooptować ani jednego z nich do operacji przeciw rebeliantom. Poza tym nie możemy liczyć, że uda nam się wyładować wewnątrz miasta broń i amunicję. Po pierwsze, rebelianci są w posiadaniu rakiet ziemia-powietrze, które mogą strącić wahadłowiec. Po drugie, szansa

na to, że Norbank City poniesie porażkę, jest zbyt duża, a nie chcemy przecież, żeby

nieprzyjaciel przejął dość broni do uzbrojenia kolejnego batalionu.

–Czyli mamy stanąć przeciw rebeliantom sami? – Lon raczej spytał, niż stwierdził fakt.

–Może się na tym skończyć – zgodził się Taiters. – Ale wywiad, który

przeprowadziliśmy w nocy i dzisiaj rano, wskazuje, że pod bronią może być o wiele

więcej opozycjonistów, niż myśleliśmy jeszcze choćby wczoraj. Najświeższe szacunki

wahają się między tysiącem a tysiąc czterystoma żołnierzami opozycji oblegającymi miasto. Inna grupa, prawie równa liczebnie pierwszej, szykuje się do przypuszczenia

kolejnego ataku na batalion. Pułkownik Flowers również wykonuje manewry, usiłując

tak wszystkim pokierować, żebyśmy to my wybrali miejsce i czas kolejnej akcji bojowej.

Wygląda na to, że powstańcy kierują więcej ludzi w naszym kierunku. Nasze wahadłowce wykryły obecność małych grup między ich miastem a nami, wykorzystujących osłonę lasu i wzgórz na maskowanie swoich ruchów. Nie możemy nawet oszacować, o ile więcej żołnierzy mają z sobą. Przynajmniej kilka setek, a pewnie

dużo ponad to.

Tebba Girana zagwizdał cicho.

–Mówimy tutaj o przewadze najmniej jak trzy do jednego, mam rację, poruczniku?

A może i gorzej?

–Może i gorzej – zgodził się Taiters. – Rząd jest ostatecznie gotów zgodzić się z tym,

że liczba powstańców wzrosła, że są lepiej wyposażeni i lepiej wytrenowani niż siły rządowe. Gdyby władze zdołały zebrać wszystkie swoje oddziały, mieliby tego jakieś dziesięć tysięcy – z populacji liczącej sobie mniej niż sześćdziesiąt tysięcy. Wniosek z

tego taki, że obecną rebelię popiera cała druga fala, co jest kolejną rzeczą, którą rząd

musi przyjąć do wiadomości.

–To by praktycznie oznaczało wszystkich dorosłych mężczyzn – zauważył Lon.

–W przypadku normalnego rozkładu populacji kolonii – powiedział Arlan. – I o ile te sześćdziesiąt tysięcy jest dokładną liczbą. Nie widzę powodu, żeby przypisywać jej większą wiarygodność, niż pozostałym ujawnionym nam przez rząd danym.

–Wiem, że to nie moja działka, sir – odezwał się Tebba. – Ale czy dezinformacja nie przekroczyła już przypadkiem granicy, po której możemy z honorem wycofać się z akcji?

Chodzi mi o to, że Norbankijczycy przekazali nam pełno nędznych danych, a może nawet nas okłamali. To jest zadanie dla pełnego pułku albo i większej jednostki, a nie

jednego batalionu, nawet naszego.

Taiters podzielał opinię Girany, ale decyzję już podjął.

–Warunki umowy zostały jeszcze raz przeformułowane – powiedział. – Zostajemy do końca.

Nie podzielił się z Giraną i Nolanem pełną informacją. Pułkownik Flowers

przedsięwziął środki ostrożności. Kl – kapsuła informacyjna – już leciała w stronę

Dirigentu, wioząc najświeższe wiadomości. Flowers nie prosił o posiłki – jeszcze nie – ale

zawarł w przekazie prośbę warunkową: „Jeśli któryś z sześciodniowych okresów minie

bez raportu o stanie postępów, będzie to prawie na pewno znaczyło, że mamy poważny

problem i potrzebujemy znacznego wsparcia”.

–No i co teraz? – spytał Lon.

–Norbankijczycy zbiorą grupę ludzi, którzy są gotowi i zdolni stanąć do walki, ale nie posiadają broni. My z kolei odwołamy ich z obwodu, zaprowadzimy gdzieś, gdzie

będziemy mogli dostarczyć broń, amunicję i żywność. Wiem, że kłóci się to z ideą nienarażania się na ryzyko wpadnięcia arsenału w ręce rebeliantów, ale oni będą poza miastem, a poza tym miastowi nie zaczną przecież działać na własną rękę. Nasi ludzie pójdą z nimi. Jak się uda za pierwszym razem, zrobimy to po raz drugi, kompania za kompanią. Przekażemy im tyle podstawowego instruktażu, ile zdołamy w tym zbyt krótkim czasie. W mieście znajduje się być może tysiąc albo i tysiąc dwustu mężczyzn.

Gdyby udało nam się dostać do okolicznych osad, moglibyśmy znaleźć jeszcze więcej

lojalnych wobec rządu ludzi, ale broni mamy dość tylko dla jednego batalionu, nie ma

więc większego sensu werbować reszty – chyba że zdołamy przejąć jakieś ważniejsze

arsenały rebeliantów, chociaż gdy się z tym uporamy, niebezpieczeństwo może już zostać

zażegnane.

–Nieprzyjaciel nie wygląda na takiego, co to siądzie z założonymi rękoma i pozwoli nam na cokolwiek w tym stylu – zauważył Lon. – Raz może nam się poszczęścić, ale jak

tylko zobaczą, co robimy...

–Reszta batalionu też nie będzie próżnować, Nolan – przerwał mu Taiters. –

Uderzymy na rebeliantów z grubej rury, z lądu i powietrza – przewodniczący rady planetarnej życzył sobie, żeby Dirigentyjczycy użyli wahadłowców do zbombardowania

rebelianckiego miasta i otaczających go wsi, licząc, że wycofają wojska, które ruszą bronić swoich rodzin. Pułkownik Flowers z miejsca zawetował ten pomysł, ledwo

kryjąc

złość: „Nie prowadzimy wojny z nieuzbrojonymi kobietami i dziećmi”. Cały czas trzymamy w garści wszystkie atuty, nawet jeśli okaże się, że stoimy wobec pięciokrotnej

przewagi liczebnej – ciągnął Taiters.

–Wie pan co, sir, tak naprawdę to w chwili obecnej nie rebelianci martwią mnie najbardziej – powiedział Tebba. – To raczej pomysł niańczenia kilku setek nieuzbrojonych mężczyzn do czasu, aż nadejdzie broń i amunicja, a potem jeszcze ciągnięcie ich z sobą na walkę z powstańcami. Mogą się okazać tak samo niebezpieczni dla nas, jak i dla wroga.

Taiters wybuchnął śmiechem.

–Tak więc to naszym obowiązkiem będzie dopilnowanie, aby otrzymali trening skondensowany w stopniu wystarczającym do zminimalizowania tego niebezpieczeństwa.

–Naszym, sir? – dopytywał się Lon. – Naszego plutonu?

–Przynajmniej za pierwszym razem – odparł porucznik. – To w końcu my znajdujemy się w obrębie obwodu.

–Nie będziemy chyba próbowali przesz muglować ich tą samą drogą, którą tutaj przyszliśmy, co?

Taiters jeszcze raz zaniósł się śmiechem. Ekran hełmu był podniesiony i Lon mógł zobaczyć, że śmiech pomagał porucznikowi pozbyć się napięcia.

–Nie. Batalion przyprze atak, żeby otworzyć dla nas drogę. Nie znam jeszcze szczegółów, ale to powinno mieć miejsce dzisiaj wieczorem, niedługo po zapadnięciu

zmroku. Do świtu chcemy zostawić najbliższe gniazdo rebeliantów daleko w tyle.

Potem przyszedł czas na odpoczynek. Lon przespał ponad trzy godziny. To był głęboki sen, zbliżony do stanu nieprzytomności, a nie owa płytka i niespokojna drzemka,

o której opowiadali mu starzy z jego drużyny, przerywana najdrobniejszym dźwiękiem,

podszycia strachem i niepewnością. Kiedy Phip obudził go po południu, chłopak miał problemy z odzyskaniem trzeźwości umysłu i zmagał się z otępieniem.

–Co jest? – spytał Lon, ziewając i przeciągając się; usiłował zmusić mózg do wejścia na pełne obroty.

–Nasza warta – odparł Phip. – Czas pozwolić reszcie chłopaków przyłożyć na chwilę głowę do poduszki.

–Była już jakaś akcja? – Kadet usiadł i rozejrzał się wokoło. Potarł oczy. Zaczęły go piec, więc odchylił głowę i przemył je wodą z manierki.

–Nic wielkiego, przynajmniej nie tutaj. Zaczynają zbierać miejscowych, których mamy z sobą zabrać.

–Czyli, już słyszałeś.

–No, słyszeliśmy, detalicznie aż do obrzydzenia – mruknął Phip.

W KND dzielono się wiedzą, o ile miała praktyczne znaczenie. Dirigentycy nie byli lada mięsem armatnim, byli zawodowcami. Wysłuchiwano nawet sugestii szeregowca, oceniano je i – jeśli dawały gwarancję – przyjmowano.

–Czy te krwiste szczegóły wspominały coś o operacji, którą szykuje batalion, żeby przygotować dla nas ścieżkę na przestrzał przez linie wroga? – spytał Lon, przenosząc się

z pozycji siedzącej do kucek. – Kiedy, gdzie i jak?

–Nie, ale myślę, że pułkownik już coś wykombinował. Było parę strzelanin. Jedna kurewsko blisko.

–Wiadomo, co zaszło?

–Do nas żadne wieści nie dotarły. – Phip pokręcił głową. – Jakby mnie kto pytał, to chciałbym, żeby się pokazał cały batalion. Wsadziłoby się tutejszych do środka rombu i

ruszyło gdzieś, gdzie mogłyby sięść wahadłowce.

Lon potrząsnął głową. Dotarło do niego, że nawet bez dłuższego snu zachował akurat

tyle czujności, ile potrzebował.

–Nie wydaje mi się, żeby sprawę dało się tak załatwić. Wokoło jest zbyt wiele sił nieprzyjaciela. Lepiej będzie, jak batalion zatroszczy się o to, żeby trzymały się od nas z

daleka.

–Mam nadzieję, że podeślą nam do pomocy chociaż resztę kompanii – powiedział

Phip. – Będziemy prowadzić krety, przecież zabieramy ich po zmroku i to bez sprzętu

noktowizyjnego. Narobią hałasu, a my będziemy mogli pogratulować sobie szczęścia, jak

uda się nam iść w tempie mili na godzinę, nawet bez rebeliantów podgryzających nam

łydki na każdym kroku.

–Widzę, że nie pałasz porażającym entuzjazmem do przygotowań – zauważył Lon. To również go zaniepokoiło.

–Żadnym, psiakrew, entuzjazmem – przyznał Phip. – W żadnym punkcie. Myślę, że

powinniśmy wrócić na statek, póki możemy sprowadzić dość ludzi, żeby odfajkować robotę dla miejscowych kmiotków. Albo zostawić ich z własnymi zabawkami po tym, jak dali nam te śmieciowe dane.

Lon spuścił wzrok, po czym pokręcił głową.

–Nie, lepiej już doprowadzić to do końca. Czy to przypadkiem nie ty powiedziałeś mi, że opozycji, jakie się spotyka na tego typu kontraktach, dalibyśmy radę, nawet gdyby miała dziesięciokrotną przewagę?

–Skoro tak powiedziałem, byłem na rauszu – odparł Phip. – Słuchaj, dla nas to jest zwykły biznes, pamiętasz? Bohaterskie zrywy nie są dobre dla biznesu, a żołnierzom na ziemi też na gównu się zdadzą.

–Wystąp o dwa tygodnie urlopu – podsunął chłopak. – Jestem pewien, że porucznik zdrowo się uśmieje.

–Urlopu? W tym mieście nie ma nawet otwartej knajpy. Cały alkohol przeznaczono na użytek medyczny. Normalnie epoka kamienia łupanego.

Drużyna nie robiła patrolu obwodu ani też nie zajęła miejsc na specjalnych stanowiskach wartowniczych. pluton znajdował się z dala od linii umocnień. Wystarczyło tylko postawić kilku ludzi mających w razie ataku osłaniać ogniem resztę

oddziału przez minutę czy dwie, konieczne do obudzenia się i dania odpowiedzi.

Znajdowali się niedaleko miejsca, w którym zebrano kompanię nieuzbrojonych

Norbankijczyków, za osłoną budynków odgradzającą ich od linii frontu. Nie byli

kompletnie bez broni, ale dysponowali jedynie nożami i pałkami. Lon dostrzegł też

jednego mężczyznę z łukiem kompozytowym i kołczanem strzał. „To się akurat może

przydać” – pomyślał Lon, potakując głową do swoich myśli. „Jestem w stanie wyobrazić

sobie sytuację, kiedy mogłoby się to okazać doskonałą bronią. Choć lepiej, żeby szły z

tym w parze gogle noktowizyjne albo hełm”.

Przyglądał się przez chwilę łucznikowi, zastanawiając się, czy korpus kiedykolwiek używał tak prymitywnej broni. „Nie szkodzi wspomnieć o takiej możliwości” – zdecydował. To musiało jednak chwilę poczekać. Porucznik Taiters ostatecznie zdecydował przespać się godzinkę. Starszy sierżant Dendrow nie spał, ale był zajęty rozmową z grupką mężczyzn, którzy mieli tej nocy powierzyć swoje życie najemnikom.

Zostawał Girana. Lon poszedł do Tebby, wskazał łucznika i poruszył tę kwestię.

Girana wydał z siebie odgłos gdzieś pomiędzy chrząknięciem a parsknięciem.

–Nie wiem, czyśmy kiedykolwiek używali łuczników. Co to, jakieś wasze ziemskie zabawy w kowbojów i Indian?

–Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób – przyznał kadet. – Może podświadomie.

Przyszło mi po prostu do głowy, że w pewnych sytuacjach cicha broń, jak łuk, mogłaby

załatwić sprawę. Nawet miotacz laserowy nie jest zupełnie bezgłośny, a jeśli wróg ma

dobry sprzęt, miotacz namierza operatora za każdym razem, kiedy ten pociąga za cyngiel.

–No, nie wiem. – Girana pokręcił głową. – Jak dla mnie, pomysł jest poroniony, ale nie zaszkodzi o nim wspomnieć. Cholera, może i masz rację.

Lon wrócił na swoje miejsce do Phipa, Janno i Deana. Rozmyślenia o łukach

pozwoili Lonowi, na jakąs minutę czy dwie, uniknąc zastanawiania się nad tym, co może się wydarzyć w nocy. Perspektywa nie cieszyła go nawet wcześniej, zanim Phip

wyraził swoje niezadowolenie z planu. „Przeszedłem już swój krwawy rytuał. Brałem udział w walce. Teraz muszę tylko wrócić na Dirigent żywy i nie splamiony żadną hańbą, a dostanę swój awans. Nie komplikujmy sprawy bardziej, niż trzeba” – pomyślał Lon.

Przyglądał się, jak słońce tonęło za horyzontem. Gdzieś, dość blisko, rozgrywała się wymiana ognia – karabiny, granaty, pociski raketowe. Jazgot narastał, po czym nagle

urwał się niemal zupełnie. Przez kilka minut Lon wyglądał zza rogu budynku w stronę

obwodu. Widział dym po ostatniej strzelaninie, szare kłęby po granatach i raketach, łunę

znad leśnych pożarów wznieconych przez odłamki. Na parę minut przed zachodem, na

tle cieni drzew widać było nawet sporadyczne przebłyski pomarańczowych płomieni.

–To nic takiego, serio – odezwał się Phip. Lon mało co nie podskoczył, tak go

wystraszył głos dźwięczący mu przy uchu. Nie słyszał, jak Steesen wstał i ruszył w jego

stronę. – Kiedy cały horyzont się kopci, kiedy płonie na całej długości, wtedy to jest coś.

Na szczęście nie trafiliśmy na pełnię suchej pory. Taki nieposkromiony ogień mógłby

rozpętać niezłe piekło.

–Jak dla mnie, wystarczy – odpowiedział chłopak. – Nie musimy wcale ustanawiać nowych rekordów.

–Teraz mówisz jak człowiek. – Phip roześmiał się. – Zrobić swoje i spadać najprostszą drogą.

–Nie wydaje mi się, żeby były z tego jakieś proste drogi wyjścia – zauważył Lon.

Phip nie odpowiedział, ale tylko dlatego, że porucznik Taiters wzywał wszystkich na kanale ogólnym.

–Akcja powinna rozpocząć się za jakąś godzinę – poinformował ich Taiters. – A teraz

słuchajcie, spróbujemy zrobić, co następuje...

Nie wszystkie drogi z Norbank City stały otworem dla Dirigentyjczyków i

nieuzbrojonych Norbankijczyków. Jedyna osłona lasu znajdowała się na północ i wschód

od linii obrony tam, gdzie teren nie był płaski. Od północy i północnego zachodu aż po

południowy zachód, w stronę Pierwszej Rzeki, większość ziemi była wykarczowana i

zaadaptowana pod gospodarstwa. Miejski port kosmiczny również znajdował się po tej

stronie – tysiące akrów oczyszczonej ziemi. Teren nie dawał tutaj wystarczającej osłony

dla dwóch setek mężczyzn – poza sporadycznymi zagajnikami, w większości drzewek

owocowych i orzechowych ziemskich odmian przywiezionych tutaj przez pierwszych

osadników. Najbliższy z zagajników był obecnie w rękach buntowników, podobnie zresztą jak port.

Po zachodzie słońca wewnątrz obwodu odgłosy strzelaniny było słychać niemal cały

czas. Serie drobnych wymian ognia inicjowanych przez Dirigentyjczyków – to przez

drużynę, to znów przez pluton – miały na celu rozproszyć uwagę rebeliantów, podczas

gdy reszta najemników zajmowała pozycje. Główna formacja starała się ze wszystkich sił

uniknąć kontaktu z wrogiem, próbując „błądzić” wystarczająco długo, żeby móc

zastosować element taktycznego zaskoczenia, kiedy już ostatecznie dojdzie do natarcia.

Wewnątrz Norbank City starszy sierżant Dendrow i podlegli mu dowódcy drużyn

zrobili odprawę Norbankijczykom, którzy mieli się z nimi zabrać, informując ich o tym,

czego się spodziewać, ostrzegając, żeby trzymali się razem i byli tak cicho, jak to tylko

możliwe. „Kompania” milicji liczyła sobie jedynie stu czterdziestu mężczyzn

skrzykniętych jeszcze tego samego dnia. Jako jednostka nie byli ani przeszkoleni, ani

doświadczeni.

–To tak, jakbyśmy próbowali zdyscyplinować stado głodnych gęsi – powiedział

Lonowi Arlan Taiters.

Lojaliści, którzy obsadzali linię obrony, stali w pogotowiu, rozbudzeni i

podenerwowani strzelaniną poza obwodem – jakieś niecałe pół mili od nich. Z wewnątrz

miasta nie padały jednak żadne strzały. Wszyscy obrońcy byli objęci rozkazem

oszczędzania amunicji. Mieli strzelać jedynie w wypadku bezpośredniego ataku na ich

posterunki. Ale jako że strzelanina przeniosła się do lasu, nawet snajperzy nie

ostrzeliwali miasta.

Pułkownik Alfred Norbank miał teraz radio KND, za pomocą którego mógł się

porozumiewać z pułkownikiem Flowersem. Miał też nieuzbrojonych łączników, którzy

utrzymywali go w kontakcie z sektorami na obwodzie.

Godzinę po zachodzie słońca pluton Lona wraz z towarzyszącymi im

Norbankijczykami skierował się na wschód, w stronę punktu, gdzie mieli przedostać się

przez linię obrony. Starali się unikać wchodzenia w oczy rebeliantom, którzy mogli ich

obserwować przez noktowizory zamocowane na lufach karabinów.

Kiedy już znaleźli się na miejscu, Lon podniósł na moment ekran hełmu i przeniósł wzrok na niebo. „Zbyt dużo gwiazd i zbyt mało chmur” – pomyślał. Jak dla niego, noc

nie była wystarczająco ciemna. Wzruszył ramionami. „Przynajmniej miejscowi zyskają

trochę światła. Nie będą musieli iść zupełnie po omacku”.

Opuścił ekran i rzucił okiem na czasomierz umieszczony na wskaźniku refleksyjnym hełmu. Zanim padnie komenda do wymarszu, minie jakaś godzina, może

dziewięćdziesiąt minut. Batalion miał podjąć próbę wbicia się klinem w linię

nieprzyjaciela na północny wschód od miasta, żeby otworzyć korytarz dla plutonu Lona i

ich pupilków. Kiedy już znajdą się po drugiej stronie, akcje batalionu będą uzależnione

od dominujących warunków. Mieli za zadanie zniszczyć tak wiele oblegających wojsk,

ile tylko dadzą radę. Gdyby udało im się zwinąć znaczny odcinek linii wroga, mieli to

zrobić jeszcze przed ruszeniem do pomocy w przygotowaniu bezpiecznej strefy

lądowania dla wahadłowców wiozących dostawy dla Norbankijczyków. W innym razie

mieli natychmiast się wycofać, cały czas osłaniając grupę wychodzącą ze stolicy.

Dziewięćdziesiąt minut po zachodzie słońca przystąpiono do drugiego punktu prac przygotowawczych. Dwa z wahadłowców przypuściły atak na rebelianckie jednostki.

Jeden skupił się na oddziale, który usiłował powstrzymać główny korpus

Dirigentyjczyków. Drugi wziął na warsztat rebeliantów oblegających miasto, działka i

pociski rakietowe. Każdy wahadłowiec szturmowy wykonał dwie rundy oddzielone od

z siebie dwudziestominutową przerwą. Potem statki wystrzeliły na orbitę na spotkanie z

Wężyskiem, podczas gdy dwa inne zajęły ich miejsce, tym razem miały osłaniać główną akcję.

–Przygotować się, ale głowy trzymać nisko – ostrzegł Taiters na kanale swojego plutonu, kiedy już dostał wieści z batalionu. – Jeśli wszystko pójdzie, jak należy, ruszamy

za piętnaście czy dwadzieścia minut.

Początek natarcia batalionu dało się wyraźnie słyszeć. Pułkownik Flowers uderzył w linię wroga wszystkim, co miał pod ręką. Drużyny i plutony, które oddzielono wcześniej

od głównego korpusu celem dokonywania akcji zaczepnych, zwołano z powrotem z rejonów wokół linii wroga. Trzydzieści sekund później ostatnia para wahadłowców gatlingami i rakietami dopełniła dzieła zniszczenia.

–To da im trochę do myślenia – szepnął Phip. – Na pewno nie chciałbym być teraz po drugiej stronie barykady.

–Nie rozczulaj się nad wrogiem – odszepnął mu Lon. – Im bardziej my ich teraz podsmażymy, tym mniej oni nas podpieką, kiedy już stąd wyjdziemy.

Nieuzbrojeni funkcjonariusze milicji wyglądali niezbyt pewnie. Lon zastanawiał się, czy myśleli o ludziach, na których walił ogień zaporowy... czy może zmagali się po prostu z własnym strachem, wiedząc, że atak był sygnałem, iż już niedługo przyjdzie im

przedzierać się przez linię wroga.

–Batalion posuwa się teraz naprzód – porucznik Taiters poinformował przez radio

**Lona i podoficerów plutonu. – Gdy tylko otworzą dla nas korytarz, ruszamy.
Dowódcy**

drużyn niech przekażą to dalej podległym sobie miejscowym.

Funkcjonariuszy milicji podzielono na cztery plutony. Każda dirigentyjska drużyna miała za zadanie eskortowanie jednego z nich. Lon ruszył jak cień za kapralem Giraną, który skierował się w stronę „swoich” Norbankijczyków.

–Zaraz ruszamy – powiedział im Tebba. – Wiem, że nerwy macie na postronkach, ale przeprowadzimy was przez to najlepiej, jak potrafimy. Cały ten hałas jest po to, żeby otworzyć dla nas drogę przez linie nieprzyjaciela. Pamiętajcie tylko, żeby zachowywać

się możliwie najciszej i trzymać się w kupie. Kiedy któryś z nas rzuci rozkaz, nie zadawajcie żadnych pytań. Róbcie po prostu, co wam każą, a pytania zostawcie sobie na

później. Gdy zostawimy już kordon za sobą, pierwsze kilkaset jardów pokonamy najszybciej, jak to możliwe – ciągnął Tebba. – Truchtem, nie w pełnym biegu, tak więc

nie powinno to sprawić kłopotów, nawet jeśli nie przywykliście do ciężkiego wysiłku fizycznego. – Ludzie, którzy zostali wybrani do kompanii milicji, liczyli sobie od osiemnastu do czterdziestu lat, ale żaden z nich nie wyglądał na zupełnego słabeusza. –

Trzymajcie się nisko, ale blisko grupy. Nie będziemy mogli tracić czasu na zbieranie guzdralskich.

„Powinni dotrzymać nam kroku” – pomyślał Lon. „Mamy na sobie pełne oporządzenie bojowe, a oni nie muszą nieść niczego poza sobą i czasem nożem czy pałką. Jeśli w takim układzie nie będą mogli utrzymać tempa, to nawet z bronią w ręku

nie będzie z nich większego pożytku”.

Odwrócił głowę na odgłos zbliżających się walk. „Nie dalej, jak kilkaset jardów

stąd” – pomyślał. „Czyli ruszamy już naprawdę za chwilę”. Lon zerknął na Tebbę.
Girana

skinął głową, jakby przysłuchiwał się myślom kadeta. „Za chwileczkę”.

–Lon, zbierz drużynę – polecił Tebba.

Chłopak opuścił ekran hełmu i przekazał komendę na kanale drużyny. Pozostali w
mig podbiegli i zajęli pozycje, które wcześniej wyznaczył im Girana. Na każdej flance
plutonu, który mieli osłaniać, stanęła jedna drużyna ogniowa. Girana na czele. Dav
Grott

zajmie miejsce na ogonie, gdzie będzie próbował przeciwdziałać opieszalstwu.
Pozostałe

drużyny, wraz z miejscowymi, których miały eskortować, również ustawiały się na
swoich pozycjach. Teraz pozostało już tylko czekać na rozkaz pułkownika Flowersa
do

wymarszu.

Trzy minuty później padł pierwszy rozkaz – podejścia pod barykady.

–Skulić się i nie pchać pod oczy – Girana ostrzegł Norbankijczyków. – Kiedy
powiem „ruszamy”, to ruszamy.

Podszedłszy już pod barykady, Lon mógł zobaczyć, że strzelanina zaczęła się
rozsuwać na boki. Dokładnie na wprost nich panował względny spokój. Ogień
armatni

rozdzielił się na dwa wyraźne segmenty, a reszta batalionu wytężyła siły, żeby
zapewnić

im szeroki korytarz z miasta.

„Teraz to już w każdej chwili” – pomyślał Lon, patrząc w kierunku porucznika

Taitersa, który stał w odległości trzydziestu jardów. Głowa porucznika była lekko pochylona w pozycji, którą większość żołnierzy przyswoiła jako naturalną podczas rozmów przez radio. Dłoń kadeta powędrowała wzdłuż kolby karabinu, a palce namacały

przełącznik bezpiecznika, żeby sprawdzić, w jakiej był pozycji: włączony. Tak miało być

do czasu, aż ruszą.

„W każdej chwili”. Lon skupił uwagę na oddychaniu, na długich powolnych wdechach, które miały pomóc mu się choć trochę odprężyć. Nie chciał być zbyt nabuzowany, kiedy już się zacznie. I tak będzie, jak tylko zaczną świstać kule i puszczać

się biegiem między dwoma rzędami naparzających się żołnierzy.

Porucznik Taiters uniósł głowę i rozejrzał się wokoło, przesuając wzrokiem po swoim plutonie i Norbankijczykach. Lon wstrzymał oddech w pół drogi. No to już.

–Drużynami – zakomenderował Taiters na kanale plutonu. – Dziesięć jardów między sekcjami. Ruszać! – Podniósł prawą rękę i opuścił ją, wskazując w kierunku barykad.

Tuzin Norbankijczyków z sił obwodu odciągnęło z drogi dwa odcinki bariery. Pierwsza

drużyna przeszła przez najbliższą szparę, dość brutalnie poganiając przy tym swoich

podopiecznych.

–Ruszamy! – krzyknął Tebba na kanale drużyny, jak tylko pierwsza drużyna oddaliła się o dziewięć kroków. – Nolan, trzymaj się mnie.

Kadet przeszedł przez wyłom, prawie depcząc Giranie po piętach. Zatrzymali się zaraz za barykadą, a za nimi wyłonili się Norbankijczycy i reszta drużyny. Dopiero kiedy

Tebba zobaczył przechodzącego przez szparę Dava, pobiegł z powrotem na czoło drużyny. Nolan trzymał się ledwie kilka stóp za nim, biegł zgarbiony z bronią – teraz już

odbezpieczoną – przewieszoną przez szyję. Na razie zachowanie normalnych odstępów

między ludźmi było poza dyskusją. Najemnicy musieli trzymać się blisko

Norbankijczyków.

Teren na wprost barykad był otwarty i w miarę płaski, a z dostępnym światłem gwiazd nie stanowił większego wyzwania dla ludzi nie wyposażonych w sprzęt noktowizyjny. Te nieliczne budynki, które stały między obecnym obwodem a lasem, zostały już wcześniej zrównane z ziemią, szczątki spalone albo zrzucone do piwnicy.

Lon wraz z pozostałymi członkami drużyny trzymali się blisko Norbankijczyków, popędzając ich gestami, a kiedy okazywało się to konieczne, uciekając się do argumentów siłowych. „Tupią jak stado spłoszonych bawołów” – przemknęło Lonowi

przez głowę. Słyszał kiedyś pędzące bawoły, choć może nie spłoszone. Springs chowało

ich pięćdziesiąt sztuk w wojskowym rezerwacie jako cienki pomost do prawie-że-zapomnianej przeszłości. „Mam nadzieję, że rebelianci nie dysponują detektorami dźwięku” – pomyślał.

Barykady od skraju lasu dzieliło ponad tysiąc pięćset jardów. Najbliżej stojące drzewa były jedynie młodymi drzewkami, w niektórych przypadkach liczącymi sobie nie

więcej niż pięć czy dziesięć lat. Wzdłuż skraju, gdzie pnącza i krzaki mogły walczyć o

współdział w słonecznych promieniach, rozciągał się podszyt.

Tutaj, na otwartej przestrzeni, Lon czuł dziwne mrowienie wzdłuż grzbietu – nerwowa odpowiedź na zagrożenie. Nieprzyjacielski ostrzał mógł zacząć się w każdej chwili. Z tak stłoczonymi Norbankijczykami pociskom trudno byłoby nie znaleźć celu, chyba że strzelcy mieli katastrofalnego zeza. Zawodowi żołnierze strzelający z broni automatycznej zrobiliby z całej grupy kupę flaków. Szansa przeżycia nie byłaby wielka.

„To nie są specjaliści. I nie mają dużo automatów” – tłumaczył sobie w duchu Lon, kiedy zatrzymał się, żeby ponaglić najbliższego Norbankijczyka. Miał nadzieję, że drugie zdanie było równie prawdziwe jak pierwsze. Rebelianci dysponowali jakąś bronią automatyczną. Dirigentjczycy przekonali się o tym podczas pierwszego większego starcia. Ale większość rebelianckich karabinów wyglądała na półautomatyczne, a nawet jednostrzałówki – podobny wybór broni jak te, które mieli do dyspozycji lojaliści w Norbank City.

Lon miał wrażenie, że pokonywanie otwartej przestrzeni między miastem i lasem trwa całą wieczność, jakby ludzie poruszali się po mechanicznej bieżni. Biegli, ale las wydawał się wcale nie zbliżać. Przestał zwracać uwagę na czasomierz na wskaźniku hełmu, ale zanim znalazł się w połowie drogi do najbliższych drzew, zgadywał, że minęło już dziesięć minut – czyli ponad dziesięć razy więcej, niż wynosił spodziewany czas przeprawy. Sekundy odliczały przeszłość nadzwyczaj ślamazarnie. Czuł, że jest świadom każdej joty napływających informacji zmysłowych, każdego oddechu, każdego

uderzenia serca. Wydawało mu się, że mógłby usłyszeć każdy pojedynczy wystrzał w

rozgrywającej się po obu stronach bitwie, obecnie oddalonej o przynajmniej dwieście

jardów na lewo i prawo od nich.

–Nolan, skocz na tyły i pomóż Davowi z ogonami – odezwał się na prywatnym kanale Girana.

Lon zatrzymał się natychmiast, rad nawet z kilkusekundowego wytchnienia. Pluton nieuzbrojonych Norbankijczyków oddalił się od reszty o ponad czterdzieści jardów.

Nolan poczekał na zastępcę dowódcy drużyny i razem przyspieszyli, żeby powiedzieć do

słuchu ciągnącym się na szarym końcu miejscowym, popędzić, niemal popchnąć ich do

przodu. Uwagę Lona pochłonęło lawirowanie między ostatnimi rzędami funkcjonariuszy

milicji. Przebycie ostatniego odcinka zdawało się trwać krócej, niż to było w przypadku

pierwszego. Usłyszał, jak czoło formacji przedziera się z trzaskiem przez podszybie i dalej w las; niemal w tej samej chwili sam już tam był.

Nawet wtedy się nie zatrzymali. Porucznik Taiters zwolnił na parę minut, ale grupa ciągle szła naprzód, spiesząc się, żeby zostawić za sobą miasto i walki, a także uniknąć

wykrycia przez wroga.

Za młodnikiem otwierało się wyższe piętro lasu i grupa minęła widoczne ślady

potyczki, która miała tu miejsce dwie godziny wcześniej. Dwóch Norbankijczyków

potknęło się o ciała rebeliantów, co zainicjowało reakcję łańcuchową, która powaliła na

ziemię niemal połowę plutonu biegnącego z drugą drużyną.

Porucznik Taiters dał w końcu rozkaz do postoju. Odpoczynek trwał nie więcej niż dwie minuty dla ludzi z dwóch pierwszych grup, jeszcze mniej dla pozostałej części zespołu.

–Teraz liczy się cisza – kapral Girana wyjaśnił, w czym rzecz swoim podopiecznym Norbankijczykom. – Będziemy szli bez pośpiechu, ale musimy iść, i to w ciszy.

Przecisnęliśmy się już przez dziurkę od klucza, ale tutaj, po drugiej stronie, zawsze jest

szansa, że wpadniemy na rebeliancki patrol. „Albo całą masę rebeliantów” – pomyślał z

niepokojem.

Tym razem, kiedy grupa wznowiła marsz, żołnierze z drużyny Girany zostali rozmieszczeni w regularnych odstępach wzdłuż flank norbankijskich ochotników.

Tempo równało się jedynie połowie miary marszowej, czasem nawet jeszcze mniej, robiono częste przerwy – nie postoje, a tylko kilka sekund bezruchu, podczas których

zawodowcy nasłuchiwali jakichkolwiek odgłosów aktywności nieprzyjaciela.

–Tebba, wiemy już coś o tym, jak daleko mamy iść albo co robi reszta batalionu? – spytał Lon. Posuwali się w głąb lasu już od trzydziestu minut.

–Reszta kompanii będzie nas osłaniać – odparł Tebba. – Pozostałe kompanie są ciągle

zajęte. Załamała się sekcja linii wroga na prawo od naszego wylomu, gdzieś w pół drogi

do rzeki. Pułkownik stara się to wykorzystać. Myślę jednak, że nie poświęci temu zbyt

wiele czasu. Batalion musi się przecież zebrać, żebyśmy mogli przed świtem przekazać

nasze dostawy siłom milicji.

**Lon zerknął na czasomierz. Do lokalnego świtu – pierwszego brzasku – zostało
nieco**

ponad pięć godzin.

Kompania zebrła się już prawie w całości. Podczas gdy trzeci pluton dalej

prowadził Norbankijczyków, reszta uformowała wokół nich osłonę, sto do dwustu jardów

na flankach i czole oraz nie więcej jak pięćdziesiąt jardów za tyłami. Przemieszczali się

powoli i często zatrzymywali, biorąc znaczną poprawkę na Norbankijczyków, którzy nie

dysponowali niczym, co by wyostrzyło ich widzenie w ciemnościach.

„Przy osłonie reszty kompanii tupot tych koleśi nie jest przynajmniej aż tak

niebezpieczny” – pomyślał Lon. Nawet jak dla niego Norbankijczycy nieźle hałasowali,

potykając się w gęstwie. Najniższe piętro lasu było dość odkryte. Jedyne miejsca, gdzie

mogły usadowić się krzaki, stanowiły okolice strumyków i place po wycince. Poza tymi

polankami resztę miejsca zajmowały jedynie pnie drzew i gnijący detrytus zaścielający

ziemię. Baldachimy gałęzi odcięły jednak Norbankijczyków od blasku gwiazd, którymi

mogli się cieszyć na otwartej przestrzeni, zostawiając ich niemal w kompletnych

ciemnościach. Każda kolumna musiała być prowadzona przez Dirigentyjczyka, który w

obudowie hełmu miał zamontowany system noktowizyjny. Tuż za nim podążali

Norbankijczycy, stłoczeni najciaśniej, jak tylko mogli, często sunąc z ręką na ramieniu

poprzednika.

Kierowali się prawie dokładnie na północ od Norbank City, średnio w tempie mili na

godzinę. Szczęście ich jednak nie opuszczało. Ani razu nie wpadli na siły rebelianckie,

nawet na patrol.

–Doganiają nas Bravo i Delta – powiedział sierżant Dendrow podoficerom swojego plutonu podczas krótkiego postoju około trzeciej nad ranem. – Pułkownik zostawia Charliego, żeby podokuczał jeszcze wrogowi aż do czasu lądowania i odlotu wahadłowców. Do SL zostały nam dwie mile, do przylotu wahadłowców tylko godzina i

dwadzieścia minut. Wiem – dodał naprędce, wyprzedzając wątpliwości. – Nie damy rady

tak szybko przeprowadzić Norbankijczyków w ciemnościach. Ale konieczne jest przejście na wyższe obroty. Pierwszy pluton ruszy naprzód i zabezpieczy obwód wokół

SL, niemniej jednak musimy dostać się tam prędko, zabrać towar i zniknąć, zanim pojawią się rebelianci. Przylatują dwa ptaszki, wiozą amunicję i żywność również dla nas. No i rannych wracających do roboty po pierwszej nocnej akcji.

–A mamy dla nich jakichś rannych do zabrania teraz? – spytał jeden z dowódców drużyn.

–Myślę, że tak, przynajmniej kilku. Ich też tutaj transportują. Wahadłowce nie będą mogły długo zostać na ziemi.

Dowódcy drużyn wyjaśnili Norbankijczykom, że będą musieli przyspieszyć.

–Przez ostatnie kilka godzin mieliście dość zaprawy – Tebba przypomniał swojej grupie. – Musimy iść po prostu żdziebko szybciej, żeby zdążyć z wami po karabiny i resztę. Jeśli się nie pospieszymy, wasi powstańcy mogą prześcignąć nas na ostatnim

odcinku. Jestem pewien, że tego byście nie chcieli.

Zwiększone tempo zaowocowało zwiększonym hałasem, a nawet – od czasu do czasu

–przekleństwem. Ludziom plątały się nogi, niektórzy się przewracali. Szeregi rozsypały

się i trzeba było doprowadzić je do porządku. Dirigentyjscy podeszli bliżej eskortowanych przez siebie ludzi, pokrzykując na nich i ponaglając, czym sami przyczyniali się do zwiększania poziomu decybeli. Jak na tę chwilę, tempo liczyło się

bardziej niż cisza.

„Mam nadzieję, że już więcej nie będziemy musieli nikogo niańczyć” – pomyślał Lon jakiś dwunasty raz. „Jest przecież cała masa innych plutonów w batalionie. Nie ma potrzeby pakować nas w to znowu”.

–Nadchodzi zimny front – zrelacjonował Lonowi Tebba chwilę po trzeciej trzydziści. – Chmury zbierają się na północy i zachodzie. Mogą zawisnąć nad SL, kiedy

już tam dotrzemy.

–Chmury, to chyba dobrze, co? Mogą osłaniać wahadłowce.

–O ile te nie będą podchodzić na gorąco – odparł Tebba. – Myślę, że chyba jednak zrobią miękkie lądowanie i podejda do niego z północy, sunąc do samej SL i wykorzystując chmury tak długo, jak tylko się da. Zgodnie z zapowiedziami CIT, zanim

poranek na dobre się rozkręci, możemy spodziewać się deszczu. – CIT było centrum

informacji taktycznej na pokładzie Wężyska.

–Nie miałbym osobiście nic przeciwko monsunowi – powiedział chłopak. – Z nim potrafimy radzić sobie lepiej niż z opozycją.

–W przeciwieństwie do naszych pupili. Czyli zostaniemy przy mżawce. – Girana nawet nie zaśmiał się ze swojego kalamburu, a Lon go nie zauważył.

Kiedy nadeszła pora umówionego spotkania, pluton najemników i siły milicji ciągle znajdowały się ćwierć mili od SL. Niemniej jednak część kompanii A i większość B oraz

D była już na miejscu. Rozładowano dostawy. Wysiedli wracający na służbę. Pół tuzina

mężczyzn rannych w wieczornej strzelaninie zapakowano na pokład. Podobnie jak ciała

czterech Dirigentyjczyków, którzy ponieśli śmierć.

Do czasu dotarcia Norbankijczyków do SL wahadłowce zdążyły już odlecieć.

Pospiesznie rozdzielono broń, amunicję i żywność. Trzeba było jakoś rozłożyć ciężar.

Nie mieli przecież ciężarówek. Norbankijczycy otrzymali krótkie instrukcje odnośnie

obsługi karabinów, które trzymali w rękach – same podstawy, ładowanie, przełącznik

bezpieczeństwa i tak dalej. Dołączono magazynki, załadowano broń. Miejscowi dostali

też pięć minut na zjedzenie prowiantu, dirigentyjskiej racji wojennej. Żaden z nich nie

wybrzydzał.

–Nie ma nawet czasu, żeby przestrzelać broń – Phip szepnął Lonowi na boku. – Będą

mieli szczęście, jak walną w ziemię, jeśli już będą musieli jej użyć. – Pokręcił głową.

Kiedy zaczną strzelać, najbezpieczniej będzie za ich plecami.

–Przynajmniej narobią hałasu, a to nam akurat pomoże, jak już rozpocznie się

wymiana ognia – odpowiedział chłopak. – Zmuszą rebeliantów do trzymania głów

przy

ziemi i pozwolą nam tym samym efektywniej strzelać.

Nim wszyscy byli gotowi do opuszczenia SL, w tyle, pod najwyższym piętnem lasu, rozpostarła się mglista poświata. Wraz z napływającymi chmurami rozchodziło się szare

światło, przyćmione, męczące oczy – ale wystarczyło, żeby Norbankijczycy przestali wpadać jeden na drugiego.

–Jak będziemy mieli czas, żeby porządnie ich podszkolić – Girana powiedział Lonowi, kiedy już wznowili marsz – to w zasadzie możemy z nich zrobić niezłych żołnierzy.

–O ile dożyją tego czasu – odparł Lon.

–Nasza robota polega na tym, żeby dożyli – przypomniał mu Tebba. – Dopilnujmy zatem, żeby ją wykonać, jak należy.

Przez jakiś czas ciągle kierowali się na północ, dalej od Norbank City. Podczas krótkich postojów, na które pozwolił pułkownik Flowers – cały batalion poza kompanią

C, która została bliżej stolicy, przemieszczał się teraz mniej więcej razem – lojalistom

pomagano co nieco w materii organizacji i podstaw strategii. Norbankijskie plutony rozbito obecnie na drużyny. Dirigentyjczycy nie starali się wybierać im dowódców.

Norbankijczycy musieli zrobić to sami. Każdy jednak pluton, przynajmniej tymczasowo,

był przydzielony do jednego z plutonów najemniczych, przeważnie z kompanii B i D.

Maszerowali wspólnie, a Dirigentyjczycy dokładali starań, żeby podczas drogi i postojów

doszkolić norbankijskich ochotników.

Tym razem oszczędzono pluton Lona.

–Swoje już odrobiliśmy – wyjaśnił Taiters, kiedy Lon wspomniał o tym. –

Przynajmniej, jak na ten moment.

–Na jak długo jesteśmy wyłączeni z gry? – spytał następnie Lon. – Tutaj przecież kontrakt się nie kończy.

Arlan pokręcił głową.

–Zgaduję tylko, ale wydaje mi się, że wracamy wieczorem. Nie chcemy dać rebeliantom zbyt wiele czasu na przegrupowanie się. Miło by było, gdybyśmy mogli zająć się miejscowymi jakieś dwa albo trzy dni, dać im szansę na przestrzelenie broni i

oswojenie się z jej używaniem. Ale nie mamy na to ani czasu, ani amunicji.

–Nadal nie będą nic widzieć w nocy – Lon wzruszył ramionami, mimo że rozmawiał z porucznikiem przez radio.

Taiters westchnął.

–Nie prosili o sprzęt noktowizyjny, a nasz oficer kontraktowy najwyraźniej o tym nie wspomniał albo nie pchnął sprawy dalej. Gogle czy hełmy mogłyby wszystko zmienić.

–Mamy dość zapasowych, żeby im trochę rozdać?

–W ogóle ledwo mamy dość.

Zwolniony z obowiązku poganiania Norbankijczyków, pluton trzeci dołączył do reszty kompanii A i przeszedł na lewą flankę batalionu. Kiedy pułkownik Flowers w końcu zarządził postój parę minut po dziewiątej, znajdowali się już dwanaście mil od najbliższego punktu w Norbank City, w puszczy.

–Nie zostaniemy tu na długo, ale okopcie się – polecił podoficerom kompanii

kapitan

Orlis. – Rozpoznanie wykazuje, że w promieniu czterech mil nie znajduje się żaden nieprzyjaciel, ale nie można być tego pewnym. Rebelianci nie mają dość elektroniki, żebyśmy mogli ich namierzyć ze stuprocentową pewnością. Mogą za to mieć kompanię

albo i coś większego, jak splunąć stąd, jeśli deptali nam po ogonie.

Lon dzielił rów strzelecki z kapralem Giraną i Jannem Belzerem, co w praktyce znaczyło tyle, że to Lon i Janno zajęli się kopaniem i usypywaniem ziemi wokół płytkiego dołka.

–Przynajmniej ziemia nie jest zbyt ubita – powiedział Janno. – Nie jak twarda glina.

Widywałem już glebę, w której dziurę musiałbyś wrywać granatem.

–Teraz muszą istnieć chyba łatwiejsze sposoby – odparł Lon. Rwanie darni było najtrudniejszą częścią okopywania się.

Pod rozkładającymi się liśćmi i gałązkami leżała warstwa mchopodobnej substancji, która opierała się saperkom.

–Jest jeden – powiedział Janno. – A przynajmniej mógłby być.

–Coś więcej?

–Mam kuzyna, który pracuje w departamencie badań i rozwoju w jednej z wojskowych firm logistycznych. Kilka lat temu testowali prototyp tak zwanej saperki ultradźwiękowej. Wbijało się cztery paliki w cztery rogi, na głębokość dziury. Cudo używało wibracji ultradźwiękowych i każdy rodzaj gleby zamieniało w proszek. Potem

wystarczyło tylko wszystko wybrać, drobniutki suchy piaseczek.

–Czemu więc nadal robimy to po staremu? Co było nie tak z tym prototypem? – spytał Lon.

Janno zaśmiał się, jakby złapał go kaszel.

–Zdaniem mojego kuzyna działał perfekt i ważył do tego mniej niż sześć funtów. Z ziemią z naszej dziury uporałby się w niecałą minutę, wystarczyłby więc jeden na drużynę. Ale miał jedną małą wadę. Cholerstwo miało taką moc, że nasz standardowy

detektor dźwięku usłyszałby je z trzydziestu mil. Zabawka dwuzadaniowa. Kopało dziurę

i wabiło wroga do walki. Sekcja kwatermistrzowska odrzuciła ten pomysł.

Lon zaśmiał się cicho. Nie przerywali pracy. Pod warstwą detrytusu i mchu ziemia była sucha, miała miękką, kruchą strukturę. W pewnej chwili Janno przestał kopać i podniósł grudkę gleby, po czym skruszył ją lekko, ściskając palce.

–Nędzna ziemia pod uprawy – zauważył.

–Dlaczego? – spytał Lon. – Udały jej się te osiemdziesięciostopowe drzewa.

Janno pokręcił głową.

–Podejrzewam, że mamy tutaj do czynienia z jakąś bardzo delikatną równowagą, marna ziemia, zamknięty obwód dostępnych substancji odżywczych, wszystko w ciągłym użyciu. Tak jest w lasach deszczowych, a to wygląda prawie jak las deszczowy.

Nawet drobne zakłócenie mogłoby zniszczyć cały system. A uprawy są czymś więcej niż

drobnym zakłóceniem.

–Czy to należy do części szkolenia?

–Nie. To część biologii pierwszoklasisty w liceum. Dirigentyczycy mają możliwość przyjrzenia się większemu bogactwu natury niż reszta ludzi, większej liczbie różnorodnych ekosystemów. Nawet skromne operacje wojskowe mogą wpłynąć na ekosystem, a walki na wielką skalę są w stanie zaowocować nawet zmianami w

pogodzie.

–Daj spokój. Teraz się ze mnie nabijasz.

–Mówię poważnie. Słuchaj, w tej swojej akademii musiałeś pewnie sporo czytać o historii wojskowości, racja?

–W Springs. Jasne.

–Wspomnienia etcetera, opowieści żołnierzy o bitwach i kampaniach?

–Trochę. Ale więcej o taktyce i strategii – odparł Lon. – Nadal nie wiem, do czego zmierzasz.

–Te wspomnienia były pełne gadki o pogodzie, racja? Za dużo deszczu, za zimno, za

dużo śniegu?

–No, jasne, że tak, ale przecież żołnierze zawsze klną na pogodę. My też – podczas ćwiczeń na poligonie.

Janno ponownie pokręcił głową.

–Tutaj chodzi o coś więcej. Nie przypomnę sobie teraz szczegółów, ale zajmowaliśmy się tym w przypadku Ziemi. Od czasu, kiedy proch strzelniczy stał się ważnym elementem rzemiosła wojennego, a w szczególności tam, gdzie w szerokim użyciu była artyleria czy naloty powietrzne, wielkie operacje wojskowe wpływały na zwiększenie opadów atmosferycznych, deszczu czy śniegu i wzrost maksimum temperatur w wielu strefach klimatycznych. I nie, nie był to przypadek. Przebadano każdy konflikt zbrojny od piętnastego wieku aż do ostatnich większych operacji wojskowych na Ziemi w dwudziestym pierwszym stuleciu. Kiedy w akcji bierze udział

więcej niż dziesięć czy piętnaście tysięcy żołnierzy i spora ilość artylerii, czołgów czy

bombowców, a akcja toczy się dłużej niż pięć dni, pogoda skłania się ku ekstremom.

Przyklepał usypaną przed rowem kupkę ziemi grzbietem saperki. Lon przez chwilę po prostu przyglądał się towarzyszowi.

–Pogłoski i domysły – odezwał się w końcu.

–Statystyczna prawidłowość poparta licznymi symulacjami komputerowymi.

–Tego też uczyłeś się w ogólniaku?

–Czemu nie? Na Dirigencie przedmioty wojskowe to ważna działka edukacji. Im więcej wiemy o wszystkim, co może wpłynąć na kontrakt, tym lepiej się spisujemy.

Dirigentyjczycy wystawili warty jeden-za-jeden. W centrum strefy obronnej

**batalionu Norbankijczykom zafundowano dwie godziny intensywnego szkolenia –
tyle,**

ile zdolni byli sobie przyswoić. Nauczono ich, jak rozkładać i składać karabiny,

**przedstawiono możliwości i ograniczenia broni. Poza tym przekazano im
uproszczone**

**schematy odpowiedzi w przypadku najbardziej spodziewanych akcji bojowych –
znów**

tyle tylko, ile można było nauczyć się w tak ograniczonym czasie.

–To za mało. A nie da się więcej – zrelacjonował Lonowi Girana, kiedy

Norbankijczykom pozwolono w końcu odpocząć. – Pierwsza lepsza akcja i zostaną

**przeżuci. Będą mieli szczęście, jak przedsięwzją tylko pięciokrotnie większe
środki**

**ostrożności. Mogło być o wiele gorzej. Mam nadzieję, że nie będzie dość
beznadziejnie,**

żeby ich odstraszyć. Tych, którzy przeżyją – dodał po chwili. – Ich i reszty ludzi w

stolicy.

–Jeśli się poddadzą, nie będziemy mogli chyba zbyt wiele zdziałać, prawda? – spytał Lon.

Tebba tylko pokręcił głową.

Kapitan Orlis podał wytyczne swoim porucznikom i podoficerom.

–Ruszamy o 1500, kierujemy się na poprzednie pozycje. Kompania Charlie odciąga siły rebeliantów jeszcze dalej, w stronę wzgórz na wschodzie Norbank City. Nasze najdokładniejsze szacowania co do ilości opozycji wahają się między sześcioma a ośmioma setkami, tak podaje Charlie i obserwacja naziemna. Idziemy za nimi. Jeśli zdołamy zneutralizować te oddziały, zrobimy tym samym wielki krok w kierunku ujednoczenia reguł gry Norbanku.

Przeszedł do wskazania na mapniku spodziewanej trasy marszu i pokazał miejsce, w

którym kompania C miała spróbować ujarzmić rebeliantów, pole bitwy, czego chciał pułkownik Flowers.

–Nie możemy liczyć na to, że nasi przeciwnicy będą chętni do współpracy –

powiedział Orlis teatralnym szeptem. – I nie możemy mieć pewności, że odpowiedzą na

każdy... bodziec tak jak przeszkoleni żołnierze, bądźcie więc gotowi na wszystko. Kiedy

kontakt bojowy zostanie już nawiązany, kompania milicji przejdzie na tyły batalionu,

będzie trzymana w odwodzie jako rezerwa; włączy się ją do akcji, gdy – i o ile – będzie

można to przeprowadzić bez zbytecznego zagrożenia dla najemników. Pułkownik chce,

żebyśmy poczekali, aż zapanujemy nad sytuacją, ale chce też włączyć miejscowych

do

akcji na tyle szybko, żeby poczuli, że mają udział w zwycięstwie. Jego zdaniem wpłynie

to na wzrost morale, co pozostaje nie bez znaczenia nie tylko dla ludzi, którzy są z nami,

ale również dla reszty lojalistów. Oni potrzebują zwycięstwa. A my mamy się o nie dla

nich postarać – przerwał, po czym dodał. – Oczywiście w rozsądnych granicach. Nie

planujemy głupich poświęceń dla zaspokojenia czyjejs dumy.

Kiedy odprawa dobiegła końca, Taiters zawołał Lona.

–Trzymaj się mnie, Nolan. Rozmawiałem już z Giraną. Czas, żebyś zobaczył, jak wyglądają operacje plutonu. Podłączę twoje radio do mojego. Będziemy mieli między

sobą otwartą linię, a ty zyskasz okazję uczestniczenia we wszystkich rozmowach, które

nadam czy odbiorę. Jeśli będziesz musiał sam połączyć się z jakąkolwiek inną linią, pozostaje ci anulowanie kanału – ale poza nagłymi wypadkami staraj się nie łączyć i zawsze daj mi najpierw znać.

Formacja marszowa składała się z kompanii A na lewej flance, B na prawej i oddziału milicji za nimi. Kompania D zamykała pochód. Pułkownik wraz ze swoimi oddziałami sztabowymi znajdowali się w centrum, tuż przed Norbankijczykami. Od samego początku pułkownik nalegał, żeby maszerować w szybkim tempie, prawie tak szybkim, jakby między najemnikami nie szli amatorzy.

–Musimy przed zmrokiem pokonać jak największy dystans – powiedział Lonowi porucznik Taiters.

Podczas marszu Taiters zazwyczaj pozostawał między plutonem trzecim i czwartym,

ale od czasu do czasu opuszczał podwójne kolumny i siedł wzdłuż boków, mając widok

na wszystkich swoich ludzi. Lon słyszał, jak rozmawia z dowódcami plutonów,

dowódcami drużyn – nawet pojedynczymi szeregowcami. Rozmowy z rzadka wychodziły

poza zwięzłe pytanie i lakoniczną odpowiedź. Jeszcze bardziej sporadycznie łączył się

kapitan Orlis albo pułkownik Flowers, czy ktoś ze sztabu przekazujący dowódcom

informacje – najnowsze dane wywiadu kompanii C lub wyniki ciągłej obserwacji

rebeliantów z pokładów wahadłowców i Wężyska.

Wszystkie trzy kompanie wysyłały szperaczy, aby mieć pewność, że nie zostaną

zaskoczone przez wrogą zasadzkę. Rozkład odpoczynków ustalono dużo wcześniej,

korzystając z miejsc wybranych przez szpicę.

–Zna pan dość dobrze ludzi z obydwu plutonów, prawda? – Lon spytał porucznika

podczas jednego ze spokojnych odcinków trasy.

–To część mojej pracy – odparł Arlan. – Każdy dowódca musi znać możliwości i

ograniczenia swoich żołnierzy, wiedzieć, kto posiada szczególne zdolności albo kto ma

problemy, które mogłyby wpływać niekorzystnie na wykonywanie obowiązków. Im

lepiej znasz swoich ludzi, tym lepiej wykonujesz swoją pracę. Jest to jednak proces

ciągły. Nawet jeśli przeniosą cię do innej kompanii, kiedy dostaniesz już rangę, nadal

będziesz się uczył. Nikt nie będzie wymagał od ciebie wiedzy o każdym z twoich

podkomendnych od razu pierwszego dnia.

–Do jakiego szczebla to się ciągnie?

Taiters zachichotał.

–Wiem na pewno, że kapitan Orlis zna każdego w kompanii. Nie chodzi mi o to, że potrafi połączyć twarze z nazwiskami. Ma dość dobre pojęcie o tym, kto może sobie na

ile pozwolić, wie też co nieco o ich przeszłości i rodzinach. Nie mam tej samej pewności

w stosunku do pułkownika Flowersa, ale mogę założyć się, że zna każdego oficera i podoficera w batalionie tak samo, jak ja znam swoich żołnierzy i prawdopodobnie rozpoznaje szeregowców z nazwiska i twarzy, potrafi przypisać ich do odpowiedniej kompanii. Co się tyczy ludzi, którym on sam dowodził podczas wspinaczki po szczeblach

kariery albo tych, którzy z jakiegoś powodu zasłużyli na jego uwagę, tych zna o

lepiej.

–Pułkownik Gaffney? – Arnold Gaffney był dowódcą siódmego pułku. – Gdzieś przecież musi być granica. Ma pod sobą ponad pięciuset ludzi. Nie może znać ich wszystkich. Nie zostałoby mu czasu na nic innego.

–Pewnie nie – przyznał Taiters. – Ale tak czy inaczej nieźle radzi sobie z personelem.

Nie zapominaj, że zanim został dowódcą pułku, przewodził pierwszemu batalionowi, a w

jedynce kompanii Bravo i tak dalej. Jako adiutant wykonywał również zadania akordowe

dla pułku. Najprawdopodobniej więc ma całkiem dobre pojęcie przynajmniej o połowie

swoich ludzi, zwłaszcza o tych, z którymi był na kontrakcie i założę się, że zna każdego

oficera i sierżanta – i kto wie, cholera, czy nie każdego kaprała. Pamiętaj, poziom

rotacji

ludzi jest u nas o wiele niższy niż w innych armiach. Średnia długość służby w moich

plutonach wynosi ponad osiem i pół roku, licząc z twoimi kilkoma miesiącami, które zaniżają statystykę.

Batalion kierował się głównie na południe i południowy wschód, ale marsz nie odbywał się po linii prostej. Pułkownik próbował wykorzystać rzeźbę terenu, który już

wcześniej zaczął przechodzić z równinnego, przez łagodnie falisty, po średnio pagórkowaty. W miarę wypiętrzania się krajobrazu las z początku stawał się coraz mniej

jednorodny, po czym ustąpił miejsca naprzemiennym pasom drzew i traw. Sporadyczne

skupiska skał niemal kompletnie wyjaławiały część obszarów z roślinności. Z nadejściem

zachodu słońca batalion znajdował się w odległości trzech czwartych mili od kompanii C

–a tym samym rebelianckich oddziałów, które ją ścigały.

–Zatrzymujemy się tutaj na trzydzieści minut – kapitan Orlis przekazał swoim oficerom i podoficerom. – Dopilnujcie, żeby wszyscy zjedli i przygotowali się do drogi.

Potem w każdej chwili możemy oczekiwać walki.

Na czas odprawy, którą pułkownik Flowers zrobił pod koniec postoju, Lon przykucnął przy poruczniku i wpatrywał się w jego mapnik.

–Charlie przez cały dzień rozgrywał serie drobnych potyczek – powiedział Flowers, pokazując ruchy kompanii. – Trzymając się przy tym poza zasięgiem tej grupy, robiąc, co

w ich mocy, żeby odciągnąć ją dalej od oblężenia i posiłków. Jeszcze inny pokazny

kontyngent sił rebelianckich, ten, który nadciąga ze wschodu, dzisiaj rano dołączył do

reszty, tutaj. – Miejsce, które wskazał, znajdowało się sześć mil na północny wschód od

batalionu. – Najprawdopodobniej zamierzali nas odciąć. Ostatni raz udało nam się

namierzyć ich w tym miejscu. – Tym razem punkt był oddalony o cztery mile od

poprzedniego, niemal dokładnie na północ od batalionu. – Dzisiaj musieli dowiedzieć się

skądś, gdzie są nasze pozycje, bo wygląda na to, że idą za nami. CIT przechwyciło z

tamtego obszaru kilka transmisji. Dokonaliśmy częściowego tłumaczenia, ale w

przekazach jest mnóstwo zaszyfrowanych zwrotów, których nie potrafimy

zidentyfikować. Dwadzieścia minut temu byli cztery mile za nami i przemieszczali się tą

samą trasą. Ostatnie szacunki wykazują, że ta grupa jest mniej więcej takich samych

rozmiarów jak oddział, z którym droczył się Charlie – sześć do ośmiu setek. A to

oznacza, że może przyjdzie nam skonfrontować się z tysiącem sześciuset – a może więcej

–rebeliantami na raz, jeśli nie uda nam się zająć pierwszą grupą, nim dogoni ją druga. A

nasze szacunki wcale nie są takie... pewne. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby realne statystyki okazały się o dwadzieścia procent wyższe. – Flowers przerwał, po czym powiedział. – A więc, może i dwa tysiące w tych dwóch grupach, plus kolejny tysiąc albo

i więcej nadal oblegających Norbank City. Podejrzewam, że rebelianci muszą mieć jeszcze przynajmniej tysiąc nie wykrytych przez nas ludzi pod bronią, którzy albo pilnują

ich pierwotnej strefy osiedleńczej, albo przebywają gdzieś indziej. Ale i ten szacunek

może się okazać równie skromny. Wypadałoby zatem, żebyśmy powstrzymali te siły od

konsolidacji albo znajdziemy się w sytuacji, kiedy wszystkie będą mogły uderzyć na nas

jednocześnie.

Na razie oznacza to, że musimy w miarę jak najszybciej zmierzyć się z oddziałem, z

którym pozostawał w kontakcie bojowym Charlie – ciągnął Flowers. – Kiedy ruszaliśmy

w drogę, miałem nadzieję, że udało nam się wykonać manewr taktycznego zaskoczenia,

ale teraz musimy przyjąć, że nieprzyjaciel zdaje sobie sprawę z naszego sąsiedztwa. Jako

że żaden z naszych wywiadowców nie zgłosił zetknięcia się z wrogimi patrolami,

rebelianci nie powinni raczej wiedzieć, gdzie dokładnie się znajdujemy, ale dowódca

tamtego oddziału stał się bardziej powściągliwy, odkąd podąża za Charliem od jakiejś

godziny z okładem. Myślę, że szukają okazji, żeby zawrócić w kierunku Norbank City.

Pozwolimy im na to, a sami zajmiemy pozycje tutaj i tutaj. – Wskazał szczyty dwóch

niskich grzbietów leżących równolegle względem siebie. – Następnie pozwolimy

Charliemu, żeby ich tam wpuścił. Zanim nawiążemy kontakt, powinno być już zupełnie

ciemno, co da nam przewagę.

Chcę, żeby nasza kompania milicji stanęła tutaj, na prawym obrzeżu północnego

szczytu – powiedział pułkownik. – Alfa zajmie miejsce na lewo od nich. Bravo i Delta

zajmą szczyt południowy i postawią dwa plutony przy tamtym krańcu doliny, żeby

zakorkować butelkę. Plutony mają trzymać się raczej krawędzi doliny, niż stać w poprzek

niej. Mogłoby to, zważywszy, że Charlie także będzie szedł w naszą stronę, skończyć się

strzelaniem do własnych ludzi. Gdy tylko damy nauczkę tej grupie, ruszymy odciąż

drugą, która idzie za nami i ich też spróbujemy wziąć przez zaskoczenie.

Szczegółami

zajmiemy się później, po wypełnieniu pierwszego zadania. Jeśli rebelianci z pierwszej

grupy nie dadzą się nabrać na pułapkę, dopasujemy się do sytuacji. Mając pod kontrolą

obydwa szczyty, będziemy w stanie dostosować się do każdego ich ruchu. To jednak

mogłoby utrudnić nam dotarcie na spotkanie z drugim oddziałem w korzystnym

otoczeniu. Pytania? – Kiedy żaden z oficerów na linii nie zabrał głosu, pułkownik

Flowers dokończył. – Wszyscy mają być gotowi do wymarszu za pięć minut. Bravo i

Delta poprowadzą, jako że i tak mają przed sobą najdłuższą drogę.

Nawet mimo ciemności norbankijscy obrońcy poruszali się teraz z większą

pewnością. Mieli broń i parę godzin szkolenia za sobą – dość, żeby przestali myśleć

o

sobie jak o kompletnych niezgułach. Tej nocy z powodu większych połączeń czystego nieba

i blasku gwiazd nie mieli aż tak ograniczonej widoczności. Byli ponadto świadomi tego,

że niedługo rozpocznie się walka, że wezmą w niej udział i że – po raz pierwszy od początku tej wojny domowej – będą mieli przewagę liczebną.

Pochód zamykała kompania A. Czwarty pluton został w tyle, zakładając podsłuchy i miny lądowe, żeby spowolnić ruchy wojsk rebelianckich, które podążały za nimi. Jeżeli

będą szły dokładnie po śladach batalionu, prędzej czy później wdepną prosto w kłopoty.

To zaś miało ostrzec batalion i podać dokładną pozycję drugiej grupy powstańców.

Porucznik Taiters, a wraz z nim Lon, zostali z czwartym plutonem, który podkładał miny i pluskwy; aktywnie uczestniczyli w wyborze kierunku ruchów.

–Wszystko, co zostanie po zakończeniu bitwy – wyjaśnił Lonowi – zabierzemy z powrotem. O ile zdołamy. W innym wypadku i jeśli nie uda nam się nauczyć

miejscowych dezaktywować min, materiały wybuchowe w ciągu trzydziestu dni ulegną

degradacji, która je unieszkodliwi.

Gdy uporano się z zadaniem, pluton czwarty pospieszył za resztą kompanii. Batalion

wraz z norbankijską milicją kierował się ku swoim pozycjom i szykował na przyjęcie rebeliantów. Taiters przyjrzał się rozstawieniu swoich plutonów, po czym naradził z

dowódcami plutonów i dopiero potem udał się razem z Lonem na swoje miejsce – zaraz

za linią, między plutonami trzecim i czwartym. Tym razem nikt nie usypywał rowów

ani

okopów. Skalisty grzbiet był ubogi w glebę. W miarę możliwości ludzie układali wokół

siebie murki z mniejszych kamieni, które powinny dać im jakąś przewagę; grzbiety pięły się sześćdziesiąt do siedemdziesięciu stóp ponad leżącą między nimi dolinę.

Odgłosy wystrzałów zbliżyły się, ale ani razu nie przeszły w ciągłą wymianę ognia.

Na podstawie meldunków, które przekazano wszystkim oficerom, Lon wiedział, że kompania C utrzymywała kontakt bojowy z siłami rebelianckimi, atakując i cofając się,

ostrzeliwując z zasadzek, cały czas zapędzając je w stronę reszty batalionu.

A potem w słuchawkach poniosło się nagłące: „Wszyscy padnij i cisza! Rebeliancki patrol wchodzi w dolinę”.

„Mam nadzieję, że Norbankijczycy niczego teraz nie spartolą” – pomyślał Lon. Stało z nimi kilku najemników, którzy mieli dopilnować, żeby dotarły do nich rozkazy albo ostrzeżenia. „Padnij i cisza, tylko tyle” – zaklinał Lon, zupełnie jakby jego błagania mogły cokolwiek zmienić. „Cierpliwości”.

Porucznik Taiters zbliżył się powoli do obwodu i podniósł znad ziemi akurat na tyle, żeby obrzucić pobieżnym spojrzeniem dno doliny. Lon nie ruszył się z miejsca. „Nie zamierzam sam okazać się partaczem” – zdecydował w myślach. „Porucznik pewnie wie,

co robi”.

–Szpiczy nie dali zbyt daleko do przodu – Arlan szepnął Lonowi przez radio. – Na oko jest jakieś dwadzieścia jardów między ostatnim człowiekiem z drużyny czołowej i resztą ich

grupy. – Porucznik zawrócił z punktu obserwacyjnego. – Mimo ciemności oni też szybko

maszerują.

–Nie osłaniają boków? – spytał Lon szeptem.

–Najwyraźniej nie. Idą prosto w pułapkę.

„Będzie rzeźnia” – przemknęło Lonowi przez myśl. „Są łatwym celem”. Nie przemawiało do niego branie udziału w czymś, co zapowiadało się na jatkę – choć z drugiej strony nie był na tyle naiwny, żeby spodziewać się po batalionie

„gentlemańskiej” walki. „Albo oni, albo my, a ich jest przecież o wiele więcej, niż nas”.

–Pułkownik chce, żebyśmy poczekali, aż drużyna czołowa znajdzie się na drugim końcu doliny, zaraz na wprost naszych, potem korkujemy butelkę – powiedział Lonowi

Taiters. – Może i nie uda nam się wpakować w dolinę całej grupy, ale większość na pewno, a Charlie już dopilnuje, żeby reszta nie uciekła.

„To może już za minutę. Może za sekundę” – zreflektował się Lon. Poczuł, jak wszystkie włosy na rękach stają mu na baczność. Jego prawa dłoń powędrowała wzdłuż

karabinu, sprawdzając, czy przełącznik bezpiecznika jest odciągnięty. Magazynek był

pełen, naboje w komorze. Zerknął na licznik czasu: 2053. Spojrzał w lewo, gdzie stali jego towarzysze – w odległości jakichś czterdziestu jardów. Zbyt daleko, żeby dodało mu

to otuchy. Teraz, tuż przed bitwą pomogłoby mu, gdyby stali przy nim. „To nie jest tak,

jak poprzednim razem, kiedy uderzyli na nas bez ostrzeżenia. Teraz to my na nich czekamy”.

–Gotów! – pojedyncze słowo, które rozbrzmiało na kanale komendy, wystraszyło

Lona. Za bardzo zatopił się we własnych myślach. – Ognia!

Najemnicy otworzyli ogień po obydwu stronach wzniesień, a błyski u wylotów luf wyglądały jak migające sznury niecierpliwych bożonarodzeniowych światełek.
Odgłos

można było łatwo pomylić z hukem fajerwerków, jakie na Ziemi odpala się z okazji

Dnia Federacji. Dirigentyjscy prowadzili ogień krótkimi seriami, po trzy czy cztery naboje, wybierając cele, a nie waląc jak wariaci w dolinę. Przez pierwsze dziesięć sekund

strzały padały tylko z jednego kierunku. Aż tyle czasu zajęło rebeliantom danie jakiegokolwiek odpowiedzi – poza kryciem się gdzie popadło wśród skał i powalonych drzew, które zaścielały dolinę.

Taiters i Nolan przesunęli się do przodu, na linię frontu, gotowi, żeby wejść do akcji.

Lon po raz pierwszy spojrział na pole walki, kiedy złożył się do strzału i namierzał kolejne cele. Nietrudno było je znaleźć. Wypatrywał ruchu, błysku ognia wylotowego i

za każdym razem posyłał w tamtym kierunku parę serii. To były zauważalne

wyznaczniki żywego celu. Zważywszy, że dolina była pełna ludzi, nie można było mieć

pewności, który z nich jest martwy, a który jeszcze żyje, nawet mimo wsparcia podczerwieni zainstalowanej w systemach noktowizyjnych; ciała nie stygły od razu.

Rebelianci, którzy byli w stanie odpowiedzieć ogniem, odpowiedzieli, ale ich

kontratakowi zdecydowanie brakowało koordynacji i efektywności. Dolina w pewnym

stopniu zapewniała osłonę, jednak nie dość, żeby dać schronienie przed ostrzałem z

obydwu grzbietów ani przed odłamkami wybuchających wokoło granatów.

Buntownicy

również próbowali rzucać granatami, ale nieskutecznie. Do dyspozycji mieli tylko ręczne, w przeciwieństwie do najemników, którzy mieli seriami z wyrzutników.

Przeciwnicy wypuścili jednak kilka rakiet, które wyszarpały w zboczach jamy.

Mimo swojego nieprawdopodobnie niekorzystnego położenia rebelianci walczyli

dalej. Nic nie wskazywało, że zamierzają się poddać czy uciec. Po kilku minutach zaczęli

nawet podejmować coś na kształt prób przegrupowania się, czołgając się w kierunku

najlepszej osłony, konsolidując i kierując ogień najpierw w stronę pierwszego grzbietu,

następnie drugiego.

Nie było żadną niespodzianką, kiedy część Norbankijczyków otworzyła ogień do

znajdujących się poniżej rebeliantów. Mimo iż nie otrzymali takiego rozkazu, chcieli

mieć pewność, że także biorą udział w starciu. Początkowo padały tylko sporadyczne

strzały, ale nie trzeba było długo czekać, żeby przeszły w ciągły ogień.

Do tego czasu umysł Lona popadł niemal w całkowite otępienie. Skupił się tylko na

swoim zadaniu, strzelał, ładował i celował, starając się unikać oglądania sceny w dole z

szerszej perspektywy. Po drugiej stronie lufy znajdowały się tylko tarcze strzelnicze, to

nie byli ludzie. „Celuj ostrożnie, potem ciągnij za spust” – myślał. Od zapachu prochu

zaczął swędzieć go nos, a od piekących oparów zaschło mu w ustach. Nawet nie miał jak

przetrzeć załzawionych oczu, choć i tak zdawał sobie sprawę, że to tylko pogorszyłoby

sprawę.

W słuchawkach panowała cisza. W chwili obecnej rozkazy nie były potrzebne.

Jedynie mogłoby paść wezwanie, gdyby ktoś z dwóch plutonów został trafiony i

potrzebował pomocy, a na razie ani w trzecim, ani w czwartym plutonie kompanii A nie

było strat w ludziach.

Odgłos dwóch eksplozji, za jego plecami, nieźle wystraszył Lona. Potrzebował paru sekund, żeby dotarło do niego, że to były miny podłożone przez czwórkę.

–Słyszałeś? – spytał Taitersa.

–Słyszałem. Nie rozłączaj się.

Lon słuchał, jak porucznik składa meldunek o wybuchach i ich lokalizacji najpierw kapitanowi Orlisowi, a następnie pułkownikowi Flowersowi.

„Czyli druga grupa znajduje się tylko czterysta jardów za nami” – uświadomił sobie

Lon. „Za niecałe dwie minuty mogliby mieć nas w zasięgu strzału”. Niewiele osłaniało

Alfę przed atakiem z północy, zza pleców. Lon zerknął na podziałkę czasu w hełmie:

2101. Przeraziło go to prawie tak samo jak eksplozje. Od początku walki minęło mniej

niż osiem minut. Pokręcił głową. Przysięgłby, że walczyli już od godziny.

–Zawracamy i schodzimy w dół zbocza jakieś dziesięć jardów – kapitan Orlis

odezwał się na kanale, który łączył go z porucznikami i dowódcami plutonów. – Oprócz

plutonu pierwszego. Zostanie na miejscu w celu zakotwiczenia lewego skraju obwodu na

grzbiecie. Milicja zajmie nasze pozycje. Pomóżcie im, ale niech się pospieszą. – Kiedy

już potwierdzono te rozkazy, Orlis kontynuował. – Znajdźcie dla swoich ludzi

jakąkolwiek osłonę. Pozwolimy drugiej grupie rebeliantów zbliżyć się na dwieście jardów, potem wyjdziemy i spróbujemy przyszpilić ich, kiedy będą już zbyt daleko, żeby skutecznie odpowiedzieć ogniem.

Trzeci i czwarty pluton zostawił po jednej drużynie do pomocy Norbankijczykom w dotarciu na pozycje, podczas gdy reszta zeszła w dół zbocza, kierując się na północ. Stok był nachylony pod łagodnym, kątem, ale mimo to wielu ludzi musiało przyjąć niewygodne pozycje strzeleckie – z nogami wyżej głowy. Mościli się, szukając najwygodniejszego ułożenia, jakie zdołali znaleźć w krótkim czasie, który im został. Nieco osłony od przodu, choćby garstka kamieni, było ważniejsze od komfortu. Lon wraz z porucznikiem trzymali się blisko grzbietu, aż minęły ich trzy czwarte Norbankijczyków, którzy zaczęli obsadzać część sektora zwolnionego przez kompanię A.

Następnie Taiters wycofał ostatnie dwie drużyny i odesłał je na zbocze, żeby zajęły pozycje. Dopiero wtedy porucznik i Nolan ruszyli. Lon padł na brzuch tuż przed otwarciem ognia przez drugą grupę rebeliantów – zanim kompania A zdążyła zamienić się miejscami z Norbankijczykami.

Rebelianci nie szli dokładnie po śladach drugiego batalionu. Zbliżali się grupami, z północnego zachodu i północnego wschodu, podchodząc do grzbietu pod kątem. Kiedy nieprzyjaciel znajdował się w odległości stu osiemdziesięciu jardów, otworzył ogień, przekroczywszy już nieco dystans, na jaki kazał trzymać go kapitan Orlis. Wykorzystał

każdą dostępną osłonę i przeniknął przez nie, poruszając się przemyślanym systemem.

Pierwsza salwa ze strony buntowników była zupełnie chaotyczna. Niektóre strzały poszły nisko, większość jednak wysoko – i to nie tylko ponad głowami kompanii A, ale też ponad Norbankijczykami i jeszcze dalej. Ale gdy tylko najemnicy odpowiedzieli ogniem, celność rebeliantów poprawiła się. Celowali w błyski ogni wylotowych. Trafiali.

Lon słyszał jedną prośbę o pomoc od kogoś z czwórki, a potem dowódcę drużyny mówiącego, że jest przy rannym i że to nic poważnego.

Ta potyczka nie wywołała u Lona ścisku żołądka. Tym razem siły były wyrównane – na tyle, na ile to możliwe w starciu rebeliantów z przeszkolonymi zawodowcami. Ci pierwsi mieli trzykrotną albo i większą przewagę liczebną – licząc jako przeciwnika tylko

kompanię A – i nie zostali wciśnięci w zamkniętą strefę ognia, jak to miało miejsce w dolinie po drugiej stronie grzbietu. Szli na nich z taką samą determinacją, jak wcześniej

ich skazani na klęskę towarzysze, ogniem i manewrami taktycznymi minimalizując straty

w ludziach i cały czas podchodząc bliżej.

–Charlie posyła dwa plutony na naszą prawą flankę – kapitan Orlis poinformował podległych mu dowódców. – Uderzą na rebeliantów z boku. Delta stanie na drugiej flance, gdy tylko będzie mogła. Zajmie im to jednak trochę czasu. Mają do przejścia dłuższą drogę i muszą najpierw zerwać kontakt bojowy. – Za chwilę, jakby po namyśle,

Orlis dodał. – Pierwsza grupa wroga już prawie dostała za swoje. Nie zostało ich więcej niż setka walczących.

„Z sześciu do ośmiu setek tylko jedna?” – pomyślał Lon i zamrugał oczami, był

z dumionym, mimo że sam przecież widział. „Dlaczego brną w to dalej? Dlaczego się nie

poddadzą? Czy zamierzają zmusić nas, żebyśmy wybili ich do ostatniego?”. Odwrócił na

chwilę twarz, walcząc z napływającą mu do ust żółcią. Zamrugał parę razy, zacisnął mocno powieki, po czym ponownie skupił się na zmierzającym w jego stronę nieprzyjacielu. Zupełnym przypadkiem dostrzegł godzinę: czas 2110.

Ta walka nie zakończy się ani tak szybko, ani tak jednoznacznie jak poprzednia.

Rebelianckie siły nadciągające z północy nie zostały zaatakowane bez ostrzeżenia – przez chwilę to one przejęły inicjatywę, napierając po przekątnej i uderzając w skraje

pozycji Dirigentyjczyków.

–Podszkolili się trochę – porucznik Taiters rzucił Lonowi przez radio. – A poza tym myślę, że chyba zbyt nisko oszacowaliśmy ich liczebność.

Chłopak spróbował objąć wzrokiem całą szerokość pola bitwy i zauważył, że w ich kierunku zbliżają się dwa ugrupowania rebeliantów. Silniejszy ogień szedł z daleka, z

centrum – sporo poza dystansem dwustu jardów. Co więcej, strzały z większej odległości

były również celniejsze.

–Dali na środek strzelców wyborowych z noktowizorami – zauważył. – Są może dwieście pięćdziesiąt jardów stąd.

–Gdzie? – spytał Arlan, ale zanim Lon zdążył ich pokazać, porucznik znowu się odezwał. – Widzę. Poczekaj chwilę, powiadomię kapitana. – Kadet słuchał wymiany zdań: dwudziestu dwóch słów raportu i dwóch słów potwierdzenia odbioru. – Dobra robota, Nolan – odezwał się chwilę później Taiters. – Byłeś pierwszy. – Zanim podjął

wątek, wywołał pierwszą drużynę trzeciego plutonu i kazał im skupić siły na snajperach.

–Też możesz dołożyć swoją cegiełkę, Nolan. To twoje dziecko.

Lon ustawił celowniki, po czym przełączył ogień na pojedynczy. Za każdym razem, kiedy w polu widzenia pojawiał się ogień wylotowy, posyłał pocisk nieco poniżej – tam

przynajmniej celował. Drużyna, która wzięła na warsztat snajperów, miała strzelać w taki

sam sposób. Niedługo później nie było już kogo brać na cel.

„Są martwi albo zmienili pozycje” – pomyślał Lon. „Przynajmniej powstrzymaliśmy ich”. Przez następną minutę rozglądał się po okolicy z głową nad celownikami, czekając,

aż snajperzy wrócą do akcji. Kiedy nie wrócili, przełączył ogień na automatyczny i wycelował w rebeliantów zbliżających się w stronę wzniesienia, przez co o mało nie dosłyszał słów: „Dobra robota”, jakimi porucznik pochwalił jego oraz drużynę z trzeciego plutonu.

Strzelanina nabrała rozpędu, kiedy najpierw kompania C, a później D pojawiły się na flankach. Ich równoczesne przybycie zahamowało natarcie nieprzyjaciela – który zdążył

już dotrzeć do stóp wzniesienia. Wielu buntowników musiało zawrócić, żeby zmierzyć

się z nowym zagrożeniem, co zmniejszyło siłę ognia, który szedł na Alfę. Dopiero wtedy

Lon zauważył, że ponad głowami najemników wielu lojalistów strzelało do swoich nienawidzonych pobratymców.

–Co, do cholery? – wyrwało mu się.

–Co: „co”? – spytał prędko porucznik Taiters.

–Z tyłu. Norbankijczycy strzelają nam nad głowami.

–Nie ma rady – powiedział Taiters. – Po prostu trzymaj głowę nisko – poleciał to samo

reszcie kompanii.

Wtedy na linii odezwał się kapitan Orlis.

–Opór w dolinie przełamany. Pułkownik kieruje do nas resztę batalionu. Lecą też dwa wahadłowce jako wsparcie powietrzne. Będą za cztery minuty.

Lon po raz kolejny spojrzął na zegar. Czas: 2124. Walka trwała dopiero pół godziny.

Nim nadleciały wahadłowce mające wspomóc walczących, było po wszystkim.

Rebelianci z drugiej grupy w zdyscyplinowanym szyku wycofali się do lasu, ostrzeliwując się podczas odwrotu i zabierając z sobą tak wielu rannych, ilu mogli.

–Gdybyśmy musieli, postąpilibyśmy tak samo – powiedział Lonowi Tebba Girana, co miało stanowić niechętnie uznanie dla wroga.

Wahadłowce kołowały na wysokości dziesięciu tysięcy stóp – poza zasięgiem rakiet, na wypadek gdyby w najbliższej przyszłości miało dojść do kolejnego starcia. Nie był to

jednak prawdopodobny scenariusz, więc po krótkiej wycieczce zawróciły w stronę Wężyska.

Niewielu rebeliantów zdołało umknąć z poprzedniej zasadzki.

Kiedy Lon zdał już Taitersowi relację ze swojej akcji, wspiał się z powrotem na grzbiet i spojrzał w dół na dolinę. Włączył powiększenie na ekranie hełmu i przebiegł wzrokiem wzdłuż pola walki. Wszędzie było pełno rebelianckich ciał. Oddział lojalistów

schodził właśnie po południowym stoku z zamiarem zebrania karabinów i amunicji.

Kilka drużyn Dirigentyjczyków również skierowało się w stronę doliny, częściowo po to,

żeby potwierdzić szacowane straty w ludziach, ale ich głównym zadaniem było niedopuszczenie do rzezi na ocalałych powstańcach.

–W życiu nie widziałem takiej masakry – powiedział porucznik Taiters, dołączając do Lona stojącego na grzbiecie. – Musi tam być co najmniej osiem setek, i sztywnych, i rannych.

–No i nasi nieboszczyki – dodał Lon. Dostali już wstępne raporty o stratach własnych – mieli w batalionie sześciu zabitych i dwudziestu siedmiu rannych. Kompania

milicji straciła czterech ludzi, dwudziestu odniosło obrażenia. – Wiem, że korzystamy z

każdej okazji, żeby zminimalizować ofiary we własnych szeregach, ale... coś takiego? –

Zrobił szeroki gest, próbując objąć całą dolinę. – Dlaczego się nie poddali?

–Nolan, to jest wojna domowa. Może nie widzieli innego wyjścia. Więźniom w takiej bitwie trudno zazdrościć. Wiem, że pułkownik wolałby to od zabijania, ale... – Wzruszył ramionami i odwrócił się, po czym ruszył w dół zbocza. Najzwyczajniej nie zostało już do powiedzenia nic mądrego i chciał uniknąć utarczki słownej.

Reszta kompanii A znajdowała się już prawie u stóp wzgórza, licząc straty wroga po północnej stronie. Lon postął jeszcze chwilę przy grzbiecie, po czym wyłączył powiększenie, odwrócił się i ruszył za porucznikiem, a następnie poszukał „swojej” drużyny. Nikt nie zginął i nikt nie był ranny, ale po Deanie Ericksie widać było, że mało

brakowało. Jego hełm, tuż nad prawym uchem, roztrzaskała kula. Kiedy Lon dobił do

swojej drużyny, Dean siedział na ziemi z hełmem w dłoniach i palcem obrysowywał pęknięcie.

–Trzy centymetry bardziej w bok i żadna tuba pourazowa w galaktyce by mi nie pomogła – wyszeptał sam do siebie. Wydawał się głuchy na wszystko dookoła.

Spotkanie z przyjaciółmi przerwało wezwanie porucznika Taitersa, który kazał Lonowi wracać na miejsce.

–Nikt nie gwizdał na fajrant – powiedział. – Zostało nam jeszcze trochę do zrobienia.

–Tak jest, sir – odpowiedział Lon. – Co teraz?

–Musimy zorganizować transport dla rannych i tym razem nie będzie łatwo. Nie wydaje mi się, żeby rebelianci zeszli nam z drogi. Pułkownik też się nie łudzi. Zostajemy

na miejscu, na nowo obsadzamy grzbiety i wysyłamy grupy wypadowe wielkości plutonu, żeby trzymały nieprzyjaciela na dystans.

–Zamierzają wylądować wahadłowcem w dolinie?

–Taki jest plan. Wiem. Będzie kaszanka. Nie ma czasu na uprzątnięcie ciał, że nie wspomnę o ich spaleniu. Ale tylko tak możemy uniknąć dodatkowych ofiar wśród naszych. Nie będziemy przecież dostawać mdłości na widok martwych nieprzyjaciół.

–To wiem – powiedział Lon, usiłując wymazać sprzed oczu obraz płóz wahadłowca przeorywującego się przez trupy. – A nas gdzie przydzielą, na grzbiet ery do patrolu?

–Ty i ja ruszamy razem z czwartym plutonem. Trzeci zostaje z Norbankijczykami. A teraz, spieszmy się.

Lon poszedł za porucznikiem w stronę czwartego plutonu, który miał właśnie kilkuminutową przerwę. Z ulgą przyjął to, że opuszczał rzeźnię, w jaką zmieniła się dolina, ulżyło mu, że nie musiał być świadkiem upokorzenia, jakiego doświadczą polegli

rebelianci, wolałby jednak mimo wszystko zostać z trzecim plutonem. Do niego należeli

wszyscy jego przyjaciele. Ale przecież ludzi z czwórki też widział nie po raz pierwszy.

Dzięki swojemu statusowi ucznia Taitersa.

Czekał na nich dowódca plutonu, sierżant Weil Jorgen. Porucznik włączył się na obwód dowódców drużyn, których mapniki były podłączone do jego ekranu i

wskazał na

nim miejsce, gdzie mieli się udać. Lon przykucnął przy poruczniku i zaglądał mu przez

ramię. Odprawa trwała niecałą minutę.

–Jakieś pytania? – spytał porucznik. Jorgen zaprzeczył ruchem głowy. Dowódcy drużyn również o nic nie zapytali.

–Nolan? – odezwał się Taiters na kanale prywatnym.

–Zrozumiałem, sir – odpowiedział Lon.

–Dobrze. Trzymaj się mnie.

Weil Jorgen ustawił pluton w szyku i wziął kurs na północny wschód. Dowódca plutonu zajął miejsce przy drugiej drużynie w kolumnie. Porucznik i Lon ruszyli z drużyną trzecią. Nim znaleźli się za nowo wyznaczonym przez batalion obwodem, kadet

zdażył zobaczyć, że od korpusu odłącza się jeszcze jeden pluton, tym razem w kierunku

północno-zachodnim.

„Rebelianci powinni być gdzieś między nami” – powiedział do siebie w myślach. „O ile nie odbili albo w jedną, albo w drugą stronę”. Usiłował nie myśleć o wielkości oddziału. Sama ta grupa mogła w dalszym ciągu liczyć sobie ośmuset żołnierzy – albo

więcej – a poza tym były jeszcze jakieś gdzieś indziej. Nie brał w zasadzie pod uwagę

możliwości, iż opozycjoniści zdecydują nagle, że dość już było przelewu krwi i złożą broń albo uciekną do domu. „Będą szukać zemsty” – dotarło do niego. „A może do tego

mają nad nami przewagę liczebną dziesięcio albo i piętnastokrotną”. Gdyby pluton wpadł

na taką grupę i nie zdołał zejść jej z drogi ani ściągnąć prędko pomocy...

Lon zmusił się, żeby już o tym nie myśleć, a zamiast tego skupić uwagę na obecnym

zadaniu. „Nie mogę sobie pozwalać na takie sny na jawie, nie teraz”. Poświęcił chwilę na

przeprowadzenie swojego małego rytuału: sprawdzenie karabinu i odczyty na wskaźniku

refleksyjnym hełmu, po czym potoczył wzrokiem wkoło, szukając pozostałych.

Trasa plutonu ciągnęła się przez coraz bardziej górzyste tereny na wschodzie i północnym wschodzie. Na krajobraz składało się wiele otwartej przestrzeni, skał i

dzikich traw oraz rzadkie skupiska drzew – w większości gatunków niskopiennych, które

przypominały karłowate cedry. Pluton nie podchodził do grani, trzymał się raczej doliny i

niższych pięter stoków, szukając osłony i wybierając najlepszy szlak. Lon z radością przy

witał strzępki chmur, które napływały z północnego zachodu, przesłaniając gwiazdy i

przyćmiewając światło.

Kiedy już oddalili się od batalionu, porucznik Taiters zmienił rozstawienie plutonu.

Jedna drużyna została z przodu, na szpicy. Dwie kolejne szły pięćdziesiąt jardów za nią

w dwóch równoległych kolumnach. Ostatnia drużyna przejęła funkcje ariergardy,

zamykając grupę pięćdziesiąt jardów za głównym korpusem. Lon wraz z porucznikiem

trzymali się prawej strony, szli z drużyną czwartą, która weszła na to miejsce. Po lewej

szedł sierżant Jorgen, a wraz z nim druga drużyna. Czoło zajęła trójka; jedyńska – ogon. W

szyku czwartej drużyny dowódca zajmował trzecie z kolei miejsce. Porucznik Taiters

szedł w odległości dwóch ludzi za nim, Lon trzymał się tuż za jego plecami. Poza tą dwójką odstępy między ludźmi wynosiły jakieś pięć jardów.

Zadanie plutonu było proste. Nie pozwalając wrogowi na nawiązanie kontaktu bojowego, mieli oddalić się o milę, maszerować wzdłuż pierwotnego wektora, następnie

zawrócić i przez pół mili kierować się na wschód, po czym cofnąć się na pozycje batalionu. Rozkaz brzmiał: szukać wroga, podłożyć miny i bomby, spróbować trzymać

nieprzyjaciela przynajmniej na milę od doliny, gdzie miały wylądować wahadłowce. W

razie kontaktu z wrogiem mieli w pierwszej kolejności zdać raport o umiejscowieniu i

rozmiarach nieprzyjacielskich sił. Następnie zaś – postarać się o wyjście z walki albo

odciągnięcie wroga na bok – z dala od SL. Trzecie miejsce na liście priorytetów zajmowało przetrwanie. Pod numerem pierwszym kryła się ochrona ofiar i wahadłowców.

Lon miał oczy naokoło głowy, ostrożnie stawiał stopy i obserwował bok formacji, którą miał po prawej; badał wzrokiem grzbiety wzgórz, szukając najmniejszego śladu

wroga, najdrobniejszego fałszywego ruchu wśród gałęzi czy w trawie. „Nie wypatruj normy, wypatruj wyjątków” – brzmiała generalna zasada. Wiał lekki wiatr, którego

kierunek zdawał się zmieniać w zależności od rzeźby terenu, zazwyczaj jednak napływał

z północnego zachodu. Był to ten sam podmuch, który przygnał chmury.

Pluton poruszał się w ciszy. Jedyne z rzadka ze strony Dirigentyjczyków dobiegał

Lona jakiś dźwięk – trzaśnięcie gałązki, szelest liści. Niewiele dało się wyłapać innych

odgłosów. Zwyczajne nocne życie natury zostało zakłócone wystrzałami karabinów i nie

wróciło już do normy. Od czasu do czasu wysoko nad głowami przelatywał ptak-drapieżnik na łowach albo tropiący potencjalne niebezpieczeństwo, jakie mogli stanowić

skradający się wśród nocy ludzie. Lon nie miał jeszcze okazji zobaczyć żadnych większych zwierząt-drapieżników czy ich ofiar. Nawet tak blisko głównych osiedli ludzkich nie zdołano jak do tej pory ani wyplenić, ani przepędzić gatunków miejscowej

fauny. Jeden z Norbankijczyków poinformował Lona, że obszar, na którym się znajdowali, był domeną podobnego do kota zwierzęcia, którego waga dochodziła do trzystu funtów. Było dość silne, żeby powalić człowieka, a nawet krowę. Lon słyszał już

jedno z nich wyjące gdzieś w oddali, pierwszej nocy na Norbanku, ale dopiero później

dowiedział się, co to było, wtedy gdy zapytał mężczyznę o ten odgłos – podobny do zawodzenia kojota.

Pluton przeszedł milę. Żadnego znaku wroga. Porucznik Taiters pozwolił swoim ludziom na pięć minut odpoczynku, podczas którego zakładali podsłuchy i miny lądowe.

Na kolejny odcinek patrolu również zmienił układ drużyn w kolumnie. Taiters, Jorgen i

Nolan zostali jednak na swoich miejscach, maszerując tym razem z boku innych drużyn.

–Jeśli mamy na coś wpaść, to najpewniej właśnie tutaj, na odcinku zewnętrznym –

Taiters ostrzegł swoich podoficerów. – A to oznacza zwiększenie czujności na szpicy i

wzdłuż prawej flanki.

„Jak można jeszcze cokolwiek zwiększyć, kiedy każdy i tak już pracuje na

najwyższych obrotach?” – zastanawiał się w myślach Lon. Jego słuch i wzrok były

wy tężone do granic możliwości, czuł tępy ból w skroniach i piekły go oczy.

Wlepianie

wzroku w zielonkawą, oglądaną przez noktowizor dal w ogóle nie było szczególnie

komfortowe, ale rzadko aż tak dawało się we znaki. Regulator detektora dźwięków na

jego helmie był nastawiony na maksimum, potęgując owe minimum dźwięków, jakie

dało się słyszeć w okolicy.

–Poruczniku?

–No?

–Moglibyśmy liczyć na wcześniejsze ostrzeżenie, gdybyśmy postawili jednego czy dwóch ludzi przy prawej flance albo nawet przy szpicy, czy za nią.

Taiters wahał się.

–Wystawiliby się tylko na cel i nie mieliby większych szans na pomoc z naszej strony, gdyby się na coś rzeczywiście natknęli.

–Ale tym sposobem można by ocalić życie reszcie plutonu – odparł Lon.

–Zgłaszasz się na ochotnika?

Kadet uznał, że jego wahanie nie było dość długie, żeby porucznik je wychwytał.

–Tak jest, sir. Zgłaszam się.

Arlan skinął głową.

–Poproszę Roya Bantora, żeby poszedł z tobą. Ten, to nawet jakby miał iść po

jajkach, to by żadnego nie stłukł. – Bantor był starszym szeregowcem, zastępcą dowódcy

drugiej drużyny czwartego plutonu. – Pamiętaj tylko, to ma być jego show. Ty nadal jesteś tylko kadetem. Nie możesz jeszcze pchać się na dowódcę.

–Pamiętam.

Lon posłuchał, jak porucznik wywołał Bantora i zapytał go, czy chce zgłosić się na ochotnika do misji. Taiters podkreślił przy tym, że to nie jest rozkaz. Bantor zgodził się

bez namysłu. Podszedł do czekających na niego Taitersa i Nolana.

Porucznik szczegółowo wyjaśnił, w czym rzecz. Roy skinął głową i odwrócił się do Lona.

–To twój pomysł?

–Pomysł mój – zgodził się Lon. – Patrol twój.

–Jasne, patrol parzysty. – Lon nie mógł dojrzeć twarzy Roya za przyciemnianą osłoną przeciwsłoneczną hełmu i nie był pewien, jak interpretować ton szeregowca.

Pamiętaj tylko jedno, kiedy już będziemy sami, nie możemy sobie pozwolić na żadne potknięcia.

Chłopak przytaknął ruchem głowy. Roy zrobił gest ręką i odłączyli się od plutonu.

Bantor maszerował w szybkim tempie, ale ostrożnie. Najpierw musieli oddalić się od kolumny marszowej – na sto jardów w kierunku północnym, potem mieli zawracać.

Jednak nawet wtedy Roy nie zwolnił kroku. Pomysł polegał na tym, żeby we dwójkę zrównali się z drużyną czołową, do czego, już po wykonaniu zwrotu, brakowało im ciągle stu jardów na zachód.

–Kiedy pluton skieruje się z powrotem na południe, znowu będziemy musieli

okrążyć ich szerokim łukiem – szepnął Roy na kanale prywatnym, kiedy zaczęli kierować

się na zachód. – Jeśli pomysł ma wypalić, nie możemy iść po prostu równoległe do reszty.

Będziemy musieli nadrobić nieco drogi i porozglądać się za wrogiem. Nie wyjdzie nam

na dobre, jak władujemy się w sidła i damy wpakować do worka bez szansy ostrzeżenia

innych.

–Racja – zgodził się Lon.

Nie chciał marnować ani powietrza, ani rozdrabniać uwagi. Trzymanie się tuż za

Royem i unikanie hałasu, kiedy spieszyli przez zalesiony teren, absorbowало wszystkie

siły, jakie mógł z siebie wykrzesać. Wyglądało na to, że bieg przez las nie stanowił dla

Bantora żadnego wysiłku, Nolan jednak musiał nieźle się napocić, żeby wychodziło mu

to jak należy.

Kiedy zbliżyli się do szpicy, która szła sto jardów na lewo od nich, Bantor w końcu

zwolnił. Nadal nie poruszali się tak powoli jak pluton, niemniej jednak Lon nie miał już

wrażenia, że bierze udział w wyścigu chodziarskim.

„Zaszczyliśmy aż tutaj, nie oddając ani jednego strzału” – pomyślał. „Nie zapominaj o

zasadkach. Zamiast leżć ślepo, szukaj miejsc, w których sam zostawiłbyś niespodziankę.

Zastanów się, co ty byś zrobił na miejscu nieprzyjaciela i przyjmij, że ten jest przynajmniej tak sprytny, jak się tobie wydaje, że sam jesteś”.

Roy zaczął odbijać lekko w prawo i dalej do przodu. Kiedy wyprzedził już szpicę,

zwolnił jeszcze bardziej, najwyraźniej z większą uwagą badając teraz grunt pod nogami.

Lon ledwo odważył się oddychać. Byli zupełnie sami między siłami nieprzyjaciela i własnym plutonem. Zbliżali się ponadto do szlaku, którym kompania szła wcześniej w

drodze na południe i byli wcale nie tak daleko od miejsc, gdzie sami podłożyli miny i podsłuchy.

–Uważaj na bomby – odezwał się Roy.

Kadet nawet nie odpowiedział. Nie było potrzeby.

Dwie minuty później Bantor zatrzymał się – ściślej mówiąc, znieruchomiał. Nolan poszedł za jego przykładem ułamek sekundy później i wbił wzrok w przestrzeń przed

sobą, usiłując dojrzeć to, co było przyczyną nagłego przystąpienia Bantora. Lon wpatrywał się przed siebie i na boki, szukając najmniejszego śladu – ale ani nie zobaczył,

ani nie usłyszał niczego, co wzbudziłoby niepokój.

Po niespełna minucie stania w zupełnym bezruchu Roy nieznacznie potrząsnął głową

i ruszył w drogę.

„Fałszywy alarm” – skonstatował w myślach Lon. A jednak przez kilka kolejnych

chwil obydwaj poruszali się z o wiele większą rozwagą, wolniej, przystając na każdym

kroku, żeby rozejrzeć się i nasłuchiwać. Dopiero kiedy wykonali w końcu zwrot i zaczęli

kierować się znowu na południe, Roy przyspieszył kroku. Na „wewnętrznej” trasie szpica

plutonu ponownie zrównała się z nimi.

„Jeśli cokolwiek ma się wydarzyć, powinno wydarzyć się już niedługo” – pomyślał

Lon. W ciągu kolejnych pięciu minut najprawdopodobniej zbliżą się do plutonu na odległość zbyt małą, żeby rebelianci odważyli się na jakąkolwiek akcję. Jeśli mieli zamiar zaatakować, to właśnie tutaj, poza zasięgiem ognia reszty Dirigentyjczyków.

Chłopak przystanął na moment, pozwalając Royowi oddalić się o kilka kroków i odwrócił się, spoglądając za siebie i na prawo. „Gdybym to ja prowadził rebeliantów

zobaczył nas tutaj, ustawiłbym się za naszymi plecami i celował w pozostałych” –

zastanowił się w myślach. „Liczyłbym na efekt zaskoczenia. Niech dwójka zwiadowców

zaprowadzi nas do całego plutonu”.

Rozważanie takiego scenariusza tylko bardziej go zdenerwowało. Lon podjął marsz,

zostawiając odstęp między sobą a Royem. Bantor zobaczył, że Nolan został w tyle i nic

nie powiedział. Tak długo, jak każdy z nich wiedział, gdzie dokładnie znajduje się drugi,

dodatkowa odległość między nimi pełniła funkcję zaworu bezpieczeństwa, zmniejszając

nieco szansę, że obydwu trafi pojedynczy ogień.

–Nolan – szept Bantora był prawie niesłyszalny nawet w słuchawkach. – Zostań tutaj.

Przypadnij do ziemi i znajdź sobie dobrą osłonę. Wypuszczę się trochę dalej w bok, potem wrócę prosto tutaj.

–Zobaczyłeś coś?

–Nie, nic. Tylko coś sprawdzę.

Lon zrobił jeszcze parę kroków, po czym przykucnął za pniem drzewa. Roy

odczekał, aż Lon zajmie miejsce i oddalił się na zachód, jeden uważny krok za drugim, z

kreślącym w powietrzu łuki karabinem w pogotowiu. Lon przepatrywał rozciągający się

przed swoim towarzyszem las, a jego wzrok również zakreślał łuki, coraz dalej i dalej.

Bantor zdążył odejść niecałe trzydzieści jardów, kiedy rozległ się odgłos pojedynczego strzału i mężczyzna padł na ziemię.

–Roy? – Lon odczekał pięć sekund. Kiedy Bantor nie dał żadnej odpowiedzi, Lon zaczął się zbliżać w jego kierunku. Prześlizgiwał się przez poszycie, meldując jednocześnie porucznikowi Taitersowi, że jego partner został trafiony. Nie musiał podawać swojej pozycji. Elektronika w ich hełmach pokazywała ją w postaci

światlnych
plamek na wskaźniku refleksyjnym porucznika.

–Na razie padł tylko jeden strzał – powiedział Lon, nie przypuszczając, że Taiters wraz z resztą plutonu mogli cokolwiek usłyszeć. Nie odeszli aż tak daleko. Leżał płasko

na brzuchu z głową podniesioną tylko tyle, żeby mieć rozeznanie w sytuacji.

–Nolan, nie ruszaj się stamtąd – odezwał się Taiters, kiedy Nolan zdążył już przeczołgać się o jakieś dziesięć stóp do przodu. – Bantor nie żyje. Właśnie przestałem

odbierać od niego jakiegokolwiek oznaki życia. Nie daj się złapać.

–Panie poruczniku, może to tylko elektronika siadła – upierał się Lon. Zatrzymał się zgodnie z rozkazem, ale...

–Pozostałe dane z hełmu są w porządku, tylko brak pulsu – powiedział Taiters. – Nie wystawiaj głowy. Masz tam jakąś osłonę?

–Nie, sir. Najbliższa jest dziesięć stóp za mną. Tyle zdążyłem się oddalić, zanim kazał mi się pan zatrzymać.

–Spróbuj ostrożnie się wycofać. Byłeś w stanie cokolwiek dojrzeć?

–Zupełnie nic. Nie widziałem nawet błysku. Nie wiem, czy stał tam jeden z nich, czy cała grupa.

–Spróbuj teraz poszukać dla siebie najlepszej osłony. Posyłam pierwszą drużynę w

pół drogi do twojej pozycji. Gdy tylko zajmie miejsce, chcę, żebyś się jakoś do nich dostał. Trzymaj się nisko i uważaj na siebie, ale wracaj mi tutaj.

–Tak jest, sir.

Nie było innej odpowiedzi. Czołganie się w tył było trudniejsze niż do przodu, ale na pewno bezpieczniejsze, niż usiłowanie wykonania obrotu. Lon odpychał się dłońmi i przedramionami, a następnie wyciągał ciało i cofał na palcach, a przy okazji miał wrażenie, że wszystko stawia mu opór. Nie widział nawet, gdzie się kierował, a dopiero

kiedy stopa zaklinowała mu się między korzeniami, uświadomił sobie, że dotarł już do

drzewa, które miało zapewnić mu osłonę.

–Ukryłem się, poruczniku – zameldował Lon. – Za grubym pniem drzewa.

–Odczekaj dwie minuty, a następnie zacznij przemieszczać się na wschód –

odpowiedział Taiters. – Jedyńka będzie na ciebie czekać, a w razie konieczności może

zapewnić ogień osłonowy.

„Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby” – przemknęło Lonowi przez głowę,

kiedy sprawdzał czas, żeby nie pomylić się ze startem. Nadal leżał na brzuchu, ale okręcił

się tak, że zwracał się teraz w stronę wschodu. Nie musiał zgadywać, gdzie to było.

Odczytał dane na kompasie, który wyświetlił wskaźnik refleksyjny jego hełmu.

Próbował

obrać jakąś trasę – od ukrycia do ukrycia, w miarę możliwości leżących jak najbliżej siebie. „Tak, żeby dystans był jak najmniejszy, a ja jak najmniej odsłonięty”.

–Nolan, możesz ruszać.

Lon rozpoznał głos starszego szeregowca Nance’a, dowódcy drużyny.

–Już idę, Wil – odszepnął Lon.

Odwrócenie się plecami do niewidocznego i nie wiadomo jak liczego wroga nie było proste. Lon za bardzo wystawiał się przez to na widok i był zbyt soczystym kąskiem. Nie chciał jednak tracić więcej czasu, niż to było absolutnie konieczne, żeby

wrócić między swoich. Truchtał zgarbiony tak szybko, jak tylko potrafił, nie narażając

się przy tym na zbytne niebezpieczeństwo i ignorując rosnący ból w kolanach oraz łokciach, kiedy zgięty w pałąk namacywał drogę przed sobą. „Wystarczyłoby mi niecałe

dziesięć sekund, gdybym teraz wstał i pobiegł sprintem” – pomyślał. „Żeby się przeczołgać, jak teraz – może ze trzy minuty”. Lon nie bał się jednak na tyle, żeby w napadzie paniki pozwolić sobie na coś tak głupiego.

Kiedy miał już za sobą połowę drogi, przystanął, żeby złapać oddech i rozejrzeć się na boki. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że tak długo wstrzymywał oddech; teraz

ciężko dysząc, nabierał powietrza w płuca. Nie dojrzał nikogo z pierwszej drużyny, ale w

końcu nie podniósł głowy – wyżej niż na kilka cali. Będą dokładnie tam, gdzie mieli być.

Lon nie wątpił w to ani przez chwilę. Jeszcze raz zaciągnął się głęboko powietrzem i ruszył dalej.

–Nolan, widzę cię – odezwał się dziesięć sekund później Nance. – Idź dalej, tylko spokojnie. Nie widać nikogo za tobą.

Pomimo upomnienia i pocieszenia Lon próbował przyspieszyć. Dostał zadyszki, ale dalej parł naprzód. W końcu dostrzegł skrawek kamuflażu bojowego hełmu KND, jakies

**kilka stóp przed sobą. „Daliśmy radę!” – ucieszył się w duchu, tłumiąc pokusę
rzucenia się**

**w stronę pierwszej drużyny. Niemal w tej samej chwili zza jego pleców zaczęły
padać**

strzały.

**Tym razem nie było mowy o bawieniu się w samotnego strzelca. Wśród poszarpanej
scenerii doliny odezwały się jednocześnie tuziny karabinów. Lon podniósł się i na
czworakach pognął przed siebie. W pewnym momencie z boku pochwyciły go jakies
ręce**

**i powaliły na ziemię. Przez kolejne dziesięć sekund leżał bez ruchu, łapiąc powietrze
w**

**bolące płuca, zanim był gotów stawić czoło kolejnemu niebezpieczeństwu. Pierwsza
drużyna zaczęła już odpowiadać ogniem.**

**Lon podniósł karabin, ale nim pochylił się nad celownikami i zaczął strzelać, przez
kilka sekund uważnie badał przestrzeń przed sobą. Ogień nieprzyjaciela szedł
całkiem**

**szerokim frontem – minimum na pięćdziesiąt jardów, z odległości nie większej niż
sto**

**pięćdziesiąt jardów. To mogło oznaczać trzydziestu czy sześćdziesięciu ludzi; w
pobliżu**

mogło znajdować się ich znacznie więcej.

–Idziemy do was – zakomunikował porucznik na kanale dowódców drużyn. –

**Wahadłowce właśnie podchodzą do lądowania. Musimy zająć czymś tych
sukinsynów na**

mniej więcej dziesięć minut.

**Lon miał początkowo problem z ustabilizowaniem karabinu, mimo iż złożył się do
strzału w czymś, co powinno być postawą leżącą z podpórką. Dłonie i ramiona
ciągle**

jeszcze dygotały mu od niedawnego czołgania się. Stopniowo jednak mięśnie zaczęły się

uspokajać i przesuwał się zwinnie od celu do celu – od jednego błysku ognia wylotowego

do następnego, puszczając w ich kierunku krótkie serie. Dzięki tej rutynie zdołał się uspokoić i zapomnieć o bólu.

Liczba nieprzyjacielskich karabinów zaangażowanych w wymianę ognia ciągle rosła.

Wzrost ten był raczej słyszalny niż widzialny, niemniej jednak – niezaprzeczalny.

Usłyszał, jak jeden z naboju trzasnął w pień drzewa nie więcej niż sześć cali nad jego głową i lekko w bok od niej. Kula odłupała kawałek kory, która posypała się Lonowi na

hełm. Otrząsnął się i strzelał dalej. Po tym, jak zobaczył wgnieciony i porysowany hełm

Deana, to teraz nie liczyło się nawet jako chybienie o włos.

Gdzieś w oddali, ponad odgłosami wystrzałów, Lon usłyszał dwa wahadłowce podchodzące do lądowania – jeden tuż przy drugim. „Załadujcie prędko rannych” – zaklinał w myślach. „Zabierzcie ich z dala od tego miejsca”.

Dziesięć minut zdawało się ciągnąć w nieskończoność, mimo iż rebelianci nie próbowali wcale zbliżyć się do drużyny czy przejść przez jej pozycje. „Mamy przed sobą

przynajmniej kompanię” – zgadywał w duchu Lon. „Może nawet coś większego”.

Większość żołnierzy nieprzyjaciela strzelała pojedynczym ogniem, ale nie wszyscy.

Karabiny wojskowe, które znaleziono przy nich wcześniej, można było przełączyć na

ogień automatyczny. Wyglądała jednak na to, że żaden z opozycjonistów nie opanował

sztuki strzelania krótkimi seriami. Za każdym pociągnięciem spustu puszczali

dziesięć do

dwunastu naboji – co dla każdego zawodowca równało się marnowaniu amunicji.

–Jakby mi ludzie szastali tak amunicją bez powodu, to bym im kazał płacić za naboje

z własnej kieszeni – Nance wymamrotał przez radio do porucznika Taitersa.

–Może mają powód, żeby nie szanować ładunku – odparł Taiters. – Lojaliści nauczyli

się go nie marnować. Bo nie mieli czego marnować.

–Sir, a ta broń, którą zajęliśmy, ta wojskowa, wiemy, skąd ją mieli? – spytał Lon.

–Broń wyprodukowano na Hanau, ale niekoniecznie tam ją dostali. Nolan, niech cię o to głowa nie boli. Nam to i tak nie robi żadnej różnicy.

Ogień nieprzyjaciela znowu przybrał na sile. Do walki włączyło się teraz przynajmniej dwa razy tyle karabinów.

–Wiedzą o wahadłowcach – wywnioskował Nance. – Zdaje się, że chcą podejść bliżej, żeby chapnąć coś dla siebie.

Ledwo skończył mówić, rebelianci zaczęli napierać na pojedynczy pluton

Dirigentyjczyków. Norbankijczycy wykazali się podstawową znajomością taktyki: ogień

–manewr, używając połowy swoich ludzi do osłaniania pozostałych, którzy podchodzili

bliżej o kilka kroków, po czym padali na ziemię, a druga grupa wychodziła w tym czasie

przed nich – ale ich przewaga liczebna była tak duża, że stosowanie tej taktyki nie miało

większego znaczenia.

Pluton najemników spowalniał natarcie wroga – i narażał je na duże koszty. Cztery

tuziny ludzi uzbrojonych w karabiny maszynowe, miotacze laserowe i granatniki, celujących w grupę dokonującą ataku frontального, zbierało krwawe żniwo. Za każdym

razem, kiedy Norbankijczycy podnosili się do natarcia, wstawało ich coraz mniej.

Rebelianci zaatakowali jednak w liczbie przewyższającej możliwości obronne plutonu i

mimo poważnych strat w ludziach nadal parli naprzód. Lon Nolan nie mógł być tego

pewien, ale zgadywał, że po wylądowaniu wahadłowców i po tym, jak rebelianci

wystawili do ataku najwyraźniej wszystkie swoje siły, pluton walczył przeciwko

sześciuset ludziom – co równało się trzem kompaniom KND. A to z kolei

dwunastokrotnej przewadze liczebnej wroga.

„Wszystkich nie damy rady powstrzymać. Niektórzy nas osiągną, chyba żeby z

własnej woli sobie odpuścili” – pomyślał Lon i nie potrafił znaleźć powodu, dla którego

powstańcy mieliby się w najbliższym czasie wycofać. Opróżnił jeden magazynek o

pojemności czterdziestu naboji, potem drugi. Czoło rebelianckiego ataku podeszło już na

odległość sześćdziesięciu jardów.

Dirigencyjczycy zaczęli ponosić straty. Lon tylko jednym uchem słuchał wymiany

zdań między podoficerami. Nie śledził danych – jak na razie siedmiu zabitych i dwunastu

rannych, więcej niż jedna trzecia plutonu. Nie było czasu na księgowość. Poza

strzelaniem i torturowaniem się jedną myślą: „Ile jeszcze te wahadłowce mają zamiar

siedzieć na ziemi?” – zostawało mu niewiele czasu na cokolwiek innego.

–Bagnet na broń! – padł rozkaz Taitersa.

Głośna komenda tak wystraszyła Lona, że chybił celu. Lewą ręką sięgnął do pasa po

bagnet, usiłując jednocześnie drugą ręką przygotować się do strzału i pociągnąć za cyngiel. Rebelianci podeszli już tak blisko, że nawet trudno było ich nie trafić.

Dirigencyjscy, którzy ciągle mogli zatknąć bagnety – dwuostrzowe i długie na osiem

cali – na karabiny, szykowali się na bezpośrednią walkę.

Lon usłyszał ryk startujących wahadłowców, które wznosząc się pionowo, szybko nabierały prędkości. Norbankijscy jednak nie od razu zaprzestali natarcia. Może nie

mieli już szansy, żeby zestrzelić lądowniki, ale ciągle przecież zostawała mała grupka

obcych, których można było najechać i roznieść w proch.

„Chyba zaraz dostaniemy za swoje” – przemknęło Lonowi przez głowę.

Skonstatował to bez emocji. Śmierć może i była teraz nieunikniona, ale dopóki nie upominała się o niego, miał jeszcze co nieco do zrobienia. Tuż obok niego głowę Wila

Nance'a odrzuciło do tyłu, zaraz potem trafiony kapral zwałił się na prawy bok. Lon rzucił mu tylko przelotne spojrzenie, nie mając pewności, czy dowódca drużyny nie żył,

czy tylko był ranny. Za chwilę to pewnie i tak będzie bez znaczenia.

Kolejny magazynek czterdziestonabojowy był pusty. Ledwo zdążył założyć nowy, pierwszy nabój z trzaskiem wpadł do komory. Nie strzelał jednak dalej z karabinu.

Zamiast tego wyciągnął pistolet. Rebelianci znajdowali się w odległości czterdziestu jardów, wystarczająco blisko dla tego typu broni. Lon wystrzelił czternaście naboii, które

znajdowały się w magazynku półautomatycznego pistoletu, na chłodno namierzając

każdy cel, po czym rzucił broń i znów złapał za karabin. Strzelanie ciągłym ogniem nie

dawało mu już teraz wielkiej przewagi. Przełączył więc ogień na pojedynczy. Wróg zdążył podejść tak blisko, że Lon mógłby równie dobrze rzucać nabojami i mieć pewność, że każdy trafi do celu. Twarze rebeliantów były teraz dobrze widoczne, większość wykrzywiona grymasem silnych emocji – gniewu, strachu, a także czegoś na

kształt wisielczego humoru. Lon podniósł się z pozycji leżącej i przyklęknął za wąskim

pniem drzewa. Więcej niż raz usłyszał, jak kula trafia z trzaskiem w drzewo, poczuł podmuch rozgrzanego powietrza, kiedy jedna z nich ze świstem przeleciała jakiś cal nad nim.

Nie zdołało to jednak go zdekoncentrować. Dał się porwać czemuś, co zdążył już podświadomie zaakceptować jako własny *Götterdämmerung*. Wszechświat zamknął się

jak bańka przestrzeni Q, obejmując jedynie najbliższe otoczenie Lona i ludzi, którzy prawdopodobnie mogli go zabić. Czas zaś zszedł z linearnej trasy ku przyszłości.

Zupełnie jak maszyna zaprogramowana, by zabijać i niepomna własnej śmiertelności, wykonywał swoje zadanie z wykalkulowaną precyzją. Zarejestrował palącą smugę światła, która przeszła jego lewe ramię, ale nie towarzyszący jej ból. Nie

zorientował się, że został trafiony, ani że krwawił. Jego uwaga osiągnęła zbyt wysoki

poziom, skupił się na wąskim wycinku rzeczywistości. Nie przerywał strzelania, ledwo

zauważając przy tym, że lewa ręka nie była dłużej w stanie utrzymać broni, że zwieszała

się u boku, bezużyteczna.

W czwartym plutonie zostało nie więcej niż dwudziestu zdolnych do prowadzenia ognia ludzi. Nieprzyjaciel – mniej liczny niż przedtem – z wolna napierał. Gdy podejda

bliżej, załatwienie reszty nie zajmie im dużo czasu.

Nagle do wszechświata Lona Nolana wtargnął nowy dźwięk – metaliczny, zgrzytający odgłos strzelających z wahadłowca gatlingów. Nie był pewien, czy sam rzucił się do ukrycia, czy to strzał zwałił go z nóg. Nie czuł bólu, ale nim dotknął ziemi,

przestał również odczuwać cokolwiek innego.

Śmierć miała szpitalny zapach, który przesycił wszystko wokół dławiącą antyseptyczną wonią. Odległe odgłosy pogrążały się we własnym echu, stawały się nieodróżnialne, nieważne, dryfujące gdzieś poza świadomością. Oczy nie widziały żadnych obrazów, niczego poza ciemną próżnią zamieszkaną jedynie przez falujące powidoki, a może tylko imaginacje rozbłyskujące amorficznymi kształtami o barwie głębokiego fioletu albo zieleni, przekształcające się z jednej fantasmagorycznej postaci w

drugą, droczące się z umysłem, który w bezkształtnych plamach usiłował doszukać się

znajomych form.

„To musi być piekło, a diabeł próbuje mnie chyba doprowadzić do szału” – pierwsza spójna myśl towarzysząca Lonowi podczas wypływania z głębin. Śmierć była oczekiwana i pewna. Istniała tylko jaźń bez nie-jaźni. Istniała tylko myśl bez towarzyszących jej obrazów, abstrakcje wykraczające poza wizualne reprezentacje

–
wszechświat pozbawiony materii, zawierający w sobie jedynie niewielki ładunek energii.

Przez eony subiektywnie odczuwanego czasu nie działo się nic poza tym, nie pojawiła się nawet percepcja upływających chwil ani zdziwienie nad brakiem

kwintesencji istnienia. Umysł Lona nie zwrócił większej uwagi na to, że – najwyraźniej –

przetrwał. Nie zastanawiał się ani nad przyszłością, ani nad przeszłością; w chwili obecnej nie istniało dla niego żadne z tych pojęć. Nie był świadom luk, które pojawiły się

w jego szczelnie opisanym zasobie doznań, nawracających okresów pustki, z

których

każdy następny był krótszy od swego poprzednika.

Powoli wyłaniał się jeden obraz. Lon był niemal świadom unoszenia się na powierzchni jakiejś cieczy, bezpieczny wewnątrz czegoś na kształt łona. Kiedy upłynął

kolejny odcinek nie-czasu, do jego wszechświata wdarło się światło – brutalne, jaskrawe

światło – i poczuł, że policzki owiewa mu chłodne powietrze. Odległe dźwięki, z których

istnienia w końcu zaczynał zdawać sobie sprawę, zostały wyłuskane spod jednej warstwy

otuliny. Potem poczuł, jak jego klatka piersiowa porusza się, nabierając powietrza do

płuc. Świadomość nie zalała go niczym powódź, przybrała raczej kształt wzbierającej na

sile strużki doznań zmysłowych.

Nastąpiła era wielkich odkryć, ciało Lona stopniowo stwierdzało swoją obecność, obejmując nią równocześnie jego świadomość. Tylko zewnętrzne wrażenia napływały z

wolna. Pamięć pojawiła się i znalazła swoje miejsce jako ostatni brakujący element.

Pamięć...

Odkrył, że jego umysł przeskoczył w przeszłość do kulminacyjnego punktu bitwy, do

ostatniego szturm norbankijskich rebeliantów. Byli tak blisko, że mógłby prawie na nich

splunąć. Do tego grzechotanie ognia gatlingów, ryk wahadłowców szturmowych nisko i

szybko przelatujących im nad głowami, wypluwających tysiące pocisków w parę sekund,

jakie zostały im do startu na orbitę i spotkania z Wężyskiem.

Wspomnienie nazwy statku zainicjowało w stale ekspandującym umyśle-

wszechświecie Lona dalsze skojarzenia. Otworzył oczy, intuicyjnie wiedząc, że znajduje

się na jego pokładzie, w sektorze medycznym, w sali szpitalnej.

„Żyję”. Doznał uczucia zdumienia, zaskoczenia i objawienia. To było niemożliwe,

ale i niezaprzeczone. Możliwości widzenia zamykały się w granicach tego, co

znajdowało się dokładnie przed jego oczami, czyli w górze. Nie mógł ruszyć głową – ani

zresztą niczym innym – a jego pole widzenia ograniczał prostokątny otwór znajdujący się

niedaleko twarzy. Plafony otoczone jasnoszarym pasem – kolor ścian i sufitów na

Wężysku.

Zamrugnął oczyma.

–Spokojnie, synu – zza głowy Lona dobiegł go jakiś głos. – Wylizesz się z tego. Daj

mi jeszcze kilka sekund, żebym mógł wypłukać z twojego organizmu ostatnie jednostki

naprawcze. Po prostu odpręż się i poczekaj.

Czekanie nie było dla Lona żadnym problemem... skoro tak czy inaczej nie miał

innego wyjścia. Mógł poruszać jedynie powiekami i gałkami ocznymi, które i tak nie

wydawały się skłonne do współpracy. Jego umysł zaczynał jednak funkcjonować

normalnie i miał dużo do przemyślenia. Najwidoczniej znajdował się w tubie

pourazowej, w gabinecie lekarskim na pokładzie statku. Przechodził ponadto przez

końcową fazę leczenia, co oznaczało, że przeleżał w tubie przynajmniej dwie godziny,

najpewniej cztery. Molekularne jednostki naprawcze skończyły usuwać skutki

wszelkich

urazów, jakich doznał podczas strzelaniny.

„Postrzelili mnie” – uświadomił sobie, a po chwili: „Więcej niż raz”. Przypomniał

sobie pierwsze trafienie, w ramię czy bark. Drugiego, po którym stracił przytomność, nie

pamiętał już wcale. Dobrą chwilę zajęło mu złożenie na powrót w całość wspomnień z

bitwy, bliskości wroga, ludzi padających wokół niego – i ryku wahadłowców szturmowych udzielających im spóźnionego wsparcia. Z początku Lon nie zauważył, kiedy podniesiono pokrywę tuby i odsunięto ją na bok. Obok niego stało dwóch mężczyzn i przyglądało mu się. Jeden nosił odznakę chirurga. Drugi był świeżym poborowym, sanitariuszem.

–Teraz możesz się podnieść – odezwał się doktor. – Zupełnie jak nowy. Nie doznałeś

żadnych poważnych obrażeń o charakterze neurologicznym.

Sanitariusz pomógł Lonowi usiąść, a następnie wstać, ale czuwał w pobliżu, na

wypadek gdyby pacjent stracił równowagę. Często po wyjściu z tuby rekonwalescent

doświadczał krótkotrwałej dezorientacji i nudności. Lon poczuł zawrót głowy, ale stanął

w szerokim rozkroku i oparł plecy o tubę, czekając, aż mdłości miną. Spojrzał w dół i

zobaczył, że nie ma na sobie nic poza szpitalną piżamą jednorazowego użytku.

–Doktorze, jak bardzo było ze mną źle? – spytał, powolutku obracając głowę w stronę chirurga. – Jak mało mi brakowało?

Doktor zamrugnął oczami – Lon miał wrażenie, że zrobił to z pełną premedytacją.

–Chcesz znać wszystkie szczegóły?

–Tyle, ile jestem w stanie zrozumieć.

–No dobrze. Znaleźliśmy trzy kule. Pierwsza weszła w ramię, tutaj. – Nakreślił palcem linię w poprzek ramienia Lona.

„Nawet nie wiedziałem” – przemknęło chłopakowi przez głowę.

–Ta rana była... stosunkowo błaha – ciągnął lekarz. – Pozostałe dwie należały do poważnych. Jedna z nich weszła tutaj... – Doktor postukał Lona w lewą część klatki piersiowej, tuż pod obojczykiem. – Zmiażdżyła obojczyk, potem odbiła w dół, przebijając

lewe płuco i wyszła pod czwartym żebrem, jakieś trzy centymetry w lewo od kręgosłupa.

Druga trafiła cię w bok, nieco poniżej żeber. – Znow dźgnął palcem Lona, tym razem w

lewy bok. – Raniła wątrobę, żołądek i jelito cienkie. Nie przeszła na wylot. Kula utknęła

w kości biodrowej po prawej stronie – w górnej części miednicy. Musieliśmy użyć

zglębniaka, żeby ją wyciągnąć. Między pierwszym a trzecim trafieniem zdążyłeś ponadto

stracić sporo krwi. Gdyby pomoc przyszła choć trochę później... – Pokręcił głową.

–A inni, którzy byli ze mną? Ilu przeżyło? – spytał Lon.

–Nie wiem – odpowiedział cicho doktor. – Leczyliśmy dziewięciu ludzi. Ale ilu

wyszło z tego cało, ilu udzielono pomocy na polu bitwy, ilu zginęło, tego nie wiem.

Przykro mi.

–Pokażę ci, gdzie są twoje ubrania – odezwał się sanitariusz, odsuwając się w końcu

od Lona. – Potem pójdziesz do stołówki i coś zjesz. A dopiero po obiedzie możesz zacząć

martwić się, jak dołączyć do swojej jednostki tam, na dole.

Lon skinął głową i pozwolił odprowadzić się sanitariuszowi.

–Czy słyszałeś coś o tym, co dzieje się na ziemi? – zapytał kadet, kiedy stali już przy

drzwiach sali.

–Same pogłoski. Na pewno wiem tylko to, że odkąd załadowali nam waszą grupę, nie dostaliśmy żadnych nowych ofiar. To chyba dobra wiadomość. – Weszli do
małej

szatni. Sanitariusz wskazał jedną z szafek. – Tam są twoje rzeczy. Poza butami i hełmem

większość jest nowa. Broń znajdziesz w magazynie. – Lon znów skinął głową i otworzył

szafkę. – Trafisz sam na stołówkę? – spytał sanitariusz.

Chłopak wahał się chwilę, zanim przytaknął ruchem głowy.

–Chyba pamiętam drogę. – Wzruszył ramionami. – Jeśli nie, potrafię posługiwać się lokalizatorami.

–Wystarczy. Powodzenia.

„Dzięki” – powiedział w duchu Lon, kiedy sanitariusz już sobie poszedł. Zajrzał do

szafki. Mundur polowy, bielizna i skarpetki były nowe, ale to nie zdziwiłoby go, nawet

gdyby jego stare ciuchy nie ucierpiały w walce. Łatwiej było recyklingować mundur, niż

go wyczyścić. Buty jakoś doszorowano.

Lon zdjął szpitalną piżamę i rzucił ją na ziemię. Metodycznie zabrał się do ubierania,

najpierw wkładając na siebie wszystko, co mógł ubrać na stojąco, następnie zaś siadając,

żeby nałożyć skarpety i buty. Kiedy skończył, podniósł piżamę i wrzucił ją do

przeznaczonego do tego celu zsypu. Ostatnią rzeczą, jaką wyciągnął z szafki, był hełm.

Opuszczając szatnię, zatknął go pod lewą pachę.

W korytarzu rozglądał się na boki, chcąc mieć pewność, że dokładnie wie, gdzie się znajduje i jak trafić do stołówki kompanii A. Przysiadł swego czasu nad planami

Wężyska, próbując zapamiętać wszystko, co mogłoby mu się przydać w przyszłości.

Start z gabinetu lekarskiego był jego debiutem, ale owa nowość nie stanowiła problemu,

z którym nie mógłby sobie poradzić. W najgorszym razie będzie musiał po prostu zajrzeć

przez właz do najbliższej zahermetyzowanej sekcji, żeby zorientować się w swojej pozycji – w jakiej jest sekcji, na jakim poziomie i w którym korytarzu. Po paru sekundach

skręcił jednak w lewo i ruszył przed siebie długimi krokami wzdłuż solidnej poręczy, wiedząc, że od stołówki dzieli go jeszcze ponad ćwierć mili.

Stołówki nie obsługiwali żołnierze, tylko członkowie załogi Wężyska. Sam statek wraz z personelem stanowił część KND, ale była to sekcja pomocnicza, podobnie jak

skrzydło myśliwców i elementy kontyngentu obrony planetarnej, nie należące do piechoty. Podlegali bezpośredniej jurysdykcji Rady Pułków.

W stołówce krzątał się tylko jeden kucharz, ale i tak wylewnie przywitał Lona. –

Klapnij sobie gdzieś obok – powiedział. – Powiedz, czego sobie życzysz, to ci zaraz przyniosę. Nie jesteś pierwszym gościem podczas tej wachty. Przed tobą miałem z pół

tuzina innych – coś koło tego – w każdym razie dość, żebym nie przysnął do końca zmiany.

Wyglądało na to, że kucharz desperacko potrzebował towarzystwa. Trajkotał prawie

bez przerwy – kiedy szykował posiłek, kiedy Lon jadł i jeszcze potem, kiedy po posiłku

odpoczywał parę minut przed ruszeniem na poszukiwanie kogokolwiek, kto zajmował się

na statku sprawami batalionu, aby powiedział mu, co ma robić dalej. Lonowi było na rękę, że to kucharz kierował rozmową; sam dorzucał od siebie słowo czy dwa, gdy już

naprawdę nie miał innego wyjścia.

Kwatermistrzem batalionu był starszawy kapitan, który na stanowisku zastępcy

oficera administracyjnego odbywał ostatni rok służby przed przejściem na emeryturę. Nie

przedstawiał sobą niezdolnego do walki słabeusza. W KND synekury były

niespotykanym zjawiskiem. Niemniej jednak, po trzydziestu latach w mundurze,

kapitanowi Bowmanowi należała się ciepła i spokojna posadka.

–Z waszej gromadki tylko jeden człowiek leży jeszcze w szpitalu – powiedział

Bowman, kiedy Lon zameldował się u niego. – A i tego już pewnie zdążyli do tej pory

wyciągnąć z tuby. Tymczasem radzę ci udać się do swojej kabiny i dobrze spożytkować

chwilowe wakacje. Generalnie trzymamy się zasady, że przez osiem godzin po wyjściu z

tuby nie odsyłamy rekonwalescentów na pełnowymiarową służbę, a tym razem może to

potrwać nawet dłużej. Wszystko zależy od tego, jak rozwija się akcja, i czy znajdują się też

inne, poza wami, powody do wypuszczenia wahadłowców.

–Czy mógłby mi pan powiedzieć coś o innych ludziach z mojego plutonu? – spytał

Lon. – Jak ciężko oberwaliśmy?

–Byłeś z czwartym plutonem Alfy?

Kadet skinął głową. Kapitan Bowman odchylił się na krześle.

–Kłamał nie będę. Pluton zebrał ostre cięgi. Ostatnie dane, jakie otrzymałem, to dziewiętnastu zabitych i jeden zaginiony, poza tym oczywiście ranni.

–Kto zginął?

Bowman musiał sprawdzić na complinku.

–Starszy szeregowiec Bantor.

Lon zaprzeczył ruchem głowy.

–Zginął jeszcze przed walką; zabił go snajper. To właśnie naraziło na niebezpieczeństwo resztę plutonu. Razem z Bantorem patrolowaliśmy teren z dala od

reszty. Roy wysunął się parę kroków przede mnie i zastrzelili go. Pluton właśnie szedł mi

na ratunek, kiedy znaleźliśmy się pod ostrzałem. A co z porucznikiem Taitersem, dowódcą plutonu Jorgenem i kapralem Nance'em?

Kapitan jeszcze raz odwołał się do danych complinka.

–To właśnie Nance leży jeszcze w szpitalu. Taitersa wypuścili godzinę temu. Jorgen nie był ranny. Jeszcze o kimś chciałbyś się dowiedzieć?

Lon zamknął na chwilę oczy, po czym otworzył je i powiedział.

–Czy mógłby pan odczytać mi nazwiska poległych?

„Gdybym tylko nie wyskoczył z pomysłem wysyłania ludzi na zwiady” – dręczył się w myślach Lon. Wrócił do swojej kabiny i leżał na pryczy, czekając na rozkazy. W

pierwszej kolejności usiłował znaleźć porucznika Taitersa, ale dowódca plutonu przebywał gdzieś na statku. „Gdybyśmy się tak nie podniecili naszym zadaniem. Gdyby

Roy nie oddalił się o te kilka jardów”. Gdybania. Owych „gdyby” było dużo, a w rezultacie dwudziestu ludzi straciło życie.

„Równie dobrze mógłbym ich sam powystrzelać” – myślał Lon. „Miałem tylko trzymać gębę na kłódkę i wypełniać rozkazy. Nie musiałem podsuwać żadnych pomysłów. Nikt by o mnie złego słowa nie powiedział”.

Na jakiś czas udało mu się wyłączyć świadomość. Wgapił się w spód pryczy nad swoją głową. Z rzadka tylko mrugał powiekami. Ranni z czwartego plutonu byli w sali

obok, ale nie mógł zmusić się, żeby ich odwiedzić. To przez niego cierpieli. Ich przyjaciele zginęli – czterdzieści procent składu plutonu. Może wcale nie chcieli go oglądać. Albo, co gorsza, mogli zacząć zachowywać się tak, jakby to nie była wina Lona.

W końcu zmorzył go sen. Był prawie tak samo pusty, jak godziny spędzone w tubie pourazowej – aż do ostatnich minut, nim na dobre się rozbudził. A obudził się, kiedy jego

prycha przechyliła się na bok pod ciężarem czyjś ciało.

–Jak się masz, Nolan? – spytał porucznik Taiters.

–Bywało lepiej – odpowiedział Lon, kiedy już otworzył oczy. – Zginęło przeze mnie wielu ludzi, co?

–Nie przez ciebie. W tej chwili odpuść sobie te bzdury. Mieliśmy za zadanie znaleźć tych rebeliantów i zająć ich czymś, dopóki wahadłowce nie zabiorą naszych ofiar. To właśnie mieliśmy robić.

–Ale nie tak. Gdybym nie wyskoczył ze swoim fantastycznym pomysłem, być może nikt z nas nie wdepnąłby w to gówno i nikt by nie zginął.

–Przestań pieprzyć. Nie lituj się nad sobą ani nad nikim innym. Miałeś dobry pomysł. A my wypełniliśmy nasze rozkazy. Ranni zostali odesłani. Nie straciliśmy żadnego wahadłowca. A poza tym, jeśli już mamy doszukiwać się czyjejs winy, to raczej

padnie na mnie, a nie na ciebie. Ty tylko podsunąłeś myśl. Ja wprowadziłem ją w życie.

To nie ty tu dowodzisz. Ja dowodzę. I to była moja, a nie twoja decyzja.

„Tak jest, sir” Lona nie miało żadnego przełożenia na zmazanie poczucia winy, które

wciąż go gryzło.

–Jeśli chcesz zostać oficerem korpusu, musisz nauczyć się radzić sobie z takimi rzeczami – ciągnął Taiters. – Na wojnie tylko jedna rzecz pozostaje niezmienna... Ludzie

giną. Nie ma znaczenia, czy są dobrzy, źli, czy obojętni. Kuli nie obchodzi to, czy jej ofiara jest grzecznym synkiem mamusi, czy może znęca się nad pieskami. Staramy się

utrzymywać straty w ludziach na minimalnym poziomie, ale nie da się ich uniknąć. Tak

długo, jak ludzie zostają wystawieni na niebezpieczeństwo, jakie niesie z sobą walka,

część z nich po prostu nie wraca z pola bitwy. Jeśli będziesz sobie tym zawracał głowę,

staniesz się bezużyteczny tak dla korpusu, jak i dla siebie samego. Nolan, masz wszystko,

czego potrzeba, talent, umiejętności, rzeczy, których możesz się nauczyć i takie, które

trzeba odkrywać na własną rękę, z tym wszystkim wchodzisz do gry. Jesteś cholernie

dobrym żołnierzem i powinieneś zostać cholernie dobrym oficerem. Musisz jednak popracować jeszcze trochę nad własną postawą. To jedyny słaby punkt, jaki u ciebie

znalazłem. A osobą, od której możesz się czegoś w tym temacie nauczyć, jesteś tylko ty

sam.

Kiedy Lon wtrącił tym razem swoje: „Tak jest, sir”, słychać było, że wziął do siebie to, co powiedział mu porucznik.

–Korpus nie potrzebuje marnotrawnych oficerów, którzy będą lekką ręką rozporządzać cudzym życiem i sprzętem. Ale korpusowi nie przydadzą się też – nie stać

go na to – oficerowie, którzy pozwolą, żeby analiza strat, liczona czy to w ludziach, czy w

pieniądzach, skrępowała ich tak doszczętnie, aby nie potrafili wydać ani jednego rozkazu.

–Popracuję nad tym – obiecał Lon.

Taiters przyjrzał mu się, po czym skinął głową.

–To najtrudniejsza część pracy – powiedział łagodniejszym tonem. – Poznajesz swoich ludzi. Rzucasz rozkaz i niektórzy już nie wracają. Boli. Ale jeśli nie potrafisz żyć

dalej z tym bólem, nie umiesz też sprostać swoim zadaniom. Podejrzewam, że jest to

jedna z przyczyn, dla których niektórzy wolą zatrzymać się na szczeblu szeregowca.

Wtedy nie muszą robić nic ponad wykonywanie rozkazów i ryzykowanie własnego życia.

Nie muszą rozkazywać innym, żeby narażali na ryzyko swoje życie.

–Zastanawiałem się nad tym – powiedział Lon. Wyprostował się i uniósł lekko brodę.

–Jak tam na polu walki? Czy słyszał pan cokolwiek?

–Żadnych świeżych wiadomości. Chodźmy do CIT i zobaczmy, co nam tam powiedzą.

Centrum Informacji Taktycznej Wężyska znajdowało się bardziej w stronę dziobu od

sekcji koszarowej, na tyłach sektora dowództwa. Personel CIT rekrutował się zarówno z

załogi statku, jak i specjalistów ze sztabu Rady Pułków. W centralnej części okazałych

rozmiarów pomieszczenia stał stół z wbudowanym w blat ekranem o średnicy dziewięciu

stóp. Był czymś więcej niż tylko większą wersją mapnika, który nosili przy sobie

oficerowie i podoficerowie KND, choć to właśnie on stanowił jednostkę nadrzędną, do

której mapniki były podłączone i skąd czerpały aktualizacje. Na płaszczyźnie stołu

można było również wyświetlać dwuwymiarowe mapy i wykresy; płaska powierzchnia

mogła ponadto służyć jako projektor obrazów holograficznych dostarczających

rzeczywistych danych topograficznych. Wreszcie po trzecie – istniała możliwość

wyświetlania nad blatem trójwymiarowych obrazów czy map nieba przedstawiających

dowolną istniejącą w bazie danych KND planetę czy sektor galaktyki.

Wokół krawędzi blatu stał tuzin stanowisk complinkowych wraz z monitorami, a

także przymocowane na stałe krzesła, które umożliwiały personelowi CIT pracę nawet

podczas krótkich okresów, kiedy Wężysko wyłączało sztuczne ciśnienie. Kiedy Arlan i

Lon weszli do pomieszczenia, zajęte były tylko cztery stanowiska. Wzdłuż obwodu sali

przy complinkach siedziało jeszcze kilku członków załogi, utrzymujących łączność telefoniczną między statkiem i żołnierzami na ziemi. Komputery zarządzające wszystkimi dostępnymi danymi nie stały w tej sali. Znajdowały się gdzieś indziej, pod

opieką techników i własnych skomplikowanych jednostek naprawczych.

Taiters i Nolan czekali w progu na jakiś odzew z wewnątrz, pozwolenie na wejście czy polecenie oddalenia się. Po niecałej minucie podszedł do nich porucznik z załogi

statku.

–Co mogę da pana zrobić, poruczniku? – spytał Taitersa.

Taiters przedstawił siebie i swojego towarzysza.

–Właśnie wyszliśmy ze szpitala. Czy jest szansa, żeby ktoś nam powiedział, co działo się tam na dole, kiedy my byliśmy na aucie?

–Jestem Karl Osway, oficer dyżurny tej zmiany – odparł porucznik marynarki. –

Wejdźcie. To z pańskiego plutonu zrobili zeszłej nocy pasztet?

Lon aż się skrzywił na takie porównanie, ale Arlan nie dał po sobie poznać, że po to obeszło.

–Tak – odpowiedział Taiters. – Z mojego.

–Przykro mi z powodu ludzi, których pan stracił. Parszywy pech. Podejdźcie do stołu

i sami zobaczcie. – Osway wskazał ręką i puścił gości przodem. Obecny obraz pokazywał

topografię z Norbank City leżącego nieco poniżej środka mapy. Widoczny wycinek miał

jakieś dwadzieścia pięć mil średnicy.

–Od waszego wczorajszego spotkania jest dość spokojnie – poinformował ich

Osway. – Wasz batalion dał rebeliantom niezły wycisk. Wygląda na to, że wycofali się w

celu przegrupowania, poza tym przerwali oblężenie stolicy. Udało nam się dostarczyć

pozostałą część broni i amunicji dla sił rządowych oraz uzupełnić zapasy batalionu, a

miejscowi zaczęli sprowadzać żywność i ludzi z odciętych dotąd, bardziej odległych obszarów.

–A rebelianci wycofali się na swoje terytorium? – spytał Lon.

–Co do tego nie mamy pewności, kadecie, ale nie wygląda na to. Raczej się przegrupowują, a może i czekają na posiłki. Oddalili się do tego miejsca, na północny

wschód, w jakieś dzikie rejony, ale nie widzieliśmy, żeby posunęli się dalej naprzód.
–

Wskazał obszar przy krawędzi stołu, dziesięć mil od Norbank City i sześć mil od miejsca,

gdzie skupisko zielonych punkcików pokazywało pozycje większej części drugiego batalionu.

–Jakieś świeże szacunki odnośnie liczebności nieprzyjaciela? – spytał Taiters.

Osway pokręcił głową.

–Nic pewnego. Ta główna grupa tutaj – połączone oddziały, które oblegały stolicę, niedobitki ze starcia z batalionem i część posiłków, których nadejścia się spodziewaliśmy

–może oscylować między dziewięcioma a szesnastoma setkami. Wybrali dobry teren.

Nierówny, solidnie zalesiony, prawdopodobnie pod tymi wzniesieniami ciągną się jaskinie. Szczerze mówiąc, mogą tam trzymać nawet parę pułków. Poza tym, wydaje się

nam, że z rebelianckiej strefy nadciąga jeszcze więcej oddziałów, ale nie mamy pewności

co do wiarygodnych danych liczbowych. Przemieszczają się małymi grupkami i

cholernie uważają, żeby uniknąć wykrycia. Jakby mnie kto pytał o zdanie, myślę, że mają

za sobą profesjonalny trening partyzancki.

–Cóż, wiemy, że skądś udało im się zdobyć broń wojskową – powiedział Taiters. –

Nie zdziwiłbym się, gdyby oprócz niej kupili też szkoleniowców, nawet jeśli nie mogli sobie pozwolić na całkowite oddanie sprawy w ręce najemników.

–Może być – przyznał Osway. Rozejrzał się wokoło, po czym powiedział cicho. –

Słuchajcie, może to nie moja działka, ale jest coś, co mogłoby was zainteresować. –

Podszedł do jednej z konsol przy stole i wprowadził hasło. – Zobaczcie – zachęcił, kiedy

na monitorze pokazało się to, co chciał im pokazać. Arlan i Lon przysunęli się, żeby lepiej widzieć obraz na ekranie, fragment jednego z logowań pułkownika Flowersa.

„Żołnierze czwartego plutonu kompanii A tego batalionu, pod dowództwem

porucznika Arlana Taitersa wykazali się szczególną odwagą i talentem w zetknięciu z

przeważającymi siłami wroga, utrzymując swoje pozycje przeciw przynajmniej dwóm

kompaniom rebelianckich wojsk, dzięki czemu nasze wahadłowce zdążyły ewakuować

rannych żołnierzy. Chciałbym zwrócić szczególną uwagę na heroizm, odwagę,

poświęcenie i profesjonalizm żołnierzy pierwszej drużyny tego plutonu oraz kadeta Lona

Nolana, który towarzyszył im podczas tej akcji. Drużyna ta, która jako pierwsza nawiązała kontakt bojowy z całą grupą wroga, narażając się na straszne koszty, wytrwała

do czasu, kiedy zdołała do niej dołączyć reszta plutonu. Gdyby nie trud i ofiarność tych

żołnierzy, straty poniesione przez drugi batalion byłyby nieporównanie większe”.

–Wspomniał o nas w depeszy – wyszeptał Taiters. Następnie odwrócił się do

Oswaya. – Dzięki, panie poruczniku – powiedział. – Naprawdę doceniam to, co pan zrobił.

–O rany, dzięki, panie poruczniku – powtórzył jak echo Nolan. Kręcił głową, zdziwiony pochwałą.

Osway uśmiechnął się.

–Nie wygadajcie się tylko przed nikim, że puściłem parę z ust, zanim dostaliście kopie depeszy, Jak już powiedziałem, to nie należy do moich obowiązków, ale – do diabła – myślę, że bohaterowie zasługują od czasu do czasu na specjalne traktowanie.

–Wie pan może, kiedy wracamy na powierzchnię? – spytał Taiters. – Ja i moi ludzie?

–Na rozkładzie na razie nie figurujecie – odpowiedział Osway. – Może dziś wieczorem, najpewniej, a może nawet jutro. To chyba zależy od rozwoju sytuacji.

–A ty myślałeś, że dałeś ciała, co? – rzucił Taiters, kiedy wracali z Lonem do sekcji wojskowej Wężyska. – Mówiłem ci przecież, że dobrze się spisałeś. Nawet pułkownik

jest tego samego zdania, dość, żeby wspomnieć o tobie w depeszy. Jak wrócisz na

**Ziemię, odznaczają cię za to i na twoim mundurze galowym zawiśnię wielki medal. –
KND**

**zazwyczaj nie dawał nikomu medali za odwagę, a tylko małe wstążki za każdy
kontrakt,**

w którym żołnierz brał udział.

**–I tak muszę się jeszcze trochę do tego wszystkiego poprzyzwyczajając – powiedział
Lon.**

**–Nie przyzwyczajaj się nigdy na tyle, żeby przestało cię obchodzić, że twoi ludzie
giną. Może przyjdzie ci za każdym razem walczyć z emocjami, ale najważniejsze,
żebyś**

**je kontrolował. Ja też straciłem tych żołnierzy. Większość z nich znałem, odkąd
wstąpiłem do korpusu. Ale ból trzeba rozdrobnić, nie pozwolić mu, żeby przesłonił
całą**

**resztę. Zachowaj go sobie do czasu, aż wrócimy na Dirigent. Wtedy przyjdzie czas,
żeby**

się z nim rozprawić.

„O ile w ogóle wrócimy” – przemknęło Lonowi przez głowę, ale uczył się szybko.

Nie pozwoli, żeby nawet porucznik Taiters zobaczył jego strach.

Wszyscy ranni z czwartego plutonu jak jeden mąż niecierpliwili się, żeby zejść na ziemię i dołączyć do jednostki. Nie rozmawiali z sobą o bólu ani o strachu. Tuby pourazowe i nanotechniczne roboty medyczne nie pozostawiły na ciałach żadnych blizn.

Blizny na duszy skrywano poza zasięgiem oczu. W razie konieczności także dla takich

ofiar przewidywano leczenie – doradztwo i terapię, która obejmowała zarówno leki, jak i

sesje w przestrzeni wirtualnej, mające pomóc poszkodowanym w wyrażaniu doznań.

Rozmawiali o swoich towarzyszach, o tych, którzy nie mieli dość szczęścia, ale ból po ich stracie również został wytłumiony i nie dzielono się nim. Jeszcze nie teraz.

Na razie porucznik Taiters został z grupą. Przeprowadził nieformalną inspekcję – praktyczną; sprawdził funkcjonalność hełmów i broni, a także – korzystając z okazji –

przyjrzał się, czy ktoś nie wymaga przypadkiem natychmiastowej interwencji

psychologicznej. Wyczyszczono karabiny. Elektronikę hełmów sprawdzono dwa razy.

Zajęcie żołnierzy jakąś pracą było najlepszą metodą terapii.

–Prześpijcie się parę godzin – Taiters powiedział swoim ludziom, kiedy już wszystko sprawdzono i wymieniono ostatni podejrzanie wyglądający moduł. – Potem zjedzcie

porządny posiłek. Nie wiem, ile czasu przyjdzie nam tutaj jeszcze spędzić. Jeśli do

waszego powrotu ze stołówki nadal nie będziemy mieli żadnych wiadomości,

rozpakujecie się znowu.

Kiedy porucznik wyszedł, żołnierze plutonu czwartego udali się w kierunku swoich

koi. Czuli czy też nie czuli potrzeby snu – zmusili się do odpoczynku. Podczas

kontraktu

snu i posiłków nie odmawiano sobie przy żadnej okazji. Lon stanął i rozejrzał się wokoło.

Jego koja znajdowała się w kabinie obok, razem z plutonem trzecim. Zwlekał jednak z

wyjściem, nie mając pewności, czy jest gotowy na samotność. Lepiej czuł się, mając obok siebie innych ludzi, z którymi łączyła go wspólna walka i wspólne leczenie.

Kapral Nance podniósł się ze swojej koi i podszedł do Lona.

–Nieźle się spisałeś, Nolan – powiedział. – Na całej linii. Słyszałem, jak odpierałeś rebeliantów już po tym, kiedy dostałem. Kto wie, czy nie powstrzymałeś ich od powyrzynania reszty naszych.

–Zrobiłem to, co do mnie należało, Wil – odparł Lon.

–Nie bądź taki skromny. Z tobą u boku w każdej chwili bez wahania ruszyłbym na bitwę w każdych warunkach. I gwarantuję ci, że ludzie z pozostałych drużyn są podobnego zdania. – Odwrócił się, żeby spojrzeć na siedzących w kabinie towarzyszy. –

To, co z nich zostało – dodał tak cicho, że Lon ledwie go usłyszał.

–Nie z wszystkimi jest aż tak źle, prawda? – spytał Lon.

Nance zaprzeczył ruchem głowy.

–Dzięki Bogu dopadło tylko garstkę. Odpocznij sobie lepiej, póki masz okazję.

Lon zdjął buty i wyciągnął się na posłaniu. Sen nie przychodził. Ale nawet z otwartymi oczyma i wzrokiem wbitym w sprężyny piętrowego łóżka nad sobą nie zdołał

odpędzić wspomnień. Widział już wcześniej brutalną śmierć. Pierwszy raz, mając nie więcej niż dziesięć lat.

Nolanowie żyli w Północnej Karolinie, w promieniu dwudziestu mil od byłego rezerwatu Czirokezów w Smoky Mountains. Ojciec Lona, George, wykładał w college'u.

Jego studenci uczyli się w Durham – ci z nich, którzy nie odbywali zajęć za pomocą łącza

complinkowego, w związku z czym profesor Nolan musiał trzy razy w semestrze kursować na campus uniwersytecki. Stypendium, które otrzymywał, było źródłem dodatkowych dochodów, jakich nie zapewniało mu UP – utrzymanie podstawowe.

Rodzina nie należała mimo to do bogatych. Ich dom stał jakąś milę od placu miejskiego –

skupiska ruder zajmowanych niemal wyłącznie przez rodziny utrzymujące się z UP. Plac

w Asheville nie był ani największy, ani najbardziej obskurny, ale ciekawskiego

dziesięciolatka przyciągał nieodparcie jak magnes. Jego pierwszy wypad na plac miał

miejsce dwa lata wcześniej. Miejsce wydawało się chłopakowi uniwersum zupełnie odmiennym od tego, które znał. Dzieciaki, które tam spotkał, równie dobrze mogły przynależeć do odrębnego gatunku, tak były inne od kolegów poznanych w szkole i podczas starannie dobieranych spotkań aranżowanych przez jego rodziców.

Tak inne i tak podniecające. Ale dopiero kiedy Lon skończył dziesięć lat, nadarzyło

się wiele okazji do zbadania owego alternatywnego świata. Jak na swój wiek, był dużym

chłopakiem i dobrze przyswoił sobie zasady samoobrony – co stanowiło istotny element

szkolnego programu nauczania, w ogóle podstawowy pretekst, żeby uczniowie pojawiali

się w klasie osobiście, zamiast pośrednictwa complinkowych łącz.

Po kilku tygodniach i szeregu pojedynków został przyjęty do jednego z gangów chłopaków z placu. Pozycję w hierarchii wyznaczała wyłącznie przewaga fizyczna i siła,

tak jakby nie byli ludźmi, tylko jakąś wymarłą rasą drapieżców.

Tamtego kwietniowego popołudnia – w szkole mieli akurat wolne – biegał po okolicy ze swoją bandą. Odgłos strzału wywabił ich z bocznej uliczki, pognali w dół alejki.

Ósemka chłopaków stała się świadkiem kulminacyjnego punktu morderstwa. Ofiara klęczała, spływając krwią. Napastnik stał trzy stopy dalej z rewolwerem w dłoni. W oczach Lona broń nabrała monstrualnych rozmiarów, a huk drugiego wystrzału zabrzmiał

w jego uszach jak uderzający nieopodal piorun. Z czoła ofiary trysnęła fontanna krwi.

Mężczyzna zwałił się na plecy. Kiedy już padł na ziemię, zmarł w bezruchu. Napastnik

przeszukał jego portfel i kieszenie, zabierając te parę groszy, które miała przy sobie ofiara. Potem uciekł, rzucając chłopakom jedynie przelotne spojrzenie, najwyraźniej nie

brał pod uwagę możliwości, że mogliby go później rozpoznać. Zawyla syrena.

–Znikamy – rzucił przywódca bandy. Ale podobnie jak pozostali, musiał najpierw podejść bliżej, żeby zobaczyć, jak wygląda śmierć. Chłopcy utworzyli krąg wokół zwłok

mężczyzny. Wtedy kolejna aria policyjnej syreny wytrąciła ich ze wspólnego transu. – W

nogi! – krzyknął herszt i pobiegli, a do przybycia policji nie było po nich ani śladu.

Leżąc teraz z otwartymi oczyma, Lon ciągle niemal widział tamto ciało, czuł zapach prochu i innych woni okolicy oraz brutalnie zamordowanego człowieka. Przypomniawsobnie nie tyle strach, co dreszcz, który wtedy poczuł, tamto podniecenie. Zamknął

oczy.

Od wspomnień serce zaczęło mu szybciej bić. Oddech stał się płytszy i cięższy, jakby

znów uciekał przed śmiercią.

–To było dawno temu i wiele lat świetlnych stąd – szepnął do siebie Lon.

Usiadł, próbując odpędzić upiory z dzieciństwa. Z siedmiu chłopaków, z którymi uciekał tamtego dnia, dwóch zginęło w okropnych okolicznościach przed swoimi szesnastymi urodzinami, a dwóch po prostu zapadło się pod ziemię – uciekli albo ktoś ich

porwał. Na placach nigdy nie porywało się dla okupu. Nikt nie miał tam dość pieniędzy,

żeby skusić nawet najbardziej zdesperowanych bandziorów. Porywało się dla prostytucji

lub szukając aktorów do snuff movies*[*Snuff movies to amatorskie filmy przedstawiające cały wachlarz bestialskich praktyk – gwałtów, tortur, morderstw etc., w

których zamiast aktorów występują prawdziwe ofiary (pochodzące częstokroć właśnie z

porwań) i prawdziwi oprawcy.].

–Cud, że ktokolwiek w ogóle dożył wieku reprodukcyjnego – mruknął Lon. Wstał i skierował się w stronę ustępu.

Place nigdy nie stały się miastami-widmami. Liczba mieszkańców zawsze zdawała się rosnąć. Dzieciaki zaczynały uprawiać seks tuż po osiągnięciu dojrzałości fizycznej, co

zazwyczaj wypadło między dziesiątym a jedenastym rokiem życia. Dziewczyny często

miały pierwszego dzieciaka – albo pierwszą skrobankę – jeszcze przed dwunastymi

urodzinami. Lon miał dwanaście lat, kiedy przeżył swój pierwszy raz. Kosztował go cztery dziesiątaki, połowę tygodniowego kieszonkowego. Kupił sobie za to dziesięć minut z panią starszą od niego o dwa lata, matką – jak na razie – dwójki dzieci. Kiedy

przyprawiono do niej Lona, właśnie niańczyła młodsze. Maluch ryczał cały czas, kiedy kochała się z Lonem. Dziewczyna była chuda, żeby nie powiedzieć koścista i – nawet przez mgłę odległych wspomnień – nadzwyczaj przeciętna, ale mimo to odwiedzał

ją prawie co tydzień przez pół roku, odkładając ze swojego kieszonkowego, ile tylko zdołał, żeby fundować sobie te rzadkie minuty... wcale-nie-takiej- znowu- przyjemności.

–Ej, Nolan! Idziemy jeść. – Kapral Nance właśnie wszedł do kabiny trzeciego plutonu.

Lon znowu siedział na krawędzi łóżka – siedział tak zresztą przez ostatnie dwie godziny. Nie próbował nawet zasnąć po raz drugi po swoim śnie na jawie.

Chłopak skinął powoli głową i podniósł się na nogi. Dopiero teraz poczuł zmęczenie, jego umysł był dość ociężały, żeby zapaść w sen. Ale to będzie musiało poczekać – o ile

w ogóle znajdzie jeszcze czas na odpoczynek po długim posiłku. „Znając moje szczęście,

sądzę, że porucznik powie nam, iż czas już wracać na powierzchnię” – pomyślał, kiedy

szedł za Wilem Nance'em w stronę czekających na nich ludzi z czwartego plutonu.

Wszyscy usiedli razem, ale jedli we względnej ciszy. Nie dało się słyszeć wolnej wymiany dowcipów i plotek, która była znakiem rozpoznawczym stołówki garnizonowej

i posiłków podczas podróży na planetę. Skąpe rozmowy, jakie rozbrzmiewały,

prowadzono przyciszonymi głosami, używając minimalnej liczby słów. Porucznik Taiters

pojawił się dwadzieścia minut później. Spytał wszystkich, jak się czują i powiedział, że

nadal nic nie wiadomo o ich powrocie na Norbank, w związku z czym mogą pospać jeszcze kilka godzin. Nikt nie wiwatował z tego powodu, jedynie paru ludzi skinęło głowami.

–Wracam do siebie i rozpakuję się – oświadczył Lon zaraz po wyjściu porucznika. –

Nie mam siły, żeby podnieść widelec do ust.

Minęła jednak dobra chwila, zanim się zabrał. Naprawdę był wyczerpany, a kiedy już wspomniał o zmęczeniu, stało się bardziej odczuwalne.

W połowie drogi do bazy mieszkalnej Lon przystanął i oparł się o ścianę. Stawianie kolejnych kroków wydawało się takie... bezskuteczne. Rozważał, czy nie osunąć się na

pokład i odpocząć trochę, a może nawet przysnąć. I tylko myśl o tym, że Nance i reszta

wracających ze stołówki mogłaby znaleźć go śpiącego na podłodze korytarza, pomogła

Lonowi podjąć wysiłek dalszej drogi. Kiedy doczłapał do swojej koi, runął w poprzek

niej twarzą w dół i zanim zdążył odbić się od posłania, już spał. Tym razem nic mu się

nie śniło, nawet koszmary.

–Nolan!

Lon poczuł, że ktoś nim potrząsa, ale nawet szarpanie niewiele pomogło. Musiał sam

wyrwać się siłą z objęć odrętwienia. Dopiero kiedy jego umysł ulokował go z powrotem

na powierzchni Norbanku, najpewniej w obliczu mającego zaraz nadejść zagrożenia, Lon

otrząsnął się ze snu. Przejście w stan czuwania nastąpiło natychmiast.

–Nie śpię! – zawołał zbyt głośno.

–Spokojnie, Lon. To tylko ja. – Lon rozpoznał głos porucznika Taitersa i usiadł.

–Przepraszam. – Kadet potarł oczy. – Chyba nieźle mnie zmogło.

–Zacząłem już się obawiać, że będę musiał wylać na ciebie wiadro zimnej wody.

–Jaki mamy czas? – Lon rozejrzał się wokół, jakby upewniając się, czy nadal jest na

bezpiecznym pokładzie Wężyska.

–Zero – dwieście – poinformował go Taiters.

–Bomba, znaczy, że wyłączyłem się na blisko dziewięć godzin. – Pokręcił głową. –

To była chyba raczej utrata przytomności niż sen.

Arlan uśmiechnął się.

–Zdarza się. Biegasz parę dni prawie bez zmrużenia oka, a potem, kiedy nadarza się okazja, twoje ciało korzysta, ile wlezie... zwłaszcza po leżeniu w tubie.

–Co się stało? Wracamy już na powierzchnię?

Porucznik przytaknął skinieniem głowy.

–Ruszamy za niecałą godzinę. Czas się wykąpać i zjeść ostatni posiłek na pokładzie,

zanim będziemy musieli znowu przerzucić się na racje wojenne.

Lon wstał i przez chwilę ziewał, przeciągając się.

–Coś się zmieniło, jeśli chodzi o warunki na dole?

–Nie było żadnych poważniejszych potyczek, ale CIT jest zdania, że rebelianci

przechodzą na wyższe obroty i chcą postawić wszystko na jedną kartę. Wygląda na to, że

kompletują wszystkie oddziały, aby ruszyć na ostateczną bitwę. Ale tym na razie się nie

martw. Wejdz pod prysznic i zrób, co tam jeszcze masz do zrobienia. Poczekam.

Kiedy Nolan wrócił z toalety, Taiters siedział na łóżku obok pochylony do przodu, z przedramionami spoczywającymi na udach i spuszczoną głową. Usłyszał zbliżającego się

Lona i podniósł oczy. Chłopak podszedłszy do szafki, zaczął się ubierać.

–To chyba nie wygląda na najmądrzejsze posunięcie ze strony rebeliantów, ryzykowanie wszystkiego dla jednej bitwy – odezwał się na wpół ubrany Lon. – To znaczy, czy nie byłoby dla nich lepiej, wie pan, żeby dla zmylenia przeciwnika po prostu

wycofali się do lasu? Muszą przecież zdawać sobie sprawę z tego, że nie zostaniemy tu

na zawsze. Wystarczy, żeby poczekali, aż się wycofamy i wrócimy do siebie. Nawet jeśli

zdołaliśmy przeszkolić oddziały rządowe, nie będą już musieli zawracać sobie głowy nami.

–Mnie przekonywać nie musisz. Ale może oni nie kierują się tylko logiką. To jest wojna domowa. Decyzje, które podejmują, są naszpikowane emocjami. Może pragną zemsty za to, co zrobiliśmy im zeszłej nocy. Może wydaje im się, że stracą poparcie, jeśli

teraz nie przeforsują swojej sprawy. Cholera, nie mam pojęcia. Może dostają rozkazy od

jakiegoś zalanego w sztok jasnowidza. No dobra, skończ się ubierać, a strategię zostaw

innym. Idziemy na stołówkę.

Żołnierze czwartego plutonu już zaczęli kierować się w stronę jadalni. Lon i Arlan

dogonili ich w korytarzu. Grupa nadal zachowywała się cicho, ale nie tak bezgłośnie jak

poprzednio. Sen i czas wolny od zagrożenia rozsznurował ludziom usta. Rozmowy przy

stole nadal należały do rzadkości, ale przynajmniej ludzie w ogóle się odzywali.

Dyskutowano przede wszystkim o dołączeniu do kompanii i włączeniu się z powrotem

do akcji.

–Im szybciej będziemy mieli za sobą walkę, tym szybciej będziemy mogli przejść do

treningowej fazy kontraktu, co z kolei znaczy, że szybciej wrócimy do domu – powiedział

Wil Nance.

–Najpierw musimy wyrównać rachunki – odezwał się Tarn Hedley, jeden z szeregowców z drużyny Nance’a.

–Chłopie, wyluzuj! – interweniował Nance. – Nie jesteś już żółtodziobem. Nie daj się ponieść emocjom. Mamy kontrakt do wypełnienia. Kropka.

Hedley już nic nie powiedział, ale zamiast tego odezwał się Owi Whitley z drugiej drużyny.

–Nie wynoś tak pod ołtarze tego całego „interes zawsze górą”, kapralu. Nie jesteśmy

na szkoleniu w domu i to nie są podręcznikowe pytania i odpowiedzi. Czujesz to tak samo jak my. Straciliśmy tutaj dobrych kumpli. Za cholerę nie da się tego wybaczyć i nie

widzę powodu, dla którego mielibyśmy.

–Każdy, kto wstępuje do korpusu, wie, ile może go to kosztować – odparł Nance,

**odkładając sztucce. – Taka robota. W Karcie Praw nie ma ani słowa o odwecie.
Bawicie**

się w nienawidzenie drugiej strony, a to nie prowadzi do niczego poza kłopotami.

**Służysz w korpusie wystarczająco długo, żebyś zdążył zobaczyć sąd nad
zbrodniarzami**

wojennymi, Whitley?

**–Tak, ale to był jakiś kretyn, któremu się uroiło, że w porządku jest gwałcić i
mordować cywilów. To co innego.**

**–Przed pójściem do hangaru przeczytaj sobie jeszcze raz trzeci paragraf Karty
Praw,**

**Whitley. Jest tam cholernie przystępnie wytłumaczone, dlaczego obowiązują nas
tak**

**dokładne zasady postępowania i tak surowe kary za ich nieprzestrzeganie. Tu nie
chodzi**

**tylko o kwestie etyczne, o jakieś filozoficzne wymiary dobra i zła, choć one również
nie**

pozostają bez znaczenia. Reputacja jest towarem korpusu – i to nie tylko reputacja

**skutecznych żołnierzy, ale także żołnierzy zachowujących się w sposób honorowy.
Mało**

**kto chciałby zaprosić na swoją planetę hordę Wizygotów. Jeśli zobaczą, że
jesteśmy**

**jeszcze gorsi od tego, co sami mają, transakcja nie dojdzie do skutku, choćby nie
wiem**

co.

–Nikt nie mówi, żeby po prostu zapominać o poległych towarzyszach – włączył się

**do rozmowy porucznik Taiters. – Ale bardziej uszanujecie pamięć o nich, mając
stale na**

uwadze cel, dla którego tutaj jesteśmy, to, co mamy tutaj do zrobienia. Zdobywanie

szacunku to dla korpusu ważna rzecz. Starcie jednej ujemy trwa całymi latami. Są jeszcze

takie miejsca, gdzie to, co korpus zrobił prawie sto lat temu na Wellmanie, ludzie stale

rozpamiętują i wykorzystują jako argument przeciwko nam. To był jedyny raz, kiedy

Rada Pułków straciła z oczu nasz cel i rozminęliśmy się z naszym zadaniem.

–No dobrze, wystarczy. Mamy dość czasu na deser i coś do picia, zanim będzie już trzeba iść do magazynu broni i do hangaru. A filozofowanie odrobimy w garnizonie.

–Co było z tym Wellmanem? – Lon spytał porucznika, kiedy już wyszli ze stołówki.

Żołnierze szli przed nimi, kierując się w stronę magazynu.

–To powód, dla którego nie ma już pułku dziewiątego – odparł Taiters. – Nie mówili wam o tym na wykładach szkoleniowych dla rekrutów?

–Nie przypominam sobie, żebym o tym słyszał – powiedział Lon.

Arlan pokręcił głową.

–Myślałem, że zadbają o to, żeby każdy się dowiedział. Kiedy ja wstępowałem do korpusu, powiedzieli nam.

–No i o co w tym chodziło?

–Planeta Wellman była małą kolonią. Podejrzewam, że niewiele gęściej zaludnioną niż Norbank. Zostaliśmy najęci przez ludzi spoza planety, żeby pojechać tam i umożliwić

naszym pracodawcom wydobycie czegoś, co nie występowało nigdzie indziej, jakiegoś

związku organicznego, który był naturalnym nadprzewodnikiem. Już samo to kłóciło się

z zasadami etycznymi Karty Praw. Ale to nie wszystko, kontrakt był spartaczony od

początku do końca. Pułk dziewiąty został praktycznie rozniesiony w proch przez wellmańskich rolników. Potem Rada Pułków pogorszyła jeszcze sprawę, posyłając posiłki – oficjalnie w celu umożliwienia wypełnienia kontraktu, ale tak naprawdę bardziej

chodziło o zemstę. – Taiters pokręcił głową. – Niewielu ludzi z dziewiątego wzięto do niewoli. Większość sama przeszła na stronę Wellmana. Pomogli wyszkolić ludność planety i jeszcze raz wspólnie odparli siły korpusu. Generał korpusu został usunięty ze

stanowiska jednogłośnie decyzją Rady Pułków, która następnie sama podała się *en masse*

do dymisji po tym, jak oddała siebie i zdegradowanego generała w ręce sądu wojennego.

–Jestem pewien, że podczas szkolenia nie padło na ten temat ani jedno słowo.

Czegoś takiego bym nie zapomniał.

–Mam nadzieję, że nie zapomnimy tej lekcji – odparł Taiters, raczej do siebie niż swojego towarzysza.

Do wahadłowca wsiadł łącznie tuzin żołnierzy. Pozostałą część przedziału wojskowego zajmowały zapasy, przede wszystkim żywność i amunicja. Skrzynie zabezpieczono szelkami, które normalnie przytrzymują żołnierzy, a także – dla pewności

– dodatkowymi pasami, żeby ładunek się nie przesunął ani nie obluzował.
Dirigentyjskie

wahadłowce zostały zaprojektowane z naciskiem na wszechstronność zastosowań.

Kiedy ludzie zajęli swoje miejsca, urwały się rozmowy. Każdy chował twarz za opuszczoną przyłbicą. Zabezpieczono karabiny. Zapięto uprząże bezpieczeństwa, zaciskając pasy najmocniej, jak się dało.

Lon wsłuchiwał się w zwyczajowe komunikaty pilota. Nastąpiła dekompresja hangaru, otwarto śluzę, wahadłowiec wystrzelił w przestrzeń kosmiczną. Lon spodziewał

się szarpnięcia, wyczekiwał naporu ciała na pasy bezpieczeństwa. Manewrowanie podczas oddalania się Wężyska stało się już dla niego rutyną i tym razem nie zaskoczył

go nawet huk silników.

„No to już” – powiedział do siebie w duchu, kiedy lądownik wszedł w atmosferę.

Pilot nie był ani trochę tak... entuzjastycznie nastawiony, jak podczas pierwszego ataku.

Pojazd zwiększał prędkość, kierując się ku powierzchni, ale przeciążenia nie były takie

same jak podczas pierwszego lądowania na Norbanku – a przynajmniej Lonowi nie wydawały się aż tak wielkie. „Może po prostu zaczynam się przyzwyczajać” – pomyślał.

Ani przyspieszeniu, ani wytracaniu prędkości nie towarzyszyło już wrażenie braku tchu,

uczucie, jakby zaraz miało go zamroczyć. Lon nie zawracał sobie nawet głowy zerkaniem na najbliższy monitor, żeby zobaczyć, jak przebiega lot.

Wahadłowiec znajdował się już w górnych warstwach atmosfery Norbanku, kiedy Lona dopadła niepokojąca myśl. „Jak możemy zupełnie wyłączyć uczucia na czas wykonywania obowiązków? Jeśli będziemy zabijać z zimną krwią, to kim się przez to staniemy – maszynami czy może czymś jeszcze gorszym?”. Męczyły go wspomnienia z

rozmowy na stołówce. „Może i chęć zemsty nie jest właściwą emocją, ale temu wszystkiemu musi przecież towarzyszyć jakieś uczucie, jakaś świadomość tego, co robimy”. Pokręcił głową. „Porucznik miał rację. Pofilozofujemy sobie w garnizonie, jak

już wrócimy na Dirigent” – pomyślał.

–Lądujemy w porcie kosmicznym Norbank City, zaraz na zachód od miasta. –

Porucznik Taiters przerwał ciąg myśli Nolana. – Co oznacza, że dotarcie do kompanii

będzie się równało małemu spacerkowi, ale mamy rozkaz zameldować się najpierw u pułkownika Flowersa, a on akurat przebywa w stolicy.

–A czego chce od nas pułkownik? – spytał Lon.

Arlan zaśmiał się.

–Major Black nie podzielił się ze mną żadnymi detalami. Kazał tylko zameldować się u starego. Nie myślisz chyba ciągle, że wylądujesz na dywaniku, co?

–Nie, chyba nie. Ale jakoś nie mogę powstrzymać ciekawości.

–Dowiemy się już niedługo.

Wahadłowiec wyhamował dość wcześnie, po czym kołując, zaczął podchodzić do

lądowania na pasie utwardzonej gliny, który Norbank City nazywało kosmodromem. Lon

był pewien, że podczas siadania naprężenia były mniejsze niż za pierwszym razem, choć

wahadłowiec i tak zbliżał się do powierzchni szybciej niż statek pasażerski.

–Sprawdźcie, czy macie zabezpieczoną broń – Taiters polecił swoim

podkomendnym. – Jesteśmy już prawie nad miastem i przynajmniej jakieś dwie mile od

najbliższego gniazda wroga.

Nie musieli wybiegać w pośpiechu z lądownika, żeby zająć pozycje defensywne. Lon

widział strażników – w większości miejscowych, choć na kluczowych węzłach stało kilku

żołnierzy KND – rozstawionych wokół obwodu portu, zwróconych twarzami na

zewnątrz. Przywitał ich – w szczególności zaś Lona i Arlana – sierżant sztabowy.

–Mam rozkaz odprowadzić was prosto do pułkownika, sir – odezwał się sierżant,

kiedy już zasalutował. – Przykro mi, ale nie dysponujemy żadnym środkiem transportu

poza własnymi nogami.

–Niech pan się tym nie przejmuje, sierżancie – odpowiedział Taiters. – Już dość się

naodpoczywaliśmy. Trochę ruchu wyjdzie nam tylko na zdrowie.

Porucznik powiedział reszcie grupy, żeby znalazła sobie w pobliżu jakieś miejsce na

postój i odpoczęła do jego powrotu, a on postara się wrócić jak najszybciej. Nikt nie

skarżył się z powodu opóźnienia w powrocie do kompanii... i najpewniej na pole bitwy.

Do miasta nie było szczególnie daleko, może mila z kawałkiem. Lon niemal od razu

zauważył, co zmieniło się od jego pierwszej wizyty. Wszędzie na ulicach byli ludzie,

nawet kobiety i dzieci. Otwarto kilka sklepów. Wewnątrz bloku, który wyznaczał wcześniej linię frontu, rozstawiono stragany. Od czasu, kiedy rebelianci odstąpili od oblężenia, do miasta zaczęły napływać płody rolne z farm ulokowanych na zachód od

miasta – tych przynajmniej, które nie zostały spalone czy rozgrabione przez powstańców.

–Do zachodu słońca wszyscy się pochowają – poinformował ich sierżant. – Ale przez

większą część dnia nie ma snajperów. Co będzie po zmroku, tego nie wiem.
Rebelianci

nadal mogą ukrywać się gdzieś w pobliżu, kto ich tam wie, nie mają przecież elektroniki,

żebyśmy mogli ich namierzyć.

–To akurat działa w dwie strony, sierżancie – wtrącił Taiters. – Oni też nie mogą namierzyć nas.

Podpułkownik Medwin Flowers siedział w cieniu dwupiętrowego budynku, nad którego wejściem widniał napis „Gmach Rządu” i popijał bladożółty napój z wysokiej

szklanki. Na wprost niego siedziało dwóch miejscowych w świeżych ubraniach. Również

trzymali w rękach napoje. Major Black stał z boku. Kiedy ujrzał zbliżające się żołnierskie

trio, dał znać pułkownikowi, który odstawił na bok szklankę. Lon zobaczył, że pułkownik

mówi coś do swoich dwóch towarzyszy, po czym podnosi się i rusza w ich stronę.
Black

za nim.

Kiedy porucznik Taiters zdjął hełm, Lon prędko zrobił to samo. Żaden ze starszych oficerów nie miał nakrycia głowy, tylko major Black bawił się słuchawką radia.

–Darujmy sobie formalności, panowie – zaczął pułkownik Flowers, zanim Lon zdążył stanąć na baczność i zaszalutować.

–To spotkanie nieformalne. – Skrzywił się i pokręcił lekko głową. – Nieźle dostaliście w kość. Ale musicie obaj wiedzieć, że spisaliście się na medal, działając w najbardziej

uciążliwych warunkach. Nie mamy co do tego całkowitej pewności, ale kto wie, czy to

właśnie nie akcja waszego plutonu, poruczniku, na równi z naszymi wcześniejszymi działaniami, przyczyniła się do złamania oblężenia.

–Dziękuję, sir – odparł Taiters. – Wykonywaliśmy po prostu naszą pracę.

–Owszem i to lepiej, niż ktokolwiek mógłby tego od was wymagać – powiedział

Flowers. – Ubolewamy nad tym, że cena okazała się tak wysoka, ale... czasami tak właśnie już jest. – Odwrócił twarz w kierunku Lona. – Nolan, z radością przywitam was w

gronie oficerów batalionu, kiedy już wrócimy na Dirigent. Pokazałeś nam swoją wartość.

Moim zdaniem czeka cię w korpusie wspaniała przyszłość. – Uśmiechnął się szerzej.

–
Gdyby to ode mnie zależało, z miejsca przypiąłbym ci do pagonów czerwone i złote gwiazdki, ale regulamin korpusu wyraźnie mówi, że musimy poczekać, aż wrócimy do domu.

–Jak dla mnie, to wystarczająco szybko, sir – odparł Lon. – Uczę się nie ponaglać spraw.

Flowers skinął głową i znów odwrócił się, obejmując spojrzeniem stojącą przed nim dwójkę.

–Jesteście tutaj także z innego powodu, chciałbym mianowicie wykorzystać wasze szare komórki. Chcę, żebyście opowiedzieli mi o waszym starciu, jak przebiegało i jakie

wrażenie zrobili na was rebelianci, przeciwko którym walczyliście. Im bardziej uda mi

się zajrzeć do ich głów, tym lepiej na tym wyjdziemy.

Pułkownik przetrzymał ich przez godzinę, wpytując o wszystkie szczegóły, jakie pamiętali ze starcia. Lonowi i Arlanowi przyniesiono napoje, ten sam gazowany sok owocowy, który pił pułkownik. Na długo, zanim śledztwo dobiegło końca, Lon zdążył się

obficie spocić. I to nie tylko z powodu temperatury oraz wilgotności powietrza. Mimo iż

jedno i drugie przekroczyło na skali wartość osiemdziesiąt* [*Chodzi oczywiście o stopnie Fahrenheita w przypadku temperatury i procenty wilgotności; wartość osiemdziesiąt równa się 26,7° w skali Celsjusza.], mężczyźni siedzieli w cieniu, gdzie dmuchał umiarkowany wiatr. Przypominanie sobie tego, co zaszło, wracanie pamięcią do

każdej kolejnej minuty walki i wszystkich prowadzących do niej wydarzeń, obudziło na

powrót w Lonie jakiś strach i napięcie, co z kolei zaowocowało nadmierną potliwością.

Zaczął rozglądać się na boki, jakby był pewien, że ci sami rebelianci mogą znów się do

niego podkradać. Jedyną ulgą był dla Lona fakt, że Arlan Taiters wyglądał na równie

poruszonego przesłuchaniem.

–Czy mógłbym o coś zapytać, sir? – Taiters zwrócił się do Flowersa, kiedy ten dał znak, że już skończył. Pułkownik skinął głową. – Widać jak na dłoni, że naszym przeciwnikom udało się skądś dostać broń wojskową, albo prosto z Hanau, albo poprzez

jakiegoś pośrednika, do tego zaś mam wrażenie, że powstańcy musieli przejść przynajmniej podstawowy trening, który poprowadzili zawodowcy – zaczął Arlan słowem wstępu. – Czy myśli pan, że mogą mieć tu na miejscu korpus najemników, z którymi właśnie być może sami się zetknęliśmy?

Brwi Medwina Flowersa zsunęły się w skupieniu, tworząc nasrożoną linię. Nie odpowiedział od razu.

–Zgadzam się z waszymi uwagami co do broni i szkolenia. Sam zadawałem sobie podobne pytania. Nie mamy dowodów na to, że w imieniu rebeliantów akcje przeprowadzają najemnicy. Przed naszym przybyciem tutaj nic na to nie wskazywało.

Żadna inna flota nie przebywa w systemie planety, nie latają tu żadne obce samoloty

bojowe, w przeciwnym razie nasze wahadłowce spotkałyby się z oporem. Nie wykryliśmy także żadnego śladu wyrafinowanej elektroniki. – Przerwał, wolno kręcąc

głową. – Nie możemy wykluczyć możliwości, że być może paru zawodowców dostarcza

powstańcom wskazówek i zasad szkolenia, ale na pewno nie jest ich wielu, może drużyna

czy dwie. Przychylałbym się raczej do uznania, że rebelianci mają w swoich szeregach

ludzi, którzy najmowali się już gdzieś wcześniej. To tłumaczyłoby kwestię

uzbrojenia. Ci

hipotetyczni weterani mogli mieć przecież swoje kontakty i sprawnie załatwić zaopatrzenie w broń wojskową. Tak czy inaczej, nie powinno to wpłynąć na nasze akcje w większym stopniu niż dotychczas.

Arlan nieświadomie przytaknął powoli ruchem głowy.

–Dziękuję panu, sir – powiedział. – Po prostu byłem ciekaw.

–Badamy sprawę tak dokładnie, jak to tylko możliwe – zapewnił go Flowers. –

Niczego nie przyjmujemy na wiarę.

–Tak jest, sir. Myślę, że na nas już czas. Ludzie, z którymi przylecieliśmy, czekają na

nas, poza tym musimy dołączyć do kompanii. – Taiters wstał, Lon również podniósł się z

krzesła.

–Nigdy jeszcze nikt mnie tak nie wymęczył – odezwał się Lon, kiedy razem z porucznikiem byli już daleko od dowódcy batalionu. – Nawet w Springs.

–Jestem pewien, że pułkownik się martwi – odparł Arlan. – Najwyraźniej mamy przeciwko sobie fanatyków, których nie powstrzyma fakt, że ponoszą ciężkie straty.

Założę się, że już kazał swoim ludziom dowiedzieć się jak najwięcej na temat istoty zatargu między grupami osadników. To wygląda na coś więcej, niż tylko polityczne przepychania. Kiedy konflikt przybiera równie krwawą postać, kiedy staje się tak zażarty,

stawką jest raczej religia, jakieś podstawowe elementy filozofii życiowej. Gdyby rebelianci mieli za sobą racjonalnie myślącego przywódcę, już zaczęliby szukać dróg

pokojuowego porozumienia, jakiegoś kompromisu, czy ja wiem.

–Czy chce pan przez to powiedzieć, że walka może ciągnąć się tak długo, aż po którejś ze stron zabraknie przeciwników?

–Istnieje taka możliwość. Jeśli żadnej ze stron nie usatysfakcjonuje nic poza całkowitym zwycięstwem. Ale mam nadzieję, że na tak długo tu nie utkniemy. Naszym

zadaniem jest tylko stłumienie zbrojnego powstania i przeszkolenie sił rządowych. Potem

możemy wracać do domu.

–A co będzie, jak już stąd odlecimy?

–Nie wiem. Pułkownik może podjąć się próby pozyskania aprobaty rebeliantów dla pomysłu podpisania umowy gwarantującej cywilom bezpieczeństwo przed akcją odwetową, ale jeśli to jest rzeczywiście walka o silnym podłożu ideologicznym, najpewniej nie przyjmą od nas żadnej oferty.

–Nawet jeśli ryzykowałiby tym samym rzeź?

Arlan wykrzywił usta w uśmiechu.

–Dla nich liczy się tylko jedno. Może to i dobrze, że musieliśmy wcześniej zaopatrzyć siły rządowe w broń i amunicję, jeszcze przed stłumieniem rewolty. Pewnie

zują większość naboju i nie zostanie im dość dużo, żeby zdołali wyrządzić krzywdę cywilom po stronie rebelianckiej. Na pewno nie wtedy, gdy zakończymy szkolenie milicji. Jestem pewien, że pułkownikowi nie będzie spieszno podpisywać umowę na dalsze dostawy. Nie możemy zapewnić tutaj wiecznego pokoju, ale dzięki temu powstańcy będą mieli czas, żeby pomyśleć o sprowadzeniu pomocy z zewnątrz – od kogoś innego, skoro już nie ufają nam – albo o zebraniu sił po walce i uzupełnieniu

zapasów.

Resztę drogi przez Norbank City Lon przyglądał się uważnie cywilom, tak jakby

jego spojrzenie mogło przebić się przez ich maski i odczytać kryjące się pod nimi myśli.

Nic nie wskazywało na to, że byli religijnymi czy politycznymi zapaleńcami. Na

pierwszy rzut oka nie różnili się niczym od ludzi, których widywał w innych miejscach,

na Ziemi, Dirigencie czy Nad-Galapagos – jeśli już, to może tym, że byli bardziej

nieokrzesani niż ludzie w innych miejscach.

„Co wami kieruje?” – zastanawiał się za każdym razem, kiedy jego oczy napotykały

spojrzenie któregoś z mieszkańców. „I co kieruje waszymi powstańcami?”.

Wahadłowce szturmowe Wężyska atakowały na zmianę. Lądowiki wisiały na dziesięciu tysiącach stóp – dość wysoko, żeby zdążyły uciec przed pociskami ziemia-

powietrze – i stale ostrzeliwały główne pozycje wroga. Zaczęły tuż po zapanowaniu zupełnej ciemności i prowadziły atak do późna w nocy, zrzucając rakiety na pagórkowaty

obszar, gdzie zgromadziły się siły rebelianckie. Osłabiały tym samym nieprzyjaciela, którym zajmą się później ludzie z drugiego pułku i norbankijskiej milicji.

Na powierzchni odległe eksplozje brzmiały jak uderzenie pioruna. Błyski światła, które poprzedzały grzmot, dopełniały analogii. Każdą serię czterech do sześciu uderzeń

dzieliło od następnej dziesięć do piętnastu minut, podczas których wymieniały się szturmujące wahadłowce, a każdy wykonywał dwie rundy, po czym wracał na Wężysko.

Odstępy między atakami nie były równej długości, żeby rebelianci nie mogli z całkowitą

pewnością przewidzieć, kiedy nastąpi kolejny nalot. Od czasu do czasu, dla zwiększenia

niepewności, robiono jeszcze dłuższe przerwy.

Lon Nolan z zimną satysfakcją słuchał wybuchów. „Dowalcie im” – ponaglał w

myślach. „Im bardziej się przyłożycie, tym mniej zostanie dla nas”. Nie oszukiwał się, że

atak powietrzny zdoła zupełnie wyeliminować wroga ani nawet przetrzebić go na tyle,

żeby czekające ich starcie na ziemi okazało się ledwie potyczką. Rebelianci poniosą straty w ludziach, ale w równym stopniu ważne były pewne mniej widoczne, a

prawdopodobne rezultaty bombardowania. Ludzie nie będą mogli przez nie spać, a to z

kolei spotęguje wpływ ataku na morale walczących.

Najemnicy i funkcjonariusze milicji ruszyli w drogę dwie godziny przed zapadnięciem zmroku, wykorzystując światło dnia i krótkiego zmierzchu, żeby Norbankijczycy podeszli możliwie najbliżej punktu docelowego, zanim ciemność spowolni przemarsz.

Z Dirigentyjkami maszerowały trzy kompanie milicji. Nowo utworzoną kompanię czwartą rząd zatrzymał do pomocy przy obronie stolicy i w celu zabezpieczenia dostaw płodów rolnych i żywego inwentarza, do czasu kiedy powstańcy

zaczną podejmować próby ponownego oblężenia miasta. Do sił obronnych miasta rząd

włączył także cywilów, co nie świadczyło o wielkim zaufaniu ani do własnej milicji, ani

do najemników.

Każda kompania milicji została przydzielona do kompanii KND. Przemieszczały się równolegle względem siebie. Dodatkowo paru najemników maszerowało razem z milicją, tak żeby ich dowódcy nie byli zupełnie pozbawieni łączności z resztą. Jedynie

kompanii czołowej – tym razem była to Alfa – nie obarczono podopiecznymi.

„Dobrze, że nie musimy mieć tego na głowie” – pomyślał Lon podczas jednego z krótkich odpoczynków. Taiters nadal kazał trzymać mu się blisko siebie i chłopak miał

okazję, aby posłuchać wszystkich rozmów porucznika, czy to prowadzonych drogą radiową, czy też osobiście. Plutony trzeci i czwarty znów były razem, z tym że czwórka

ziała lukami, których nie zapełnią już żołnierze polegli zeszłej nocy. Lon zauważył, że

teraz ludzie liczą się z jego opinią, a jego sugestie są brane pod uwagę, choć niekoniecznie wykorzystywane w praktyce.

„Zdaje się, że mnie zaakceptowali” – skonstatował w myślach. Nie odczuł z tego powodu wielkiej radości, nie miał wrażenia, jakby dokonał czegoś szczególnego. Odebrał

to raczej jako dodatkowy ciężar na karku. Czuł, że musi teraz z większą pieczołowitością

ważyc swoje słowa i myśli, zanim wypowie je na głos. Znał nazwiska ludzi, którzy zginęli za pierwszym razem, kiedy zaakceptowano jego sugestie. Zamykając oczy, widział ich twarze. Mimo zapewnień ze strony porucznika i pułkownika – a także wszystkich innych, z którymi rozmawiał – Lon nie był jeszcze gotów na to, żeby udzielić

sobie pełnego odpuszczenia win.

Skupił się na swoich ruchach. Najlżejszy odgłos poruszenia – prawdziwego czy wyimaginowanego – kazał mu zaraz odwracać głowę i podnosić karabin. Zdawał sobie

sprawę ze swojej nadmiernej nerwowości i usiłował jakoś z nią walczyć, ale niewiele działał. Powtarzanie sobie co raz: „Za bardzo się, cholera, gorączkujesz”, nie wystarczało. Zawsze pojawiała się kontra w postaci: „Nie chcę, żeby jeszcze ktoś miał

przeze mnie zginąć”.

Chwilę po zachodzie słońca pluton czwarty przemieścił się na czoło kolumny.

–Zostajesz z pierwszą i drugą drużyną – powiedział Lonowi Taiters. – Ja pójdę z resztą. Jakby coś się działo, natychmiast daj mi znać.

Utrzymywanie łączności na otwartej linii nie miałyby sensu, skoro i tak mieli się rozdzielić.

„Jeszcze nie dowództwo, ale już niedaleko” – ucieszył się w myślach Lon. Na pewno

była to kolejna oznaka zaufania, jakim zaczęli obdarzać go Taiters i pułkownik. „Tylko

tego nie schrzań” – upomniał się w duchu.

Batalion wraz z towarzyszącymi im Norbankijczykami maszerował w trzech

kolumnach. Pojedynczy pluton nie miałby szans na przeprowadzanie rekonesansu dla

wszystkich trzech dróg, ale po podzieleniu się na połowy mogli objąć zwiadem

większość terenu. Jedna drużyna wysunęła się na czoło i podzieliła na dwie grupy

ogniowe, które stały w odległości trzydziestu lub więcej jardów od siebie, każda z nich

formując jeden szereg w kształcie zygzaka. Za nimi środkiem – o ile pozwalało na to

ukształtowanie terenu – podążała tyralierą kolejna drużyna. Drużyny luzowały się co

piętnaście, dwadzieścia minut. Lon siedł z drugim szeregiem. Dowódcy obydwu drużyn

meldowali się co prawda u sierżanta Dendrowa, ale kadet brał udział we wszystkich rozmowach.

Płaski teren stawał się rzadkością. Czasami batalion musiał iść trzema różnymi

dolinami, każda kolumna odcięta od pozostałych wzgórzami wysokimi na pięćdziesiąt do

dwustu stóp. Teren był w większości wyboisty i to nie tylko z racji charakterystyki topologicznej, ale również przez gęstwą zarośli, które porastały okolicę. Nie był to

wysoki las, jak ten, w którym najemnicy przeprowadzali swoją pierwszą akcję, ale za to

bardziej urozmaicony – drzewa, trawy, krzewy i pnącza. Rzeźba terenu umożliwiała przygotowanie doskonałej zasadzki niemal na każdym kroku. Małe grupki nieprzyjacielskich żołnierzy mogły być w każdym miejscu na zboczach wzgórz albo w dolinach, gotowe do wystrzelania zwiadowców jednego po drugim.

„Zupełnie, jak w nocy dwa dni temu” – przypomniał sobie Lon. Mimo iż ufał, że idący przed nim ludzie robią, co do nich należy, sam ustawicznie obserwował okolicę, wypatrując każdego śladu, który zwiastowałby kłopoty.

Odgłosy bombardowania okolicy i samych pozycji rebelianckich słychać było coraz wyraźniej. „Mam nadzieję, że zostawią coś na później, na wypadek gdyby musieli nas stąd wyciągać” – przemknęło Lonowi przez głowę, kiedy uświadomił sobie, jak długi czas spadały już pociski. Na powstańców zrzucono dotychczas całe kopy bomb.

Ledwie parę minut później na linii odezwał się kapitan Orlis.

–Wstrzymać szpicę. Wszyscy stać. Ostatnie szturmujące wahadłowce zameldowały, że rebelianci mogli zacząć się przemieszczać.

„Nie dziwię się wcale, że zaczęli” – uznał w myślach Lon. „Zrobiło im się za gorąco”.

Żołnierze z pierwszej i drugiej drużyny ustawili się w formacji defensywnej w poprzek wąskiej doliny, którą podążali na północny wschód oraz wzdłuż wznoszących

się nad nią wzgórz. Nie padł rozkaz, żeby się okopać, ale większość mężczyzn odgarnęła

nico glebę i rośliny, żeby mieć jakąś osłonę. Tak na wszelki wypadek.

Lon ruszył w kierunku kaprała Girany.

–Chciałbym zerknąć na twój mapnik, Tebba – powiedział, kiedy już się przy nim znalazł.

Girana obrócił się na bok i wyciągnął urządzenie z kieszeni przy nogawce spodni.

–Tylko uważaj na światło – ostrzegł ściszym głosem. Lon skinął głową i rozwinął mapnik. Wyregulował kontrolki, aż obszar na mapie przedstawiał ostatnią znaną pozycję

sił rebelianckich. Oglądając obraz z nałożonym filtrem podczerwieni, mógł zobaczyć gorące punkciki ognia i zniszczeń po fali uderzeniowej spadających pocisków. Nie dostrzegł wyraźnej charakterystyki cieplnej żołnierzy, którzy wcześniej się tam znajdowali.

„Może ciągle gdzieś są – zgadywał w myślach – zamaskowani przez ciepło emitowane z pogorzelniska”. Nie był pewien, jak dużą rozdzielczość mógł mieć obraz transmitowany przez wahadłowiec znajdujący się na wysokości dziesięciu tysięcy stóp.

Akurat kiedy Lon wpatrywał się w ekran, CIT przesłało z pokładu Wężyska zaktualizowane dane. Założył, że jeden z wahadłowców szukając śladu rebeliantów, musiał zaryzykować zejście na wysokość o wiele niższą niż dziesięć tysięcy stóp. Lecąc

na rekonesans, statek mógł podejść nisko i cicho, w nocy byłby dodatkowo niewidoczny

dla nieuzbrojonych w lornetki ludzi na ziemi. Rozdzielczość znacznie wzrosła, ale nadal

nie można było mieć pewności, czy nieprzyjaciel został na swoim miejscu.

„Pułkownik będzie musiał albo zaryzykować opuszczenie wahadłowca prawie na wysokość wierzchołków drzew, albo posłać ludzi na powierzchnię” – pomyślał Lon.

„Tylko tak możemy dowiedzieć się na pewno. O ile oczywiście to nie my będziemy

musieli iść i ich poszukać”. Jeszcze kilka chwil studiował odczyty z mapnika –
miejsce

pobytu batalionu, pierwotny cel wymarszu i prawdopodobne miejsca, gdzie mogli
skierować się rebelianci – starając się przy okazji jak najwięcej zapamiętać. „Nie są
w

stanie przemieszczać się w nocy równie szybko jak my. A to ogranicza odległość,
na

którą mogli oddalić się od swojej pierwotnej pozycji”.

Nadal jednak zostawało wiele miejsc, w które mogli się udać. Każda grań, zbocze i
dolina dawała możliwości ukrycia. „A we wzgórzach prawdopodobnie są jaskinie” –
przypomniał sobie Lon. Wywołał porucznika Taitersa i wspomniał mu o tym.

–Nie wypatrywaliśmy jaskiń – dodał. – Ja nie przypominam sobie, żebym jakąś
widział. A w jaskiniach trudniej jest wykryć zasadzki.

–Ja też zapomniałem o jaskiniach – przyznał Arlan. – Nie rozłączaj się. – Porucznik
trzymał Lona na linii, sam zaś połączył się z kapitanem Orlisem, powiedział mu o
jaskiniach i spytał, czy ktokolwiek się za nimi rozglądał.

–Nieszczególnie – odparł Orlis. – Myślę, że lepiej będzie, jak zabierzemy się za to
teraz. Przekażę reszcie batalionu, aby żołnierze wiedzieli, że mogą być kąty, w które
nie

zajrzeliśmy. Ty też daj znać swoim ludziom i poślij ich wzdłuż zboczy, niech się
rozejrzą.

–Sir, wydaje mi się, że powinniśmy czynnie sprawdzić obszar, na którym się
znajdujemy – zaproponował Lon. – Niewiele zyskamy, pilnując obwodu, jeśli okaże się,
że
w środku siedzi nieprzyjaciel.

–Masz rację, Nolan – zgodził się kapitan. – Arlan, daj swoim rozkaz. Sprawdźcie, czy

wewnątrz waszego obwodu nie ma żadnych wilczych dołów, a następnie przeczeszcie

teren w promieniu jakichś pięćdziesięciu jardów wokół waszej pozycji. Powiedz ludziom,

żeby cholernie uważali. Wejścia mogą być wysokie i szerokie na jednego człowieka, a

jeśli wróg rzeczywiście się tam chowa, najpewniej jeszcze je zamaskuje.

Taiters wysłał połowę swoich żołnierzy na poszukiwanie jaskiń, reszta została na obwodzie. Lon poszedł z drużyną Girany, kiedy podzielili pilnowany obszar na cztery

strefy.

–Łaziłem trochę po jaskiniach jeszcze na Ziemi – zagaił do kaprała. – W tej części Północnej Karoliny, gdzie dorastałem, było ich pełno. Jedyne, co mogłoby zdradzić wejście do jaskini, to temperatura – nieco niższa niż w otoczeniu.

Tebba przekazał reszcie drużyny tę wskazówkę. Ustawił ludzi w szeregu, każdego w odległości trochę większej od drugiego niż na wyciągnięcie ramienia. Przemierzali obszar wewnątrz obwodu ustalonego przez dwa plutony tam i z powrotem, a następnie

ruszyli poza jego granice, badając stoki wzgórz.

Jedyne jamy, na które się natknęli, były zbyt małe, żeby mogły pomieścić wrogich żołnierzy. Największa, którą znalazł Lon, jedynie przez pierwsze dwie stopy głębokości

była dość szeroka, aby mógł do niej wejść człowiek.

–Dobra kryjówka na oglądanie spadających gwiazd – powiedział do Tebby Lon.

–Tak długo, jak nie uprzedzą cię żadne pełzające paskudztwa – odparł Tebba.

–Coś takiego żyje na Norbanku? – spytał Lon, kiedy drużyna wracała do środka okręgu karabinów.

–Nie wiem. Żaden mi jeszcze nie próbował wpełznąć do gaci – odrzekł Tebba. – I wolałbym, żeby już tak zostało.

Zanim Lon zdążył powiedzieć coś jeszcze, w dolinie na wschód od nich rozległy się odgłosy kilku wystrzałów. Drużyna natychmiast przypadła do ziemi, nie czekając nawet

na wyjaśnienie, co to było.

–Zdaje się, że ktoś natrafił na zajętą jaskinię – odezwał się Tebba, kiedy nie usłyszeli już nic więcej.

–Albo kogoś poniosły nerwy – podsunął Lon.

W ciągu następnych piętnastu minut doszły ich jeszcze dwie wymiany ognia, z dwóch różnych miejsc. Zgodnie z tym, co im powiedziano, znaleziono w jaskiniach kilku

snajperów. I pozbyto się ich. Chwilę później padł rozkaz wznowienia marszu.

Rebelianci rzeczywiście zmienili pozycje – ale tego, gdzie się przemieścili, nikt jeszcze nie był pewien.

–Jako gatunek mamy za sobą ponad sześć tysięcy lat doświadczeń i innowacji w materii wojskowej, a nasze działania tutaj nie różnią się wiele od tego, co robili pierwsi

żołnierze – tak jak oni wysyłamy kilku ludzi naprzód, żeby spróbowali odnaleźć wroga. –

Arlan Taiters miał do połowy uniesiony ekran hełmu, dzięki czemu mógł palcami obu rąk

przetrzeć oczy. Dwa podległe mu plutony stały razem. Siedział oparty plecami o drzewo,

osłonięty z trzech stron pnem i zaroślami. Lon Nolan zajął miejsce tuż obok porucznika.

–Są rzeczy, które nigdy zupełnie się nie zmieniają – odparł Lon. – W Springs uczyli nas

o bitwach, które rozgrywały się tysiące lat temu i o taktyce, która całe milenia była przestarzała. Zajmowaliśmy się falangami i czworokątnymi formacjami rzymskich wojsk. Czytaliśmy Cezara i Tukidydesa i tuziny innych pisarzy starożytnych.

Rozgrywaliśmy na nowo słynne bitwy na trójwymiarowych tablicach, z piechotą i kawalerią konną. Miecze i włócznie. Zdaniem większości z nas to była cholerna strata

czasu.

Taiters przestał trzeć twarz i opuścił głowę, żeby spojrzeć na Lona poprzez noktowizor w osłonie hełmu.

–Swego czasu też tak myślałem, ale to nieprawda. Popatrz na to w ten sposób.

Znajdujemy się na szczycie piramidy wzniesionej ze wszystkich tamtych bitew, całego

tamtego arsenału i strategii. – Pokręcił głową. – Nie, nie na szczycie piramidy –

jesteśmy

raczej częścią kontinuum biorącego początek w przeszłości i biegnącego ku przyszłości,

na którą składają się zarówno nasze działania, jak i wkład żołnierzy walczących przed

nami. Im więcej znasz ogniw w tym łańcuchu, tym łatwiej możesz przewidywać i improwizować, stając w obliczu czegoś nowego albo czegoś, na co nie ma jeszcze rozkazów.

–Tak jak teraz? – spytał Lon, a Arlan skinął mu w odpowiedzi głową.

–Właśnie. Dysponujemy najlepszym sprzętem kontroli rejonu w całej galaktyce.

Jesteśmy w stanie wychwycić elektronikę hełmów z wysokości dwustu mil i z tej samej

wysokości zrobić zdjęcia, których rozdzielczość będzie wystarczająco dobra, żeby zidentyfikować – czy to w dzień czy w nocy – obiekt nie większy niż twoja dłoń.

Posiadamy komputery, które potrafią śledzić w czasie rzeczywistym pozycje dwudziestu

tysięcy poruszających się jednostek, a do tego monitorować telemetrię hełmów i

nagrywać przeprowadzane przez nie rozmowy. Możemy wystrzelić pocisk MR przez pół

galaktyki i mieć pewność, że uderzy w promieniu dwustu jardów od celu. Tutaj jednak,

walcząc z wrogiem, który nie jest wyposażony w elektronikę, za pomocą której można by

go namierzyć, a do tego mającym za sobą osłonę lasu, jesteśmy w tym samym punkcie,

co Rzymianie i Persowie tysiące lat wcześniej. Błądzimy po okolicy i próbujemy znaleźć

przeciwnika, zanim on pierwszy zdzieli nas przez łeb.

–Pomyśleć by można, że będziemy przynajmniej mogli odczytać ciepły obraz tak wielu ciał – powiedział Lon. – Mamy przecież kamery z filtrem podczerwieni i noktowizory.

–Wiesz, że mają swoje ograniczenia, szczególnie w takich warunkach. Podstawowy materiał, jakiego Norbankijczycy używają do wyrobu odzieży, izoluje ciepło akurat na

tylko dobrze, żeby trudno było ich zlokalizować niezależnie od odległości. Nie jest może

tak skuteczny jak tkanina, z której uszyte są nasze mundury, ale na panujące tutaj warunki klimatyczne wystarcza.

Żołnierze z kompanii A nadal zajmowali pozycje defensywne, połowa z nich pełniła

wartę, podczas gdy reszta spała – a przynajmniej próbowała zasnąć. Porucznik Taiters był

na nogach, kiedy jego dwa plutony odpoczywały. Teraz pozostałe kompanie wysłały

ludzi na rekonesans, drużynę tu, drużynę tam, a jeden z dwóch wahadłowców cały czas

patrolował obszar z powietrza. Minęły już prawie trzy godziny, odkąd odkryto, że rebelianci zmienili pozycje.

Sporadycznie dało się słyszeć krótkie serie strzałów, ale nigdy w bliskim sąsiedztwie.

Każdy huk momentalnie rozbudzał czujność czekających ludzi, ale okazywało się, że w

jeszcze jednej jaskini znaleziono kryjówkę nieprzyjaciela. Nie było jasne, czy zabici

zostali wysłani jako snajperzy, żeby powystrzelać najemników i siły rządowe, czy może

po prostu odcięto im drogę ucieczki.

Minęła północ, potem pierwsza w nocy. Nadal nie było żadnych wieści z kwatery

głównej batalionu. Porucznik Taiters sprawdził, czy podlegli mu dowódcy plutonów nie

śpią i poinformował ich, że sam ma zamiar przespać się trochę.

–Ty też – zwrócił się do Lona, kiedy już skończył rozmawiać z sierżantami przez radio. – Korzystaj, póki możesz.

Chłopak położył się, wykopał płytkie wgłębienie pod gęsto splątanymi krzakami jeżyn. „Wspaniałe gniazdko dla paranoika” – pomyślał sobie przy tym. Tak długo, jak nie będzie próbował usiąść, powinno być OK. Ułożył się najwygodniej, jak mógł w tych nieprzyjaznych warunkach. Hełm zostawił na głowie. Wewnętrzna wkładka nie mogła ubiegać się o rangę idealnej poduszki, ale lepsze już to niż naga ziemia. Lon zmniejszył

głośność w słuchawkach i przyciemnił wskaźnik refleksyjny na ekranie. W razie alarmu

będzie gotów odpowiedzieć natychmiast. A do tego czasu ułatwi sobie czekanie drzemką.

Sen jednak nie przychodził.

Lon był wyczerpany. Jego mózg pracował na zwolnionych obrotach, stracił jasność myślenia, jak zazwyczaj, kiedy miał za sobą zbyt długie okresy bez odpoczynku. Nie potrafił zejść poniżej stanu przypominającego trans. Zachował świadomość... ale nie do

końca, balansując między jawą i snem – tak samo było, gdy wychodził z tuby pourazowej. Cały czas wytężał uszy, nasłuchując najdrobniejszego znaku zagrożenia.

Nieustannie zalewała go powódź pytań.

„Czy to się kiedykolwiek skończy?” – myślał. Na peryferiach umysłu, na granicy

percepcji unosiły się obrazy. W pewnej chwili wystraszył się, cały zadrżał, bo zdało

mu

się, że gdzieś spada, ale z pozycji leżącej na ziemi, przy pełnym ciężeniu, nie można już

było nigdzie spaść. Cały ten incydent tylko bardziej oddalił go od sennej pustki.

Spać! Przez moment miał wrażenie, jakby z powrotem znalazł się w Springs i

przygotowywał właśnie do egzaminów końcowych po pierwszym semestrze. Wtedy

przez dwie noce z rzędu nie zmrużył oka – nie tylko z obawy przed tym, że może nie

otrzymać wysokich stopni, ale przede wszystkim bojąc się, że może zupełnie położyć

jeden czy więcej testów, oblać jakiś przedmiot... i najpewniej wylecieć przez to z

akademii. Wspomnienie było tak wyraziste, że niemal widział jaskrawe światło lampki

stojącej na jego biurku, czuł piekące od wpatrywania się w monitor oczy i zapach kawy,

którą pił w próżnym wysiłku zachowania przytomności umysłu.

–Hę? – rzucił półgłosem.

Wydawało mu się, że usłyszał, jak jego współlokator zadaje mu pytanie o jakiś

wykład. „Nie jestem w Springs” – uprzytomnił sobie. Rozejrzał się prędko wokoło,

zdezorientowany panującym mrokiem i zielonkawym cieniem, który spowijał okolicę

widzianą przez ekran hełmu. Potrzebował chwili, żeby przypomnieć sobie, gdzie jest i

uświadomić, że głos, który słyszał, należy do porucznika Taitersa.

–Nie śpię – wymamrotał Lon, starając się pokazać po sobie, że rzeczywiście nie śpi.

Czuł, że ma miękkie nogi, zupełnie jakby ktoś naszpikował go barbituranami. – Co jest?

Arlan dał mu jeszcze kilka sekund, zanim oznajmił.

–Dostaliśmy rozkazy. Ruszamy za dwadzieścia minut.

–Tak jest, sir – Lon zaczął siadać, ale zaraz wyrzwał hełmem w kolczaste kłaczka, pod którymi się rozłożył. Padł na ziemię i wciągnął głęboko powietrze. Następnie przetoczył

się na bok jedyną drogą, na którą pozwalała mu obecna pozycja. Zdjął hełm i zaczął z

zapamiętaniem trzeć twarz obiema rękoma, nadal usiłując otrząsnąć się ze swojego...

wymęczonego pólenu. – Znaleźli rebeliantów? – spytał.

–Jakichś znaleźli – odparł Arlan. – Cztery mile na północny wschód od poprzedniej pozycji.

Lon zamrugał parę razy oczami i włożył hełm.

–Czyli tam, gdzie rozciąga się jeszcze bardziej nieprzyjazny teren, prawda?

–Trochę bardziej – zgodził się porucznik. – Ale nie jest znowu tak źle, o ile nie zapuścisz się zbyt daleko. Same pagórki.

–Nadal się przemieszczają czy rozbili obóz? – padło następne pytanie Lona.

–Dowiemy się, czy jeszcze tam są, jak już dotrzemy na miejsce – odpowiedział Arlan. – Ale i tak nie uda nam się tam znaleźć przed świtem.

–Chce pan przez to powiedzieć, że czeka nas starcie w ciągu dnia? – Wcześniejszy pomysł zakładał przedostanie się na pozycję na tyle wcześnie, żeby skorzystać z ostatnich chwil mroku i uderzyć na powstańców, póki ci będą jeszcze mieli kłopoty z

wypatrzeniem ich.

Arlan wzruszył ramionami.

–Jeśli nawet pułkownik się zdecydował, nie raczył mnie o tym poinformować. Jak już się zbierzesz do kupy, leć do kaprala Nance’a. Nie to planowałem, ale musisz mi

pomóc w wypełnieniu luki w plutonie czwartym. – Lon skinął głową, a Arlan kontynuował. – Postaram się, żebyś był na bieżąco z rozwojem sytuacji. Pewnie nie muszę ci tego mówić, ale powiem tak czy inaczej. Nadal jesteś tylko kadetem i nie dowodzisz tutaj – niezależnie od tego, jak dobrze się do tej pory spisywałeś.

–Tak jest, sir. Wątpię, żebym zdołał o tym zapomnieć – odparł Lon.

–Wiem. Chodzi po prostu o to, że wszyscy jesteśmy już zmęczeni, a zmęczeni ludzie popełniają błędy. No już, biegnij do Nance’a i zobacz, czego od ciebie chce.

Nawet wliczywszy Lona, drużynie Nance’a do pełnego składu brakowało jeszcze czterech ludzi. Każda drużyna w plutonie czwartym miała braki, ale pierwsza poniosła

najcięższe straty. Wil Nance postawił Nolana między Tarnem Hedleyem i Owlem

Whitleyem i – przez większość czasu – trzymał trójkę w centrum formacji.

–To nie dlatego, że nie ufam twoim umiejętnościom – Nance tłumaczył się Lonowi na kanale prywatnym. – Widziałem cię w akcji. Wiem, że znasz się na swojej robocie. Po

prostu... no, nie chciałbym stracić kadeta który zaraz ma dostać swoje oficerskie gwiazdki, jeśli można tego uniknąć bez narażania reszty drużyny na dodatkowe ryzyko.

Mówię ci to prosto z mostu.

–Doceniam twoją szczerłość, Wil, i w zupełności się z tobą zgadzam. Ja też nie chciałbym się stracić.

Obydwaj odważyli się na stłumiony chichot.

Kapitan Orlis zwołał swoich oficerów i podoficerów na krótką naradę. Kiedy kapitan przedstawiał swój plan, Lon przyglądał się mu na mapniku kaprała Nance’a. Drugi

batalion miał wymaszerować w dwóch zespołach, jeden w odległości mili od drugiego,

zmierzając równoległymi drogami w kierunku północno-wschodnim i starając się oskrzydlić rebelianckie pozycje. W pewnej odległości za najemnikami miała ruszyć środkiem milicja, a wraz z nią akurat tylu Dirigentyjczyków, ilu było potrzeba do utrzymania łączności.

–Dajemy kogoś na tyły pozycji rebelianckich, żeby mieć ich w potrzasku? – spytał porucznik Hoper.

Minęła chwila, zanim Orlis udzielił mu odpowiedzi.

–Nie. Jeśli chcą dalej się wycofywać, pozwólmy im na to. Nalegał na to zresztą sam pułkownik Flowers, mimo iż rząd życzy sobie, żebyśmy z tą grupą zrobili to samo, co z

pozostałymi. Jeśli odeprzemy ich wystarczająco daleko, aby przestali stanowić bezpośrednie zagrożenie dla stolicy, zyskamy na czasie i zafundujemy milicji szkolenie z

prawdziwego zdarzenia, może już nie będziemy musieli obawiać się ich tak jak opozycji.

„Coś mi się wydaje, że pułkownik nie tylko to miał na myśli” – zastanawiał się w duchu Lon. „Będą szli doliną, prosto na rebeliantów, z oddziałami milicji w centrum kolumny. Jeśli zaatakujemy w dzień, poniosą poważne straty w ludziach”. Nie spieszył

się z przypisywaniem pułkownikowi jakichkolwiek motywów, ale wyglądało to na jeszcze jeden sposób, żeby zapobiec wyrżnięciu wszystkich ocalałych powstańców, kiedy

już batalion opuści Norbank.

Kompanie Alfa i Bravo szły na lewej flance, Alfa przodem. Jej pierwszy pluton wystawił zwiadowców. Plutony drugi i trzeci na zmianę wychodziły na szpicę. Czwarty nie był całkowicie wykluczony z akcji. Jego kolej przypadła następnym razem. Po prostu nie było czasu na przenoszenie się na czoło kolumny. Pluton trzeci szedł na przedzie już pięćdziesiąt minut, kiedy wstrzymano marsz. Jeden z patroli natrafił na rebeliancką forpocztę. Trójka wrogich żołnierzy poniosła cichą śmierć – dwóch trafił miotacz laserowy, ostatniemu poderżnięto gardło.

„Musimy być już niedaleko” – pomyślał Lon, kiedy otrzymał wiadomość od porucznika Taitersa. „Amatorzy nie wystawiliby strażników dalej niż na odległość niesionego głosu”. Podkręcił głośność na mikrofonach zewnętrznych hełmu. „Ktoś na pewno coś usłyszy”. Lon wiedział, jak dobrym sprzętem nasłuchowym dysponował korpus. Podczas ćwiczeń na dirigentyjskim poligonie usłyszał z odległości dziewięćdziesięciu jardów, jak miejscowa wiewiórka rozłupuje ząbkami orzeszek i wgrzyza się w miąższ. Ustalenie, co to za odgłos, zajęło mu sporą chwilę, a rozpoznał go,

wykorzystując radary hełmu w charakterze kompasu, a następnie przepatrując ustalony

fragment tak długo, aż natknął się na jedyny możliwy cel.

Kompania Alfa otrzymała rozkaz pozostania na swojej pozycji i ustawienia się tyralierą w stronę wznoszącego się na prawo od niej wzgórza.

–Szukajcie jaskiń – zakomenderował kapitan Orlis. – Ale zachowujcie się cicho i postarajcie się każdego napotkanego wroga traktować w ten sam sposób.

Wzdłuż nowego frontu kompanii natknięto się na dwa wejścia, ale ani w jednym, ani w drugim nie znaleziono niczego większego niż pokryte łuską stworzenie rozmiarów

domowego kota. Ludzie, którzy natknęli się na zwierzaka zdecydowali, że dadzą mu spokój. Miał om bowiem wzbudzające respekt uzębienie.

Zbliżał się świt. Nawet z podniesionym ekranem Lon mógł dostrzec zarys

porośniętego lasem stoku na wprost niego. „Nie uda nam się zbliżyć do głównej grupy

rebeliantów tak, żeby nas nie zauważyli” – pomyślał. Choć na szczycie tego grzbietu

mogły się znajdować jakieś wrogie patrole, główny korpus stacjonował – tak

przynajmniej utrzymywano – za następną granią. Nawet kiedy Alfa wdrapie się na

najbliższe wzgórze, nieprzyjaciel będzie nadal ponad dwieście jardów przed nią, już w

zasięgu karabinów i miotaczy laserowych, ale zbyt daleko, jak na nośność granatników,

które w każdej drużynie niósł jeden z żołnierzy.

„Dopóki będą trzymać się nisko przy ziemi i nie zrobią nic głupiego, musimy iść za

nimi” – przemknęło Lonowi przez głowę. W dzień to się może równać samobójstwu, w

zależności od tego, jak dużo – a raczej jak niewiele – osłony będzie oferować teren

między dwoma grzbietami. „Ale korpus nie wierzy przecież w misje samobójcze.

Pułkownikowi musiało chodzić o coś innego” – wydedukował. Zaraz potem pokręcił

głową, przypomniawszy sobie, że wzdłuż doliny przesuwiała się norbankijska milicja,

kierując się prosto na rebeliantów. „Na pewno nie o to. Nie wierzę, że Flowers

przeznaczył trzy kompanie Norbankijczyków na krwawą ofiarę, która ma uutorować nam

drogę”. Pułkownikowi Flowersowi może i nie pękłoby serce z powodu ofiar

poniesionych przez Norbankijczyków, ale na pewno nie był dość gruboskórny, żeby

posyłać ponad czterystu lojalistów na pewną rzeź. „Jaką mamy alternatywę? Co mi umknęło?” – zastanawiał się w myślach Lon.

Elementem edukacji każdego, kto uczył się na dowódcę, było szukanie optymalnych rozwiązań danej sytuacji. Gry wojenne stanowiły integralną część programu nauczania w

Springs i – podobnie jak specjalistyczne zajęcia ponadprogramowe – były oceniane na równi z aktywnością fizyczną.

Zastanawianie się nad owym taktycznym problemem nie odciągnęło uwagi kadeta od

bardziej bezpośrednich zadań, a zatem od pilnowania swojego sektora czoła drużyny.

Próbował przypomnieć sobie szczegóły mapy, którą wcześniej oglądał – jak wygląda teren, gdzie są prawdopodobne pozycje wroga. Jednocześnie jego oczy badały piętrzący

się przed nimi stok, a uszy nasłuchiwały jakiegokolwiek dochodzącego stamtąd dźwięku.

Dolina, której zgodnie z podejrzeniami bronili rebelianci, miała nieco ponad milę długości między niższymi przełęczami obydwu wzgórz. Najbliższy szczyt wznosił się na

wysokość osiemdziesięciu stóp nad wewnętrzną częścią doliny; od strony, z której podchodziła Alfa, nie był aż tak wysoki. Dalszy grzbiet mierzył sobie więcej po obydwu

stronach. Odcinek doliny, który utrzymywali powstańcy, od przełęczu do przełęczu wynosił średnio tysiąc dwieście jardów.

„Miejsca jak na półtorej armii” – pomyślał Lon. Szacunki CIT odnośnie liczebności rebelianckich wojsk były wyjątkowo mgliste. Równie dobrze mogło ich być tylko sześć

setek – jak i sporo ponad tysiąc. „Do diabła z taką wojną. Może być jak dwa do jednego

w obie strony, a i tak nie poznamy szczegółów, dopóki nie znajdziemy się w środku bitwy”.

Starszy sierżant kompanii, Jim Ziegler, wywołał przez radio wszystkich dowódców plutonów i drużyn. Lona podłączono do kanału podoficerskiego. Nie wyglądało na to, że

na przedzie kompanii A coś się dzieje. Nikt nie odbierał z domniemanej pozycji nieprzyjaciela żadnych dających się zidentyfikować dźwięków.

–Chcę, żeby z każdego plutonu jedna drużyna podkraśla się tuż za linię grzbietu – odezwał się Ziegler. – Musimy wyznaczyć punkty obserwacyjne. Jeśli natkniecie się na

jakiś opór, postarajcie się stłumić go dyskretnie i po drodze nie włączcie, proszę, rebeliantom pod oczy.

Zanim dowódca czwartego plutonu zdążył wytypować do zadania jedną z drużyn, Wil Nance zgłosił się na ochotnika.

–Potrzebujemy tego, Jim – powiedział.

Jorgen nie zastanawiał się długo.

–W porządku, Wil, idziecie. Ale uważajcie, cholera, na siebie. Pilnujcie głów i tyłków.

Gdy Nance odezwał się na kanale drużyny, Lon już na niego czekał. Zdążył nawet wybrać sobie drogę na szczyt wzgórza.

Kiedy drużyna zaczęła podejście na stok, Lon Nolan znajdował się ledwie parę kroków na prawo od kaprała Nance'a. Spadek nie był stromy na tyle, żeby jego pokonanie miało sprawiać im jakiegokolwiek trudności, ale dość, żeby nadwerżyć mięśnie

łydek i ud, nawet pomimo faktu, że szereg niemal na każdym kroku zatrzymywał się, wypatrując wroga oraz min i bomb, które ten mógł podłożyć. W pewien sposób zbocze

okazało się pomocne. Oczy znajdowały się bliżej ziemi, a tym samym bliżej ewentualnych lokalizacji ładunków wybuchowych i śladów ludzi, którzy ostatnio szli tą

drogą. A gdyby Dirigentyjczycy zostali zmuszeni, aby szukać osłony, do pozycji horyzontalnej było już kawałek bliżej.

Jaśniejący blask świtu obrysował sylwetkę szczytu, odcinając się ostrą linią od cienistego płaszcza, przez który przedzierali się najemnicy. Wyższe piętra drzew rosnących na stoku już znalazły się w kręgu słońca.

„Wspinamy się na powitanie dnia” – przemknęło Lonowi przez głowę. Kiedy tyraliera zaczęła zbliżać się w stronę światła, przygarbił się jeszcze bardziej, podświadomie odsuwając od siebie moment, kiedy będzie musiał opuścić kryjówkę cienia i ubywającej nocy. Wielu innych żołnierzy zareagowało w podobny sposób i spory

kawałek przed wierzchołkiem ludzie praktycznie czołgali się pod górę.

–Padnij! – zakomenderował Nance, kiedy do grzbietu brakowało im jeszcze sześć stóp. – Następne wzgórze jest wyższe od tego. Ostrożnie podkradnijcie się na swoje

pozycje.

Przy samym szczycie gleba zaległa jedynie cienką warstwą, z trudem utrzymując skarłowaciałe drzewka między szczelinami skalnej formacji. Sama grań była niemal zupełnie pozbawiona roślinności – nagi kręgosłup zmurszałego wapienia. Kiedy Lon wczołgał się na niego i odważył po raz pierwszy spojrzeć na drugą stronę, jego oczom

ukazały się wierzchołki drzew porastających przeciwległe zbocze. Bardziej w oddali, za

kolejną doliną, wznosił się następny grzbiet – raczej zalesiony niż odsłonięty – równolegle

do tego, na którym się teraz znajdowali. Z tej odległości wyglądał na ponad dwadzieścia-

trzydzieści stóp wyższy, niż podawały mapy. Lon odsunął się od krawędzi, nie czując się

zbyt dobrze z głową na widoku.

W przeciągu kilku następnych sekund sytuacja zaczęła się pogarszać. Daleko na prawo od swojej pozycji Lon usłyszał strzały. Nie mógł być do końca pewien – huk odbijał się echem wśród wzgórz – ale podejrzewał, że do starcia doszło w pobliżu miejsca, gdzie znajdowała się, a przynajmniej powinna się znajdować, norbankijska milicja. Z początku słychać było jedynie kilka chaotycznych strzałów, prędko jednak zrobiło się głośno. Nie więcej niż minutę czy dwie później strzelanina brzmiała crescendo, zmieniając się w regularną wymianę ognia.

–Co tam się dzieje? – spytał porucznika Taitersa.

–Nie wiem. Pilnuj lepiej swojego sektora.

Lon znów podczołgał się na grzbiet, żeby rzucić okiem na przeciwległe wzgórze. Nie dostrzegł tam śladów żadnej aktywności, nawet kiedy ustawił maksymalne powiększenie

na ekranie helmu i powoli przeskanował całe zbocze. Nie natrafił na żadne rebelianckie

pozycje, nawet punkty obserwacyjne. „Nas na pewno nie byłoby widać – pomyślał Lon –

a już na pewno nie na pierwszy rzut oka. Ale do tego trzeba lepszego sprzętu i porządniejszego treningu. Jeśli ci powstańcy rzeczywiście nie są profesjonalistami...”.

–Poruczniku, wydaje mi się, że tam nie ma rebeliantów, a przynajmniej nie wielu.

Myślę, że znowu zmienili pozycje.

Tym razem Taiters nie odpowiedział natychmiast. Zostawił Lona przez chwilę na linii, a sam przełączył się na inny kanał, niedostępny dla kadeta, i przeprowadził parę

rozmów. Wreszcie ponownie zgłosił się na swojej linii.

–Możesz mieć rację – powiedział. – Od czasu, kiedy dotarliśmy na miejsce, nikt nie odnotował po tamtej stronie żadnej aktywności. Szukaj dalej. Pułkownik kontaktuje się

właśnie z CIT, potem zdecyduje, co z tym robimy. – Porucznik przerwał na chwilę. –

Strzelanina, którą słyszysz, rozgrywa się na ogonie oddziału żandarmerii – dodał. –

Kompania albo większa jednostka nieprzyjaciela uderzyła na nich od tyłu. Delta idzie na

odsiecz.

Lon podniósł się nieco wyżej, ale nie dość wysoko, żeby mógł stanowić dobry cel, w razie gdyby okazało się, że nie miał racji – i rebelianci stali po drugiej stronie. Chciał

obejrzeć sobie wschodnią część zbocza i dno doliny. Jeśli buntownicy nie znajdowali się

za następną granią, mogli być wszędzie indziej, w tym także tuż pod nosem Lona i pozostałych Dirigentyjczyków.

Strzelanina na południu przycichła. Lon obejrzał się w tamtym kierunku. „Któreś ze stron udało się zerwać kontakt bojowy” – pomyślał, a raczej zgadywał. „Rebelianci pewnie wycofali się, zanim dopadła ich Delta”. Druga wersja była bardziej naciągana, ale

równie sensowna. W końcu zamilkły też – jednocześnie – pozostałe karabiny.

Niemal w tym samym czasie strzały rozległy się w innym miejscu, w dole za Lonem, lekko na północ. Zaatakowali jego kompanię. Odturlał się od grani i zawrócił, szykując

broń i szukając celów. Nie dojrzał nigdzie ognia wylotowego, poza tym wyglądało na to,

że potyczka, która rozgrywała się blisko skraju linii obrony kompanii, nie należała do

poważniejszych.

–To tylko patrol – odezwał się jeden z dowódców drużyn na kanale podoficerskim. –

Zajął się nim pluton pierwszy. Pilnujcie swoich frontów.

Lon był już w drodze na grzbiet, kiedy kapral Nance rzucił drużynie rozkaz podejścia

na szczyt.

–Macie zostać po tej stronie grani – dodał Nance. – Na wypadek gdyby się okazało, że to tylko fortel mający wywabić nas z kryjówki i wystawić pod nos większej grupie po

drugiej stronie wzgórza.

„Amatorzy mogliby chyba spróbować czegoś takiego” – zastanawiał się w myślach

Lon. Przyjrzał się dokładnie zboczom i dnu doliny na wschód od swojej pozycji, od czasu

do czasu zerkając również za siebie. Akcja rozgrywała się dość daleko, ale z trudem

przychodziło mu ignorowanie strzelaniny za jego plecami. „Dlaczego ich w końcu

nie

załatwią?” – zastanawiał się. „Nawet jeśli bawią się w chowanego, jeden mały patrol nie

powinien sprawiać dużych problemów”.

Wymiana ognia zdawała się oddalać, zanim zupełnie zamarła. W panującej ciszy Lon mógł usłyszeć echa o wiele odleglejszych strzałów, tak zwielokrotnione, że nie był nawet

pewien, z jakiego kierunku leciały.

–Powstań. Ruszamy – na kanale podoficerów kompanii odezwał się kapitan Orlis. –

Odciągnijcie drużyny z grani i skierujcie się na południowy zachód.

Lon razem z Wilem Nance'em schodzili ostatni, pod kątem do reszty pierwszej

drużyny. Bez słowa podzielili między sobą sektory do patrolowania – każdy wziął na siebie połowę okręgu.

Kiedy już cała kompania zeszła do stóp zbocza, kapitan Orlis nie tracił czasu na kierowanie ludzi na poprzednie pozycje. Trzeci pluton stał na czole, za nim czwarty.

Porucznik Taiters szedł z pierwszą drużyną czwórki, między dwoma podległymi mu plutonami. Wywołał Lona na linii.

–Odnoszę wrażenie, że rebelianci bawią się z nami w kotka i myszkę – powiedział Lonowi na kanale prywatnym.

–Albo szybko się uczą, albo od czasu, kiedy wylądowaliśmy, zmienił się im dyrygent –zauważył Lon.

–Na to chyba, jasna cholera, wygląda – przyznał Taiters. – Batalion i CIT drepczą w miejscu, zastanawiając się, co dalej.

–Myśli pan, że rebeliantami dowodzi teraz ktoś obcy? – spytał Lon.

–Ktoś, kto ma za sobą profesjonalny trening, to na pewno.

Szli w ciszy kilka następnych minut, pilnując flank. Taiters wywoływał po kolei dowódców plutonów i drużyn.

–Wie pan co, gdybym to ja dowodził po drugiej stronie barykady, myślę, że zrobiłbym, co tylko się da, żeby odciągnąć nas jak najdalej od stolicy, a potem uderzyłbym na nią całym dostępnym arsenałem i spróbował obalić rząd coup de main –

powiedział Lon. – Mając nadzieję, że to wystarczy, aby wyłączyć nas z gry.

–Postawiliby nas przed faktem dokonanym, każdy wyszedłby z tego na czysto – odparł Arlan, kiwając głową. – Gdyby mieli kaprys i okazali wspaniałomyślność, pozwoliliby nam spokojnie odlecieć do domu i zaoszczędziliby sobie trochę zmartwień. –

Wzruszył ramionami. – Gdyby nie... moglibyśmy mieć cholerne problemy, żeby się stąd

bezpiecznie wyrwać.

–Nie sądzi pan chyba, że do tego dojdzie, prawda? – spytał Lon.

–Prawdopodobnie nie – zapewnił nieco zbyt pośpiesznie porucznik. – Jeśli by nie zostało nam już żadne inne wyjście, wycofalibyśmy się na pozycje defensywne i czekali

na wsparcie z Dirigentu. Mając za sobą broń i pomoc wahadłowców, powinniśmy wytrzymać tutaj cztery tygodnie, bo mniej więcej tyle czasu by to zajęło.

–Był już pan kiedyś na tak trudnym kontrakcie?

–Nie i nie uważam również, żeby sprawy miały przybrać aż tak zły obrót. W razie potrzeby mamy dość wojska, żeby użyć argumentu siły. – Niedopowiedziane „mam taką

nadzieję” rozumiało się samo przez się. – Jest jeszcze inna możliwość – dodał Taiters. –

Rebelianci mogą podjąć próbę zepchnięcia nas i milicji z powrotem do miasta, wznowienia oblężenia i w rezultacie zakorkowania nas na tak długo, jak długo zajmie im wykończenie naszych albo nakłonienie rządu do poszukania porozumienia. Moim zdaniem władze lokalne już naciskają pułkownika, żeby przystąpił do obrony stolicy.

„Już to widzę” – przemknęło Lonowi przez myśl. Na KND składały się oddziały lekkiej piechoty, których podstawowym przeznaczeniem była mobilność, a nie pełnienie funkcji statycznej obrony. Niezależnie od okoliczności, prawdopodobnie zostanie podjęta decyzja o trzymaniu batalionu poza miastem, gdzie będzie miał swobodę ruchów.

–Rząd może odwołać do miasta wszystkie swoje siły – zauważył Lon. – Dla nas to chyba nawet lepiej.

Przez następne półtorej godziny, podczas której batalion spotkał się z trzema kompaniami milicji, rebelianci nieustannie nękali ich seriami ataków – uderzali, po czym wycofywali się, zanim najemnicy zdążyli ich przyszpilić. Za każdym razem wyglądało na to, że w akcji bierze udział niepełna drużyna – ośmiu do dziesięciu ludzi, którzy zaszywali się w lesie po oddaniu kilku strzałów. Działania powstańców nie przyczyniły się do znaczących strat w ludziach, w ich wyniku śmierć poniósł tylko jeden Dirigentyjczyk; jednak kilku zostało rannych. Ale nie było najmniejszej szansy, żeby w najbliższym czasie wpakować ich do wahadłowca i ewakuować. Zbyt wielkie ryzyko. Jedynie można było umieścić rannych w przenośnych tubach pourazowych i przenieść,

pod silną eskortą, do Norbank City.

„Nie najlepiej to wszystko wygląda” – pomyślał Lon, gdy w pobliżu pozycji

kompanii Alfa doszło do kolejnego ataku. „Zupełnie jakbyśmy to my byli amatorami,
a

oni zaciskali nam pętlę na szyi”.

Od czasu do czasu dało się słyszeć przelatujące wysoko nad głowami wahadłowce.

**Lądowniki pozostawały na dużych wysokościach, gdzie były bezpieczne i
wpatrywały**

**głównego korpusu nieprzyjacielskich wojsk, które zgodnie z najdokładniejszymi
danymi**

**uzyskanymi przez CIT kryły się gdzieś wśród porośniętych lasami wzgórz. Dzień
zaczął**

wspinać się po czystym niebie, ale niemal zaraz po wschodzie słońca z zachodu

nadciągnęły chmury. Dwie godziny później zachmurzenie osiągnęło osiemdziesiąt

**procent, niemal całe niebo przykryła ciężka warstwa, która tymczasem skupiła się
na**

**wysokości jakichś czterech tysięcy stóp. Wahadłowce nie schodziły poniżej
pokrywy**

**chmur, co wykluczało szansę, że ich załogi będą mogły dojrzeć cokolwiek
użytecznego;**

**bardziej zaawansowany sprzęt techniczny – kamery na podczerwień, radary i radia
– w**

tych warunkach był efektywny jedynie w minimalnym stopniu.

Gdy tylko pułkownik Flowers zebrał swoje oddziały, wysłał kilka patroli w celu

wyłapania snajperów, którzy nie zaprzestawali działań zaczepnych. W przeciągu

kolejnych trzydziestu minut miały miejsce jeszcze trzy drobne potyczki, kiedy

Dirigentyjczycy natknęli się na rebeliantów i wszczęli walkę.

Kompania Alfa została odwołana z obwodu i przesunięta w środek obszaru uformowanego przez batalion i trzy kompanie milicji.

–Mamy robotę – kapitan Orlis poinformował podległych mu dowódców plutonów i drużyn. – Szykujcie się do wymarszu. Powiem wam, co jest grane, jak tylko pułkownik

Flowers przekaże mi wasze rozkazy.

Kapitan odezwał się ponownie już po czterech minutach.

–Kierujemy się na wschód. Pomysł jest taki: wysyłamy jeden pluton wraz z kompanią milicji trasą, która prowadzi prosto do stolicy rebeliantów, Fremont.

Pułkownik ma nadzieję, że groźba tego rodzaju zmusi ich do jakiejś reakcji. Kiedy już

dadzą odpowiedź, reszta kompanii wejdzie do akcji i będzie utrzymywać kontakt bojowy

z nieprzyjacielem do czasu, aż zdołamy ściągnąć więcej ludzi – o ile nie uda nam się załatwić tego własnymi siłami. Trzeci pluton idzie z milicją. Taiters, ruszasz z trójką i weź z sobą Nolana.

Kompania milicji wykazywała teraz większe zdyscyplinowanie niż podczas wyprawy po broń kilka dni wcześniej. Dowódca kompanii został przedstawiony jako kapitan Eustace Molroney. Czterej dowódcy plutonów otrzymali stopnie porucznikowskie i każdemu został przydzielony zastępca. Brakowało im jeszcze mundurów oraz insygniów.

Każdy miał na sobie takie okrycie wierzchnie, jakie udało mu się skombinować.

Kiedy mieszana jednostka oddaliła się od obwodu, Norbankijczycy pokazali, że przyswoili sobie podstawową wiedzę. Maszerowali w równym szyku, utrzymując odpowiednie odstępy i pilnując swoich flank. Pluton najemników szedł na szpicy, w

ariergardzie i na flankach – po drużynie na każdą pozycję. Taiters, Nolan i starszy sierżant Dendrov zostali z Norbankijczykami, trzymając się blisko kapitana Molroneya.

Kapitan wyglądał na dwadzieścia kilka, trzydzieści lat, choć na kolonii poziomu podstawowego, jaką był Norbank – równie dobrze mógł być w wieku Lona. W przeciwieństwie do niektórych swoich podkomendnych, Molroney sprawiał wrażenie człowieka tryskającego zdrowiem i przywykłego do świeżego powietrza. Był wysoki i dobrze umięśniony; twarz oraz ramiona pokrywała głęboka opalenizna, jakby większość

czasu spędzał poza domem. Sporym plusem był fakt, że najwyraźniej wzbudzał wśród

swoich, ludzi respekt i posłuszeństwo.

–Zrobiam, co im każę – powiedział porucznikowi Taitersowi, zanim jeszcze grupa minęła linię obwodu. – Nawet jeśli to nie po ich myśli i tak mnie posłuchają, a wątpliwości zostawią na później, kiedy już minie niebezpieczeństwo.

„Mam nadzieję” – pomyślał Lon, którego nie do końca to przekonało, ale Taiters i Dendrov tylko skinęli głowami, biorąc – albo przynajmniej stwarzając takie pozory – zapewnienia Molroneya za dobrą monetę.

Taiters zadał sobie pewien trud, upewniając się, czy norbankijski kapitan dokładnie zrozumiał, jaki jest cel ich misji.

–Zmierzamy w kierunku rodzinnych stron rebeliantów. Mamy zadziałać na nich jak magnes, jak zagrożenie, którego nie można zignorować. Kiedy już ich wywabimy i sprowokujemy walkę, będziemy utrzymywać kontakt bojowy tak długo, aż dotrze do nas

pomoc – najpierw reszta naszej kompanii, a potem, w miarę potrzeb, reszta batalionu.

–Jak dla mnie bomba – odparł Molroney. – Skoro o tym mowa, to ja poszedłbym

prosto do Fremont i załatwił sprawę na miejscu. Wysłali tutaj tylu ludzi, że na pewno nie

zostało ich zbyt wielu w domu.

–Nawet Gubernator Norbanku nie jest gotów na podejmowanie tak ambitnego

zadania – Taiters przypomniał kapitanowi. – My nie posiadamy ani dość ludzi, ani dość

sprzętu, a gubernator nie chce, żeby Norbank City zostało bez obrony.

–Wiem, wiem – odpowiedział Molroney, robiąc zniecierpliwiony gest ręką, w której

trzymał karabin. – Mówiłem tylko, co bym chciał zrobić, a nie co moim zdaniem

powinniśmy. A to różnica.

„Owszem” – przemknęło Lonowi przez głowę, ukrył szeroki uśmiech.

–Tak czy inaczej – ciągnął Molroney – im szybciej ruszymy w drogę, tym szybciej

będziemy mieli to za sobą, nie uważa pan?

Ruszyli więc na wschód – nie dokładnie, ale biorąc poprawkę na rzeźbę terenu. Na

obszarze pagórkowatym nie było możliwości wyboru trasy, która byłaby całkowicie

satysfakcjonująca. Nie chodziło tylko o to, że żadna z łatwiejszych ścieżek nie

prowadziła prosto w wytyczonym kierunku. Przemieszczanie się graniami mogło narazić

oddziały na wykrycie przez wroga, często z większych odległości. Droga przez doliny

stawiała ludzi w niekorzystnej sytuacji ze względów taktycznych – w razie

jakiegokolwiek starcia nieprzyjaciel górowałby nad nimi i w przenośni, i dosłownie.

A

kompromis? Podążanie szlakiem wzdłuż zbocza miało swoje minusy, włączając w to

dodatkowe obciążenie nóg i pleców. Zazwyczaj był to jednak wybór budzący

najmniejszy sprzeciw.

Trasa była w pewnym stopniu efektem wyborów Molroneya. Znał te tereny,

najprostsze (albo najbardziej pokrętne) ścieżki, które miały ich zaprowadzić do miejsca

przeznaczenia. Ów niewygodny złoty środek, czyli droga zboczem, był pomysłem

Taitersa. Trzymał drużyny zabezpieczające flanki możliwie jak najdalej po obu stronach

grupy – jedną blisko grzbietu wzgórza, którym szły oddziały, choć poniżej linii szczytu,

tak żeby sylwetki żołnierzy nie odcinały się na tle nieba; drugą po przeciwnej stronie

doliny, czasem niemal tuż pod granią przeciwległego wzgórza. Szpica szła zazwyczaj

dwieście jardów przed główną grupą.

–Szukamy kontaktu z wrogiem, ale chcę wiedzieć o nim możliwie najwcześniej –

wyjaśnił Taiters. – Muszę poza tym wiedzieć, jak bardzo jest liczny. Jeśli to będzie patrol,

nie czekamy na posiłki, tylko rozprawiamy się z nim i idziemy dalej. Jeśli już natrafimy

na większą jednostkę, wolałbym mieć coś do powiedzenia w kwestii wyboru pola walki.

W przeciągu pierwszych dwóch godzin nie natknięto się na żaden ślad rebeliantów,

nawet jednej z tych wałęsających się po okolicy grup dywersyjno-rozpoznawczych, które

wcześniej tego dnia przypuszczały ataki na najemników i ich lokalnych

sprzymierzeńców.

–Musieli zobaczyć, że się oddalamy – powiedział Lon do porucznika podczas

krótkiego odpoczynku. – Nie próbowaliśmy przecież wykradać się chyłkiem.

Minęli jedną dolinę, zmierzając na północny wschód, następnie zawrócili i kierowali się niemal na południowy wschód wzdłuż kolejnej pochyłości, maszerując w stronę przełęczy, która miała umożliwić im obranie bardziej bezpośredniej drogi na wschód.

–Obserwują nas – rzekł Taiters, choć nie miał dowodów na potwierdzenie swoich domysłów. – Może i zeszli nam z drogi, ale na pewno nas obserwują.

–I tylko śledzą? – Dopóki rozmawiali z sobą ściszymi głosami i używali drogi radiowej, mogli w sposób niezauważony wykluczyć Molroneya z wymiany zdań.

–Licho ich wie. Nie zaszliśmy jeszcze zbyt daleko, aby mogli wywnioskować, że idziemy na Fremont. Mogą na razie sądzić, że wypuściliśmy się na polowanie albo że

usiłujemy zająć ich od tyłu. Jeszcze kilka godzin i powinni się zorientować, w czym rzecz. Najpóźniej do zapadnięcia zmroku. Potem poczekamy, aż zabawa się rozkręci. – W

ponurym głosie porucznika pobrzmiwała powaga.

–Nocny atak? Bez noktowizorów?

–Raz już im się udało – Taiters przypomniał Nolanowi. – Zresztą, ludzie walczyli w nocy całe tysiąclecia, zanim ktoś wymyślił coś, co mogłoby pomóc lepiej widzieć w ciemności. Ale może bardziej prawdopodobny jest atak o świcie. Dużo zależy od tego, ile

czasu zajmie im przemieszczenie wojsk, które będą miały za zadanie odciąć nam drogę; a

może i od tego, czy niebo nadal będzie zachmurzone. My będziemy parli naprzód tak

długo, jak zdołamy po zachodzie słońca, a potem zajmiemy najlepsze pozycje defensywne, jakie uda nam się znaleźć – tak na wszelki wypadek.

Parę minut później kapitan Orlis przekazał informację, że pułkownik wydał

wahadłowcom rozkaz odbycia kilku lotów w stronę rodzinnych okolic rebeliantów – nie

tyle w celu jawnego ostrzeżenia, ile raczej delikatnej sugestii.

– Nawet jeśli rebelianci nie będą mogli wypatrzeć wahadłowców, usłyszą je dość wyraźnie – powiedział Taiters. – To powinno wyglądać, jakbyśmy przeprowadzali rozpoznanie nad Fremont.

– A gdybyśmy po prostu połączyli się z rebeliantami przez radio i powiedzieli im:

„Jeśli się teraz nie poddacie, zniszczymy wasze domy i farmy?” – zaproponował Lon.

Arlan nawet nie odpowiedział.

Zachmurzenie rosło, a w ciągu ostatnich godzin dnia pokrywa chmur osiadła jeszcze

niżej, pogrążając las w przedwczesnym zmierzchu. Tuż przed zachodem słońca zaczęła

się podnosić lekka mgła.

– Kazałem drugiej drużynie znaleźć dla nas miejsce pod obóz – Taiters poinformował

Lona. – Nie ma sensu potykać się w tym czymś, skoro możemy znaleźć sobie jakiś kawałek ziemi, gdzie będziemy mogli wystawić czatę.

– Jeśli ten manewr skrępuje ruchy naszej żandarmerii, przyhamuje tym samym rebeliantów – zauważył Lon. – Nie będą w stanie dobrze widzieć, a ponadto nie mają przewodników z systemami noktowizyjnymi.

– Jak się uprą, żeby iść, to pójdą, nie oglądając się na przeszkody – skontrował Arlan.

– Nigdy nie szacuj zbyt nisko swojego przeciwnika.

„Wygląda na to, że w tej materii zdążyliśmy już się wykazać” – Lon zatrzymał swoją

uwagę dla siebie.

Piętnaście minut później na kanale radiowym odezwał się Tebba i poinformował ich, że znaleźli dobre miejsce na postój – szeroką grań kształtem przypominającą siodło, z

plytkim wgłębieniem, które zapewni im dogodną pozycję defensywną i możliwość osłony każdego ewentualnego podejścia.

–Nie ma tu ani drzew, ani wody – dodał Girana. – Oprócz tego, co spadnie z nieba, ale poza tym jest wszystko, czego nam potrzeba.

–Zostań tam – polecił mu Taiters. – Dołączymy do was. – Podniósł ekran hełmu, żeby

poinformować kapitana Molroneya o znalezisku.

Molroney skinął głową.

–To będzie Łysy Jeffrey – powiedział. – Gdybym wiedział, czego szukacie, powiedziałbym wam o nim. Jedyne takie miejsce w promieniu wielu mil.

–Czy są jakieś przeszkody w wykorzystaniu tej lokalizacji jako pozycji defensywnej? – spytał Taiters. – Jakież ślepe szlaki prowadzące pod górę albo coś podobnego?

Molroney zastanowił się chwilę, zanim potrząsnął głową w odpowiedzi.

–Nigdy nie patrzyłem na nie z punktu widzenia użyteczności wojskowej, ale moim zdaniem to najlepsze miejsce w obrębie dwudziestu mil. Tak długo, jak starczy nam broni i amunicji, nie ma szans, żeby rebeliantom udało się nas stąd wygonić albo dopaść,

no chyba że byliby w stanie poświęcić przy tym wielu swoich ludzi.

–Nie interesuje nas odgrywanie się „do krwi ostatniej” – rzucił sucho Taiters. –

Chcemy tylko spędzić bezpiecznie noc, a może i część jutrzejszego dnia. O ile

nieprzyjaciel nie uderzy na nas zaraz po świcie, ruszymy dalej. – Molroney przytaknął

ruchem głowy. – Może już czas zacząć się zastanawiać nad innymi lokalizacjami, które

mogą przydać się nam jutro – ciągnął Taiters. – Kiedy już dotrzemy na miejsce, siądziesz

ze mną przy mapniku i zobaczymy, czy uda nam się wybrać taką trasę, żeby zawsze mieć

pod ręką dobre miejsce do defensywy.

–Spoko – odparł Molroney, kiwając głową. – Ale od razu wam mówię, że żadne nawet w połowie nie dorówna Łysemu Jeffreyowi.

„Gdyby rebelianci dysponowali choć jednym poduszkwowcem, obrona tego miejsca to

byłoby normalnie samobójstwo” – pomyślał Lon Nolan, badając wierzchołek Łysego Jeffreya. Nie zapewniał żadnej osłony w razie ataku z powietrza, a pociski rykoszetowałyby od skał, podwajając tylko efektywność powietrznego szturmu. Ale przeciwko wrogowi, którego siły składały się wyłącznie z oddziałów piechoty, nadal dawało pewną przewagę. „Powinno sprawdzić się w swojej roli” – zdecydował Lon. Jedynym rzeczywistym zagrożeniem mogły być granaty, ale wyglądało na to, że powstańcy używają raczej granatów ręcznych niż wyrzutni, które miały większą donośność i celność.

„Chyba że trzymają coś w zanadrzu” – zaniepokoił się. Istniało ryzyko, że rebelianci nie zaprezentowali jeszcze całego swojego repertuaru. Zmienili taktykę, zaczęli wykazywać większe zdyscyplinowanie od czasu, kiedy Dirigentyjczycy wylądowali na

ich planecie. Może byli też w posiadaniu dodatkowej broni – granatników albo nawet myśliwców.

Porucznik Taiters rozstawił swoje cztery drużyny wokół obwodu grani o kształcie przypominającym banan i uzupełnił wiedzę kapitana Molroneya na temat swoich ludzi.

–Nieważne, skąd nadejdzie nieprzyjaciel, zawsze mamy pod ręką trzon w postaci moich zawodowców wyposażonych w sprzęt noktowizyjny i lata doświadczeń, to wszystko daje pewność, że damy mu radę – wyjaśnił porucznik. – Twoi podkomendni

dostarczą tylko arsenału. Myślę, że wspólnymi siłami zdołamy odeprzeć każdy

potencjalny atak.

Uśmiech Molroneya był raczej grymasem.

–Jestem tego pewien, poruczniku – powiedział. – Jak już wspominałem wcześniej, to

najlepsza w okolicy scena do odstawienia naszego show. Dalibyśmy radę wytrzymać

tutaj sporo czasu, niezależnie od tego, jak wielu ludzi by na nas nastali.

Pierwszy rozkaz dotyczył udoskonalenia dzieła natury poprzez maksymalizację możliwości obronnych pozycji. Następnie ludziom pozwolono się najeść, po czym postawiono ich na warcie pół na pół – najemników i Norbankijczyków.

–Jak tylko nadarzy się okazja, porozmawiaj z Molroneym – Arlan poradził Lonowi, kiedy na moment zostali sami. – Spróbuj dowiedzieć się czegoś o obecnej sytuacji.

Bardziej prawdopodobne, że otworzy się przed tobą niż przede mną.

–Że niby jestem tylko uczniakiem, którego zdanie się nie liczy? – spytał Lon z szelmowskim uśmiechem, w odpowiedzi na który Arlan również się uśmiechnął.

–Że niby tak. Powiedziałem mu, że zamierzam zostawić cię z nim dziś wieczorem w charakterze łącznika. Tym sposobem on i ja będziemy mogli się rozdzielić. Wyjaśniłem

mu taktyczną słuszność takiego posunięcia – zredukuje to prawdopodobieństwo, że obydwaj zostaniemy jednocześnie skasowani.

–Zrobię, co będę mógł. Sam chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tej walce. Nie do końca to wszystko do mnie przemawia.

Znalezienie okazji do rozmowy z kapitanem milicji nie było proste. Molroney

podchodził do kwestii przywództwa na zasadzie „pracy zespołowej”. O ile nie jadł albo

właśnie nie próbował odpocząć, rozmawiał z dowódcami plutonów i ich zastępcami,
a

nawet ucinał sobie pogawędki z najzwyklejszymi szeregowcami.

–No dobra, to o co wcześniej pytałeś? – spytał Molroney, kiedy w końcu udało im się

usiąść razem. – I tak jestem zbyt podkręcony, żebym zasnął.

–Zastanawiałem się tylko, co może być motywem działań rebeliantów – powiedział

Lon. – Zeszłej nocy walczyli przeciw do ostatniego człowieka. Jak na polityczne różnice,

takie akcje zalatują lekką przesadą.

Molroney prychnął.

–Bywa, że jedna polityka jest ważniejsza niż inne – odpowiedział. – A poza tym, no chyba rozchodzi się o coś bardziej podstawowego. Nie mam pojęcia, ile o nas wiecie... –

Zerknął w stronę Nolana.

–W sumie to niewiele – przyznał Lon, co w zasadzie było zgodne z prawdą. –

Powiedziano nam tylko, że mieliście tutaj dwie fale osadników, że twoi ludzie przylecieli

trzydzieści lat przed tamtą grupą i że tamci od początku byli mało... kooperatywni.

–I w sumie to prawda – odparł Molroney. – Dużo gadania, a tak naprawdę niewiele to

wszystko mówi. – Urwał i spojrzał prosto na Lona – choć było zbyt ciemno, żeby dojrzał

coś więcej, jak tylko rozmazaną sylwetkę kadeta. – Twój porucznik mówił mi, że jesteś z

Ziemi. Prawda?

–Opuściłem planetę niecały rok temu – potwierdził Lon.

–To może w takim razie nasza historia będzie miała dla ciebie większy sens – zaczął

Molroney – niż dla tych pastuszków, którzy kierują twoją brygadą. Widzisz, my, pierwsi

osadnicy też przybyliśmy prosto z Ziemi. Kolonię założyła i zorganizowała Fundacja

Przesiedleńcza Charlesa i Emily Norbanków, a – czy to z jednej, czy z drugiej linii – jakaś

jedna piąta pierwszych kolonistów albo wywodziła się z Norbanków, albo była z nimi

spokrewniona: dzieciaki, kuzyni, ciotki i wujowie i tak dalej, i tym podobne. Charles i

Emily, ci z fundacji, nie przylecieli z nimi, mimo że ucieczka z Ziemi była ambicją ich

życia. Charles umarł na pół roku przed odlotem, a Emily została, bo czuła, że jest za stara

na podróż i zaczynanie wszystkiego od nowa na jakiejś kolonii, zwłaszcza bez męża przy

boku. – Molroney położył się. – Norbankowie chcieli zostawić za sobą przeludnienie,

zbrodnie, wszędobyłski rząd i natłok zasad. Myślę, że naprawdę mieli tego wszystkiego

po dziurki w nosie, a już szczególnie życia wypełnionego oszczędzaniem pieniędzy i

planowaniem. Stworzyli dla nas Kartę Praw – tylko absolutne minimum zasad, które

miały nam pomóc przetrwać i rozwijać się, takie było założenie. Każdy mógł właściwie

robić to, na co miał ochotę, pod warunkiem, że nie kolidowało to z wolnością drugiego

człowieka. Na samym wstępie Karty Praw jest cytat jakiegoś Jeffersona, z Ziemi.

Powiedział: „Moje prawo do wymachiwania pięściami kończy się tam, gdzie zaczyna się

twój nos”.

–No a rebelianci? – dopytywał się Lon, kiedy Molroney nie odzywał się przez ponad

minutę. – Nie akceptują waszej Karty Praw?

–Nigdy jej nie akceptowali. To Diviniści.

Lon zagwizdał cicho.

–Widzę, że o nich słyszałeś – zauważył Molroney.

–Oczywiście, że słyszałem. W Springs, Północnoamerykańskiej Akademii

Wojskowej, studiowaliśmy historię buntu Divinistów. Nie wiedziałem jednak, że przetrwały jakieś większe grupy albo że uciekły z Ziemi.

–Na pewno żeśmy ich tutaj nie zapraszali. Nie mieliśmy pojęcia, że są w drodze, aż wylądowali, a jeszcze później dowiedzieliśmy się, co to za jedni i czego chcą. To

Konfederacja Ludzkich Światów nam ich wcisnęła. Myślę, że chyba wciąż byliśmy zbyt

malutcy i zbyt nieistotni, żeby przejmowano się naszym zdaniem w tej sprawie. No i

Diviniści założyli własną kolonię, dalej w górę rzeki i trzymali się z dala od nas – i to

najzupełniej dosłownie. Nie chcieli mieć nic do czynienia z nami z Norbank City, nie

wpuszczali do siebie naszych ludzi, nie chcieli wcale handlować. Ich jedynym towarem

była propaganda religijna.

–Dlaczego sytuacja uległa zmianie?

–Doszli do wniosku, że nie wystarczy, żebyśmy żyli w osobności we wspólnym

świecie, a sami nie chcieli zaakceptować naszych zasad. Zażądali, żebyśmy uznali ich

wyłączne prawo do planety i sprawowanie nad nami władzy. Nie mogliśmy się

oczywiście zgodzić. No to zaczęły się problemy. Z początku nie wyglądało to groźnie,

ale sytuacja ciągle się pogarszała, aż – ostatecznie – skończyło się na otwartej walce.

–Na Ziemi za broń chwytały nawet ich kobiety i dzieci – powiedział Lon raczej do siebie niż swojego towarzysza. – Ale tutaj nie natrafiliśmy na żadne ofiary wśród kobiet i dzieci.

–Nie, też nie widziałem, przynajmniej jak na razie – odezwał się Molroney. – Ale mamy szansę na taki widok, jeszcze zanim to wszystko się skończy.

Parę minut później Lon usprawiedliwił się zmęczeniem i odwrócił od kapitana milicji. Leżał w ciszy, przysłuchując się, jak Molroney kręci się i układa do snu. Kapitan

w końcu znalazł sobie wygodną pozycję, a wtedy Lon połączył się z porucznikiem Taitersem i rozmawiał z nim szeptem, tak żeby Molroney nie mógł go podsłuchać. Taiters nigdy nie słyszał o Divinistach.

–Religijni fanatycy z Ziemi – wytłumaczył mu Lon. – Jakieś siedemdziesiąt pięć lat temu usiłowali wyłączyć się spod mocy prawnej rządu światowego, argumentując swoją

decyzję tym, że mają własne zasady postępowania i własny kodeks i że nie będą podlegać żadnej innej władzy poza własną. Próbowali walczyć z całym światem i stłumienie ich rebelii zajęło więcej niż dwa lata. Nie istnieją żadne oficjalne statystyki,

ale wydaje mi się, że ponad sto tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci wybrało wtedy śmierć

niż złożenie broni. Najwyraźniej Konfederacja Ludzkich Światów zrzuciła tutaj tych, którzy ocaleli. A oni szykują się teraz do drugiego podejścia.

Kilka minut później Taiters połączył się z Nolanem.

–Pułkownik wiedział o tych całych Divinistach, ale nie zdawał sobie sprawy, o co im

chodzi. Wygląda na to, że Norbankijczycy nigdy o tym nie wspominali. To i tak nie zmienia naszych planów. Nadal będziemy zmierzali na wschód, aż uda nam się sprowokować ich do ataku, następnie zajmiemy się nimi do czasu, kiedy pułkownik podeśle posiłki.

Lon nie spał przez resztę nocy. Kiedy Molroney wstał na patrol obwodu, Lon przyjął to z ulgą, bo miał pretekst, aby samemu podnieść się z posłania. Przywódca milicji nieco spuścił z tonu. Brak snu zaczynał dawać mu się we znaki.

–Nie mam nic przeciwko porządnemu starciu – zwierzył się Molroney. – Ale wolałbym raczej, żeby przestali się z nami bawić i zabrali w końcu do rzeczy.

„Jak już się zaczniesz, może wcale nie będziesz tak myślał” – przemknęło Lonowi przez głowę, ale nie było sensu wypowiadać tego na głos. Byłoby to tylko marnowanie

energii, a energia była tą rzeczą, której nie miał już na zbyciu.

O świcie pluton trzeci i kompania milicji szykowały się do spakowania obozowiska.

–Nie ma potrzeby pośpiechu – Taiters odezwał się do Molroneya. – Ale musimy ruszyć stąd jeszcze dzisiaj rano. Jeśli zostaniemy na miejscu, rebelianci nie będą zmuszeni się spieszyć, żeby odciąć nam drogę.

–Chyba ma pan rację, poruczniku – przyznał Molroney z wyraźnym ociąganiem. – Choć z wielkim żalem opuszczam Łysego Jeffreya.

Taiters posłał przodem cały swój pluton, żeby sprawdził, czy na obranej przez nich trasie nie podłożono w nocy żadnych bomb i rozejrzał się na długości pierwszej mili za

potencjalnymi zasadzkami. Gdy tylko Taiters dostał od dowódców drużyn negatywne

wyniki rozpoznania, rzucił rozkaz do wymarszu.

–Zbierzemy moich ludzi po drodze – powiedział Molroneyowi, kiedy zeszli ze

wzgórza. – Drużyny czołowa i skrzydłowa będą na swoich pozycjach, a ariergarda zajmie

miejsce za nami.

Podczas drogi w dół Molroney rozglądał się wokoło, jakby próbował wypatrzeć najemników.

Taiters zaśmiał się cicho.

–Jeśli uda ci się dojrzeć ich stąd, to znaczy, że nie wypełniają zadania, do którego mają wszelkie predyspozycje, kapitanie.

To był raczej popis niż realna konieczność, ale podczas pierwszych kilku godzin poranka najemnicy bawili się w wypadki i postoje, raz po raz wyprzedzając milicję, a potem czekając, aż Norbankijczycy podejną bliżej. Pomysł polegał na tym, żeby sprawić

wrażenie działania według wzorca – który później, w razie konieczności – może przynieść

dobre efekty. Porucznik Taiters pozostawał niemal w ciągłej łączności z kapitanem Orlisem. Kapitan informował go cały czas nie tylko o ruchach pozostałych plutonów kompanii Alfa, ale również reszty batalionu i kompanii milicji, a kiedy spływały nowe meldunki z rozpoznania powietrznego – także o kierunku przemieszczania się nieprzyjaciela.

Niewiele pojawiało się tych ostatnich raportów, a i te były raczej wynikiem

szczęśliwego trafu niż czegokolwiek innego Rebelianci dawali po sobie poznać, że

porządnie odrobili zadanie domowe. Wiedzieli, że są bezradni wobec sił powietrznych,

więc starali się ze wszystkich sił maskować swoje ruchy.

–Wygląda na to, że nas śledzą – Taiters podzielił się swoimi przypuszczeniami z kapitanem Molroneym, kiedy milicja zatrzymała się na obiad. – Na razie trzymają się z dala, ale zdaje się, że zmierzają równolegle do nas po obu stronach. Po tym, jak zlokalizowano dwie małe grupy maszerujące mniej więcej na wschód, w Centrum Informacji Taktycznej uważają, że gdzieś przed nami powstańcy szykują niespodziankę. –

Taiters wyciągnął mapnik i pokazywał, gdzie widziano ich tego ranka. – Nie wiemy jeszcze, kiedy mogą uderzyć na nas większym oddziałem. Jeśli czują, że nie posiadają pod ręką dość ludzi, żeby dać nam radę, może skończyć się tak, że zaczniemy wpadać na

zasadki, które nas spowolnią, a im dadzą czas na sprowadzenie dodatkowych sił.

–Pańscy kumple mają jakieś pomysły co do statystyk? – spytał Molroney. – Na jak dużą grupę mamy szansę wpaść?

Taiters pokręcił głową.

–CIT nawet nie będzie próbowało zgadywać. Dane są zbyt szczątkowe i zbyt nieprzekonujące.

–Jak daleko na wschód były prowadzone obserwacje?

Arlan wahał się przez sekundę, po czym wskazał migający czerwony punkcik na mapniku.

–Tutaj, jakąś godzinę temu.

–Może i nie mam fantastycznych komputerów, które przezuwają pytania i wypluwają odpowiedzi, ale potrafię dość dobrze przewidzieć, gdzie na nas uderzą. –

Molroney przeciągnął palcem wzdłuż ekranu. – Widzi pan tę wodę? To Dopływ

Andersona, nazwany tak od nazwiska pierwszej rodziny, która się nad nim osiedliła.

Jeśli

zmierzamy w rodzinne strony rebeliantów, musimy przejść przez ten potok. Przez ostatnie trzy czwarte mili przed Pierwszą Rzeką nie ma już żadnego brodu, nurt jest zbyt

szybki, woda zbyt głęboka. Ale w górę strumienia można znaleźć parę dogodnych miejsc, którymi teraz – zanim pora deszczowa na dobre się rozpocznie – można przeprowić się na drugi brzeg. – Pokazał na mapie kilka punktów. – A jeśli byśmy chcieli

zrobić dużą pętlę na północ, dalej za tym punktem... – postukał palcem w punkt leżący

trzy mile nad ostatnim odcinkiem brodu przed ujściem strumienia do rzeki -... możemy

przeprować się w sumie gdziekolwiek.

–Gdybyśmy rzeczywiście kierowali się do ojczyzny wroga, który bród najpewniej byśmy wybrali? – spytał Taiters.

–Gdybyśmy się nie obawiali, że ktoś mógłby stanąć nam na drodze, to ten, przedostatni przed ujściem. Prowadzi tam wcale dobra ścieżka. Wydeptała ją lokalna

zwierzyna, ale myśliwi sporadycznie korzystają z niej na odcinku kolejnych dwudziestu

mil. Gdybyśmy szukali bezpiecznej przeprowy, a przynajmniej bezpieczniejszej, a do tego nie chcieli zbyt zbaczać z drogi, pokierowalibyśmy się tutaj. – Kilka razy postukał palcem we wskazane miejsce. – O tej porze roku woda będzie prawdopodobnie

sięgała nieco powyżej pasa, a prąd zapowiada się na umiarkowany, ale za to obydwa

brzegi zapewniają dobrą osłonę. Oczywiście ten kij ma dwa końce – wzruszył ramionami

Molroney.

–Tak czy inaczej, będą mieli czas, żeby się przygotować – powiedział Taiters. – Jeśli nas obserwują, będą wiedzieli, który bród wybierzemy, zanim zdążymy dotrzeć do tego

miejsca. – Punkt, który pokazywał na mapie, znajdował się jakieś pięć czwartych mili od

każdego z brodów. – Do skraju tego wzgórza będziemy podchodzić.

–A co im to da? – spytał Molroney. – Piętnaście, dwadzieścia minut, żeby przejść na drugi skraj grzbietu albo zebrać się do kupy, jeśli obserwowali obydwie krańce wzgórza.

Taiters wolno pokręcił głową.

–Mogą zyskać więcej czasu, niż pan sądzi, kapitanie. Potrzebują do tego tylko paru bohaterów, którzy wyjdą nam naprzeciw i spowolnią nasz przemarsz przy pomocy snajperów, granatów albo najzwyczajniej podkładając na naszym szlaku bomby. Być może już naszprycowali obydwie trasy.

–Ale przecież taka jest idea, dostać ich, czy nie tak, panie poruczniku? – spytał Molroney. – Zmusić do tego, żeby stanęli przeciwko nam.

–Bez oddawania bitwy walkowerem, jeśli się da, kapitanie. Chcielibyśmy jeszcze wrócić do domu. Jeśliby już mieli z jakiegoś powodu nabrać podejrzeń, to wtedy, kiedy

byśmy za bardzo szli im na rękę.

–W takim razie ruszymy tędy. – Molroney wskazał miejsce, o którym mówił

wcześniej, że zapewni im lepszą osłonę. – Podszyt to zupełnie co innego. Wielkie pnącza

tworzą coś jakby labirynt, a sploty sięgają czasami nawet na dziesięć, dwanaście stóp w

górze i rozrastają się od jednego brzegu aż na obydwie zbocza wzgórza. Kiedy przyjdzie

szczyt pory deszczowej, pnącza rozciągną się również na wodzie, ale na razie jest czysto.

–Brzmi jak niezły bajzel – zauważył Lon.

–Coś w tym jest. – Molroney zaśmiał się. – W takim gąszczu człowiek może się zgubić na cacy. Ale wy, chłopaki, z całym waszymi noktowizorkami i elektroniką, dla

was to nie będzie żaden problem, nawet w ciemnościach, ale jestem pewien jak jasna

cholera, że sam nie chciałbym zaplątać się tam w nocy – nie wtedy, gdybym musiał wyjść

przed wschodem słońca.

–Są dość suche, żeby się paliły? – spytał Taiters.

–No, w tym roku ani razu nie widziałem tamtego odcinka, więc nie mogę mieć zupełnej pewności, ale wątpię. Zarośla owoców leśnych spotyka się tylko przy dobrych

źródłach wody, jak na przykład Dopływ Andersona. Czasami mam wrażenie, że korzenie

idą prosto do rzeki. Są zielone i rosną nawet, jak wszystko wokół zeschnie się na wiór.

–Jadalne? – spytał Lon.

–Jasne, ale o tej porze wydają już drugie owoce, a te nie są tak słodkie jak z pierwszego owocowania. Tamto przypada na koniec pory deszczowej, czyli za jakieś

sześć miesięcy. Wtedy jagody przybierają jasnoczerwony kolor i są prawie tak duże jak

kciuk. Teraz będą czarnofioletowe i o jakąś połowę mniejsze.

–Jak mocną osłonę może zapewnić nam ten gąszcz? – zapytał Taiters, któremu nie przypadła do gustu nieistotna dygresja o jagodach. – Pytam, czy jeśli już się tam znajdziemy, to czy oni będą mogli przycupnąć sobie na tych wzgórzach i nas powystrzelać?

–Niech pan posłucha, strzelają sporo i pewnie zrobią wyłom, ale nie od razu. Te pnącza mają dużo liści wielkości pańskiego hełmu. Ale w końcu rebeliantom uda się przestrzelić przez osłonę i zobaczą nas. O ile zatrzymamy się tutaj wystarczająco długo.

–Gdzie musielibyśmy pójść? – Chciał wiedzieć Taiters. – Jeśli będziemy przeprowiać

się przez potok w tym miejscu, idąc przez zarośla na jednym brzegu i na drugim, a nieprzyjaciel będzie siedział na stokach na wprost nas, to nie zostaje nam wiele możliwości do wyboru.

–No cóż, ten szlak idzie jakby między dwoma wzgórzami i prowadzi na bardziej otwarty teren. Jak już powiedziałem, pnącza trzymają się blisko wody.

–Mamy sobie urządzić ścieżkę zdrowia? – spytał Taiters.

–Spróbujemy wcisnąć się między dwa skupiska wroga, który może nas z łatwością powybijać? Nie wydaje mi się.

–Gdziekolwiek byśmy przekraczali Dopływ Andersona, rebelianci i tak będą mieli nad nami przewagę, poruczniku – uprzytomnił mu Molroney. – Jeśli pójdziemy przez zarośla, w niższych partiach stoków dojdziemy do drzew i innych krzaczków. A to pozwoli nam przedrzeć się jakoś na wyższe piętra albo podjąć próbę wyminięcia powstańców. Jedyne, co nam zostaje jako wyjście alternatywne, to posłanie tam tyłu

ludzi, żeby skupili na sobie rebeliancki ogień, podczas gdy reszta zostanie na wyższych

piętrach po zachodniej stronie potoku i wda się w dłuższy kontakt z wrogiem. To się panu bardziej podoba?

–Panie poruczniku, jeśli tego spróbujemy, to niby co powstrzyma wroga przed zostawieniem na drugim grzbiecie wystarczającej ilości żołnierzy, żeby i tak mogli nas

przygwoździć? – odezwał się Lon. – Mogą wycofać część swoich ludzi, a wtedy pewnie

niełatwo przyjdzie nam znów wpaść na ich trop.

Taiters wpatrywał się w Lona.

–Myślę, że będziemy musieli stawić temu czoło, ale to pułkownik Flowers podejmie ostateczną decyzję.

Wybór wydawał się Lonowi nieuchronny, ale kiedy pułkownik Flowres podał go do wiadomości, nadal stanowił pewne zaskoczenie.

–Wchodzicie. Musimy podjąć ryzyko. Postaramy się podesłać wam wsparcie najszybciej jak to tylko możliwe – zakomenderował Flowers po konsultacji ze swoim sztabem i CIT na pokładzie Wężyska.

Dodatkowy rekonesans lotniczy zdawał się potwierdzać przypuszczenia, że rebelianci planowali nie dopuścić do przeprawy przez Dopływ Andersona. Nadal brakowało rzetelnych danych, ale na podstawie rosnącej liczby namierzeń można było

przypuszczać, że prawdopodobnie kierują większość swoich sił na pozycje albo w celu

zablokowania brodu, albo żeby spotkać się z dodatkowymi oddziałami.

Sporządzono zapis wideo i serię fotografii potoku i obydwu jego brzegów w pobliżu pierwotnie wybranych brodów, zarówno na częstotliwościach światła widzialnego,

jak i

w podczerwieni. Udoskonalony cyfrowo obraz dał najemnikom jako takie wyobrażenie o

tym, czego mogli się spodziewać, kiedy już dotrą na skraj gąszczu – labiryntu z placu

zabaw, który ogarnęło całkowite szaleństwo.

„Waż by się tutaj na śmierć zasupłał” – pomyślał Lon po kilku minutach baczego przyglądania się ostatecznemu efektowi. Jedynym drogowskazem będzie niewielkie wzniesienie w stronę wody. A to może okazać się niewystarczające. „Nie chciałbym się

na to porywać bez elektroniki”.

Na chwilę przed trzecią po południu Lon leżał na szczycie wzgórza razem z

Taitersem i Molroneym, oglądając pieniaące się w dole chaszczę i potok płynący przez

środek gąszczu. Liście pnączy były błyszczące i lśniły szmaragdową zielenią, w której

promienie słońca odbijały się jak w lustrze. Nawet ustawivszy maksymalne powiększenie na ekranie hełmu, Lon nie potrafił znaleźć ścieżki przez gęstwę ani dostrzec ziemi pod warstwą liści.

–Zauważyłem refleks światła na metalu, tam na drugim grzbiecie – wyszeptał

Molroneym po kilku minutach. – Może stopień czy dwa na prawo ode mnie, nad tamtym

pieńkiem. Widzicie?

Lon i Arlan skierowali wzrok w podanym kierunku. Minęło trzydzieści sekund, zanim dostrzegli kolejny błysk.

–Widzę – potwierdził Arlan. – Trudno powiedzieć, czy to pojedynczy żołnierz, czy

może czeka tam na nas co najmniej kompania.

–Jeśli nie siedzi tam kompania albo coś większego, założę się, że są parę stóp pod granią na drugim końcu – powiedział Molroney. – Czekają na sygnał od czatowników, że

ruszyliśmy w ich stronę. Cholera, mogli też wysłać ludzi na dół, żeby zaczaili się na nas

przy wejściu w zarośla.

„To pocieszające” – Lon kwaśno skonstatował w duchu.

Zanim porucznik Taiters wydał rozkaz, musiał przeprowadzić ostatnią rozmowę przez radio. Na kanale byli obecni pułkownik Flowers i kapitan Orlis.

–Jesteśmy gotowi do wymarszu – zameldował Taiters. Tylko moment wahania poprzedził odpowiedź pułkownika:

–Ruszajcie.

Starszy sierżant Ivar Dendrow wraz ze swoimi dwiema drużynami schodził właśnie w dół zbocza, zmierzając w kierunku Dopływu Andersona. Szli tyralierą, co zapewniało

im szerokie odstępy między ludźmi. Drużyny trzecia i czwarta miały pełnić funkcje tylnej straży. Zostaną na grani, wysoko nad poziomem gąszczu, w razie konieczności

zapewniając ogień osłonowy, dopóki reszta oddziałów KND i milicji nie przeprawi się przez bród.

Kapitan Molroney podzielił swoją kompanię i za każdą z drużyn czołowych wysłał dwa plutony. Żeby skrócić do minimum czas, podczas którego jednostka szła w rozciągniętym szyku, milicja uformowała cztery kolumny, kierując się przy tym rozwagą

i zachowując możliwie najmniejsze odstępy – w przypadku tak mocnej osłony ludzie szli

oddaleni od siebie nie więcej niż o sześć stóp, podążając – kiedy już weszli w gąszcz

mniej więcej w połowie drogi w dół zbocza – czasami bardzo krętymi ścieżkami.

Molroney, Taiters i Nolan trzymali się w środku grupy, niedaleko czoła milicji, trzydzieści jardów za tyralierą najemników. Arlan i Lon utrzymywali stałą łączność z podoficerami, zarówno na przodzie, jak i z tyłu.

Z początku Lon miał wrażenie, jakby zanurzał się w zielony ocean. Potężne pnącza całkowicie zdominowały niższe partie stoku i dno doliny, dławiąc wszelką konkurencję.

Na skraju gęstwy, tam gdzie ludzie zaczęli zagłębiać się w zieloną plątaninę, podłoże było nad wyraz zdradzieckie. Drobne wąsy i koniuszki pnączy czepiały się stóp i

opłatały

kostki, grożąc potknięciem i stoczeniem się w dół. Kiedy przyszła kolej Lona, nieświadomie niósł karabin wyżej, jakby chciał uchronić go przed zamoczeniem. W pewnej chwili uświadomił sobie, co robi, poczuł się głupio i rozejrzał wokół, sprawdzając, czy ktoś inny to zauważył albo zareagował podobnie.

Kiedy olbrzymie liście zamknęły się nad głową Lona, mało co nie wstrzymał oddechu. Poczuł szarpnięcie klaustrofobicznego lęku. Pod kopułą liści panowała wilgotna atmosfera i wydawało się, że jest cieplej o jakieś dwadzieścia stopni. Na „zewnątrz” wiał lekki wiatr, ale wewnątrz gąszczu powietrze pozostało nieruchome.

Napierało na piersi Lona, utrudniając oddychanie – nawet jeśli nie rzeczywiście, to tak

podpowiadała mu psychika. „Wyrwać się stąd!” – pomyślał, ale nie było takiej możliwości. Musiał iść naprzód z resztą, nie mógł po sobie pokazać, że coś go dręczyło.

Zresztą po kilku minutach przestało. Zostały tylko drobne trudności z oddychaniem.

Nawet kiedy już liście przesłoniły niebo, w gąszczu nie zapanował zupełny mrok.

Wyższe warstwy listowia wydawały się jarzyć i roztaczały szmaragdową poświatę.

Lon przyglądał się pnączom i całemu uniwersum, które w sobie zamykały. Było

zupełnie niepodobne do niczego, co widział wcześniej – albo o czym śnił.

Pojedyncze

rośliny snuły się spiralami na tuziny jardów, być może i setki, niczym gigantyczne sploty

żywego drutu – bez kolców. Nawet tuzin stóp od początku łodygi, zdrewniałe pnącze

nadal było grube jak ramię Lona i pokrywała je sękata kora w kolorze stonowanej szarości. Z dolnych partii każdego pnącza wyrastały cienkie, podobne do linek

korzenie,

które zakotwiczały je w podłożu. Średnica spiral wynosiła od ośmiu do dziesięciu stóp i

zachowywała zadziwiająco stałe wartości, tak że w zasadzie przedzieranie się przez gąszcz nie sprawiało aż takich problemów. Ludzie musieli po prostu uważać, gdzie stawiają nogi i pamiętać, żeby za każdym razem, kiedy miną pętlę pnącza, doliczyć jeden

krok. Różnorodne formacje pnączy splatały się z sobą i krzyżowały, tworząc w efekcie

gmatwaninę, której nie dałoby się już rady rozsypać. „Chyba że jak węzeł gordyjski” –

przemknęło Lonowi przez myśl.

Jagody, o których wspominał Molrorey, zwieszały się z wyższych pięter pnączy, każda kiść wyrastała tuż przy łodydze liścia. Niektóre były częściowo ponadgryzane przez zwierzynę i gniły.

–Jesteśmy przy potoku i gotowi do przeprawy. Okolica tak zafascynowała kadeta, że

meldujący się na kanale sierżant Dendrow nieźle go wystraszył.

–Opozycja już się pokazała? – spytał porucznik Taiters.

–Ani śladu. Nie natrafiliśmy też na żadne niemiłe niespodzianki w tym... cokolwiek to jest – odparł Dendrow.

–Tylko spokojnie przy przechodzeniu przez potok. Puszczaj czterech, pięciu ludzi na

raz – polecił Taiters, choć przedyskutowali procedurę, zanim zaczęli schodzić w dół zbocza.

–Tak jest, sir. Wiem, jak to rozegrać – odparł Dendrow. – Zaczynamy... teraz.

I znów Lon prawie że wstrzymał oddech, jakby spodziewał się, że rebelianci otworzą ogień do szpicy zaraz, gdy tylko ludzie wyjdą z ukrycia i zrobią pierwszy krok w nurt

Dopływu Andersona. Zdołał się powstrzymać. „I tak trudno tu o porządny łyk powietrza,

nawet bez odstawiania głupich przedstawień” – pomyślał. „A może jeszcze zaczniesz

zamykać oczy, żeby ludzie nie mogli cię zobaczyć?”.

–Jak już wszyscy twoi ludzie będą na drugim brzegu, oddal się na dwadzieścia jardów, uformuj szereg i dajcie sobie chwilę wytchnienia. – Taiters powiedział

Dendrowowi. – Niech nasz komitet powitalny pogłówkuje jeszcze trochę nad tym, kiedy i

gdzie ostatecznie wyjdziemy z tego gąszczu.

–Rozkaz, poruczniku – odpowiedział Dendrow.

–Jeśli nie odkryją kart do czasu, aż przeprawimy się przez bród, być może poślę

trzech czy czterech ludzi, żeby przygotowali dla nich małe co nieco, które da im do

myślenia – oznajmił Taiters. – Wątpię jednak, żeby miało do tego dojść.

Spodziewam się,

że kiedy już zobaczą główny korpus przy rzece, zaczną strzelać, jak tylko będą widzieli,

do czego strzelają.

–Tak zrobimy – skomentował jego wypowiedź Dendrow. – OK, sir, przechodzę teraz razem z ostatnią grupą.

Lon wyobraził sobie raczej, niż usłyszał plusk wody, z którym Dendrow i ostatnich

kilku żołnierzy pędziło przez potok. Dłonie zacisnęły się na kolbie karabinu – kolejny znak, że jest spięty – ale nie doszło do wymiany ognia.

–Jesteśmy na drugim brzegu, poruczniku – zameldował Dendrow. – Pierwsza

drużyna

już zajęła miejsca na linii, którą pan wskazał. Reszta będzie gotowa za trzy minuty.

Żadnego śladu przeciwnika.

–OK, macie dziesięć minut – odpowiedział Taiters. – Czekać na moją komendę do

wznowienia marszu. – Zmienił kanał i odezwał się do Nolana – Bazując na logice, mogą

się spodziewać, że będziemy starali się wyjść z tego gąszczu najszybciej, jak to tylko

możliwe i wdrapać się wyżej, żeby w końcu coś widzieć. A jeśli nie zobaczą nic ani nie

usłyszą, powinno ich to leciutko wyprowadzić z równowagi.

–Mnie by wyprowadziło – przyznał Lon. – Niezbyt dobrze radzę sobie ze stanem zawieszenia.

–Zdażyłem zauważyć. Dlatego właśnie tobie wyjaśniam powody. Czasami człowiek może jedynie usiąść na tyłku i czekać. Teraz to chyba właściwa chwila.

–Nie obawia się pan, że to da im również więcej czasu, żeby ściągnąć na pozycje dodatkowe siły? – spytał Lon.

–Oczywiście, że się obawiam, ale z drugiej strony nadal wydaje mi się, że zyskamy

dzięki temu przewagę. Jeśli uda nam się zmusić rebeliantów do otwartej walki, samemu

nie ponosząc przy tym nadmiernych strat, na pewno zbliżymy się do zamknięcia

kontraktu. Jeśli ustrzelimy tylko małą gromadkę, a reszcie pozwolimy znowu

zrejterować, to całe tygodnie, a może nawet i miesiące zajmie nam unieszkodliwienie

wystarczającej liczby powstańców, żeby reszta się poddała.

–O ile w ogóle się poddadzą – skwitował Lon. – Na Ziemi odmawiało pięciu na

sześciu, włączając w to dzieciaki i kobiety.

–Miejmy nadzieję, że od tamtego czasu trochę wydorosleli.

„Niech pan tylko nie próbuje ręczyć za to głową” – przemknęło Lonowi przez myśl.

Zanim Taiters i Molronej zarządzili postój, milicja maszerowała jeszcze przez dwie

minuty – zmniejszając lukę dzielącą ją od drużyn czołowych. Niektórzy usiedli, inni

przykucnęli, ci na obrzeżu odwrócili się na zewnątrz, osłaniając flanki. Nie było jednak

potrzeby wyznaczania ścisłego obwodu, szczególnie złożonego z żołnierzy, którzy mieli

za sobą jedynie kilka godzin szkolenia. Wystarczyło, żeby zachowywali się w miarę

cicho i trzymali na baczności.

Po raz pierwszy do uszu Lona z wolna zaczynały docierać odgłosy ptaków i zwierząt

zamieszkujących gęstwinię. Wytężał słuch, chcąc wychwycić bardziej odległe dźwięki, a

dokładniej huk strzałów, ale słyszał tylko świergotanie i łopot skrzydeł, drapanie małych

pazurków o korę, mlaskanie. Rozejrzał się, lecz nie zobaczył niczego poza parką ptaków

siedzącą wśród wyższych supłów pnączy, dwadzieścia jardów dalej. Wyglądało na to, że

należą do tego samego gatunku, z tym że jeden był niemal cały zielony – zielenią liści

pnączy – a drugi jaskrawożółty z czerwonymi pasmami na spodniej stronie skrzydeł.

„Samiczka i samczyk” – zgadywał Lon, zakładając, że ubarwienie norbankijskich ptaków

powielalo wzorzec występujący u większości ptaków na Ziemi – samczyki miały zawsze

bardziej kolorowe upierzenie.

Lon upił łyk wody z manierki. Miała słony smak. Twarz zrosił mu pot, który

strużkami spływał aż do kącików ust. Oblizął wargi, łyknął jeszcze trochę. Tym razem

woda smakowała już lepiej, choć nadal miała temperaturę ciała.

–Dlaczego te manierki nie mają lepszej izolacji? – spytał Taitersa przez radio. –

Nawet w Springs mieliśmy chłodzenie, a przecież nie opływaliśmy w luksusy.

Taiters zerknął w kierunku Lona – znajdowali się jakieś osiem stóp od siebie – i

zmarszczył brwi. Grymas zamaskował jednak przyciemniany ekran hełmu. Pokręcił więc

głową i przyłożył palec do hełmu w okolicy ust. Nolan pokapował się, o co chodzi i już

więcej nic nie mówił. Kontrolował czas na wskaźniku refleksyjnym, usiłując

równocześnie obserwować rozciągający się przed nim gąszcz. Czekanie może i

zniechęciło rebeliantów zajmujących pozycje na szczycie przeciwległego wzgórza, ale

zniechęciło także Lona. „I pewnie całą naszą milicję” – pomyślał. „Oszaleć można”.

Minęło dziesięć minut. Kadet odwrócił się w stronę porucznika. Ten stał w bezruchu

i nic nie zapowiadało, że w najbliższym czasie drużyny czołowe i główna grupa dostaną

rozkaz do wymarszu.

Piętnaście minut. Taiters podniósł prawą pięść i zrobił gest, jakby coś pompował, w

górze i w dół – sygnał dla kapitana Molroneya, który przekazał go dalej swoim dowódcom.

Równocześnie Taiters kazał ruszać drużynom czołowym.

–Przygotujcie się na szybkie zejście, kiedy rozpocznie się wymiana ognia – dodał.

Gdy Lon podniósł się z ziemi i zrobił kilka kroków naprzód – starając się iść możliwie na jednej linii z Taitersem i Molroneym – poczuł, jak bardzo zdrętwiały mu nogi. Kompanie milicji szły po obydwu stronach – tyralierą od czoła do ogona. Molroneym

dał jeszcze kilka sygnałów ręką i jego ludzie zaczęli coraz bardziej się rozsypywać, poszerzając formację frontową.

–Ivar, wyślij operatorów miotaczy laserowych i dwóch strzelców wyborowych na

lewo, na pętłę, tak jak wcześniej ustaliliśmy – Taiters rzucił rozkaz dowódcy plutonu. W

każdej drużynie był jeden żołnierz z miotaczem laserowym, bronią energetyczną. –

Powiedz im, żeby znaleźli dobrą pozycję, nie dając się przy tym namierzyć. Nawet jeśli

strzelanina zacznie przesuwać się w naszym kierunku, mają trzymać się na boku i czekać

na mój rozkaz. Niespodziankę zostawimy sobie na potem, kiedy przyniesie nam

największe korzyści. Reszta, poszukajcie sobie dobrych pozycji możliwie najbliżej

wschodniego skraju zarośli, ale tak, żebyście przy okazji nie zgubili pola ostrzału na

grani.

Dendrow potwierdził przyjęcie rozkazu, wciskając przycisk nadajnika radiowego.

Kiedy dotarli do potoku – ciągle pod osłoną pnączy, milicja zatrzymała się jeszcze

raz. Zanim puszczą kogokolwiek przez dwadzieścia jardów wody pod otwartym niebem,

Taiters i Molroneym chcieli mieć pod ręką dość ludzi, żeby zapewnili im ogień osłonowy.

Kiedy obydwaj zbliżyli się do czoła ugrupowania, Nolan automatycznie ruszył ich

śladem. „Niebezpieczny nawyk. Mógłbym pracować na drugą zmianę jako cień” –

pomyślał, kiedy dotarło do niego, że bezwiednie dał się poprowadzić nogom.

Pierwsze

przebłyski wody za liściastą zasłoną zobaczył, kiedy od potoku dzieliło go jakieś

dwadzieścia stóp. Wyglądało na to, że niektóre pnącza rzeczywiście kierowały się prosto

do wody, ale Lon nie był pewien, czy zanurzały się tam ich główne korzenie, czy może

po prostu pędy.

–OK, kapitanie – odezwał się w końcu Taiters. – Myślę, że już czas posłać ludzi na

drugą stronę. – Ujęcie tego w formę sugestii było rozsądnym zabiegiem, skoro –

teoretycznie rzecz biorąc – Molroney przewyższał go stopniem.

Molroney pospiesznie kiwnął głową, następnie dał sygnał swoim ludziom. Plan

przeprawy uzgodniono wcześniej. Milicja miała przechodzić przez bród pluton za

plutonem, podczas gdy reszta zapewniała osłonę, jeśli – kiedy – rebelianci otworzą ogień.

Taiters dał znać swoim podkomendnym. Oni też mieli być gotowi do przejścia przez

potok. Ludzie, którzy z największym prawdopodobieństwem mogli wyrządzić szkody

rebeliantom, znajdowali się w dwóch drużynach, pozostawionych z tyłu. Będą strzelać z

dużej odległości, ale mimo to – kiedy nieprzyjaciel pokaże się i przystąpi do ostrzału

ludzi w wodzie, stanie się wyborem celem.

Lon pokręcił się trochę, nim znalazł szparę w listowiu, przez którą mógł dojrzeć

choć skrawek wschodniego grzbietu. Częściowo uniósł karabin. Pierzyna z wielkich

liści obróci się w puch, gdy tylko zacznie się strzelanina. „I będzie więcej dziur, niżbym

chciał, to na pewno” – pomyślał. Im lepszy będzie miał widok na zewnątrz, tym lepiej

rebelianci będą widzieli, co jest w środku, a pnącza nie dadzą dobrej osłony, nie tak, jak

pień drzewa albo głęboki okop.

Pierwsi Norbankijczycy zanurzyli się w Dopływie Andersona i – w możliwie

najszybszym tempie – zaczęli iść w stronę drugiego brzegu. Koryto rzeki było skaliste, a

to ułatwiało zadanie. Muliste dno mogłoby okazać się katastrofalne. Kiedy pierwszy

pluton zagłębił się w nurt potoku, drugi zajął pozycje przy brzegu, trzymając karabiny w

gotowości i wypatrując kłopotów. Molroney, Taiters i Nolan mieli się przeprowiać z

drugim plutonem – kapitan i porucznik na przeciwległych krańcach formacji, a Lon przy

Molroneyu, tak żeby dowódca milicji mógł pozostawać w kontakcie radiowym z

Taitersem.

Pierwszy szereg Norbankijczyków zdołał oddalić się od brzegu na jakieś pięć jardów,

gdzie woda sięgała już bioder najniższego żołnierza, kiedy padły pierwsze strzały.

Rebelianci powitali ich salwą. Lon mógł tylko zgadywać, ale miał wrażenie, że musiało

wystrzelić ponad sto karabinów, może dwie setki albo i trzy. Niewiele kul doleciało do

gęstwy po zachodniej stronie potoku. Najwyraźniej ogień szedł bezpośrednio na tych

ludzi, których było widać. Nie był może okrutnie dokładny, ale sądząc po natężeniu hałasu, nie obyło się bez ofiar.

Taiters i Molroney kazali swoim ludziom dać odpowiedź. To szybko zmniejszyło

liczbę nadlatujących kul – powstańcy musieli zająć się szukaniem osłony dla siebie.

Drugi pluton milicji ruszył naprzód. Lon zanurzył się w wodzie, cały czas ostrzeliwując

wschodni grzbiet i usiłując nie myśleć o niczym innym poza stawianiem kroków i naciskaniem spustu. W porównaniu z wilgotnym skwarem panującym wewnątrz gąszczu

pnący, woda wydawała się zimna, ale odnotował jedynie początkowy szok. Strumień

stanowił tylko przeszkodę spowalniającą jego ruchy.

Lon spojrzął pod nogi raz, kiedy uderzył o coś udem – o ciało. Czerwona plama krwi prędko rozpuszczała się w wodzie. Mężczyzna był bezdyskusyjnie martwy. Chłopak przepchnął się obok niego, wracając wzrokiem na wschodni grzbiet i dalej puszczając w

jego kierunku krótkie serie.

Przeprawa przez dwadzieścia jardów Dopływu Andersona zajęła Lonowi wieczność upchniętą w minutę czasu rzeczywistego. Pierwszy pluton milicji poniósł najcięższe straty. Ale kiedy na drugim brzegu pojawili się ostatni Norbankijczycy, rebeliancki ostrzał odprowadzał ich aż do zarośli po wschodniej stronie rzeki.

Podkomendni Molroneya oddalili się od wody, rozdzielając się w poszukiwaniu schronienia przed metalowym gradem. Nie było czasu, żeby zliczyć ofiary, a ledwie chwila, aby udzielić rannym pierwszej pomocy. Z miejsca, gdzie leżał, Lon widział postrzelonych, wiedział też, że przynajmniej jeden z żołnierzy poległ – ten w rzece. Ilu

jeszcze poniosło śmierć, nawet nie próbował zgadywać.

–Ivar, czas na naszą niespodziankę! – Taiters krzyknął na kanale do swojego zastępcy. – Zaraz jak tylko odwróci ich uwagę, ruszamy dalej. Musimy zająć to

wzgórze.

„Tekst jak z tandetnego filmu” – pomyślał Lon, kiedy ruszył ponownie w drogę z kapitanem Molroneym i norbankijską milicją. „Musimy zająć to wzgórze”. Prychnął.

Nowi uczestnicy walki na flance byli nie do wykrycia w dolinie. Cichy wizg miotaczy laserowych nie niósł się daleko, a dwie dodatkowe lufy nie mogły wpłynąć znacząco na

poziom hałas. Ale kiedy sierżant Dendrow zameldował, że rozpoczęto akcję

dywersyjną, podjęto również wchodzenie na szczyt wzgórza. „Mam tylko nadzieję, że

reszta też pójdzie zgodnie z planem” – przemknęło Lonowi przez myśl. Pułkownik

Flowers pozwolił sobie na jeden dodatkowy punkt w planie porucznika Taitersa –

bezpośrednie wsparcie z powietrza. Niewiele tego będzie, nie więcej niż dwa

wahadłowce szturmowe, ale przyda się. Przez większość dnia na zmianę prowadziły

rozpoznanie z dużej wysokości.

Lon nie zdążył jeszcze wyjść z zarośli, kiedy do jego uszu dotarła fala uderzeniowa

podchodzącego do ataku wahadłowca. Pułkownik nadal nie zamierzał narażać pojazdu na

zbyt niskie zejście, nalot mógł więc nie zaowocować tak rozległymi zniszczeniami, jakie

spowodowałyby, gdyby nie zważał na ewentualne straty. Ale nawet pomimo faktu, iż

samolot nie schodził poniżej czterystu stóp, rakiety i dwu, trzysekundowe serie ognia

mogły uczynić znaczną różnicę.

Charakterystyczny terkot gatlingów wybijał się na tle pozostałych odgłosów. Z płyty

wyrzutni raketowej wystrzeliły cztery pociski naddźwiękowe, które z wyciem dosięgły

celów, gdzie eksplodowały, rozrzucając po wierzchołku wzgórze miliony drzazg i odłamków z roztrzaskanych skał i drzew.

Rebelianci na wierzchołku wzgórze musieli zaprzestać ostrzału podchodzącej milicji i poszukać jakiejś osłony. Niektórzy próbowali prowadzić ogień w stronę szturmującego

wahadłowca, ale ani karabiny, ani wystrzelwane pociski nie mogły za wiele zdziałać.

Samolot zaczynał już się wynurzać i nabierając prędkości, parł w górę, poza ich zasięg.

Najemnicy i milicja dobrze wykorzystali chwilę wytchnienia i puścili się biegiem po stoku. Nawet kiedy wahadłowiec już odleciał, rebelianci nie od razu wrócili na swoje pozycje wychodzące na zbocze. Zanim wyszli z ukrycia, żołnierze Molroneya znajdowali

się już w połowie drogi na szczyt.

Wtedy do ataku przystąpił drugi dirigentyjski wahadłowiec. Tym razem powstańcy

mieli lepszy refleks i schowali się, gdy tylko usłyszeli dźwięk; rakiety przeciwlotnicze

już czekały w pogotowiu. Ale lądownik pokazał się, dopiero kiedy zrzucił swój własny

ładunek, zaraz potem wyszedł z lotu nurkowego, wykręcił tuż przed grzbietem i uciekł od

zagrożenia z największym przyspieszeniem i najwyższym przeciążeniem, jakie mogła

wytrzymać załoga.

Nawet Norbankijczycy znajdujący się poniżej musieli robić uniki przed skalistymi

szrapnelami, które w wyniku tego ataku odprysnęły od wierzchołka. Tak blisko podeszli

już do grzbietu. A zanim rebelianci pozbierali się po drugim nalocie, lojaliści byli już na

szczycie i wchodzili do gry z kulami oraz bagnetami.

Lon nie mógł pozwolić sobie na luksus rozglądania się wokół, nie wiedział, ilu

nieprzyjaciół znajdowało się na szczycie wzgórza. Ci, którzy stali najbliżej i tak stali za

blisko. Wystrzelił w kierunku pierwszego przeciwnika, którego namierzył, na drugiego

ruszył z bagnetem. Mężczyzna już miał się podnieść z ziemi, ale nie udało mu się.

Chłopak rozplątał mu gardło i rebeliant przewalił się na bok. Ale zaraz potem w pobliżu

pokazał się kolejny nieprzyjaciel, szedł z prawej na Lona, machając karabinem jak pałką.

Kadet zrobił unik i zablokował mężczyznę ramieniem aż ten poleciał do tyłu. Zanim

zdążył wstać, Lon zastrzelił go, po czym już kierował się w stronę kolejnego celu.

Walka skończyła się w niecałe dziesięć minut. Obyło się bez rzezi. Powstańcy nie

próbowali bić się do ostatka. Na rozkaz wycofali się w dół wschodniego zbocza, gdzie

czekało na nich wsparcie w postaci oddziałów, które zajmowały pozycje na innych

wzgórzach w okolicy. Jedynie kilka małych grupek rebeliantów nie zdołało uniknąć

walki na grzbiecie. Te walczyły do śmierci albo tak długo, aż zbyt rozległe rany

wykluczały dalszy udział w starciu. Żaden z nieprzyjacielskich żołnierzy nie złożył broni.

–Nie było tak strasznie, jak myślałem – Lon zwierzył się Arlanowi Taitersowi, kiedy

dobiegła końca ostatnia potyczka. Nadal z trudem łapał powietrze, a na twarzy ciągle

kwitł rumieniec podniecenia i wysiłku.

Dwie drużyny trzeciego plutonu nie straciły żadnego człowieka, nie było też

poważnie rannych; jedynie kilku ludzi zarobiło parę siniaków. Pozostałe dwie

drużyny –

które nadal znajdowały się po zachodniej stronie Dopływu Andersona – nie poniosły żadnych strat.

–Kapitan Molroney mógłby się z tym nie zgodzić – zauważył Taiters, wskazując w kierunku dowódcy milicji, który biegał między swoimi plutonami, usiłując doliczyć się

ofiar. – A to jeszcze nie koniec. Doszliśmy tutaj, ale teraz nieprędko się stąd ruszymy.

Nie wydaje mi się, żebyśmy na tym etapie walczyli więcej jak z jedną czwartą sił nieprzyjaciela.

–Wie pan może, jak długo będziemy musieli zajmować te pozycje?

–Przynajmniej do późnych godzin nocnych – odezwał się Taiters, podnosząc głowę.

Do zachodu słońca brakowało jeszcze trzech godzin, ale na niebie znów zaczęły zbierać

się chmury. Wyglądało, jakby w zasadzie zaraz miał spaść deszcz, choć Molroney powiedział, że jest jeszcze zbyt wcześnie na jakiegokolwiek „realne problemy”. Pora deszczowa zaczynała się dopiero za dwa miesiące.

–Jeżeli chodzi o tę porę roku – Molroney wyjaśnił Dirigentyjczykom – możemy liczyć jedynie na mżawkę, akurat tyle, żeby zrobiło się jeszcze bardziej parno.

–Każe trzeciej i czwartej drużynie poczekać do zmroku, zanim do nas dołączą –

powiedział Taiters. – Jest ryzyko, że rebelianci otoczą nas do tego czasu. – Umilkł na

chwilę. – Podejrzewam nawet, że ryzyko jest cholernie duże, niemniej jednak, nawet jeśli

tak zrobią, drużynom powinno udać się przeniknąć przez ich szeregi, kiedy się ściemni.

Zakładając, że się nie przejaśni. Jeżeli okaże się, że będą mieli problemy z bezpiecznym

dotarciem tutaj, każę im dołączyć do reszty batalionu.

„Szkoda, że nie mogę widzieć wszystkich części tej układanki” – pomyślał Lon.

„Zobaczyć, gdzie są wszystkie poszczególne oddziały, którędy się kierują”. Gdyby

walczyli z wrogiem naszpikowanym taką samą wymyślną elektroniką, jaką posługiwał

się KND, byłoby to możliwe – przynajmniej w teorii.

–Pod warunkiem, że wcześniej nie zaatakują nas z grubej rury – kontynuował Taiters.

–Jeśli mają dość ludzi gotowych na śmierć, mogą się na nas rzucić w każdej chwili.

„Jeśli to rzeczywiście Diviniści, to mają ludzi gotowych na śmierć” – Lon

skonstatował w duchu. Zamknął na chwilę oczy, dławiąc zalewającą go falę strachu.

Dziadkowie ze strony ojca stracili swoich bliskich w początkowym okresie powstania

Divinistów na Ziemi, zanim jeszcze armia Unii Północnoamerykańskiej zdołała zmobilizować się, żeby stawić czoło zagrożeniu.

Najemnicy i Norbankijczycy byli zmuszeni nisko trzymać głowy. Rebelianci przed zachodem słońca nie rozpoczęli i co prawda ofensywy na wielką skalę, ale dozowali napięciu, urządzając małe najazdy raz z jednej, raz z drugiej strony wzgórza w celu sprawdzenia obrony – to sporadycznie, stale natomiast ostrzeliwali ich z pobliskich wzniesień. Wierzchołki sięgały niemal tej samej wysokości, co szczyt wzgórza, na którym znajdował się Lon, przez co nieostrożność i zbytne wychylenie się mogły mieć

tragiczne skutki. Wzmocniono obronę. Przesunięto odłamki skał. Wyżłobiono w

glebie

rowy strzeleckie, a piach usypano w kupkach albo wykorzystano jako zaprawę murarską

między kamieniami.

Molroney i jego ludzie zaopiekowali się swoimi rannymi najlepiej, jak tylko potrafili bez pomocy tub pourazowych. Stan zdrowia większości poszkodowanych dało się ustabilizować, ale dwóch zmarło od ran jeszcze przed zachodem słońca. Ich ciała ułożono

razem ze zwłokami pozostałych poległych Norbankijczyków na szczycie wzgórza. Tych,

którzy ponieśli śmierć w brodzie czy podczas podejścia na grzbiet – zostawiono.

Zmarłych uwolniono od ciężaru amunicji i innych zapasów, które żywym mogły się jeszcze przydać. Na wszelki wypadek broń i amunicję zabrano również poległym rebeliantom.

Zaraz po zapadnięciu zmroku natężenie wrogiego ognia spadło o dwie trzecie.

Jedynie ułamek rebelianckich karabinów był wyposażony w noktowizory, a nocnego nieba nie rozświetlał nawet nikły blask gwiazd. Pokrywa chmur była zbyt gruba i zwieszała się zbyt nisko. Kapitan Molroney zapowiadał na noc mgły.

–Tutaj, w tych wzgórzach robi się czasem taka gęsta, że człowiek ledwo widzi na wyciągnięcie ręki. – powiedział Taitersowi i Nolanowi. – Poza tym wytłumia wszystkie

dźwięki. Najlepsza, cholera jasna, izolacja akustyczna. Diviniści mogą się wdrapać na

samą górę, a my nic – uszy i oczy zamknięte.

–Nie mają szans – zaproponował Taiters. – Zobaczymy ich. Mgła nie zmniejsza efektywności noktowizorów. W zasadzie będzie nawet nieco łatwiej wypatrzeć, że

ktoś

się zbliża. Większe różnice temperatur między otoczeniem i ciepłym ciałami. Mgła może

jedynie ułatwić mi sprowadzenie tutaj reszty moich ludzi, którzy czekają po drugiej stronie rzeki.

Molroney wolno pokiwał głową.

–Jak już ma ich pan sprowadzać, to upewnijcie się, że moi ludzie wiedzą, kiedy i gdzie. Nie wybaczyłbym sobie, gdybyśmy przez pomyłkę zastrzelili któregoś z waszych.

Dwie drużyny najemników, które znajdowały się już na grzbiecie wzgórza, stanęły na obwodzie – parami, tak żeby jeden mógł spać albo przynajmniej zmrużyć oczy, a drugi

w tym czasie pełnić wartę. Nolan i Taiters, podobnie zresztą jak norbankijska milicja,

również mieli swoje zmiany.

Do północy brakowało jeszcze dziesięciu minut, kiedy rebelianci przystąpili do pierwszego poważnego ataku. Mleczne strzępy zaczęły oblepiać zbocza wzgórza i spływać na dno doliny, nad lepкими oparami górował jeszcze wierzchołek. Trzecia i czwarta drużyna plutonu najemników dotarła na szczyt zachodniego zbocza dopiero o

jedenastej trzydzieści. Zajęli pozycje na obwodzie, wyposażając obrońców w dodatkowe

pary oczu – oczu, które widziały w ciemnościach.

Powstańcy – ponad dwustu mężczyzn – cicho podczołgali się pod wschodni i południowo-wschodni stok. Strzelający zza ich pleców snajperzy nie zmienili tempa.

Paru rebeliantom udało się zbliżyć na odległość czterdziestu jardów od szczytu, zanim

zauważył ich jeden z żołnierzy Girany. Błyskawiczny alarm radiowy postawił na nogi resztę najemników, którzy z kolei ostrzegli Norbankijczyków – zachowując się przy tym

prawie tak cicho, jak ludzie podkradający się na grzbiet.

Zanim najemnicy zlokalizowali pozycje rebeliantów na obydwu stokach wzgórza, minęło kilka minut. Do tego czasu czołówki nacierających grup zdążyły już prawie podejść pod szczyt – w linii prostej brakowało im piętnastu, po skosie – czterdziestu

jardów. Jedna drużyna KND zajęła stanowiska ogniowe nad rebeliantami. Porucznik Taiters dał sygnał kapitanowi Molroneyowi; podniósł rękę. Kiedy opuścił ją na dół szybkim ruchem, Molroney cicho zagwizdał. Norbankijczycy otworzyli ogień do znajdujących się pod nimi powstańców. Nie byli w stanie dojrzeć celów, dopóki nie padła salwa ze strony przeciwnej, ale wiedzieli mniej więcej, gdzie szukać wroga. Najemnicy z kolei nie mieli problemów z namierzeniem przeciwnika, dzięki czemu strzelali celniej. I zaważyli na wyniku potyczki. Żadnemu z rebelianckich żołnierzy nie

udało się dotrzeć na szczyt. Czterdziestu poniosło śmierć. Reszta w większości wycofała

się w dół zbocza, ostrzeliwując grań przez całą drogę.

Druga grupa nadeszła z północy i była liczniejsza od poprzedniej. Tym razem nieprzyjaciele zaczęli wspinaczkę, wykorzystując trwającą jeszcze wymianę ognia. Nie

zauważono ich dość szybko, a pozycje bezpośrednio nad nimi zajmowało mniej żołnierzy

KND. Gdy tylko w stronę tej jednostki poleciały pierwsze strzały, rebelianci

podnieśli się

z ziemi i szturmem ruszyli na grzbiet wzgórza. W niebo poleciały race, rozświetlając okolicę jaskrawobiałą luną.

Molroney razem z drużyną swoich ludzi pobiegł na spotkanie z przeciwnikiem. Lon

Nolan trzymał się koło niego. Kiedy dotarli na północny skraj grani, walka zdążyła się

zamienić w serie bezpośrednich starć. Na szczyt wdrapały się już ponad dwa tuziny rebeliantów i z każdą chwilą było ich coraz więcej. Mała grupka najemników, która obstawiała tę część grzbietu, znalazła się na celownikach nacierających powstańców.

Dirigencyjczyków zdradzały mundury i hełmy.

Lon miał problemy z odróżnieniem wroga od swojego. Nie był pewien, czy potrafi rozpoznać lojalistów, zwłaszcza w tych warunkach. Na początku skupił się na strzelaniu

do ludzi, którzy pokazywali się na grzbiecie. Potem zastosował się do recepty kumpla z

trzeciego plutonu. Jeśli ktoś do niego strzelał, to musiał być rebeliantem.

Bagnety i kolby karabinów, stopy i pięści. Norbankijczycy po obydwu stronach

barykady bili się zaciekle i do upadłego, ale mało który miał za sobą profesjonalny

trening walki wręcz. Dirigencyjscy spokojnie dawali sobie radę, a z pomocą

norbankijskiej milicji udało im się ostatecznie zepchnąć rebeliantów z grani.

Musieli zająć się tym sami, mając do pomocy tylko tych kilku ludzi, których podesłał

na początku potyczki Molroney, bo zaczęła się właśnie kolejna próba zdobycia wzgórza –

w tym samym miejscu, gdzie podchodziła pierwsza grupa atakujących. Jeszcze inny

oddział wspinał się po zachodnim stoku.

Każda potyczka była zamkniętym chaotycznym światkiem. Ludzie biorący udział w jednej walce nie mogli martwić się o pozostałe. Najczęściej nawet nie zdawali sobie sprawy z ich istnienia. Nawet Dirigentycy dysponujący łącznością radiową mieli zbyt

wiele na głowie, żeby docierało do nich cokolwiek poza najbardziej bezpośrednimi ostrzeżeniami, które rozlegały się w słuchawkach. Starcie rozgrywające się pięćdziesiąt

jardów dalej równie dobrze mogło mieć miejsce na innej planecie.

Kiedy Lon wpadł już w wir walki, olśniło go, że nie musi przecież zastanawiać się, czy dany Norbankijczyk jest przyjacielem czy wrogiem. Rebelianci atakowali. A milicja

nie.

Setki godzin ćwiczeń z bagnetem i treningu walki wręcz opłaciły się Lonowi.

Reakcja musiała być automatyczna, błyskawiczna i płynna. Nie było czasu na przemyślany wybór i choreografię ciosów. Sęk w tym, że norbankijscy rebelianci nie przechodzili podobnej zaprawy. Równie dobrze mogli wyskoczyć z niespodziewaną sekwencją ruchów, jak i zastosować technikę, z którą kadeci w Springs czy rekruci w

KND stykali się regularnie podczas treningów. Jeszcze bardziej prawdopodobne było, że

w ogóle nie mają pojęcia o walce na bagnety i będą walić ślepo w cel, drzeć się i próbować dziabnąć przeciwnika, zanim ten zdąży zareagować.

Lon spotkał dwóch takich. Łatwo było ich załatwić i trudno zapomnieć. Blok, karabin rebelianta leci na bok, on z rozpędu do tyłu, traci grunt pod nogami; następnie

albo dostaje cios kolbą, albo częstuje się go bagnetem między żebra. Potem trzeba się

tylko upewnić, że już nie wstanie i nie zacznie od nowa. A jedynym sposobem na rozwianie wszelkich wątpliwości jest ukatrupienie delikwenta.

Podczas gdy na północnym skraju wzgórza dalej toczyła się walka, Dirigentyjczycy zaczęli koncentrować siły. Jako grupa stanowili coś więcej niż tylko sumę jednostek. Lon

poczuł się silniejszy, bardziej pewny siebie, kiedy obok niego stali ludzie, których znał.

W miarę jak dołączało coraz więcej żołnierzy, czuł się jeszcze lepiej. Wspólnym frontem

najemnicy ruszyli zepchnąć rebeliantów ze szczytu wzgórza.

Nieprzyjaciel cofał się powoli i opornie. Kiedy atak utracił swój pierwotny rozpęd, wielu odmawiało rejterady i przypłaciło to życiem. W końcu na północnym skraju wzgórza nie został ani jeden rebeliant, który trzymałby się o własnych siłach. Lon

odwrócił się, żeby objąć wzrokiem pozostałą część grani i dojrzał jeszcze dwa punkty, w

których ciągle rozgrywała się walka.

–Poruczniku? Mamy tu zostać czy iść im na pomoc? – spytał.

–Trzymajcie pozycje.

Tebba Girana dotknął ramienia Lona, po czym wskazał w kierunku północno-zachodniej części grzbietu. Kilku Norbankijczyków ostrzeliwało dolne partie zbocza.

–Wygląda na to, że idą kolejni – powiedział. Zostawił trzech ludzi na warcie, następnie pokierował resztę Dirigentyjczyków na północny skraj, aby pomóc w odpieraniu najświeższego ataku.

Ośmiu żołnierzy KND zajęło stanowiska ogniowe i otworzyło ogień do nowej grupy rebeliantów, koncentrując go na najbliższych szeregach. Wymietli do czysta wyższe piętra zbocza. Tym razem nieprzyjaciel nie dotarł na szczyt. Ale z innych stron

nacierali

już kolejne gromady. Wyglądało na to, że powstańcy zwiększyli częstotliwość ataków.

„Niewiele brakuje, żeby nas przygnietli” – pomyślał Lon, idąc za Giraną i kapitanem Molroneym w stronę kolejnego wylomu, po wschodniej stronie grzbietu. „Nie utrzymamy się do rana. Gdzie, do kurwy nędzy, jest reszta batalionu?”.

Druga nad ranem. Po raz pierwszy od przeszło dwóch godzin obrońcy wzgórza na wschód od Dopływu Andersona mogli swobodniej odetchnąć – przynajmniej na parę

chwil. W tym czasie odparto... albo zlikwidowano dziewięć grup nieprzyjaciela.

Ludzie

mieli w końcu okazję przegrupować się, opatrzyć rannych i policzyć poległych.

Zginęło

trzech najemników; kolejnych siedmiu odniosło rany, ale tylko dwóch z nich obrażenia

wykluczyły z dalszej walki; każdy, kto mógł jeszcze ustać na nogach i trzymać broń w

garści, będzie musiał wziąć udział w ewentualnych kolejnych starciach. Sprawdzone

amunicję – przeszukano trupy i zbyt ciężko rannych, żeby mogli z niej jeszcze skorzystać.

–Nie jest dobrze – podsumował porucznik Taiters. Sierżant Dendrow, kapitan

Molroney i kadet Nolan stali obok niego w centralnej części szczytu wzgórza. – Uderzą

jeszcze parę razy, a nie zostanie nam ani jeden nabój.

Niektórzy Norbankijczycy mieli w zapasie nawet mniej niż pół tuzina kul; ledwie

garstce zostało więcej niż dwadzieścia. Gdyby nie zdobyczna amunicja i broń

rebeliantów, niektórzy lojaliści już nie mieliby czym strzelać. Żołnierze KND nie

znajdowali się w tak fatalnym położeniu, ale faktem było, że nikt nie miał pełnego

magazyńka. Operatorzy miotaczy laserowych ciągnęli na resztkach energii – co równało

się jakimś piętnastu sekundom w akcji.

–A gdzie reszta naszych? – spytał Molroney. – Moich i twoich?

–Tam, skąd słycać strzelaninę – odpowiedział Taiters. A było ją słycać już od dobrych dwudziestu minut, zaraz jak tylko przycichła ostatnia potyczka na grzbiecie. –

Nieco ponad milę na północ stąd. Jest tam połowa naszych ludzi. Reszta znajduje się

mniej więcej w tej samej odległości, tyle że na południowy zachód. Planują przeprowić

się przez wodę w najniższym punkcie, w którym, jak powiedziałaś, można pokonać bród.

–W najlepszym wypadku każdej z tych grup zajmie dwadzieścia minut, żeby się tutaj dostać, ale najpewniej jakieś pół godziny czy dłużej, nawet bez natykania się na siły opozycji – włączył się sierżant Dendrow. – Załóżmy jednak więcej realizmu i przyjmijmy,

że to będzie minimum godzina.

–Czy grupa południowa natknęła się już na jakieś gniazda wroga? – spytał Molroney.

–Nic na ten temat nie wiem – powiedział Taiters. – Jeśli już, to pewnie na jakiś patrol,

nic większego. Ale ze względu na rzeźbę terenu dobiecie do nas zajmie im więcej czasu

niż reszcie, nawet jeśli wymiana ognia na północy skończy się w tej chwili, a grupa południowa nie napotka nikogo po drodze.

–Ciagle mamy sporą szansę – odezwał się Dendrow. – Tak czy inaczej, może udało nam się lekko stłumić entuzjazm rebeliantów. To już – ile? – prawie dwadzieścia pięć

minut, jak nie ma żadnych ataków.

–Jeszcze wrócą – mruknął Molroney. – Posmakowali dzisiaj krwi. Poza tym, jak tylko

się dowiedzą, że idą do nas posiłki, będą chcieli nas wykończyć, zanim stracą chwilową

przewagę.

–Muszą słyszeć tę strzelaninę, nawet jeśli nie dotarły do nich żadne informacje – zauważył Lon. Głos miał stłumiony, jak pozostali. Nie został w nim ani ślad zapachu

podniecenia. Ze zmęczenia nie miał nawet siły się bać.

–Myślę, chłopcze, że masz rację – odezwał się Molroney. – I myślę też, że szykują się

właśnie do kolejnego natarcia. To już niedługo.

Ledwo Molroney i reszta zdążyli wrócić na swoje stanowiska na linii obrony, kiedy zauważono pierwszych rebeliantów podchodzących pod szczyt od południowego wschodu. Tym razem szturmujący nie próbowali nawet kryć się z atakiem albo napierać

„na zakładkę”, jak poprzednio. Nacierali jednocześnie z obydwu stron wzgórza.

Najemnicy, którym poważnie kurczyły się zapasy amunicji, przerzucili się na – również topniejące – rezerwy granatów. Dla wyrzutni warunki były kiepskie. Zostały skonstruowane z myślą o większej donośności, a nie po to, żeby używać ich przeciwko

ludziom wdrapującym się na stok. Pociski leciały za daleko albo odbijały się rykoszetem

od celów, zanim zdążyły eksplodować. Dirigentycy używali ich jednak tak długo, jak

tylko to było możliwe, celując możliwie najbliżej przy zachowaniu względnej

skuteczności. Garstkę ręcznych granatów, jakie jeszcze zostały, zachowano do czasu, aż

nieprzyjaciel zbliżył się na odległość dwudziestu, dwudziestu pięciu jardów. Było to co

prawda sprzeczne z regulaminem – promień rażenia odłamków wynosił trzydzieści jardów – ale rzeźba terenu eliminowała ewentualne niebezpieczeństwo.

Lon wyciągnął pistolet, zostawiając resztkę amunicji do karabinu na chwilę, gdy powstańcy podejżą na odległość bagnetu. Czasami były kłopoty z wyswobodzeniem ostrza i trzeba było sobie pomagać dodatkowym strzałem. Opróżnił magazynek pistoletu

i przeładował. Kiedy wystrzelił ostatni nabój, nie starczyło mu nawet czasu, żeby wsadzić broń do kabury. Rzucił ją w pośpiechu na ziemię i złapał prawą ręką za karabin.

Rebelianci byli już prawie na grani.

Umysł Lona ogarnęło otępienie; odseparował się od otaczającego go piekła, od zabijania i umierania, od smrodu prochu i strachu, od widoku krwi i flaków. Świadoma

myśl była praktycznie nieobecna. Prowadził go – i jego towarzyszy – tylko dryl oraz wyuczona dyscyplina. I tak właśnie miało być.

W pierwszej chwili nie zauważył nawet, że ktoś przeciął mu bok, zostawiając szramę od pachy aż po ostatnie żebro. Jakiś rebeliant zaszedł go z bagnetem, a Lon spóźnił się

tylko o ułamek sekundy i nie zdążył odparować ciosu. Odwrócił się do napastnika, zamachnął kolbą karabinu i zdzielił go od tyłu, aż ten poleciał na ziemię. Lon podszedł

wtedy bliżej i zatopił swój bagnet w plecach mężczyzny, przekręcając dodatkowo ostrze,

po czym zaparł się stopą i wyszarpnął bagnet, roztrzaskując rebeliantowi żebro.

Wtedy wpadł na niego ktoś inny i Lon stracił równowagę. Zrobił obrót, usiłując

wyrównać do pionu i o mały włos nie zwał się z nóg. Mężczyzna, który go popchnął,

leżał na ziemi; nie żył. Dirigentyczny. Lon ukląkł przy nim i podniósł ekran helmu – Raphael Macken z drużyny Girany.

„Przykro mi, Mack” – powiedział do niego w myślach. Na nic więcej nie miał czasu.

Już zerwał się z klęczek i rozglądał za kolejnym przeciwnikiem. Rebelianci nadal napierali na szczyt.

„No to chyba już”. Lon złożył się do strzału i namierzył łatwy cel – mężczyznę

stojącego dziesięć stóp od niego. Rebeliant zatoczył się do tyłu i runął w dół zbocza. Lon

zarejestrował jakiś ruch po swojej lewej i odwrócił się w tamtym kierunku; kolbą karabinu sparował kolejny, nierozważny zamach bagnetem.

Ten przeciwnik nie zdał się w zupełności na ostrze zatknięte na lufie swojego

karabinu. Lon dostrzegł błysk ognia wylotowego i poczuł dotkliwy ból w ramieniu, kiedy

impet wystrzału szarpnął nim w bok. Odpowiedź była zasługą refleksu. Tylko pełnym

przypadkiem Lon trafił rebelianta, a to, że pocisk zmasakrował twarz napastnika,

graniczyło z cudem. Chłopak przyglądał się, jak trafiony mężczyzna potyka się – martwy

już na trzy kroki, zanim padł na ziemię, nieświadomy tego, że sam też zaczął się osuwać,

jakby w zwolnionym tempie. Dopiero kiedy rąbnął tyłkiem o skałę i poleciał na plecy,

Lon uświadomił sobie, co się z nim stało. Próbował podnieść się na nogi, ale ciało nie

reagowało. Miał trudności z oddychaniem. Nabieranie powietrza w płuca sprawiało mu

ból. Spojrzał na swoje ramię. Rana nie wyglądała na szczególnie poważną, nie tak, jak w

poprzedniej potyczce. Kula wyłobila tylko płytki karb wzdłuż zewnętrznej części barku.

Obyło się bez naderwanych ścięgien i roztrzaskanych kości.

„Szok”. Lon poczuł, że powoli mruga oczami. „Straciłem mnóstwo krwi” – pomyślał.

„Jestem w szoku”. Nieciekawie. Zmrużył oczy; skupił się na rosnącym bólu w ramieniu i

boku, próbując zmusić umysł do zignorowania ran – i zabrania się do roboty.

„Nie mogę tak tutaj leżeć. Muszę wstać. Walka się jeszcze nie skończyła”. Poczuł napływającą falę strachu. Wyobraźnia podsunęła mu obraz rebelianta, który podchodzi

do niego i zadaje cios bagnetem. „Jakby rozdeptywał żuka. Nie chcę takiej śmierci”.

Zdołał jakoś odwrócić się częściowo na bok, sięgnąć po broń i podnieść się dzięki niej na kolana, a po chwili odpoczynku, na nogi. Chwiejąc się niepewnie, Lon szukał wzrokiem najbliższego zagrożenia. Widział nieostro. Mrużenie oczu jakoś mu pomagało,

ale tylko w minimalnym stopniu.

Ktoś biegł w jego stronę, karabin wraz z bagnetem celowały w niego, tworząc jedną linię. Lon opuścił lufę i pociągnął za spust, nie mając nawet pewności, czy w komorze

został mu choć jeden nabój. Broń jednak wystrzeliła i rebeliant padł. Odrzut szarpnął

Lonem, który potknął się i o mały włos nie rozłożył na ziemi.

–Hej, trzymaj się mnie. – Jakaś dłoń złapała kadeta za ramię. Odwrócił głowę i znów zamrugał oczami. Kapral Girana. – Jesteś ranny – rzekł.

–Dam radę – odpowiedział Lon, choć mówienie sporo go kosztowało.

–Teraz już nie dasz – odparł Girana. Lon nie dostrzegł, że kapral zamachnął się i ściął

go z nóg. Tebba złapał przewracającego się Lona w pół drogi do ziemi, i prawie że z czułością położył go na niej. – Po prostu zostań tutaj – powiedział. – Wykorzystaj całą

amunicję, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale nie ruszaj się stąd.

„Jasne” – odezwał się w duchu Lon. Właśnie zalała go fala mdłości. „Siedź tu sobie i

pozwól, żeby cię ktoś ukatrupił. Mowy nie ma”. Ale nie od razu udało mu się wstać. I to

nie tylko dlatego, że w pobliżu był Girana. Wystarczyło, że Lon próbował się poruszyć,

nudności wracały i taki był finał.

„Odpocznę minutkę. Potem będę gotowy” – obiecywał sobie w myślach. Znowu

musiał mocno zacisnąć powieki. Ból w ramieniu i boku nadal się wzmaczał, a

towarzyszące mu zawroty głowy za każdym razem trwały dłużej. „Że niby co?

Zemdleję?”. To było... absurdalne. Lon pochylił się do przodu, wspierając na karabinie i

spuścił w dół głowę, usiłując zatrzymać odpływ krwi z mózgu. „Muszę być przytomny.

Muszę się rozbudzić”.

Wymioty były dla niego zupełnym zaskoczeniem. Ledwo zdążył podnieść ekran

hełmu. Trzy skurcze żołądka później poczuł się słabiej – ale przynajmniej przeszły mu

zawroty głowy. Splunął kilka razy, żeby pozbyć się obrzydliwego posmaku z ust i

pomyślał, że warto by rozejrzeć się za jakimś łykiem wody, by dokładniej przepłukać gardło.

„Wszystko w swoim czasie” – pomyślał. Zerknął na ramię. Ciągłe krwawiło, ale

niezbyt obficie. Następnie okręcił się, żeby widzieć lewy bok i zobaczył długą ranę ciętą.

Koszulka była rozerwana i na całej długości nasiąknięta krwią. „A to skąd się wzięło?” –

zastanawiał się Lon. Potrzebował chwili, żeby sobie przypomnieć potyczkę, w której zarobił szramę. Nie miał pojęcia, czy rana nadal krwawiła. Z całą pewnością posoka z

niej nie tryskała, a zatem nie zostały uszkodzone żadne tętnice czy ważniejsze żyły.

Poszperał przy pasie, szukając apteczki. Nie miał przy tym pewności, czy wystarczy mu

bandaży na opatrzenie rany w boku. „Znajdź najgłębszy odcinek i tam przynajmniej załóż opatrunek” – poinstruował się w myślach. „Zabandażuj tyle, ile się da”. Toczące się

wokoło walki jak na razie umykały jego uwadze. Musiał się koncentrować na najdrobniejszej czynności, a opatrywanie ran było – w tej przynajmniej chwili – ważniejsze. Ledwie zdawał sobie sprawę z obecności Girany, który krył się w pobliżu,

pilnując, żeby nie dopadli go rebelianci. A już na pewno jego świadomość nie zarejestrowała faktu, że starcie zaczęło w końcu tracić pierwotny rozmach. Wyciągnął

bandaż, rozwinął go i przyłożył do rany w boku. Opatrunek był samoprzylepny. Gdyby

nie to, Lon nie miałby najmniejszych szans, żeby samemu umocować go na miejscu.

„No dobra, zrobione” – pomyślał z ulgą. Odsapnął przez chwilę, po czym zaczął się rozglądać wokół siebie. Zobaczył, że Girana trzyma się jeszcze na nogach, a potem dotarło do niego, że w pobliżu nie ma ani jednego rebelianta. Zaciekła walka trwała nadal

na grzbiecie, ale daleko od nich. Leżąc na ziemi, miał dość ograniczone pole widzenia.

Znajdował się w nim jedynie mały odcinek grani. Zbyt mały, żeby Lon mógł wnioskować, jak przebiegało starcie na dalszych pozycjach.

Nie zdając sobie sprawy z ospałości swoich ruchów, chłopak dźwignął się na jedno kolano i z głową przy ziemi wsparł się na karabinie. Wydawało mu się, że trwał w tej pozycji ledwie kilka sekund, a nie cztery minuty. Choć przestały dręczyć go nudności,

nadal czuł się słaby i nie mógł zebrać dość sił, żeby zrobić chociaż jeden krok.

W końcu zmusił się do wysiłku i „wdrapał” rękoma po karabinie, wspierając się na nim, aż – mniej więcej – stanął na nogach; następnie pochylił się i ścisnął dłońmi lufę,

ciągle uzależniony od swojej trzeciej „nogi”. Z wysiłku łzy popłynęły mu strużkami po

twarzy; nawet tego nie zauważył.

„Gdzie jest reszta batalionu? Dlaczego jeszcze ich tutaj nie ma?” – dręczył się w myślach. Powoli podniósł głowę; zamrugał parę razy powiekami, żeby lepiej widzieć.

Chciał mieć jakąś orientację w tym, co działo się wokół niego. Po raz pierwszy miał chwilę, żeby skonstatować ze zdumieniem, że przez cały czas, kiedy był bezbronny, nikt

nie nastawał na jego życie.

W jego kierunku powoli, niedbałym krokiem szło dwóch mężczyzn w mundurach

KND – każdy z karabinem w dłoni. Lon próbował stanąć prosto, zastanawiając się, co to

za jedni. Za przyciemnianymi osłonami przeciwsłonecznymi hełmów byli zupełnie anonimowi, a w ich posturze czy sposobie chodzenia Lon nie potrafił doszukać się

niczego znajomego.

–Czy walka się skończyła? – spytał, podnosząc ekran hełmu, żeby łatwiej mu było mówić. Rozejrzał się wkoło. Gdzie się podział Tebba? Lon nigdzie go nie widział.

–To już końcówka, mam nadzieję. – Kadet rozpoznał głos sierżanta Dendrowa, choć nigdy wcześniej nie słyszał w nim takiego zmęczenia. – Mam nadzieję.

–Tebba był tutaj jakąś minutę temu – powiedział Lon, znowu tocząc wzrokiem po okolicy. – Nie wiem, gdzie poszedł.

–Opiekuje się resztą swojej drużyny, Nolan – odparł Dendrow. – Ty też wyglądasz, jakbyś potrzebował pomocy.

–Nic mi nie jest – zapewnił Lon, bardzo powoli kiwając głową. – Teraz już jest OK.

–Porucznik Taiters nie żyje – oznajmił Dendrow. – Poległ w ostatnim poważnym starciu, jakieś czterdzieści pięć minut temu.

–Nie! – Lon poczuł zbliżające się zawroty głowy, gotowe znowu go przytłoczyć, grożąc utratą stabilności.

–Obawiam się, że tak. Kapitan Molroney też. I wielu innych żołnierzy, naszych i Norbankijczyków.

–Czy batalion tu dotarł? – spytał Lon rozbity wiadomością, że Taiters zginął czterdzieści pięć minut wcześniej. Wydawało się nieprawdopodobnym, że walka i opatrywanie ran trwały tak długo. Nagle usiadł na ziemię, jakby utrzymanie się na nogach było ponad jego siły.

–Są już blisko – odparł Dendrow. – Na tyle, że rebelianci odstąpili od szturmu na wzgórze i skupili swoje siły na walce z resztą naszych ludzi i norbankijskiej milicji.

Na

górze został może z tuzin żołnierzy nieprzyjaciela, zaraz się z nimi rozprawimy.

Lon zerknął w górę; mdłości minęły. Odwrócił głowę, nasłuchując odgłosów walki.

–Właśnie słyszę. – Skinął głową. – Masz jakieś wieści o tym, jak to do tej pory wygląda?

Dendrow i drugi żołnierz – który stał cały czas ze spuszczonej ekranem i nie odezwał się ani słowem – przykucnęli obok Lona.

–Zdaniem pułkownika rebelianci dali z siebie wszystko w tym starciu – powiedział

Dendrow. – Mordobicie i burdel na kółkach, ale nie ma chyba żadnych wątpliwości co do wyniku.

–A potem będziemy mogli zająć się szkoleniami? – Lon zaczął podnosić się z ziemi.

–A potem będziemy mogli zająć się szkoleniami – zgodził się Dendrow i szybko złapał lecącego na plecy Nolana. Lon stracił przytomność.

Strzępki koszmarów galopowały w umyśle Lona w tak zawrotnym tempie, że nie potrafił nawet skupić na nich uwagi. Był jedynie mgliście świadom ich obecności – sieci,

z której nie miał siły się uwolnić. Podczas pobytu w owej otchłani nie miał jednak również dostępu do bólu czy niewygody, nie czuł też upływu czasu. Nawet kiedy jego

umysł zaczął wypływać na powierzchnię świadomości, nie potrafił zatrzymać obrazów

pojawiających się w jego mózgu ani doznań płynących z ciała. Dopiero gdy zupełnie się

rozbudził, uświadomił sobie, że to doświadczenie było inne od poprzednich.

Otworzywszy oczy i zobaczywszy, że nie leży w tubie pourazowej, nie zdziwił się. Tuba

zapobiegłaby większości absurdalnej aktywności umysłowej.

–Jak się czujesz?

Lon zamrugnął powiekami. Było jasno. Słońce już wspinało się po niebie. Nie

rozpoznał twarzy, która się nad nim pochylała. Mężczyzna miał na sobie uniform załogi

statku z oznaką służby medycznej na piersi.

–Bywało lepiej – wychrypiął Lon. Spróbował odchrząknąć.

–Masz, napij się wody. – Sanitariusz uniósł głowę kadeta, przystawił mu manierkę do

ust i czekał, aż Lon zaspokoi pragnienie. – Nie za dużo – powiedział. – Masz za sobą

ciężki czas. Nie było pod ręką dość tub, a pierwszeństwo mieli ci, którzy oberwali

najgorzej. Mogliśmy jedynie wpompować ci ciałka wytwarzające krew i środki

przeciwbólne. W drodze do domu będziesz musiał spędzić cztery godziny w tubie, żeby

wygładzić blizny i załatać inne obrażenia. – Uśmiechnął się. – Najprawdopodobniej będziesz miał jeszcze nockę do odrobienia. W ten sposób nie stracisz ani minuty służby.

–W drodze do domu? A co z tym paromiesięcznym szkoleniem, które mieliśmy przeprowadzić?

–Ja, przyjacielu, nic na ten temat nie wiem. Powiedziano mi tylko, że ten batalion wylatuje za parę dni do domu. Może dadzą kogoś innego do tego szkolenia. A może się z

niego wycofali. Nie mówią mi o wszystkim. Mam szczęście, jeśli się dowiem, o której jemy.

–Kiedy mogę wrócić do swoich kumpli?

–Gdy tylko będziesz mógł podnieść się z łóżka i zrobić parę kroków. Ale z tym to się raczej nie spiesz. Usiądź, zjedz, o ile zdołasz już coś przełknąć – napij się trochę wody.

Do stanu zupełnej sprawności sporo ci jeszcze brakuje. I nic na siłę. Pamiętaj, nie odbębniłeś swojej sesji w tubie.

Lon usiadł. Nadal odczuwał lekki ból w lewym ramieniu i boku – kolejna pamiątka świadcząca, że nie był w tubie – ciągle też brakowało mu energii, ale nie nękały go już

nudności i zawroty głowy.

–Chyba dam sobie radę – mruknął pod nosem. „W przeciwieństwie do niektórych” – pomyślał. Przypomniwał sobie o poruczniku Taitersie. „Ciekawe, jak to się stało?”.

–Dasz – tak brzmi moja opinia specjalisty. – Sanitariusz zaśmiał się krótko. –

Zostawię ci manierkę. Twoje były puste. Przyniosłem ci też paczkę z prowiantem –

prosto z magazynu, nie te wojenne racje, na których musiałeś dotychczas ciągnąć.
– Lon

skinął głową w geście podziękii i sięgnął po wodę. Sanitariusz podniósł się. – Na razie nie

przesadzaj z wodą. Jakby coś się działo, któryś z nas powinien kręcić się w pobliżu. Jeśli

nie, powodzenia.

Jadł powoli. Rozkoszował się każdym kęsem, jakby jedzenia nie przyniesiono z magazynu, tylko z jakiejś wykwintnej restauracji i popijał je co rusz małymi łyżkami wody. Była zimna, w przeciwieństwie do letniej cieczy, na którą był skazany od momentu wylądowania na Norbanku.

Podczas posiłku Lon rozglądał się dookoła. Leżał na dnie doliny razem z czterdziestoma innymi rannymi. Większość ciągle spała. Kilku siedziało i jadło. Wszyscy

wyglądali żałośnie. Lon nie był pewien, czy widział gdzieś wcześniej tę kotlinę.

Słońce znajdowało się na tyle wysoko, że wschodni stok w całości wyłonił się z cienia, ale Lon musiał sprawdzić czas na liczniku w hełmie, żeby przekonać się, że mijała

dziesiąta rano. Skończywszy jeść, nasadził hełm na głowę i wybrał kanał, na którym mógł się połączyć z sierżantem Dendrowem.

–Pijawki puszczają mnie wolno – zameldował, kiedy Dendrow odezwał się na linii. – Gdzie mogę cię znaleźć?

–Nawet nie próbuj – odparł starszy sierżant. – Siedź na tyłku. Zabierzemy cię za jakieś dwadzieścia minut.

–Ale, sierżancie, naprawdę czuję się OK. Dam radę sam.

–Może i tak, ale oszczędź sobie kłopotu. Właśnie dostaliśmy rozkazy wymarszu do

stolicy i po drodze będziemy cię mijali.

Lon zachichotał. Było to oznaką nie tyle powracającego humoru, co ulgi, że wróci do

swojej jednostki, do swoich przyjaciół.

–OK, będę czekał. I tak nie mam dokąd iść.

Czuł pokusę, żeby kontynuować rozmowę, choćby tylko dlatego, by słyszeć znajomy

głos, ale wiedział, że to byłoby nie na miejscu. Nie połączył się przecież z kapralem

Giraną ani nie ustawił częstotliwości swojej drużyny. Spotkają się już niedługo. Może

poczekać.

Ta myśl oraz posiłek pokrzepiły go na ciele i duchu. Bóle w ramieniu i boku zdawały

się ustępować. Podniósł się ostrożnie na nogi, czekając na nieprzyjemne konsekwencje w

postaci niewygody czy osłabienia, ale nie doświadczył żadnej z nich. „Chyba się z tego

wyliżę” – uznał w duchu.

Kilka ostrożnych kroków rozbudziło jego optymizm. „Nikt nie będzie musiał mnie

targać”. Z nieco większą uwagą rozejrzał się po szpitalu pod gołym niebem. Ze

trzydzieści jardów od niego jakiś żołnierz pilnował kilku tuzinów sztuk broni. Lon

przeniósł wzrok na ziemię obok swojego posłania. Nie znalazł karabinu. Pas z pistoletem

–przynajmniej samą kaburą; Lon przypomniał sobie, że cisnął broń podczas walki i nie

podniósł jej już później – również zniknął.

„Chyba lepiej sprawdzę, czy nie mają tam chociaż mojego karabinu” – pomyślał,

kierując się w stronę strażnika. Żołnierz podniósł głowę, kiedy usłyszał

podchodzącego

kadeta, następnie odsunął ekran hełmu. Lon nie znał jego nazwiska, ale rozpoznawał

twarz. Mężczyzna był chyba z kompanii Charlie.

–Nie znalazłem przy sobie swojej broni – zaczął Lon. Potem przedstawił się. – Kiedy postrzelono mnie zeszłej nocy, miałem jeszcze karabin. Pistolet mógł zawieruszyć się

gdzieś wcześniej.

–Pamiętasz numery seryjne? – zapytał strażnik.

Lon wyrecytował najpierw numer seryjny karabinu. Mężczyzna opuścił ekran i sprawdził listę, która wyświetliła się na wskaźniku refleksyjnym jego hełmu. Zaraz potem podniósł osłonę, ruszył niemal od razu w stronę właściwej broni i wyciągnął ją z

kupki. Lon wziął karabin, sprawdził bezpiecznik, a następnie odciągnął zamek, żeby zobaczyć, czy w komorze został jeszcze jakiś nabój. Była pusta. Magazynek też.

–A pistolet? – zapytał strażnik. – Tak na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że ktoś

go znalazł.

Okazało się, że tak; broń spoczywała nawet z powrotem w kaburze.

–Kto by się spodziewał – powiedział Lon. – Dzięki.

Nie musiał podpisywać odbioru broni. Kamera zamontowana w hełmie strażnika zarejestrowała całą transakcję.

–Po to tu jestem – odparł żołnierz. – I jeszcze po to, żeby zapobiegać kradzieżom.

–Jedno pytanie. Gdzie jesteśmy? Jak daleko od wzgórza, na którym wczoraj walczyliśmy?

–Byłeś w plutonie, który bił się na grzbiecie? – Lon przytaknął ruchem głowy.

Strażnik wyciągnął rękę wskazując północ. – To tam. – Pokazał. – Szczyt tamtego wzniesienia.

Lon odwrócił się i spojrział w kierunku północnym. Z tego miejsca wzgórze

wydawało się zupełnie obce. Nie mógł nawet dojrzeć gąszczu, który porastał zachodni

stok ani Dopływu Andersona.

–Teraz wygląda inaczej – zauważył. – Dzięki.

Zrobił w tył zwrot i ruszył na poszukiwanie reszty plutonu, zastanawiając się, czy w

stronę Norbank City zmierzał tylko trzeci pluton, czy może cała kompania albo batalion.

Lon siedział właśnie pod drzewem, kiedy zjawiała się kompania Alfa – zbliżając się

nie tyle w zdyscyplinowanym ugrupowaniu marszowym, co w trzech luźnych

kolumnach. To był szok – widzieć jednostkę w tak okrojonym składzie. „Może to nie

wszystko z powodu ofiar” – pomyślał Lon, usiłując wlać w siebie nieco ducha.

„Może

reszta jest ciągle na służbie z dala od kompanii”. Ta możliwość jednak nie zdołała jakoś

szczególnie go uspokoić.

Kompania zatrzymała się na pięciominutowy odpoczynek, podczas którego

oficerowie i podoficerowie poszli rozejrzeć się, czy wśród rannych nie ma jeszcze innych

zdolnych do walki żołnierzy. Lon czuł się winny, że sam tego nie zrobił, że nie

sprawdził, czy nie leży obok niego ktoś znajomy. Nawet mu to przez myśl nie przeszło.

Pluton trzeci – to, co z niego zostało – gorąco go powitał. Brakowało kilku twarzy.

Nie tylko porucznik Taiters poniósł śmierć na szczycie bezimiennego wzgórza. Poza tym

paru ludzi odtransportowano na Wężysko w tubach pourazowych. Spośród bliskich przyjaciół Lona z drugiej drużyny nieobecny był tylko Dean Ericks – przy czym Phip wraz z Jannem prędko zapewnili go, że to tylko z powodu ran, że zabrano go na statek

pierwszym transportem i wszystko będzie w porządku.

–I pewnie wygląda lepiej niż ty – zauważył Phip, wskazując podarte i poplamione krwią moro Lona.

–Czy to prawda, że wracamy prosto na Dirigent? – zapytał chłopak. – Sanitariusz powiedział mi, że dostał takie informacje.

–Chyba tak – odparł Phip. – Tebba mówi, że i tak wszyscy wracamy na statek, dziś albo jutro. Staruszek musi wysłać kogoś innego do szkoleniowej części kontraktu.

Podszedł Girana. Przywitał się z Lonem, po czym oznajmił:

–Lecimy do domu. Szkoleniem zajmie się Delta. Tyre zostanie na orbicie i zabierze ich potem na Dirigent.

Tyre był statkiem dostawczym, który leciał razem z Wężyskiem. Na wcześniejszym etapie swojej kariery służył jako transport dla jednostek rozmiarów kompanii. Nie był tak

wygodny, jak większe i nowocześniejsze Wężysko, ale do prac pomocniczych nadawał

się w sam raz.

–Czyli co, rebelia stłumiona? – spytał Lon.

Tebba wzruszył ramionami.

–Jak na moje oko, doszli do wniosku, że została zbyt mała garstka rebeliantów, aby stanowić jakiegokolwiek realne zagrożenie. To tylko plotka, ale mówi się, że od

naszego

przyjazdu tutaj zginęły ich ponad dwa tysiące. Wiem na pewno, że dzisiaj rano milicja

znalazła ponad tysiąc dwieście rebelianckich karabinów przy mniej więcej podobnej liczbie trupów.

Lon nie potrafił powstrzymać lekkiego dreszczu.

–Trupów? Nie było żadnych jeńców?

–Niewielu – odparł Tebba. – Słyszałem tylko o pięciu powstańcach, których wzięto do niewoli żywych i w jednym kawałku. Mogła być ze setka albo i więcej zbyt ciężko rannych, żeby dalej walczyć. Nasi ludzie zajmują się teraz nimi. Stary chyba nie ma dość

zaufania do rządu, żeby przekazać ich w jego ręce. I nie winię go za to.

Na drodze powrotnej do Norbank City nikt nie przesadzał z pośpiechem. Co pół godziny kompania robiła pięciominutowy odpoczynek. A i tak przemarsz zajął żołnierzom tylko dwie godziny. Mieszkańcy stolicy byli w radosnych nastrojach pomimo

faktu, że podczas ostatniej bitwy ucierpiało trzydzieści osiem procent kompanii milicji –

zabitych i rannych. Nikt nie wątpił w to, że widmo rewolucji Divinistów rozwiało się, a

tym, którzy zostali, dadzą radę.

Dwadzieścia minut po przybyciu kompanii Alfa do miasta pojawiło się również

Bravo. Pilnowali tych niewielu jeńców, którzy nie odnieśli żadnych ran. Tebba pomylił

się w rachunkach. Bravo przyprowadziło z sobą ośmiu rebeliantów.

Ponad setka Norbankijczyków przyszła pogapić się na więźniów, wyszydzać i obrzucać ich przekleństwami. Żołnierze z pierwszego plutonu Bravo trzymali gapiów na dystans, otaczając pojmanych rebeliantów ciasnym kordonem; karabiny mieli przewieszane przez szyję. Reszta kompanii została w pobliżu – już raczej jako niejawna część ochrony. Alfa też stała blisko, na wypadek gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli.

„Nie daję im większych szans na przeżycie po naszym odlocie” – pomyślał Lon.

„Wystarczy, żeby ktoś podrzucił pomysł temu motłochowi, a gotowi ukamienować ich na miejscu”.

Minęło piętnaście minut, zanim zjawił się pluton norbankijskiej milicji, a w jego eskorcie – pułkownik Alfred Norbank, głównodowodzący sił rządowych. Pułkownik skierował się od razu w stronę kapitana Wallisa Amesa, dowódcy kompanii Bravo. –Kapitanie, przejmujemy teraz od was tych ludzi – odezwał się. – Eskortę mamy wystarczającą.

–Cieszę się, że wasza milicja nam pomaga, pułkowniku – odparł kapitan Ames. – Ale nie mogę jeszcze przekazać panu jeńców. Przykro mi. Mój dowódca polecił dostarczyć

ich bezpiecznie do miasta, nie otrzymałem rozkazów, żeby oddać ich w ręce lokalnych

władz. A dopóki pułkownik Flowers takich rozkazów nie wyda, ci ludzie znajdują się pod moją kuratelą.

Pułkownik Norbank zawahał się, jakby już miał w zanadrzu jakąś ripostę. Lon Nolan przyglądał się temu uważnie. Stał ledwie dwadzieścia jardów od rozmówców.

Widział

wyraźnie napięcie na twarzy pułkownika i zobaczył, kiedy ten podjął w końcu decyzję.

Mięśnie Norbanka rozluźniły się nieznacznie.

–Rozumiem, co znaczy rozkaz, kapitanie. – Skinął głową. – Moim zdaniem to strata czasu, ale poczekam, aż pański pułkownik zwolni tych zdrajców.

Odwrócił się do porucznika milicji, który stał obok i wydał plutonowi komendę zajęcia pozycji obok Dirigentyjczyków. Kiedy już dołączyli do kordonu, pułkownik Norbank podszedł do schwytanych rebeliantów. Znalazłszy się wewnątrz okręgu wytyczonego przez żołnierzy i norbankijską milicję, zaczął obchodzić stojącą tam grupę

zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

–Teraz nie wyglądają wcale tak groźnie – powiedział, zwracając się do kapitana Amesa, który został poza okręgiem.

To, co miało miejsce potem, stało się zbyt szybko, żeby ktokolwiek zdążył temu zapobiec czy chociaż rzucić ostrzeżenie, choć jednocześnie Lonowi wydawało się, że

ogląda film puszczony w zwolnionym tempie.

Kątem oka uchwycił jakiś ruch w grupie jeńców. Wyglądało, jakby jeden z nich chciał podrapać się po kroczu. Ręka sięgnęła głęboko za pas spodni. Kiedy mężczyzna

wyjął ją z powrotem, dołączyła do niej druga. Lon w jednej chwili zorientował się, że rebeliant zdołał w jakiś sposób schować granat ręczny i właśnie dobył go z ukrycia.

Zanim do Lona dotarło, co się dzieje i zanim otworzył usta, żeby krzyknąć, było już za późno. Więzień z granatem w wyciągniętej dłoni rzucił się na pułkownika Norbanka.

Pułkownik odwrócił się w stronę rebelianta. Rozdziawił usta. Na jego twarzy wykwitło

zaskoczenie.

Granat eksplodował, wymazując nie tylko grymas zdumienia, ale i samą twarz.

Lon przypadał właśnie do ziemi, kiedy usłyszał huk, który zagłuszył jego

ostrzeżenie. Wśród cywilów stojących dalej rozległy się krzyki, a jęki bólu wśród tych,

którzy stali blisko – Dirigentyjczyków i norbankijskiej milicji... Rannych zostało także

paru jeńców.

Gdy tylko minął pierwszy szok, Lon zerwał się na nogi, złapał za broń i pobiegł

naprzód, mimo że i tak nie miał amunicji. Jednocześnie ruszyły grupki innych

najemników, którzy osłaniali karabinami pozostałych jeńców i spieszyli zająć się swoimi

towarzyszami.

Minęła dłuższa chwila, zanim sytuacja się unormowała. Więzień, który odbezpieczył

granat, był martwy, podobnie jak dwóch jego kompanów. I pułkownik Norbank. Śmierć

poniosło również dwóch milicjantów i jeden Dirigentyjczyk. Dwunastu ludzi odniosło

rany, w większości raczej powierzchowne; zabici przyjęli na siebie najwięcej odłamków.

Pozostałych więźniów rozebrano, żeby mieć pewność, że nikt więcej nie ma w zanadrzu

jakichś śmiercionośnych niespodzianek. Cywilom kazano się rozejść. Oddalili się, przeważnie w ciszy.

Rannym, po oddzieleniu ich od martwych, udzielono pierwszej pomocy. Ocalałych

jeńców odprowadzono na skraj miasta. Nie pozwolono im się ubrać.

Lon podszedł do miejsca, gdzie leżał człowiek, który zdetonował granat. Głowa rebelianta, ręce i górna część tułowia były strasznie zmasakrowane. Z dłoni nie zostało

zupełnie nic.

Lon przyglądał się mu, kręcąc głową.

–Jak to możliwe, by ktoś potrafił tak bardzo nienawidzić? – zastanawiał się na głos, nieświadomy, że ktoś mógł stać na tyle blisko, żeby go usłyszeć.

–Są ludzie, którzy nie potrafią inaczej – odezwał się Tebba Girana. – Dla takich gości

jak ten śmierć jest jedyną granicą.

Epilog

Kiedy drugi batalion siódmego pułku wrócił z Norbanku, w Dirigent City nastąpiła już jesień. Wahadłowce wysadziły żołnierzy w miejskim porcie kosmicznym późnym wtorkowym rankiem. Podstawione autobusy już czekały, żeby przewieźć powracających przez całe miasto do głównej bramy bazy KND.

Lon wyglądał przez okno i przypatrywał się mijanym przechodniom. Niewielu z nich zaszczyliło wojskowe pojazdy czymś więcej niż przelotnym spojrzeniem. Podejrzewał,

że ci, którzy zatrzymali się na chodniku i odprowadzali ich wzrokiem, sami należeli do

korpusu, teraz albo w przeszłości. Niektórzy z nich stanęli na baczność.

Kiedy konwój dotarł do bazy, przywitał ich cały korpus. Poległych z drugiego batalionu wiozły aż trzy autobusy. Przedefilowały pierwsze, a za nimi jechała reszta batalionu. Żołnierze korpusu stali na baczność. Oficerowie oddawali saluty. Barwy pułków opuszczono, żeby uhonorować powracających do domu ludzi.

Jutro odbędzie się inne widowisko – tym razem tylko dla siódmego pułku. Lon stanie

przed całą jednostką, a pułkownik Arnold Gaffney przypnie do jego pagonów czerwono-

złote porucznikowskie insygnia.

Najpierw jednak – dziś wieczór – chłopak ruszał w miasto. Zaplanował sobie, że będzie pił tak długo, aż zupełnie wymaże z pamięci krwawy rytuał, którym musiał opłacić czerwono-złote romby.

2010-12-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/